

**Zygmunt Miłoszewski**

**Ziarno prawdy**

*Dla Marty*

*W każdej legendzie kryje się ziarno prawdy.*

powiedzenie ludowe

*Pół prawdy to całe kłamstwo.*

prysłowie żydowskie

*Obowiązkiem prokuratora jest dążenie*

*do ustalenia prawdy.*

Zbiór Zasad Etycznych Prokuratora

## **Rozdział pierwszy**

*środa, 15 kwietnia 2009*

Żydzi uroczyście świętują siódmy dzień święta Pesach i wspominają przejście przez Morze Czerwone, dla chrześcijan to czwarty dzień Oktawy Wielkanocnej. Dla Polaków – drugi dzień trzydniowej żałoby narodowej ogłoszonej po pożarze w Kamieniu Pomorskim. W świecie wielkiej piłki Chelsea i Manchester United awansują do półfinału Ligi Mistrzów, w świecie polskiej piłki kilku kibiców ŁKS zostaje oskarżonych o nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych poprzez noszenie koszulek z napisem „Śmierć żydzewskiej kurwie”. Komenda Główna Policji ogłasza raport o przestępczości w marcu – w porównaniu do marca 2008 wzrosła o 11 procent. Policja komentuje: „Kryzys będzie zmuszał ludzi do popełniania przestępstw”. W Sandomierzu już zmusił ekspedientkę z mięsnego do sprzedawania spod lady papierosów bez akcyzy, kobieta została zatrzymana. W mieście zimno jak w całej Polsce, temperatura nie przekracza 14 stopni, ale to i tak pierwszy słoneczny dzień po lodowatej Wielkanocy.

Duchy na pewno nie przychodzą o północy. O północy trwają jeszcze wieczorne filmy w telewizji, nastolatki myślą intensywnie o swoich nauczycielkach, kochankowie zbierają siły przed następnym razem, stare małżeństwa odbywają poważne rozmowy o tym, co się dzieje z naszymi pieniędzmi, dobre żony wyciągają ciasto z piekarnika, a źli mężowie budzą dzieci, próbując po pijaku otworzyć drzwi do mieszkania. Zbyt wiele jest o północy życia, aby duchy zmarłych mogły zrobić należyte wrażenie. Co innego przed świtem, kiedy przysypiają nawet pracownicy stacji benzynowych, a brudne światło zaczyna wydobywać z mroku byty i przedmioty, których istnienia nie podejrzewaliśmy

Dochodziła czwarta nad ranem, słońce miało wstać za godzinę, a Roman Myszyński walczył ze snem w czytelni Archiwum Państwowego w Sandomierzu, otoczony przez zmarłych. Wokół niego piętrzyły się dziewiętnastowieczne księgi parafialne i mimo że większość wpisów dotyczyła radosnych momentów życia, mimo że chrztów i ślubów więcej było niż aktów zgonu – to i tak stale czuł towarzyszący mu odór śmierci, nie potrafił pozbyć się myśli, że wszystkie te noworodki i wszyscy ci nowożeńcy od co najmniej kilkudziesięciu lat gryzą ziemię, a z rzadka odkurzane i przeglądane księgi są jedynym świadectwem ich istnienia. Choć akurat oni i tak mieli szczęście, biorąc pod uwagę to, jak z polskimi archiwami obeszła się wojna.

Było cholernie zimno, w termosie skończyła się kawa, a jedyną myślą, jaką potrafił skonstruować Myszyński, było besztanie się za idiotyczny pomysł, żeby założyć firmę zajmującą się poszukiwaniami genealogicznymi, zamiast wziąć asystenturę. Na uczelni dochód niewielki, ale stały, ubezpieczenie opłacone – same plusy. Zwłaszcza

w porównaniu z posadami w szkołach, na które trafili jego koledzy z roku, tak samo źle płatnymi, ale wzbogaconymi o wieczną frustrację i groźby karalne ze strony uczniów.

Spojrzał na rozłożoną przed sobą księgę i na zdanie ładnie wykaligrafowane przez księdza z parafii w Dwikozach w kwietniu 1834 roku: „Stawający i świadkowie czytać nie umieją”. To by właściwie było na tyle, jeśli chodzi o szlacheckie pochodzenie Włodzimierza Niewolina. A gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, że być może przynoszący do chrztu rodzic prapradziadka Niewolina miał po pępkowym gorszy dzień, to rozwiewał je jego zawód – włościanin. Myszyński był pewien, że jak już doszpera się do aktu ślubu, okaże się, że wzmiankowana w akcie urodzenia Marjanna Niewolinowa – piętnaście lat młodsza od małżonka – była dziewczką służebną. A może jeszcze mieszkała przy rodzicach.

Wstał i przeciągnął się energicznie, potrącając palcami wiszące na ścianie stare, przedwojenne zdjęcie sandomierskiego rynku. Poprawił je, myśląc, że plac z pocztówki wygląda jakoś inaczej niż dziś. Skromniej. Wyjrzał przez okno, ale widoczna w perspektywie ulicy pierzeja rynku zasłonięta była ciemną mgłą przedświt. Co za bzdura, dlaczego stary rynek miałby wyglądać inaczej, po co w ogóle o tym myśli, musi wziąć się do roboty, jeśli chce zrekonstruować przeszłość Niewolina i zdążyć na trzynastą do Warszawy.

Co go jeszcze może spotkać? Nie powinien mieć trudności z aktem ślubu, także akty urodzenia Jakuba i Marjanny muszą gdzieś być, szczęśliwie Kongresówka była dla badaczy archiwów dość łaskawa. Od początku XIX wieku w Księstwie Warszawskim dzięki kodeksowi napoleońskiemu wszystkie akta metrykalne musiały być sporządzane przez parafie w dwóch egzemplarzach i przekazywane do archiwum państwowego – później zasady uległy zmianie, ale i tak było nieźle. W Galicji – gorzej, a już Kresy to prawdziwa genealogiczna czarna dziura, w Archiwum Zabuzzańskim w Warszawie leżały jedynie jakieś szczątki akt. Czyli z Marjanną,

urodzoną około 1814 roku, nie powinno być problemu. Jeśli chodzi o Jakuba – końcówka XVIII wieku to ciągle nieźle, księża byli lepiej wykształceni i poza wyjątkowo leniwymi parafiami księgi są raczej kompletne. W Sandomierzu pomagał fakt, że w czasie ostatniej wojny nie puścili go z dymem ani Niemcy, ani Sowieci. Najstarsze akta pochodziły z lat osiemdziesiątych XVI wieku. Wcześniej i tak ślad się urywał, dopiero na soborze trydenckim w XVI wieku Kościół wpadł na pomysł, żeby swoje owieczki spisywać.

Potarł oczy i nachylił się nad rozłożonymi aktami. Czyli potrzebne są mu akta ślubu z Dwikoz z ostatnich dwóch lat i może od razu poszuka matki. Z domu Kwietniewska. Hmm. W głowie badacza zadzwonił alarmowy dzwoneczek.

Mijały dwa lata od chwili, kiedy wbrew radom wszystkich założył firmę Złoty Korzeń. Na który to pomysł wpadł, gdy w czasie zbierania materiałów do doktoratu w Archiwum Głównym Akt Dawnych zaczął spotykać ludzi z szaleństwem w oczach, nieporadnie szukających informacji o przodkach i próbujących wyrysować swoje drzewo genealogiczne. Jednemu chłopakowi pomógł z litości, jednej dziewczynie ze względu na obezwładniająco piękny biust i w końcu Magdzie, bo była rozkoszna ze swoją wielką planszą genealogiczną, przypominającą Drzewo Jessego. Skończyło się tak, że Magda i jej plansza mieszkały u niego przez pół roku. O pięć miesięcy za długo, wyprowadzała się ze łzami w oczach i wiedzą, że praprababka Cecylia była bękartem, bo w 1813 roku do chrztu podawała ją akuszerka.

Wtedy postanowił, że można wykorzystać ten genealogiczny szal i sprzedawać swoją umiejętność korzystania z archiwów. Rejestrując działalność, był bardzo podniecony wizją zostania detektywem historii i nie przyszło mu do głowy, że nazwa Złoty Korzeń sprawi, że każdy – dosłownie każdy – klient najpierw zapyta, czy ma coś wspólnego ze słynnym pływakiem, a potem wysili się na niewybredny żart.

Niczym w powieściach *noir*, na początku głównie czekał na telefon i gapił się w sufit, ale w końcu klienci się pojawili. Od przypadku do przypadku i od polecenia do polecenia było ich coraz więcej, w większości niestety nie długonogie brunetki w pończochach. Przychodziły przede wszystkim dwa typy. Typ pierwszy to zakompleksieni okularnicy w pulowerkach, o wyrazie twarzy „no ale co ja ci zrobiłem?”, którym w życiu nie wyszło tak bardzo, że mieli nadzieję znaleźć jego sens i wartość w dawno rozłożonych przodkach. Z pokorą i ulgą, jakby spodziewali się tego ciosu, przyjmowali informację, że są potomkami nikogo znikąd.

Typ drugi – typ Niewolina – od początku dawał do zrozumienia, że nie płaci za informację, iż wywodzi się z rodu pijanych furmanów i przechodzonych dziwerek, tylko za doszukanie się herbowej szlachty i miejsca, gdzie można zawieźć dzieci i pokazać, że tutaj stał dwór, w którym pradziadek Polikarp leczył rany odniesione w powstaniu. Jakimkolwiek powstaniu. Na początku Roman był do bólu szczery, potem uznał, że jest jednak prywatną firmą, a nie instytutem badawczym. Skoro szlachta oznaczała premie, napiwki i kolejnych klientów – niech będzie szlachta. Gdyby ktoś miał wyrobić sobie opinię na temat przeszłości Polski tylko po wynikach jego śledztw, łatwo doszedłby do wniosku, że wbrew pozorom nie jest to kraj prymitywnych chłopów, lecz dystyngowanych panów, w ostateczności dobrze prosperujących mieszczan. Mimo różnych nagięć Roman nigdy nie kłamał – po prostu zwykle dotąd szperał w bocznych odnogach, aż znalazł jakiegoś pana na zagrodzie.

Najgorzej było trafić na Żyda. Argumenty historyczne, że w międzywojennej Polsce dziesięć procent mieszkańców stanowili Żydzi, w związku z czym zwłaszcza na terenach Kongresówki i Galicji można odnaleźć przodka wyznania mojżeszowego, do nikogo nie trafiały. Dwa razy mu się to zdarzyło – za pierwszym razem został zbluzgany, a za drugim mało nie dostał po gębie. Najpierw nie mógł wyjść ze zdziwienia, potem podumał kilka dni, a w końcu doszedł do wniosku, że klient nasz pan. Zwykle poruszał sprawę w



czasie pierwszej rozmowy i jeśli się okazywało, że temat budzi nadmierne emocje – gotów był zamieść ewentualnego Icka pod dywan. Zdarzało się to jednak niezmiernie rzadko – Zagląda ścięła koronę izraelskiego drzewa genealogicznego.

A teraz proszę, pojawiła się w dziewiętnastowiecznych dokumentach Marjanna Niewolin, de domo Kwietniewska. To nie musiało być regułą, ale nazwiska wzięte od nazw miesięcy często były nazwiskami przechrztów, przyjmowanymi od miesiąca, w którym odbył się chrzest. Podobnie nazwiska zawierające w sobie dni tygodnia, albo zaczynające się od „Nowa”. Także nazwisko Dobrowolski mogło wskazywać na to, że jakiś przodek dobrowolnie przeszedł z wyznania mojżeszowego na chrystusowe. Roman lubił wierzyć, że za takimi historiami stała miłość. Że ludzie, mając do wyboru religię albo uczucie, wybierali to drugie. A jako że katolicyzm był w Najjaśniejszej religią panującą, zwykle w tę stronę odbywały się konwersje.

Właściwie Roman mógł porzucić ten trop, i tak był zaskoczony, że udokumentowane korzenie Niewolina sięgają tak daleko. Ale po pierwsze, był ciekaw, a po drugie, zdenerwował go ten buc wymachujący sygnetem z miejscem na herb.

Roman uruchomił w laptopie jedno ze swoich podstawowych narzędzi – zeskanowany *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, monumentalne dzieło z końca XIX wieku, gdzie opisano właściwie każdą wioskę znajdującą się w granicach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Odszukał hasło Dwikozy, aby dowiedzieć się, że była to wieś i folwark poduchowny, licząca 77 domów i 548 mieszkańców. Ani słowa o gminie żydowskiej, co naturalne, biorąc pod uwagę, że zwykle obowiązywał zakaz osiedlania się Żydów w dobrach kościelnych. Czyli jeśli Marjanna pochodziła z okolicznej rodziny przechrztów, trzeba szukać w Sandomierzu albo Zawichoście. Przejrzał skany i dowiedział się, że w Sandomierzu było 5 domów zajezdnych

żydowskich, synagoga, 3250 katolików, 50 prawosławnych, 1 protestant i 2715 Żydów. Za to w Zawichoście na 3948 dusz do religii mojżeszowej przyznawało się 2401 osób. Sporo. Spojrzał na mapę. Intuicja mówiła mu, że Zawichost to lepszy strzał.

Przegonił myśl, że marnuje czas, wstał, zrobił kilka przysiadów, skrzywił się, słysząc trzaski w kolanach, i wyszedł z czytelni. Pstryknął przełącznikiem w ciemnym korytarzu, ale nic się nie stało. Pstryknął jeszcze dwa razy. Ciągłe nic. Rozejrzał się niepewnie. Choć był weteranem spędzania nocy w archiwach – poczuł niepokój. Genius loci, pomyślał i westchnął litościwie nad swoją skłonnością do fantazjowania.

Zniecierpliwiony jeszcze raz wcisnął przełącznik i po kilku błyskach klatkę schodową zaalało trupie światło jarzeniówek. Roman spojrzał w dół na gotycki portal, prowadzący z części administracyjnej do archiwum. Wyglądał jakoś tak, jak by to powiedzieć, groźnie.

Odchrząknął, żeby zabić ciszę, i ruszył w dół, myśląc, że ciekawego smaczku dodaje sprawie Niewolina i jego prapra de domo przechrzcie Kwietniewskiej fakt, że sandomierskie archiwum mieści się w budynku osiemnastowiecznej synagogi. Czytelnia i pokoje pracowników znajdowały się w dole pionym do świątyni budynku kahału, siedzibie gminnej administracji. Same akta zajmowały główne pomieszczenie modlitewne synagogi. Było to jedno z najciekawszych miejsc, jakie widział w swojej karierze pradetektywa.

Zszedł na dół i pchnął ciężkie, nabijane ćwiekami żelazne drzwi. Uderzył go orzechowy zapach starego papieru.

Stara sala modlitewna miała kształt dużego sześcianu, który w interesujący sposób zaadaptowany został na potrzeby archiwum. Pośrodku pomieszczenia zbudowano ażurową kostkę, złożoną ze stalowych chodniczków, schodków i – przede wszystkim – półek. Kostka była nieznacznie mniejsza od sali, można było ją okrążyć wzdłuż ścian, można było wejść do środka, w labirynt wążutkich

korytarzy, lub wspiąć się na wyższe poziomy i tam zagłębić w stare akta. Konstrukcja czyniła z tego rusztu jakby przerośniętą bime, w której zamiast Tory studiowało się dokumenty informujące o urodzinach, ślubach, podatkach i wyrokach. Biurokracja jako święta księga ery nowożytnej, pomyślał Roman. Nie zapalając światła, okrażał ruszt; wodził dłonią po chłodnym tynku. Doszedł tak do wschodniej ściany, gdzie jeszcze kilkadziesiąt lat temu we wnęce zwanej aron ha-ko-desz przechowywano zwoje Tory. Roman zapalił latarkę, światło precyzyjnie się przez gęsto unoszące się w powietrzu drobinki kurzu i wydobyło z ciemności złotego gryfa, trzymającego tablicę z hebrajskim pismem. Podejrzewał, że to jedna z Tablic Przymierza. Skierował światło wyżej, jednak polichromie znajdujące się bliżej sklepienia tonęły w mroku.

Wszedł na najwyższy poziom po stromych ażurowych schodkach, przy akompaniamencie metalicznego echa. Znalazł się tuż pod sklepieniem. Chodząc między pełnymi akt półkami, zaczął oglądać w świetle latarki zdobiące górną część sali przedstawienia znaków zodiaku. Przy krokodylu zmarszczył brwi. Krokodyl? Spojrzał na sąsiedni – strzelec -i zrozumiał, że krokodyl to skorpion. Być może miało to uzasadnienie. Pamiętał jedynie, że w judaizmie nie wolno było przedstawiać ludzi. Podszedł do bliźniat. Wbrew tej wiedzy, przedstawione były jako ludzkie postaci, tylko pozbawione głów. Wzdrygnął się.

Pomyślał, że starczy już tej wycieczki, na dodatek dostrzegł owiniętego wokół okulusa lewiatana. Duch śmierci i zniszczenia otaczał płamę szarego światła, jakby to było wejście do jego podwodnego królestwa, i Romanowi zrobiło się nieswojo. Poczul nagłą potrzebę opuszczenia archiwum, ale wtedy kątem oka dostrzegł za okrągłym oknem ruch. Wsunął głowę do wnętrza potwora, lecz nie mógł za wiele dostrzec przez brudne szyby.

Po drugiej stronie sali skrzypnęła deska, Roman się poderwał, boleśnie uderzając głową o mur. Zaklął i wypełził z oku-lusa. Znowu skrzypnięcie.

– Halo? Jest tam kto?

Świecił latarką we wszystkie strony, ale widział tylko akta, kurz i znaki zodiaku.

Tym razem skrzypnęło tuż obok niego. Roman krzyknął cicho. Chwilę mu zajęło uspokojenie oddechu. Doskonale, pomyślał, powinienem sobie zafundować jeszcze mniej snu i jeszcze więcej kawy.

Energicznym krokiem skierował się stalowym chodniczkiem w stronę stromych schodów, od ciemnej dziury ziejącej pomiędzy nim a ścianą oddzielała go wątła barierka. Ponieważ najwyższy poziom rusztu był zarazem poziomem doświetlających salę okien, mijał przedziwne konstrukcje, służące do ich otwierania i mycia. Były to jakby zwodzone pomosty, obecnie podniesione do pionu. Aby dostać się do okna, należało odblokować grubą linę i opuścić pomost w ten sposób, aby sięgnął do wnętrza okiennej. Roman pomyślał, że jest to mechanizm dość kuriozalny, w końcu ani ruszt z aktami, ani tym bardziej grube mury synagogi nigdzie się nie wybierały, można je było połączyć na stałe. Teraz przypominało mu to okręt z podniesionymi trapami, gotowy do wypłynięcia. Omiótł instalację światłem latarki i podszedł do schodków. Zestawił jedną stopę, kiedy potężny huk wypełnił pomieszczenie, przez stopnie przeszedł wstrząs, a on stracił równowagę i nie spadł na dół tylko dlatego, że obiema rękami złapał się barierki. Latarka wypadła mu z ręki, odbiła się dwa razy od podłogi i zgasła.

Wyprostował się, serce biło mu w zawrotnym tempie. Szybko, w lekkiej histerii, zlustrował otoczenie. To spadł mostek, obok którego przechodził. Patrzył na niego, ciężko dysząc. W końcu się roześmiał. Musiał coś niechcący naruszyć. Fizyka tak, metafizyka nie. Proste.

W każdym razie ostatni raz pracuje po zmroku wśród tych wszystkich pratrupów.

Trochę po omacku podszedł do zwodzonego mostka i chwycił linę, żeby podnieść go do pionu. Oczywiście był zaklinowany. Klnąc na czym świat stoi, na kolanach wszedł do okiennej wnęki. Okno wychodziło na te same krzaki, co strzeżony przez lewiatana okulus.

Świat na zewnątrz stanowił teraz jedyne źródło światła, a było to światło nad wyraz liche. Wewnątrz nie dało się zobaczyć praktycznie nic, na zewnątrz przedświt zamieniał się w wiosenny, nieśmiały jeszcze świt, z mroku wyłaniały się drzewa, dno otaczającego sandomierską starówkę parowu, wille pobudowane na przeciwległej stronie skarpy i mur dawnego klasztoru franciszkanów. Czarna mgła zamieniała się we mgłę szarą, świat był nieostry i mętny, jakby odbity w wodzie z mydlinami.

Roman spojrział w miejsce, gdzie wcześniej widział ruch – w krzaki tuż pod pozostałościami obronnego muru. Wyteżył wzrok – od morza szarości odcinało się tam coś sterylną bielą. Przetarł rękawem szybę, ale istnienie wyrafinowanego mechanizmu zwodzonego mostu najwyraźniej nie skłoniło nikogo do jej częstego mycia, tylko rozmazał kurz na szkle.

Otworzył okno, zamrugał, twarz omiotło mu zimne powietrze.

Jak porcelanowa laleczka pływająca we mgle, pomyślał Myszyński, patrząc na leżące pod synagogą zwłoki. Były nienaturalnie, niepokojąco białe, świeciły brakiem koloru.

Z tyłu z hukiem trzasnęły ciężkie drzwi do starej synagogi, jakby wszystkie duchy wyleciały zobaczyć, co się stało.

Prokurator Teodor Szacki nie mógł zasnąć. Świtało, a on przez całą noc nie zmrużył oka. Co gorsza, ta mała nimfomanka też nie zmrużyła. Chętnie sięgnąłby po książkę, zamiast tego leżał bez ruchu i udawał, że śpi. Poczul drapanie za uchem.

– Śpisz?

Mlasnął kilka razy i mruknął coś na odczepnego.

– Bo ja nie śpię.

Musiał zebrać całą siłę woli, żeby nie westchnąć głośno. Cały napięty czekał, co się wydarzy. Bo coś się wydarzy – tego był pewien. Ciepłe ciało za jego plecami poruszyło się pod koldrą i mruknęło jak postać z kreskówki, która właśnie wymyśliła plan zdobycia władzy nad światem. A potem poczuł bolesne ukąszenie w łopatkę. Zerwał się z łóżka, ciężkie przekleństwo w ostatniej chwili zatrzymało mu się na zębach.

– Zwariowałaś?!

Dziewczyna oparła się na łokciu i spojrzała na niego zaczepnie.

– No właśnie, straszna ze mnie wariatka, bo jakoś tak sobie pomyślałam, że może jeszcze raz zrobisz mi dobrze. Dżizas, ja to jednak jestem niemożliwa.

Szacki w obronnym geście uniósł ręce do nieba i uciekł do kuchni na papierosa. Był już przy zlewie, kiedy dobiegło go zalotne „czekam”. Niedoczekanie, pomyślał, wkładając polar. Zapalił papierosa i włączył czajnik. Za oknem ciemnoszare dachy odcinały się od jasnoszarych błoń, oddzielonych od bladej nicości Podkarpacia ciemniejszą wstęgą Wisły. Przez most przejechał samochód, dwa lejki światła przesuwające się przez mgłę. Wszystko w tym obrazie było monochromatyczne, włącznie z białą ramą okna,

pokrytą łuszczącą się farbą, odbiciem bladej twarzy Szackiego, jego mleczych włosów i czarnej bluzy.

Co za pieprzona dziura, pomyślał Szacki i zaciągnął się papierosem. Czerwony ognek sprawił, że świat przestał być monochromatyczny. Co za pieprzona dziura, w której siedział już kilka miesięcy, i gdyby ktoś spytał się go, jak to się stało – wzruszyłby bezradnie ramionami.

Na początku była Sprawa. Zawsze jest jakaś sprawa. Akurat ta – niewdzięczna i upierdliwa. Zaczęło się od zabójstwa ukraińskiej prostytutki w burdelu na Kruczej – niespełna sto metrów od biura Szackiego zresztą. Zwykle w takich przypadkach znalezienie trupa było końcem sprawy. Wszyscy alfonsi i dziwki ulatniali się w kwadrans, świadków z oczywistych przyczyn nie znaleziono, a ci, którzy się zgłosili, niczego nie pamiętali i można było mówić o szczęściu, jeśli w ogóle udało się zidentyfikować zwłoki.

Tym razem zdarzyło się inaczej. Pojawiła się przyjaciółka zmarłej, zwłoki zyskały imię Irina, alfons nawet przystojną twarz na portrecie pamięciowym, a wątek świętokrzyski pojawił się, kiedy sprawa była już rozkrecona. Szacki dwa tygodnie jeździł po okolicach Sandomierza i Tarnobrzega razem z Olgą, tłumaczem i przewodnikiem, aby znaleźć miejsce, gdzie dziewczyny przetrzymywano po przyjeździe ze Wschodu. Olga opowiadała, co widziała z różnych okien i czasami zza szyb samochodu, tłumacz tłumaczył, przewodnik zastanawiał się, gdzie to może być, jednocześnie snując doprowadzające Szackiego do białej gorączki sielskie gawędy. Lokalny policjant prowadził i każdym mięśnieniem mimicznym dawał do zrozumienia, że jego czas jest marnowany, bo – jak stwierdził na początku – jedyny burdel w Sandomierzu zlikwidowali latem, a razem z nim panią Kasię i panią Beatę, które dorabiały ciałem po pracy w sklepie i przedszkolu. Reszta to małe cichodajki z technikum spożywczego. W Tarnobrzegu czy w Kielcach – tam to co innego.

Mimo to znaleźli w końcu dom na uboczu, w przemysłowej części Sandomierza. Ten dom. W przerobionej na sypialnię szklarni dogorywała wyniszczona przez grype żołądkową drobna blondynka z Białorusi, poza tym nie było nikogo. Dziewczyna powtarzała bez przerwy, że pojechali na targ i że oni ją zabiją. Jej strach zrobił wielkie wrażenie na reszcie wycieczki – na Szackim żadnego. Za to słowo „targ” dało mu do myślenia. Sypialnia w szklarni była naprawdę spora, poza tym na posesji stał duży dom, warsztat, magazyn. Szacki wyobraził sobie Sandomierz na mapie Polski. Mieścina z dwiema prostytutkami amatorkami. Kościół koło kościoła. Cicho, sennie, nic się nie dzieje. Na Ukrainę blisko. Na Białoruś niedaleko. Dwieście kilometrów do stolicy, jeszcze mniej do Łodzi i Krakowa. W sumie niegłupie miejsce na punkt przerzutowy i hurtownię żywym towarem. Targ.

Okazało się, że był targ, i to nielichy. Wielki bazar zwany przez miejscowych targowicą, giełda absolutnie wszystkiego pomiędzy Starym Miastem i Wisłą, tuż przy obwodnicy. Odpytał policjanta, co się tam dzieje. Ten odpowiedział, że wszystko, ale Ruscy załatwiają interesy między sobą, jak się w to wtrącić, to tylko statystykę się zabagni. Czasami zgarną jakiegoś dzieciaka z lewymi płytami albo z trawką, żeby nie było, że się nie interesują.

Z jednej strony wydawało się mało prawdopodobne, że istnieją mafiosi tak głupi, żeby handlować ludźmi na bazarze. Z drugiej – jest jakiś powód, dla którego nie zderzają hadronów i nie wprowadzają spółek na giełdę. No i bazar był właściwie eksterytorialny.

Wzięli ślaniającą się, chorą dziewczynę, pojechali i znaleźli. Dwie wielkie furgonetki pomiędzy stoiskami z konfekcją, teoretycznie z ciuchami, praktycznie z dwudziestoma skutymi dziewczynami, które przyjechały do lepszego świata. To był największy sukces sandomierskiej policji od czasu, kiedy odzyskali skradziony rower ojca Mateusza, lokalne gazety przez miesiąc nie



pisali o niczym innym, a Szacki został na chwilę małomiasteczkowym celebrytą. Jesień była piękna.

I spodobało mu się tu.

I pomyślał: a może?

Pili w pizzerii Modena nieopodal prokuratury, miał już w czubie i spytał z głupia frant, czy nie mają wakatu. Mieli. Zdarza im się to raz na dwadzieścia lat, ale akurat mieli.

Miał zacząć nowe wspaniałe życie. Podrywać dziewczyny w klubach, biegać co rano nad Wisłą, rozkoszować się powietrzem, przeżywać przygody i uniesienia, a w końcu znaleźć najprawdziwszą miłość swojego życia i zestarzeć się przy niej w obrośniętym winem domku gdzieś koło Piszczeli. Tak żeby krótkim spacerem można było dojść na rynek, usiąść w Małej albo w Kordegardzie i napić się kawy. Kiedy się tutaj sprowadzał, obraz ten był tak żywy, że nawet trudno było go nazwać planem lub marzeniami. To była rzeczywistość, która wkroczyła do jego życia i zaczęła się dziać. Po prostu. Pamiętał dokładnie moment, kiedy wygrzewał się na zamkowych ławkach w jesiennym słońcu i zobaczył swoją przyszłość tak wyraźnie, że prawie łzy stanęły mu w oczach. W końcu! W końcu wiedział dokładnie, czego chce.

Cóż, delikatnie mówiąc, mylił się. Mówiąc niedelikatnie, utopił w szambie swoje przez lata budowane życie dla popieprzonej mrzonki i teraz został tak bardzo z niczym, że nawet dawało to poczucie oczyszczenia. Absolutnie i dokładnie z niczym.

Zamiast gwiazdy stołecznej prokuratury budzący nieufność obcy w prowincjonalnym mieście, które co prawda od osiemnastej było wymarłe – ale niestety nie dlatego, że mieszkańcy się pomordowali. Oni w ogóle się nie mordowali. Nie usiłowali mordować. Nie gwałcili. Nie organizowali się w przestępczych celach. Z rzadka napadali na siebie. Kiedy Szacki przeleciał w myślach

katalog spraw, którymi się zajmuje, poczuł w gardle lekką zgagę. To nie mogła być prawda.

Zamiast rodziny – samotność. Zamiast miłości – samotność. Zamiast bliskości – samotność. Kryzys wywołany żalonym – a także krótkim i nikogo niesatysfakcjonującym – romansem z dziennikarką Moniką Grzelką zepchnął jego małżeństwo do dołu, z którego nie miał szans się wygrzebać. Trochę się jeszcze wozili, że niby dla dobra dziecka, ale to już było tchórzliwe dogorywanie. Zawsze myślał, że to on zasługuje na więcej, a Weronika ciągnie go do dołu. Tymczasem nie minęło pół roku od ostatecznego rozstania, kiedy zaczęła się umawiać z młodszym od siebie o rok wziętym adwokatem. Ostatnio lakonicznie go poinformowała, że postanowili zamieszkać wspólnie w jego domu w Wawrze i że chyba powinien spotkać się i porozmawiać z Tomaszem, który teraz będzie wychowywał jego córkę.

Właściwie przegrał wszystko, co było do przegrania. Nie miał nic i nikogo, na dodatek z własnej woli został wygnańcem na nielubianej i nielubiącej go ziemi. Zadzwonienie do Klary, którą przed miesiącem poderwał w klubie i spławił po trzech dniach, gdyż w świetle dnia nie wydała mu się ani ładna, ani mądra, ani interesująca – było aktem desperacji i ostatecznym dowodem jego upadku.

Zgasił papierosa i powrócił do monochromatycznego świata. Tylko na chwilę – na jego polarze pojawiły się długie czerwone paznokcie. Zamknął oczy, żeby ukryć irytację, ale nie potrafił zdobyć się na brutalność wobec dziewczyny, którą najpierw uwiódł, a teraz jeszcze dał jej fałszywą nadzieję, że coś może między nimi być.

Poszedł grzecznie do łóżka, żeby uprawiać nudny seks. Klara wiała się pod nim, jakby w ten sposób usiłowała nadrobić brak czułości i fantazji. Spojrzała na niego i widocznie dostrzegła w jego twarzy coś, co kazało jej się bardziej starać. Wierzgnęła i zaczęła jęczeć.

– Och tak, rznij mnie, jestem twoja, chcę cię czuć głęboko.

Prokurator Teodor Szacki próbował się powstrzymać, ale nie dał rady i wybuchnął śmiechem.

Żadne zwłoki nie wyglądają dobrze, ale niektóre wyglądają gorzej. Leżąca w parowie pod średniowiecznymi murami Sandomierza denatka należała do drugiej kategorii. Jeden z policjantów litościwie okrywał nagość kobiety, kiedy na miejscu zbrodni pojawił się prokurator.

- Nie zakrywaj jeszcze. Policjant podniósł głowę.
- Daj spokój, znałem ją od przedszkola, nie może tak leżeć.
- Też ją znałam, Piotrze. To naprawdę nie ma dziś znaczenia.

Prokurator Barbara Sobieraj delikatnie rozgarnęła bezlistne gałęzie i ukucnęła przy zwłokach. Ich obraz rozmyły łzy. Widywała nieraz ciała zabitych, najczęściej wyciągnięte z wraków aut przy obwodnicy, czasami nawet martwych ludzi znanych z widzenia. Nigdy jednak nikogo, kogo znałaby osobiście. A już na pewno nie wieloletniej przyjaciółki. Wiedziała, na pewno lepiej od innych, że ludzie popełniają przestępstwa i że można paść ich ofiarą. Ale to – to nie mogła być prawda.

Odchrząknęła, żeby przeczyścić gardło.

- Grzesiek już wie?
- Myślałem, że ty mu powiesz. Wiesz przecież...

Barbara spojrzała na niego i już miała wybuchnąć, ale zrozumiała, że Marszałek – jak nazywano w Sandomierzu tego policjanta – ma rację. Od wielu lat była przyjaciółką szczęśliwego domu Elżbiety i Grzegorza Budników. Nawet kiedyś plotkowano, że gdyby Ela swego czasu nie wróciła z Krakowa, to kto wie, niektórzy już słyszeli zapowiedzi. Plotki i stare dzieje, ale faktycznie, jeśli ktoś miał poinformować Grześka, to tylko ona. Niestety.

Westchnęła. To nie był wypadek, to nie było pobicie ani napad czy gwałt dokonany przez pijanych żuli. Ktoś musiał sobie zadać dużo trudu, żeby ją zabić, potem dokładnie rozebrać i ułożyć w tych krzakach. I jeszcze to... Barbara próbowała nie patrzeć, ale jej wzrok co chwila wracał do zmasakrowanej szyi ofiary. Wielokrotnie przecięte w poprzek gardło przypominało skrzela, wąskie listki skóry, pomiędzy którymi widać było fragmenty żył, krtani i przełyku. Twarz nad makabryczną raną była za to dziwnie spokojna, nawet lekko uśmiechnięta, w połączeniu z niezwykle, gipsową bielą skóry sprawiało to wrażenie nierealności, posągowości. Barbara pomyślała, że może ktoś zamordował Elżbietę we śnie albo kiedy była nieprzytomna. Uchwyciła się tej myśli, naprawdę chciała w to wierzyć.

Marszałek podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Strasznie mi przykro, Basiu.

Skinęła głową, żeby zakryć zwłoki.

Takie dziury mają swoją dobrą stronę: wszędzie jest blisko. Zaraz po otrzymaniu telefonu od szefowej Szacki z westchnieniem ulgi zostawił Klarę i opuścił wynajmowaną kawalerkę w kamienicy na Długosza. Mała, brzydka i zapuszczona, miała jedną zaletę – położenie. Na Starym Mieście, z widokiem na Wisłę i zabytkową szkołę średnią, którą założyli w XVII wieku jezuici. Wyszedł z budynku i szybkim krokiem dotarł do rynku, ślizgając się na wilgotnych kocich łbach. Powietrze było jeszcze po zimowemu rześkie, ale czuło się, że to już ostatnie takie chwile. Mgła przeredzała się z każdym krokiem i Szacki miał nadzieję, że ten dzień będzie pierwszym z pięknych, wiosennych dni. Naprawdę, potrzebował w swoim życiu pozytywnej emocji. Słonecznego ciepła na przykład.

Przeszedł przez kompletnie opustoszały rynek, minął gmach poczty, usadowionej w pięknej kamienicy z podcieniami i doszedł do Żydowskiej, widząc już z daleka poświatę błyskających szklanek. Poruszyło to w nim jakąś czułą strunę, ten widok policyjnych kogutów we mgle był częścią rytuału. Poranny telefon, wygrzebywanie się z ciepłych ramion Weroniki, ubieranie się po omacku w przedpokoju, przed wyjściem jeszcze całus w ciepłe czoło śpiącego dziecka. Potem jazda przez budzącą się do życia stolicę, gasnące latarnie, nocne autobusy zjeżdżające do zajezdni. Na miejscu sceptyczny uśmiezek Kuzniecowa, potem trup, kawa na placu Trzech Krzyży. I starcie ze zrzędzącą szefową w prokuraturze. „Nasze gabinety są chyba w różnych wymiarach czasoprzestrzeni, panie prokuratorze”.

Mdliło go z tęsknoty, kiedy minął budynek synagogi i przytrzymując się gałęzi, zszedł po skarpie. Rudą czuprynę piczki-

zasadniczki Sobieraj poznał od razu. Stała ze spuszczoną głową, jakby przyszła odmawiać modlitwę za zmarłych, zamiast prowadzić śledztwo. Otyły gliniarz trzymał rękę na jej ramieniu, łącząc się z nią w bólu. Tak jak Szacki przypuszczał – miasto, w którym było więcej kościołów niż barów, musiało odciskać na mieszkańcach bolesne piętno. Sobieraj odwróciła się do Szackiego, zbyt zaskoczona jego widokiem, aby ukryć wypęłzający na twarz grymas niechęci.

Skinął wszystkim głową na powitanie, podszedł do zwłok i bezceremonialnie podniósł okrywającą je folię. Kobieta. Między czterdziestką a pięćdziesiątką. Paskudnie poderżnięte gardło, innych obrażeń nie widać. Nie wyglądało to na napad, raczej na dziwaczną zbrodnię w afekcie. No, w końcu porządny trup. Już chciał ponownie przykryć ciało, ale coś nie dawało mu spokoju. Obejrzał je jeszcze dwa razy od stóp do głów, zeskanował wzrokiem miejsce zbrodni. Coś było nie tak, coś było zdecydowanie nie tak, a on nie miał pojęcia co, i to uczucie było bardzo niepokojące. Odrzucił foliowy worek, część policjantów zawstydzona odwróciła wzrok. Amatorzy.

Już wiedział, co jest nie tak. Biel. Nierealna, niespotykana w naturze biel ciała denatki. Ale coś jeszcze.

– Przepraszam, to jest moja znajoma – powiedziała za jego plecami Sobieraj.

– To była pani znajoma – odburknął Szacki. – Gdzie technicy?

Cisza. Odwrócił się i spojrzał na grubego policjanta, łysego i z sumiastymi wąsami. Jaką on miał ksywkę? Marszałek? Jakże oryginalnie.

– Gdzie technicy? – powtórzył.

– Marysia zaraz będzie.

Wszyscy tu byli po imieniu. Sami przyjaciele, psia ich mać, małomiasteczkowa sekta.

– Wezwijcie też ekipę z Kielc, niech zabiorą wszystkie swoje zabawki. Zanim przyjadą, ciało okryć, otoczyć teren w promieniu pięćdziesięciu metrów, nikogo nie wpuszczać. Gapiów trzymać jak najdalej. Jest już oficer operacyjny?

Marszałek podniósł rękę, patrząc na Szackiego jak na kosmitę i pytająco na Sobieraj, która stała oszołomiona.

– Świetnie. Ja wiem, że mgła, ciemno i gówno widać. Ale wszyscy z tych kamienic – wskazał ręką na domy przy Żydowskiej – i z tamtych domów – odwrócił się i pokazał wille po drugiej stronie parowu – mają zostać przesłuchani. Może ktoś cierpi na bezsenność, może ma chorą prostatę, może jest szaloną kurą domową i gotuje zupę przed wyjściem do roboty. Ktoś mógł coś widzieć. Jasne?

Marszałek pokiwał głową. Tymczasem Sobieraj odzyskała rezon, podeszła i stanęła tak blisko, że czuł jej oddech. Była wysoka jak na kobietę, ich oczy znajdowały się prawie na tym samym poziomie. Na wsi zawsze dorodne dziewczyny, pomyślał Szacki, czekając spokojnie, co się wydarzy.

– Przepraszam, to pan teraz prowadzi tę sprawę?

– No.

– A mogłabym wiedzieć dlaczego?

– Niech zgadnę. Bo wyjątkowo nie chodzi o pijanego rowerzystę ani kradzież komórki w podstawówce?

Ciemne oczy Sobieraj zrobiły się czarne.

– Idę prosto do Misi – wysyczała.

Szacki sięgnął do nigdy nieużywanych najgłębszych pokładów siły woli, żeby się opanować i nie parsknąć śmiechem. Boże przenajświętszy, oni naprawdę nazywali swoją szefową Misia.



– Im szybciej, tym lepiej. To ona wykopała mnie z wyra, gdzie w wariacko interesujący sposób spędzałem czas, i kazała się tym zająć.

Sobieraj przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała wybuchnąć, ale odwróciła się na pięcie i odeszła, kołysząc biodrami. Wąskimi i mało atrakcyjnymi biodrami, ocenił Szacki, odprowadzając ją wzrokiem. Odwrócił się do Marszałka.

– Ktoś z dochodzeniówki będzie? Czy zaczynają pracę o dziesiątej?

– Jestem, synku, jestem – dobiegło go zza pleców.

Za nim na rozkładanym wędkarskim krzeselku siedział jakiś dziadek z wąsami – oni tutaj prawie wszyscy mieli wąsy – i palił szluga bez filtra. Nie pierwszego. Po jednej stronie krzeselka leżało kilka oderwanych filtrów, po drugiej kilka kiepów. Szacki opanował zdziwioną minę i podszedł do niego. Miał całkiem siwe, krótko obcięte włosy, pobrużdżoną twarz, niczym z autoportretu Leonarda, i jasne, wodniste oczy. Dobrze utrzymane skromne wąsy były natomiast kruczoczarne, co nadawało dziadkowi demoniczny, niepokojący wygląd. Musiał mieć z siedemdziesiątkę. Jeśli miał mniej, to widać w jego życiu wiele było zaskakujących zwrotów akcji. Dziadek patrzył ze znudzoną miną, Szacki stanął przy nim i wyciągnął rękę.

– Teodor Szacki.

Stary policjant pociągnął nosem, odrzucił peta na właściwą stronę krzeselka i nie wstając, podał mu dłoń.

– Leon.

Przytrzymał rękę Szackiego i skorzystał z jego pomocy, żeby się podnieść. Był wysoki, bardzo szczupły, pod grubą kurtką i szalikiem wyglądał zapewne jak laseczka wanilii – chuda, wiotka i pomarszczona. Szacki puścił dłoń dziadka i czekał na dalszą część

prezentacji. Która nie nastąpiła. Staruszek zerknął w stronę Marszałka, na co tamten podbiegł w podskokach, jakby był na gumce.

– Panie inspektorze?

To chyba pomyłka. Za wysoka szarża na psa z prowincjonalnej dochodzeniówki.

– Zróbcie, co prokurator powiedział. Kielce będą za dwadzieścia minut.

– Spokojnie, to prawie sto kilometrów – zaproponował Szacki.

– Wezwałem ich godzinę temu – mruknął dziadek. – A potem czekałem, aż się państwo prokuratorstwo zwlecze. Dobrze, że krzeselko wziąłem. Kawa?

– Słucham?

– Kawę czy pan prokurator pija? Cizemkę otwierają o siódmej.

– Bylebyśmy tam nic nie jedli. Dziadek pokiwał głową z uznaniem.

– Młode to, przyjezdne, a uczy się szybko. Idziemy. Chcę tu być, jak dzieciaki z zabawkami się pojawiają.

Sala restauracyjna w Ciżemce, jak nazywano znajdujący się w najlepszym turystycznie miejscu miasta – w rynku, przy drodze do katedry i zamku – hotel Pod Ciżemką, była wszystkim tym, czym restauracje w cywilizowanych miejscach przestały być dekadę temu. Wielka nieprzyjazna przestrzeń, stoły nakryte obrusem i serwetą, obite pluszem krzesła z wysokimi oparciami. Na ścianach kinkiety, pod powalą kandelabry. Stukająca obcasami kelnerka musiała przemierzyć tak wielki dystans, że Szacki był pewien: kawa wystygła po drodze.

Nie wystygła, wyczuwalna w niej za to była odległa nuta brudnej ścierki – znak, że ekspres nie był w tym reprezentacyjnym sandomierskim przybytku pierwszy na liście rzeczy do codziennego czyszczenia. Czy to mnie dziwi? – pomyślał Teodor Szacki. Wcale.

Inspektor Leon pił bez słowa, gapiąc się przez okno na attykę ratusza, Szackiego mogłoby tu w ogóle nie być. Postanowił dostosować się do tempa dziadka i poczekać cierpliwie, aż się dowie, po co został tu wyciągnięty. Policjant w końcu odstawił filiżankę, kaszlnął i oderwał filtr od papierosa. Westchnął.

– Pomogę panu. – Miał nieprzyjemny, jakby źle naoliwiony głos.

Szacki spojrzał pytająco.

– Mieszkał pan kiedyś poza Warszawą?

– Dopiero teraz.

– Czyli gównu pan wie o życiu.

Szacki nie skomentował.

– Ale to nie grzech. Każdy małolat gównu wie o życiu. Ale ja panu pomogę.

W Szackim narastała irytacja.

– Czy ta pomoc obejmuje tylko wykonywanie pańskich obowiązków, czy coś ekstra? Nie znamy się, trudno mi ocenić, jak dobre ma pan serce.

Leon dopiero teraz popatrzył dłużej na prokuratora.

– Mało dobre – odparł bez uśmiechu. – Ale bardzo jestem ciekaw, kto zaszlachtował i wrzucił w krzaki żonę tego pajaca Budnika. Intuicja mi mówi, że pan się tego dowie. Ale pan nie jest stąd. Z panem każdy będzie rozmawiał, ale nikt panu nic nie powie. Może to i dobrze, mniej informacji to czystszy umysł.

– Więcej informacji to prawda – wtrącił Szacki.

– Prawda to prawda, od pływania w szambie zbytecznej wiedzy nie robi się bardziej prawdziwa – zaskrzypiał inspektor. – I niech pan mi nie przerywa, młody człowieku. Czasami będzie pan usiłował zrozumieć, kto naprawdę z kim i dlaczego. Wtedy ja panu pomogę.

– Przyjaźni się pan z nimi wszystkimi?

– Ja się słabo zaprzyjaźniam. I niech mi pan nie zadaje pytań, które nie mają znaczenia, bo stracę o panu dobre zdanie.

Szacki miał kilka pytań znaczących, ale zostawił je na później.

– I wolałbym, żebyśmy pozostali przy formach grzecznościowych – zakończył policjant, a Szacki nie dał po sobie poznać, jak bardzo mu się podoba ta propozycja. Kiwnął potakująco głową.

Gapiów było coraz więcej, na szczęście stali grzecznie. Szacki wylawiał z prowadzonych półgłosem rozmów nazwisko Budnik albo Budnikowa. Przez chwilę się zastanawiał, czy wiedza o tym, kim była denatka, jest mu teraz potrzebna. Uznał, że nie. Teraz potrzebne są dokładne oględziny miejsca i ciała. Reszta może poczekać. Razem z inspektorem, który tymczasem wzbogacił się o nazwisko Wilczur, stali przy ciele otoczonym parawanem, kielecki technik fotografował zwłoki. Szacki wpatrywał się w precyzyjnie porozcinane gardło, które wyglądało jak przygotowane do sporządzenia anatomicznego preparatu, i szlag go trafiał, że ciągle nie potrafi nazwać nieznośnego brzęczenia w głowie. Coś było nie tak. Oczywiście, dowie się co, ale wolałby to zrozumieć, zanim przyjdzie do przesłuchań i szukania biegłych. Podszedł do nich szef zespołu oględzinowego, sympatyczny trzydziestolatek o wyłupiastych oczach i wyglądzie judoki. Po dokonaniu prezentacji zawiesił rybi wzrok na Szackim.

– Skąd się pan desantował, panie prokuratorze, tak z ciekawości? – zapytał.

– Ze stolicy.

– Z samej warszawki? – Nie starał się ukryć zdziwienia, jakby następnym pytaniem miało być to, czy Szackiego wypieprzyli za pijaństwo, narkotyki, czy molestowanie.

– Jak mówię: ze stolicy. – Szacki nie cierpiał słowa „warszawka”.

– Ale przeszkrobał pan coś czy tak jakoś?

– Tak jakoś.

– Aha. – Policjant przez chwilę oczekiwał dalszego ciągu serdecznej rozmowy, ale dał spokój. – Poza ciałem nic nie ma, nie znaleźliśmy żadnych ciuchów, torebek, biżuterii. Śladów wleczenia nie ma, śladów walki też nie. Wygląda na to, że została tu przyniesiona. Zrobiliśmy odlewy śladów opon z dołu i odcisków buta, które były świeże. Wszystko będzie w protokole, ale nie liczyłbym na zbyt wiele, chyba że z oględzin zwłok.

Szacki pokiwał głową. Nie żeby był jakoś szczególnie przejęty. Wszystkie swoje sprawy rozwiązał, opierając się na dowodach osobowych, nie rzeczowych. Oczywiście, przyjemnie byłoby znaleźć w krzakach narzędzie zbrodni i dowód osobisty mordercy, ale już dawno zrozumiał, że przyjemnie to nie jest w życiu Teodora Szackiego żadna codzienność.

– Panie komisarzu! – wydarł się jeden z buszujących po krzakach na skarpie techników.

Wyłupiastooki dał znać, żeby zaczekali, podbiegł w kierunku resztek średniowiecznego muru, który kiedyś szczelnie opasywał miasto, a dziś służył głównie do obalania w jego cieniu tradycyjnego polskiego wina. Szacki podążył śladem technika, który kucnął pod murem, rozgarniając bezlistne jeszcze gałązki i zeszłoroczną trawę. Wyłupiastooki sięgnął dłonią w rękawiczce i podniósł coś ostrożnie do góry. Słońce akurat przedarło się przez chmury i błysnęło ostro w tym przedmiocie, oślepiając Szackiego na chwilę. Dopiero kiedy mrugnął kilka razy, aby rozwiać latające przed oczami ciemne płatki, mógł dostrzec, że technik trzyma dziwaczny nóż. Ostrożnie schował go do hermetycznego worka na dowody i wyciągnął w ich stronę. Narzędzie musiało być jednak diabło ostre, bo od samego ciężaru ostrze przekłuło worek i spadło na ziemię. To znaczy, spadłoby, gdyby przykucnięty technik nie złapał go w ostatniej chwili za rękę. Złapał i spojrzał na nich.

– Mogłeś zostać bez palców – powiedział spokojnie Wyłupiastooki.

– Mogłeś zafajdać swoją krwią narzędzie zbrodni, kretynie – powiedział spokojnie Wilczur.

Szacki spojrział na starego policjanta.

– Skąd pan wie, że to narzędzie zbrodni?

– Domniemywam. Skoro znajdujemy pod jednym krzakiem rozplątane precyzyjnie gardło, a pod drugim ostrą jak samurajski miecz brzytwę, to może istnieć między nimi jakiś związek.

„Brzytwa” to było dobre słowo na określenie noża, który Wyłupiastooki wkładał do kolejnej torebki, tym razem ostrożniej. Miał prostokątną, lśniącą niczym lustro klingę, bez ostrego czubka, bez żadnych krzywizn na linii ostrza. Rękojeść z ciemnego drewna była w stosunku do klingi bardzo delikatna, wręcz nie na miejscu. Samo ostrze natomiast było potężne. Długie na około trzydzieści centymetrów, szerokie na dziesięć. Brzytwa, brzytwa do golenia dla olbrzyma, który ma gębę wielkości furgonetki. Zarówno klinga, jak i rękojeść – przynajmniej na pierwszy rzut oka – były pozbawione zdobień. To nie była kolekcjonerska zabawka, ale narzędzie. Narzędzie być może zbrodni, ale przede wszystkim narzędzie z jakimś zastosowaniem. Innym niż golenie nóg pięćdziesięciostopowej kobiety.

– Daktyloskopia, mikroślady, krew, wydzieliny, materiał DNA, chemia – wyliczył Szacki. – Tak szybko, jak się da. A dziś chcę mieć szczegółowe zdjęcia tego cacka.

Wręczył Wyłupiastookiemu swoją wizytówkę. Tamten schował ją do kieszeni, patrząc podejrzliwie na dużą brzytwę.

Wilczur znów oderwał filtr od papierosa.

– Nie podoba mi się to – skomentował. – Za bardzo wydumane.

Prokurator Teodor Szacki nie miał szczęścia do szefowych. Poprzednia była technokratyczną suką, zimną i urodziwą jak wygrzebane spod śniegu zwłoki. Niejednokrotnie, siedząc u niej w gabinecie, nasiąkając dymem i cierpiąc, że starała się na nim zrobić kobiece wrażenie osoba kompletnie z kobiecości wyprana, zastanawiał się, czy można trafić gorzej. Złośliwy los niedługo później odpowiedział na to pytanie.

– Naprawdę proszę spróbować. – Maria Miszczyk, ku przerażeniu Szackiego zwana przez wszystkich, z nią samą włącznie, Misia, podetknęła mu pod nos paterę z ciastem. Składało się z warstwy czegoś w rodzaju bajaderki, biszkoptu i chyba bezy.

Przełożona uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Pod bezę dałam cieniutką warstwę powideł śliwkowych. Mam jeszcze trochę z jesieni. No, proszę.

Szacki nie chciał, ale serdeczny uśmiech Miszczyk był jak wzrok kobry. Pozbawiona kontroli umysłu ręka sięgnęła po ciasto, zgodnie z wolą kobiety wzięła kawałek i wepchnęła go Szackiemu do gęby. Uśmiechnął się krzywo, obsypując kruszynkami garnitur.

– No dobrze, Basiu, powiedz nam, o co chodzi – powiedziała Miszczyk, odstawiając paterę.

Sobieraj siedziała sztywno na skórzanej sofie w stylu „Konstancin lata osiemdziesiąte”, od Szackiego, umoszczonego w fotelu od kompletu, oddzielał ją szklany stolik. Jeśli Miszczyk chciała stworzyć w swoim gabinecie domową atmosferę, biorąc za wzorzec przeciętne wyposażenie sześcianu polskiego, to osiągnęła sukces.



– Chciałabym zrozumieć – Sobieraj nie potrafiła albo nie próbowała ukryć pretensji w głosie – dlaczego prowadząc od siedmiu lat własne śledztwa w naszej prokuraturze, zostaje odsunięta od zabójstwa Eli. I chciałabym wiedzieć, dlaczego ma je prowadzić pan Teodor, którego osiągnięć nie neguję, ale który nie zna jeszcze za dobrze miasta i jego specyfiki. I chciałabym powiedzieć, że było mi przykro dowiedzieć się o tym w ten sposób. Mogłaś mnie chociaż uprzedzić, Misiu.

Twarz Miszczyk zrobiła się autentycznie po matczynemu zatroskana. Biło z niej takie ciepło i zrozumienie, że Szacki poczuł zapach przedszkolnej stołówki. Był bezpieczny, pani przedszkolanka na pewno rozwiąże ten problem tak, żeby nikomu nie było smutno. A potem ich przytuli.

– No wiem, Basiu, przepraszam. Ale kiedy dowiedziałam się o Eli, musiałam działać szybko. Normalnie taka sprawa czekałaby na ciebie. Ale nie jest normalnie. Ela to twoja bliska przyjaciółka, Grzegorz był z tobą związany. Przyjaźniłaś się z nimi, spotykałaś. Jakiś adwokat mógłby to wykorzystać przeciwko nam.

Sobieraj zagryzła wargę.

– Poza tym emocje nie pomagają w śledztwie – dobił ją Szacki, wziął drugi kawałek ciasta i odpowiedział uśmiechem na mordercze spojrzenie.

– Gównu pan wie o moich emocjach.

– Błogosławiona to niewiedza.

Miszczyk klasnęła w dłonie i spojrzała na nich, jakby chciała powiedzieć „oj, dzieci, dzieci, naprawdę dałybyście już spokój”. Szacki zmusił się, żeby nie spuścić wzroku i wytrzymać wyrzut w jej łagodnych, rozmaślonych, matczyńskich oczach.

– Potem sobie podogryzacie, kochani. Teraz wam powiem, jak wygląda wasza sytuacja zawodowa.

Sobieraj drgnęła i szybko zaczęła mówić. Ileż to Szacki widział takich neurotycznych lasek w życiu? Legion.

– Mam nadzieję, że...

– Basiu – wpadła jej w słowo Miszczyk. – Chętnie wysłucham waszych opinii i propozycji. Zawsze słucham chętnie, wiesz o tym, prawda? Ale teraz powiem, jak wygląda wasza sytuacja zawodowa.

Sobieraj zamknęła się błyskawicznie, a Szacki spojrzał uważnie na Miszczyk. Ciągłe była mamuszką o łagodnych oczach, uśmiechu dziecięcej terapeutki i głosie, w którym pobrzmiwał zapach waniliowy i proszek do pieczenia. Ale gdyby odrzec ostatni komunikat z formy – zostawało stanowcze usadzenie podwładnej i przyjaciółki.

Miszczyc doląła wszystkim herbaty.

– Znałam Elę Budnik, znam też Grzeška, zresztą jak wszyscy tutaj. Nie musimy go lubić albo się z nim zgadzać, ale trudno go przeoczyć. To będzie, już jest, wielkie i głośne śledztwo. Sytuacja, kiedy prowadzi je przyjaciółka denatki...

– I głównego podejrzanego – wtrącił Szacki.

Sobieraj parsknęła.

– Proszę uważać na słowa. Nie zna pan tego człowieka.

– Nie muszę. Jest mężem denatki. Na tym etapie to czyni go głównym podejrzanym.

– I właśnie o tym mówię. – Sobieraj triumfalnie uniosła ręce do góry. – Dlatego powinien się trzymać od tej sprawy z daleka.

Miszczyc odczekała chwilę, aż znowu zapanuje cisza.

– Właśnie dlatego prokurator Szacki nie dość, że nie będzie trzymał się od tej sprawy z daleka, to jeszcze będzie prowadził to śledztwo. Ponieważ chcę uniknąć sytuacji, kiedy zwłoki, podejrzani i śledczy to grupa przyjaciół, którzy jeszcze wczoraj umawiali się na

grilla. Ale masz rację, Basiu, że pan Teodor jest tutaj nowy. Dlatego będziesz służyła mu radą, pomocą i wiedzą o wszystkim, co dotyczy miasta i jego mieszkańców.

Szacki odetchnął z ulgą, gdy wielki kawał ciasta jednak przecisnął się przez przelyk. Szykuje się szampańska zabawa, pomyślał. Sobieraj tkwiła nieruchomo na kanapie, zamieniając się w gigantyczny foch. Miszczyk zerknęła matczynym okiem na filiżanki i paterę. Przekreśliła ją o sto osiemdziesiąt stopni.

– Z tej strony jest więcej powideł – szepnęła teatralnie i wzięła kawałek.

Szacki odczekał chwilę, uznał, że audyencja jest skończona, i wstał. Miszczyk dała mu znak ręką, że jak tylko przełknie, to jeszcze coś powie.

– Spotykamy się tutaj o dziewiętnastej. Chcę zobaczyć pierwsze protokoły i dokładny plan śledztwa. Wszystkie media wysyłacie do mnie. Jeśli uznam, że prywatne animozje przeszkadzają wam w tej sprawie...

Sobieraj i Szacki zgodnie zawiesili wzrok na wydatnych, pokrytych okruszkami wargach szefowej. Uśmiechnęła się do nich ciepło.

– ...urządzę wam piekło, którego nigdy nie zapomnicie. A z dostępnych prac w instytucjach państwowych zostanie wam mycie podłóg w pierdłu. Czy to jasne?

Szacki pokiwał głową, ukłonił się obu paniom i położył rękę na klamce.

– Rozumiem, że mam przekazać komuś swoje pozostałe sprawy.

Miszczyc uśmiechnęła się miękko. Zrozumiał, że w ogóle niepotrzebnie pyta. Wręcz obraża ją myślą, że mogła o tym nie

pomyśleć. Już na pewno wszystko jest załatwione, a sekretarka  
wynosi akta z jego gabinetu. – Oszalał pan chyba. Do roboty.

Prokurator Teodor Szacki stał w swoim gabinecie, patrzył przez okno i myślał, że prowincja ma swoje dobre strony. Miał tylko dla siebie wielki gabinet, z którego w Warszawie wykrojono by trzy dwuosobowe pokoje. Miał ładny widok na zieleń, willową zabudowę i wieże Starego Miasta w oddali. Miał dwadzieścia minut spacerem z domu do roboty. Miał szafę pancerną, a w niej akta swoich ośmiu bieżących spraw – dokładnie dziewięćdziesiąt siedem mniej niż w Warszawie pół roku wcześniej. Miał tę samą pensję, co w stolicy, a wyborna kawa w ulubionej kafejce na Sokolnickiego kosztowała go ledwie pięć złotych. No i w końcu – wstydził się tego, ale nie potrafił ukryć zadowolenia – miał porządnego trupa. Nagle ta koszmarna senna dziura wydała mu się całkiem znośnym miejscem.

Trzasnęły drzwi. Szacki się odwrócił, dodając myśl, że ma też partnerkę, która z PMS-a uczyniła sposób na życie. Automatycznie przywdział swoją chłodną, zawodową maskę prokuratora, obserwując, jak piczka-zasadniczka Sobieraj podchodzi do niego z teczką w dłoni.

– Właśnie przyszło. Powinniśmy to obejrzeć.

Wskazał dłonią miejsce na kanapie (tak jest, miał w gabinecie kanapę) i usiedli obok siebie. Zerknął na jej dekolt, nie dostrzegł tam niczego ciekawego, bo zasłonięty był kompletnie aseksualnym czarnym golfem. Otworzył teczkę. Pierwsze zdjęcie przedstawiało zbliżenie rozplatanego gardła denatki. Sobieraj głośno zaczerpnęła powietrza i odwróciła wzrok, a Szacki już miał to skomentować, ale zrobiło mu się przykro i zachował złośliwość dla siebie. Ani ich wina, ani wada, że wszyscy tutaj razem wzięci przez całe życie widzieli tyle trupów, co on w ciągu roku.

Odłożył na bok zdjęcia zwłok.

– I tak musimy poczekać na oględziny. Pójdzie pani na Oczki?

Spojrzała bez zrozumienia.

– Przepraszam. Do szpitala. Na sekcję.

W jej oczach błysnął lęk, ale szybko się opanowała.

– Myślę, że powinniśmy być tam razem.

Szacki przytaknął i rozłożył na stole kilkanaście zdjęć dokładnie obfotografowanej brzytwy. Wedle rozłożonej pod nią miarki brzytwa miała ponad czterdzieści centymetrów, z tego samo prostokątne ostrze około trzydziestu. Rękojeść pokrywało ciemne drewno, na mosiężnej oprawie było coś wygrawerowane. Szacki poszukał zbliżenia. Wytarty napis głosił: C.RUNEWALD. Na jednym ze zbliżeń dostrzegł odbijającą się w wypolerowanej, gładkiej jak lustro klindze dłoń fotografa. Pani fotograf, mężatki, sądząc po obrączce. Błękitne ostrze było pozbawione plam, zadrapań i szczerb. Niewątpliwie arcydzieło sztuki metalurgicznej. Zabytkowe arcydzieło.

– Sądzi pan, że to narzędzie zbrodni?

Szacki sądził, że te grzecznościowe formy już są męczące, a w trakcie śledztwa staną się nie do zniesienia.

– Sądzę, że to wszystko dziwne i teatralne. Nagie zwłoki z rozplątanym gardłem, porzucona obok zabytkowa brzytwomaczeta, żadnych śladów walki czy szamotaniny.

– Ani krwi na ostrzu.

– Dajmy im się wykazać w laboratorium. Myślę, że będzie krew, jakieś mikroślady, DNA. Więcej nam powie nóż, niż chciałby ten, kto go podrzucił.

– Podrzucił?

– Taki czysty, wymuskany, nietknięty? Ktoś to zrobił specjalnie. Nawet przy brudnych zabójstwach w afekcie każdy pijany żul pamięta, żeby zabrać ze sobą narzędzie zbrodni. Nie wierzę, żeby został w tych krzakach przez przypadek.

Sobieraj wyjęła z torebki okulary do czytania i zaczęła uważnie przeglądać zdjęcia. Do twarzy jej było w grubych brązowych oprawkach. Szacki pomyślał: jeśli brzytwa-maczeta jest wiadomością, to trzeba znaleźć kogoś, kto potrafi ją odczytać. Cholera jasna, jaki biegły może się tym zajmować? Od broni białej? Od militariów? Od metalurgii? Od dzieł sztuki?

Sobieraj podała mu zdjęcie ze zbliżeniem obłożonej drewnem rękojeści i zdjęła okulary.

– Trzeba poszukać biegłego od broni białej, najlepiej jakiegoś muzealnika. Może zna tę firmę.

– C. Runewald? – zapytał Szacki.

Sobieraj parsknęła śmiechem.

– Grünewald. Może najwyższa pora na okulary, panie prokuratorze.

Szacki postawił na spokój. Żadnych uśmiezków, żadnych nerwów, żadnych ripost.

– Najwyższa pora, żeby mi pani opowiedziała o denatce i jej rodzinie.

Sobieraj zmarkotniała.

Prokurator Teodor Szacki był niezadowolony. Opowieść Sobieraj o Budnikach przyniosła dużo informacji, ale też wiele uczuć. Denatka przestała być dla niego efektem czynu zabronionego, za który ktoś musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności i ponieść karę. Mąż denatki przestał być podejrzanym numer jeden. Dzięki barwnej, emocjonalnej opowieści Sobieraj za bardzo stali się osobami z krwi i kości, granica między informacją a interpretacją została przekroczona. Wbrew sobie Szacki, myśląc o denatce, widział uśmiechniętą nauczycielkę, prowadzącą zielone lekcje w czasie wycieczek rowerowych. Jej mąż był nie tylko kandydatem do odsiadki, ale też społecznikiem, który potrafił do upadłego walczyć w każdej najdrobniejszej sprawie, jeśli tylko oznaczało to dobro miasta. Szacki wątpił, aby gdzieś indziej w Polsce istniał bezpartyjny radny, który potrafił skłonić całą radę do jednogłośniego głosowania – dla Sandomierza. Basta, basta, basta, nie chciał myśleć o Budnikach, dopóki nie porozmawia ze starym policjantem, który już dał do zrozumienia, że nie jest najlepszego zdania o tych świeckich świętych.

Próbował zająć myśli, szukając informacji o tajemniczej brzytwomaczynie, i to był jego drugi powód do niezadowolenia. Teodor Szacki w ogóle nie miał zaufania do ludzi. Ale do ludzi z hobby – w szczególności. Pasję i poświęcenie się pasji, zwłaszcza zbieraczej, uważał za zaburzenie, a ludzi skłonnych tak zafiksować się na jednym temacie – za potencjalnie niebezpiecznych. Widział samobójstwa spowodowane utratą numizmatycznej kolekcji, widział też dwie żony, których przewiną było podarcie najcenniejszego znaczka i spalenie pierwszego wydania *Panien z Wilka i Brzeziny*. Obie nie żyły. Mężowie-mordercy czuwali przy ich zwłokach, płakali i powtarzali, że nie rozumieją.



Tymczasem świat noży okazał się światem miłośników i kolekcjonerów, istniał nawet periodyk „Sztych”, którego misją jest – jak zapewniali autorzy – „dostarczenie Ci, drogi Czytelniku, rzetelnych informacji na temat wysokiej jakości noży oraz tematów im pokrewnych. Nie zabraknie także ciekawostek, przykładem będzie w następnym numerze «Bat», wydawałoby się, egzotyczny, a przecież pleciony od dawna w Polsce. Oczywiście będzie seria artykułów o długiej białej broni”.

Baty, szable i rzeźnicze noże – naprawdę urocze hobby, zżymał się Szacki, zagłębiając w forach pełnych dyskusji o klingach, rękojeściach, sposobach ostrzenia, wykuwania, kucia i kłucia. Czytał wynurzenia jednego pisarza, który własnoręcznie wyrabiał miecze samurajskie, czytał o „Ojcu Nowoczesnego Damastu”, który opanował technologię wytwarzania stali damasceńskiej, oglądał zdjęcia wojskowych kordzików, myśliwskich noży do sprawiania zwierzyny, mieczy, bagnatów, rapierów i pałaszy. Nie przypuszczał, że ludzkość wyprodukowała tyle rodzajów ostrych przedmiotów.

Ale brzytwomaczety nie znalazł.

W końcu w akcie desperacji zrobił komórką kilka zdjęć prawdopodobnego narzędzia zbrodni i wysłał do redakcji „Sztychu” mail z pytaniem, czy coś im to mówi.

Wiosna przysłała i poszła, wieczorem Teodor Szacki dokuczliwie odczuwał chłód, idąc ulicą Mickiewicza w kierunku pizzerii Modena, gdzie umówił się z Wilczurem. Stary policjant nie dał się namówić na spotkanie w rynku, twierdząc, że „nie cierpi tego pierdolonego muzeum”, a Szacki mieszkał już w Sandomierzu na tyle długo, żeby zrozumieć, o co chodzi.

Sandomierz składał się właściwie z dwóch, a nawet trzech miast. Trzecie to tak zwana huta po drugiej stronie rzeki, memento czasów, kiedy czerwoni usiłowali zmienić mieszczański, kościelny gród w przemysłowe miasto i postawili tam ogromną hutę szkła. Ponura i brzydka była to dzielnica, strasząca nieczynną stacją kolejową, paskudnym kościołem i ogromnym fabrycznym kominem, który o każdej porze dnia i nocy mordował panoramę Podkarpacia widoczną z wysokiego lewego brzegu Wisły.

Miasto numer dwa to był Sandomierz, w którym faktycznie toczyło się życie. Tutaj było niewielkie osiedle na szczęście niezbyt inwazyjnych bloków, tutaj były dzielnice domków jednorodzinnych, szkoły, parki, cmentarz, jednostka wojskowa, policja, dworzec autobusowy, mniejsze i większe sklepy, biblioteka. Ot, polskie powiatowe miasteczko, może trochę bardziej zadbane i ładniej – bo na wzgórzach – położone od innych. Nie wyróżniałoby się jednak na tle niepoliczonych polskich dziur, gdyby nie miasto numer jeden.

Miasto numer jeden to był pocztówkowy Sandomierz ojca Mateusza i Jarosława Iwaszkiewicza, usadowiony na skarpie cukiereczek, którego panorama zachwycała niezmiennie każdego i w której zakochał się swego czasu Szacki. Ciągle potrafił przejść się na most tylko po to, żeby zobaczyć piętrzące się na zboczu kamieniczki, dostojny gmach Collegium Gostomianum, wieże ratusza i katedry,

renesansowy szczyt Bramy Opatowskiej, bryłę zamku. W zależności od pory roku i pory dnia widok ten za każdym razem wyglądał inaczej i za każdym razem tak samo chwycił za serce.

Niestety, co Szacki wiedział dziś aż za dobrze, był to widok, który tylko z oddali sprawiał wrażenie bardzo włoskie, toskańskie. Wewnątrz Starego Miasta wszystko było już bardzo polskie. Za daleko był Sandomierz od Krakowa i przede wszystkim za daleko od Warszawy, aby stać się kurortem w rodzaju Kazimierza Dolnego. Na co zasługiwał stokroć bardziej, będąc pięknym miastem, a nie wiochą z trzema renesansowymi kamienicami i paroma tuzinami hoteli, żeby każdy polski prezes miał gdzie rznąć kochankę. Położenie na uboczu szlaków sprawiało, że na ślicznych staromiejskich uliczkach Sandomierza tchnęło nudą, pustką, polską beznadzieją i „pierdolonym muzeum”. Po południu znikwały szkolne wycieczki, starzy lokatorzy kamieniczek zamykali się w domach, niedługo potem zamykano nieliczne sklepy, chwilę później knajpy. Już o osiemnastej zdarzało się Szackiemu przejść od zamku do Bramy Opatowskiej, nie napotykając żywego ducha. Jedno z najpiękniejszych miejsc w Polsce było opustoszałe, wymarłe i przygnębiające.

Szacki naprawdę poczuł się lepiej, kiedy zszedł Sokolnickiego w dół i zaczął maszerować wzdłuż Mickiewicza do Modeny. Pojawiły się samochody, ludzie, pełne jeszcze o tej porze sklepy, dzieciaki uwieszone komórek, ktoś jadł pączka, ktoś biegł do autobusu, ktoś krzychał do kobiety po drugiej stronie, że zaraz, zaraz, jeszcze chwila. Szacki głęboko odetchnął, bał się samemu sobie do tego przyznać, ale bardzo brakowało mu miasta. Tak bardzo, że nawet ta jego skromna namiastka, jaką był Sandomierz, sprawiała, że krew szybciej krążyła w żyłach.

Modena była śmierdzącą piwem powiatową mordownią, ale – to im trzeba przyznać – dawali tu najlepszą pizzę w Sandomierzu, a

dzięki pysznej romantice, uzbrojonej w podwójną mozzarellę, cholesterol Szackiego już nieraz podskoczył. Inspektor Leon Wilczur psim zwyczajem siedział w najczarniejszym kącie, plecami do ściany. Bez kurtki wydawał się jeszcze chudszy i Szackiemu przypomniały się salony krzywych zwierciadeł w wakacyjnych wesołych miasteczkach. To niemożliwe, żeby człowiek był aż tak wąski, jak spreparowana głowa nasadzona dla żartu na stare ciuchy.

Usiadł bez słowa naprzeciwko starego policjanta, przeleciał w głowie zestaw pytań.

– Wie pan, kto to zrobił?

Wilczur spojrzeniem zaakceptował pytanie.

– Nie. Nie mam też pojęcia, kto mógłby to zrobić. Nie znam nikogo, kto by chciał. Nie znam nikogo, kto na tej śmierci zyskuje. Powiedziałbym, że to nikt stąd, gdyby nie to, że to musi być ktoś stąd. Nie wierzę w nieznajomych przybłędów, którzy zadają sobie tyle trudu.

To właściwie dawało odpowiedź na kluczowe pytania Szackiego, nawet jeśli zamierzał na każde z nich odpowiedzieć osobiście. Pora przejść do pomocniczych.

– Piwo czy wódka?

– Woda.

Szacki zamówił wodę, a także colę i romantycę. Po czym zaczął słuchać skrzypiącego głosu Wilczura, tworząc w głowie protokół rozbieżności pomiędzy opowieścią starego policjanta a ckliwym przekazem Sobieraj. Suche informacje były takie same. Grzegorz Budnik był „od zawsze”, czyli od 1990 roku, sandomierskim radnym z niespełnionymi burmistrzowskimi aspiracjami, jego świętej pamięci żona, Elżbieta, młodszą o piętnaście lat nauczycielką angielskiego w słynnej „jedynce”, czyli ogólniaku zajmującym gmach starego jezuickiego kolegium, prowadziła artystyczną świetlicę dla

dzieci i udzielała się we wszystkich możliwych lokalnych imprezach kulturalnych. Mieszkali w domku przy Katedralnej, niegdyś podobno zamieszkiwanym przez Iwaszkiewicza. Niezbyt majątni, bezdziejni, starzejący się społecznicy. Bez barw politycznych. Jeśliby na siłę szukać etykietek, to on byłby czerwony przez swoją przeszłość w Radzie Narodowej, ona czarna przez zaangażowanie w kościelne inicjatywy i lekko manifestowaną katolicką wiarę.

„To w pewien sposób symbol tego miasta – opowiadała Sobieraj. – Ludzie o bardzo różnych poglądach, o różnej historii, teoretycznie z dwóch stron barykady. Ale zdolni dogadać się zawsze, gdy chodziło o dobro Sandomierza”.

– To w pewien sposób symbol tej dziury – mówił Wilczur. – Najpierw czerwoni i czarni mieli na zmianę coś do udowodnienia, w końcu uznali, że się dogadają dla dobra interesu. Nie na darmo urząd miasta jest w starym klasztorze dominikańskim, z widokiem na synagogę i dzielnicę żydowską. Żeby nie zapomnieli, co jest dobre dla geszeft – zażydlaczył. – Nie będę panu robił wykładu z historii, ale mówiąc w skrócie, za czerwonych miasto było be. Cacy był Tarnobrzeg z siarką, ewentualnie huta za rzeką, a tutaj to wydziwianie wykształciuchów, w sutannach na dodatek. W Warszawie nawet drogowskazy były na Tarnobrzeg. Bida tu była, nędza i pierdolony skansen. Przyszło nowe, ludzie się ucieszyli, ale na krótko, bo nagle się okazało, że to nie miasto, tylko świecka narośl na zdrowej tkance Kościoła. Kino zamienili na Dom Katolicki. Na rynku zaczęli odprawiać nabożeństwa. Na błoniach ustawili Jana Pawła wielkości latarni morskiej, żeby potem mieć pretekst, że żadnej imprezy tam zrobić nie wypada, to teraz tylko psy srają. No i zrobił się znowu pierdolony skansen, więcej kościołów niż knajp. A potem czerwoni wrócili do władzy i po chwili konsternacji się okazało, że jak jest dobry geszeft, to ajwaj, ajwaj, wszyscy mogą skorzystać. Że jak się na odzyskanych kościelnych gruntach postawi sklep albo stację benzynową, to wszyscy będą zadowoleni.

– Budnik brał w tym udział?

Wilczur zawahał się, zamówił następną wodę gestem godnym maltowej whisky.

– Pracowałem wtedy w Tarnobrzegu, ale ludzie gadali.

– To Polska, zawsze gadają. Słyszałem, że nigdy nie był w nic zamieszany.

– Oficjalnie nie. Ale Kościół nie musi organizować przetargów, może sprzedać, co chce, za ile chce i komu chce. To było dość dziwne, że najpierw miasto chętnie oddaje, w ramach naprawy komunistycznych krzywd, działki Kościołowi, a ten je zaraz potem sprzedaje pod stację benzynową albo supermarket. Nie wiadomo komu, nie wiadomo po jakiej cenie. A Budnik był wielkim orędownikiem tego, żeby Bogu, co boskie, Żydowi, co żydowskie.

Szacki wzruszył ramionami. Nudził się, męczyło go, że wszystkie wypowiedzi Wilczura były negatywnie nacechowane, przesycone polskim jadem, lepkie jak stoły w Modenie.

– Takie biznesy jak Polska długa i szeroka, co to ma za znaczenie. Narobiło Budnikowi wrogów? Komuś nie załatwił? Załatwił nie tak, jak trzeba? Dogadał się z mafią? Na razie mi to wygląda na wioskowe przekręty, podnieta dla lokalnej gazetki szkolnej. Ale nic, za co się podrzyna gardło czyjejs żonie.

Wilczur podniósł do góry cienki, pomarszczony palec.

– Może tutaj grunty nie są tyle warte, co na Marszałkowskiej, ale nikt ich za darmo nie daje.

Zamilkł i zamyślił się. Szacki czekał, obserwując policjanta. Próbował o nim myśleć jak o lokalnym doświadczonym glinie, ale było w inspektorze coś, co go odrzucało. Wyglądał jak menel, a było to menelstwo tak z nim zrośnięte, że jakkolwiek by się ubrał i cokolwiek by pił, to zawsze będzie wódczanego menela przypominał. Nie było ku temu żadnych racjonalnych powodów, ale kredyt

zaufania Szackiego topniał z minuty na minutę. Brakowało mu Kuzniecowa. Bardzo brakowało.

– Pan widzi, jak to miasto wygląda – kontynuował Wilczur. – Może jest ciągle senne, ale to cukiereczek, jakiego nie ma w Polsce, z zadatkami na nowy Kazimierz Dolny albo i lepiej. Zbudują przystań, postawią parę spa, obok będzie szła autostrada z Warszawy do Rzeszowa i dalej na Ukrainę. Kawalek w drugą stronę autostrada ze stolicy do Krakowa. Pięć lat i tutaj będą korki z beemek w każdy piątek w każdą stronę. Jakie będzie przebicie na działkach? Dziesięciokrotne? Dwudziestokrotne? Stukrotne? Nie trzeba geniusza, żeby to przewidzieć. I teraz proszę pomyśleć. Zna pan Sandomierz, ma dużo pieniędzy i wielkie plany. Hotele, restauracje, dzielnice willowe, atrakcje turystyczne. W tej ziemi są naprawdę miliardy. I pan to wie, ale może pan co najwyżej postawić budę w ogródku swojej willi, bo miejskie grunty inwestycyjne w glorii chwały wracają do kurii, żeby potem po cichu trafić do najbardziej zaufanych i znających, kogo trzeba. Gdzie pan mieszka?

– Wynajmuję na Długosza.

– A sprawdzał pan, ile kosztuje tutaj mieszkanie? Albo dom? Albo działka?

– Jasne. Mieszkanie sześćdziesiąt metrów około dwustu tysięcy, dom trzy razy tyle.

– W Kazimierzu mieszkanie tej wielkości kosztuje od pół miliona do miliona, dom właściwie bez górnej granicy, ale rozmowa zaczyna się od miliona w wypadku ruder na obrzeżach.

Szacki wyobraził sobie, że bierze najwyższy możliwy kredyt i kupuje tutaj trzy mieszkania, żeby zostać za kilka lat szczęśliwym rentierem. Miłe, bardzo miłe.

– Okej – powiedział wolno. – Następne pytanie: kto jest najbardziej wkurwionym budowniczym psiej budy w ogródku swojej willi?

Wilczur w odpowiedzi oderwał filtr od papierosa i zapalił.

– Musi pan jedną rzecz zrozumieć – powiedział. – Budnika nikt tutaj nie lubi.

Szacki zaczął się wiercić, spodziewał się przenikliwego, lokalnego policjanta, a miał do czynienia z paranoikiem.

– Dopiero co namalowano mi obraz państwa Budników w samych pastelowych barwach, ulubieńców wszystkich, świeckich świętych. To prawda, że on sprowadził tu ojca Mateusza?

– Prawda. Mieli kręcić w Nidzicy, ale Budnik znał kogoś w TVP i namówił ich na Sandomierz.

– Prawda, że dzięki niemu krzaczory na bulwarze Piłsudskiego zamieniają się w park i przystań?

– Najprawdziwsza prawda.

– Prawda, że wyremontował Piszczele?

– Sama prawda. Nawet na mnie to zrobiło wrażenie, byłem pewien, że nie ma mocnych na ten wąż imienia morderców i gwałcicieli.

Szacki pomyślał, że nie słyszał o żadnych sandomierskich mordercach i gwałcicielach, nie licząc lokalnych knajp, gdzie smaki były mordowane, a podniebienia brutalnie gwałcone. Zachował uwagę dla siebie.

– To o co chodzi? – spytał.

Inspektor Wilczur wykonał nieokreślony gest, mający dać do zrozumienia, że stara się oddać coś nieoddawalnego w słowach.

– Zna pan typ głośnego społecznika, nieznoszącego sprzeciwu, bo zawsze jest w trakcie jakiejś krucjaty?

Szacki przytaknął.



– To był ten typ. Wszystko jedno, czy miał rację, czy jej nie miał, zawsze był nieprzytomnie wkurwiający. Znam ludzi, którzy głosowali po jego myśli, żeby już tylko dał spokój. Żeby nie mędził, nie wydzwaniał po nocach, nie latał po gazetach.

– Mało – skomentował Szacki. – Wszystko mało. Irytujący społecznik, kręcący jakieś swoje małe prowincjonalne lody; to wszystko mało. Jemu nie pocięli opon w samochodzie, nie zbili szyby, nie zabili psa. Jemu w okrutny, nieprzypadkowy sposób zarżnęli żonę.

Sobieraj oceniała denatkę jednoznacznie. Wspaniała, dobra, pozbawiona wad, z sercem na dłoni, nawet jeśli jej mąż bywał w swoich krucjatach zbyt agresywny i budził złość, to przy niej wszyscy miękli. Ona pomagała, ona radziła, ona załatwiała sprawy. Chodząca dobroć z ustami, kibicią i sercem pełnymi wszystkiego, co najlepsze. Pani prokurator Sobieraj wygłosiła absolutnie pozbawiony obiektywizmu pean na jej cześć, po czym się rozbeczała. To było żenujące. Ale mimo wszystko wiarygodne. Tymczasem z relacjami Wilczura Szacki miał problem. Coś nie grało. Nie wiedział jeszcze co, ale coś było nie tak.

– Matka Elżbieta od Aniołów, tak ją nazywali – powiedział Wilczur.

– Wariatka?

Wilczur pokręcił głową.

– Kompletnie nie. Ucieleśniona dobroć.

– W opowiadaniu to była wariatka.

– To pan wie i ja, i ona też wiedziała i nienawidziła tej ksywki. Ale tak ją nazywali, myśleli, że to komplement. I będę z panem szczery: nie była z mojej bajki, lecz zasłużyła na każdy komplement. To naprawdę była dobra osoba. Nie będę się powtarzał, ale na pewno

wszystko, co pan o niej usłyszał i co o niej jeszcze usłyszy, to prawda.

– Może też była irytująca? Za bardzo społecznikowska? Za bardzo katolicka? Nie wiem, za mało kupowała na jarmarkach ludowych? To Polska, musieli ją za coś nienawidzić, obrabiać dupę za plecami, zazdrościć czegoś.

Wilczur wzruszył ramionami.

– Nie.

– Nie i już? Koniec błyskotliwej analizy?

Policjant przytaknął i oderwał filtr od papierosa, a Szacki poczuł obezwładniającą rezygnację. Chciał do Warszawy. Teraz. Zaraz. Natychmiast.

– A relacje między nimi?

– Ludzie zazwyczaj dobierają się w pary w tej samej lidze, zna pan na pewno tę zasadę. Piękni z pięknymi, głupi z głupimi, rozrzutni z rozrzutnymi. Tymczasem Budnikowa była tak ze dwa, trzy szczebelki wyżej niż jej mąż. Jak by to panu wytłumaczyć... – Wilczur zamyślił się, przez co jego twarz nabrała upiornego, trupiego wyrazu. W mdłym świetle pizzerii, za zasłoną papierosowego dymu, wyglądał jak nieudolnie animowana mumia. – Ludzie znoszą go tylko dlatego, że Budnikowa go wybrała. Myślą, że trudno, niech sobie będzie oszołomiony, ale w sumie ma rację, a jeśli przy jego boku stoi taka kobieta, to nie może być zły. I on to wie. Wie, że to wbrew naturze.

Sobieraj powiedziała: „Chciałabym, żeby jakiś mężczyzna był we mnie tyle lat tak zakochany. Chciałabym widzieć codziennie takie uwielbienie w czyichś oczach. Z zewnątrz mogli wydawać się niedobrani, ale to była wspaniała para. Każdemu życzyłabym takiej miłości, takiego uwielbienia”.

– Uwielbiał ją, ale było w tym uwielbieniu coś brudnego – sącył swój jad Wilczur – coś zaborczego, lepkiego, powiedziałbym. Moja była pracowała w szpitalu kilkanaście lat temu, kiedy stało się jasne, że Budnikowa nie będzie mieć dzieci. Ona rozpaczła, on wcale. Powiedział, że przynajmniej nie będzie się musiał nią dzielić. To była pasja, na pewno. Ale wie pan, jak to jest z pasjonatami.

Szacki wiedział, ale nie chciał się zgadzać z Wilczurem, ponieważ coraz mniej go lubił i wszelkie bratanie się z tym osobnikiem wydało mu się wstrętne. Nie chciał też przeciągać tej dyskusji. Dwie osoby opowiadały mu dziś o Budnikach, a miał wrażenie, że wciąż gównu wie, po nic mu ta nacechowana emocjonalnie ćwierćwiedza.

– Przesłuchał pan Budnika? – zapytał na koniec.

– Jest w strasznym stanie. Zadałem mu kilka technicznych pytań, resztę zostawiam panu. Jest pod dyskretną obserwacją.

– Gdzie był wczoraj?

– W domu.

– A ona?

– Też w domu.

– Słucham?

– Tak twierdzi. Oglądali telewizję, przytulili się, usnęli. Wstał nad ranem, żeby napić się wody, jej nie było. Zanim zdążył się na dobre zaniepokoić, dostał telefon od Baśki Sobieraj.

Szacki nie wierzył własnym uszom.

– To jakaś bzdura. Najgłupsze łgarstwo, jakie słyzałem w karierze.

Wilczur pokiwał potakująco głową.

Prokurator Teodor Szacki wyrzucił do śmieci resztki wędliny i serów, które zalegały w lodówce, zjedzony do połowy pasztet z puszki, kawałek pomidora, chwilę wahał się nad zawartością patelni, ale w końcu przedwczorajszy sos bolognese też wylądował w śmieciach. Większa część tego, co przyrządził. Cały czas gotował za dużo, tyle, że starczyłoby dla trzyosobowej rodziny i przygodnych gości. W Sandomierzu nie miał rodziny, nie miał przyjaciół ani znajomych i gości, czasami zmuszał się, żeby ugotować coś dla siebie, ale rytuał samotnego stania przy kuchni i samotnego jedzenia był potworny; próbował jeść przy włączonym radiu albo telewizji, lecz ta podróbka cudzej obecności tylko pogarszała sprawę. Nie mógł przełknąć ani kęsa, jedzenie stawało mu w gardle, zaczęło się kojarzyć z czynnością tak ciężką i depresyjną, że po każdym posiłku musiał długo dochodzić do siebie. I szło mu to coraz mozolniej.

Do sklepów szedł jak za karę. Uczył się kupować mniej i mniej. Na początku – tak jak z gotowaniem – odruchowo brał tyle, co zawsze. Przyzwyczajony, że ile by kupił, to i tak wszystko zniknie z lodówki. Ktoś sobie zrobi kanapkę, ktoś wróci głodny, coś się przekąsi przy wieczornej telewizji. Tutaj był tylko on. Najpierw zrezygnował ze wszystkiego, co paczkowane. W paczkach wędlin i serów było za dużo dla jednej osoby, codziennie coś wyrzucał. Zaczął kupować na wagę, ale ciągle za dużo. Dwadzieścia deka wędliny, piętnaście, dziesięć. Któregoś dnia stanął przy kasie obskurnego sklepu społemowskiego w rynku. Jedna kajzerka, serek wiejski, mały kartonik soku pomarańczowego, pięć deka baleronu, pomidor. Ekspedientka zażartowała, że apetyt nie dopisuje. Wyszedł bez słowa, jeszcze jakoś trzymał się po drodze, ale w domu płakał, robiąc sobie śniadanie, a kiedy usiadł nad talerzem z dwiema kanapkami, histerycznie szlochał, nie mógł przestać, łzy i smarki

rozmażywały mu się na twarzy. A on wył, kiwając się w przód i w tył, nie mogąc oderwać zamglonego wzroku od kanapek z baleronom. Ponieważ zrozumiał, że stracił wszystko, co kochał, i nigdy tego nie odzyska.

Po wyprowadzce z Warszawy schudł piętnaście kilo. Tutaj go nie znali, myśleli, że zawsze był chudzielcem. Ale garnitury na nim wisiały, przy kołnierzykach pojawił się nadmierny luz, w paskach musiał wypalić rozgrzanym nad gazem gwoździem dodatkowe dziurki.

Myślał, żeby rzucić się w wir pracy, ale tutaj nie było tyle pracy. Myślał, żeby wrócić do Warszawy, ale nie miał do czego wracać. Myślał, żeby znaleźć do towarzystwa kogoś, kto nie byłby jedynie wkładem do łóżka, ale nie miał na to siły. Dużo leżał, dużo rozmyślał. Czasami wydawało mu się, że już jest lepiej, że już stoi na twardym gruncie, ale wtedy grunt się osypywał, znowu musiał zrobić krok do tyłu. Nie widział, co tam jest, ale ten krok robił. Po drugiej stronie rozpadliny było jego dawne życie, kręciła się Weronika, Helcia, Kuzniecow, przyjaciele. Światło, gwar, śmiech. U niego była z jednej strony ciemność, a z drugiej rozpadlina. Kolejny dzień, kolejne osuwisko, kolejny krok w tył. W końcu ciemność otaczała go z każdej strony, a on i tak codziennie robił krok w tył. Pogodził się, że tak to już będzie.

Nalał trochę wody do patelni po sosie i odstawił ją na kuchenkę. Pozmywa kiedyś.

Nie może tak być, pomyślał, odpychając od siebie świadomość, że to przeświadczenie nawiedza go codziennie. Nie może tak być. Ludzie żyją po rozwodach w zgodzie, przyjaźnią się czasami, razem wychowują dzieci, Demi Moore była na ślubie Bruce'a Willisa i odwrotnie, nie trzeba spać w jednym łóżku, mieszkać w jednym mieszkaniu, żeby tworzyć rodzinę. Przecież on, Weronika i Helcia zawsze będą rodziną, bez względu na to, co się wydarzyło i co się wydarzy.

Sięgnął po telefon, ciągle miał Weronikę pod szybkim wybieraniem. Tyle że teraz była Weroniką, a nie – jak kiedyś – Kotkiem.

– Tak?

– No cześć, to ja.

– No cześć, widzę przecież. Co chcesz?

Mogła być niemiła. Rozumiał to.

– A tak dzwonię, czy wszystko okej. Co u ciebie, co u Helci.

Chwila milczenia.

– Znowu?

– Jak to znowu? A to, przepraszam, jest jakiś okres, kiedy mogę dzwonić i dowiadywać się, co u mojej córki?

Westchnienie.

– Wszystko w porządku u twojej córki, zaganiam ją do odrabiania lekcji, jutro ma klasówkę. – Miała zmęczony, zniechęcony głos, jakby spełniała przykry obowiązek, Szacki poczuł, że w gardle rośnie mu kula agresji.

– A z czego klasówkę?

– Z przyrody. Teo, chcesz coś konkretnie? Przepraszam, jestem trochę zajęta.

– Konkretnie chciałem się dowiedzieć, kiedy moja córka tu przyjedzie. Mam wrażenie, że utrudniasz jej kontakt ze mną.

– Nie bądź paranoikiem. Wiesz, że nie lubi tam przyjeżdżać.

– Bo co? Bo jak zacznie, to wtedy jej ojczym będzie miał konkurencję i twój nowy wspaniały związek nie będzie taki wspaniały?

– Teo...

– No tak, ale chyba musi zrozumieć, że ja teraz mieszkam tutaj.

Nienawidził się za to, że w jego głosie pojawiły się płaczliwe tony.

– Wytłumacz jej to sam.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Helcia niechętnie z nim rozmawiała, niechętnie słuchała. Lubiła swój nowy dom, oddalony o dwieście kilometrów kawalerskiej nory swojego ojca – nie. Kiedyś próbowała ten niesmak ukrywać, ostatnio przestała.

– Dobrze, to może ja przyjadę.

– Może. Jak chcesz. Teo... błagam, jeśli nie masz nic konkretnego...

– Nie, dzięki, ucałuj mojego borsuczka. Dobra?

– Dobra.

Czekała, czy jeszcze coś powie, czuł jej niechęć i zniecierpliwienie. Łowił dźwięki dobiegające z drugiej strony. Grał telewizor, szcęknął garnek, ktoś się zaśmiał, dziecko. Weronika odłożyła słuchawkę, a w małym mieszkaniu na Długosza w Sandomierzu zapanowała niezmacona cisza.

Szacki musiał coś zrobić, żeby nie myśleć. Praca, w końcu przecież ma normalną sprawę. Musi zrobić plan śledztwa, zastanowić się, przygotować etapy działania, wpisać wszystko w kalendarz. Dlaczego tego nie robi? Normalnie miałyby już trzy zeszyty zapisane notatkami. Gwałtownym gestem otworzył laptop, żeby poszukać informacji, przygotować się do jutrzejszego przesłuchania Budnika. Musiał się dużo udzielać w mediach, i on, i jego żona. Trzeba przejrzeć jakieś komentarze, plotki, sprawozdania z posiedzeń Rady Miejskiej. Wszystko. Charakterystyczny dźwięk teleportacji z Mysta poinformował go o nadejściu nowej wiadomości.

*From: redakcja@sztych.com.pl*

*Subject: Re: Prokurator pyta o brzytwomaczetę*

*To: teodor.szacki@gmail.com*

*Date: 15 kwietnia 2009 19:44 CET*

*Witam!*

*Nieźle mnie Pan wystraszył z tym prokuratorem, już myślałem, że naruszyliśmy jakiś paragraf, pokazując zdjęcia zbyt wielkich noży :-). A tak w temacie, to musiałem spytać kilku poważnych kolekcjonerów, żeby potwierdzić własne rozpoznanie, i wszyscy są zgodni, że Pańska „brzytwomaczeta” to chalef, czyli nóż do rytualnego uboju zwierząt, używany przez szojcheta – żydowskiego rzeźnika.*

*Po rozmiarach można wnioskować, że przeznaczony jest do szlachtowania bydła (mniejsze są do drobiu i jagniąt), a po kondycji, że spokojnie mógłby być użyty jeszcze w niejednej koszernej rzeźni. Powinien pan wiedzieć, że noże do rytualnego uboju muszą być w idealnym stanie, eliminuje je najmniejsza rysa, szczerba albo nierówność, ostrze sprawdza się paznokciem przed każdym użyciem i po użyciu. Chodzi o to, że tylko perfekcyjnie ostry nóż może jednym cięciem przeciąć przetyk, krtań, główną żyłę szyjną i tętnicę, a takie są warunki rytualnego, koszernego uboju. Żydzi wierzą, że to najbardziej humanitarny i bezbolesny sposób zabijania (ile w tym prawdy, to inna sprawa).*

*Mam nadzieję, że pomogłem i że nóż – swoją drogą, bardzo podoba mi się określenie „brzytwomaczeta” – nie został użyty w jakichś niecnych celach ;-)*



*Serdecznie,*

*Janek Wiewiórski*

*redaktor*

Szacki przeczytał mail kilkakrotnie, nie myśląc już zupełnie o swoich prywatnych problemach. W kościelnym mieście z antysemicką przeszłością miał prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa znanej działaczki społecznej, którą rytualnie zaszlachtowano, jak krowę w żydowskiej rzeźni.

Ktoś zapukał.

Będzie naprawdę niezła jatka, pomyślał Szacki, ganiąc się jednocześnie za niefortunny dobór słów, i otworzył drzwi. Klara stała za nimi golusieńka, jak ją Pan Bóg stworzył. Spojrzał na jej śliczne, jędrne ciało, spojrział na sterczące, młode piersi, na rozlewające się po szyi kasztanowe loki. I uśmiechnął się szczęśliwie i zachęcająco, nie czując do niej absolutnie nic.

Ale uśmiech był szczery. Prokurator Teodor Szacki miał sprawę i bardzo był z tego powodu szczęśliwy.

## Rozdział drugi

czwartek, 16 kwietnia 2009

Dla Żydów w diasporze to uroczyste świętowany ostatni dzień Pesach, dla chrześcijan piąty dzień Oktawy Wielkanocnej, dla Polaków ostatni dzień żałoby narodowej. Wojsko Polskie obchodzi Dzień Sopera, Alina Janowska – 86. urodziny, a warszawska giełda – osiemnaste. We Włocławku straż miejska zgarnęła pijanych w sztok i agresywnych księdza w szatach liturgicznych i jego ministranta. Okazali się świeckimi, którzy świsnęli stroje matce jednego z nich, krawcowej. Brytyjska spółka znajduje pod Poznaniem ogromne złożę gazu, a brytyjska prasa podaje, że najczęściej granym utworem na pogrzebach jest *My Way* Sinatry, wysoko na liście jest *Highway to Hell* AC/DC. W rewanżach ćwierćfinału Pucharu UEFA wygrywają i w półfinale podejmą bratobójcze boje Dynamo i Szachtar oraz Werder i Hamburger. Sandomierz oburzony przenosinami zieleniaka, który musi zwolnić miejsce parkingowi pod nowym stadionem. Mieszkańcy, niezależnie od poglądów w sprawie bazaru, doświadczają wspólnie kolejnego chłodnego dnia. Temperatura nie przekracza 14 stopni, ale przynajmniej słonecznie, nie pada.

Prokurator Teodor Szacki nie lubił zimna, głupich spraw, niekompetentnych adwokatów i prowincjonalnych sądów. Tego ranka dostał wszystko w uderzeniowej dawce. Spojrzał w kalendarz: wiosna. Spojrzał za okno: wiosna. Włożył garnitur, płaszcz, toge przerzucił przez ramię i postanowił orzeźwić się spacerem do budynku sądu. Już na Sokolnickiego, ślizgając się na oszronionych kocich łbach, zorientował się, że to był kiepski pomysł. W okolicach Bramy Opatowskiej zdrętwiały mu uszy, przy wieży ciśnień nie czuł palców, kiedy w końcu skręcił w Kościuszki i wszedł do zgniłozielonego budynku sądu, przez kilka minut dochodził do siebie, chuchając w zgrabiałe dłonie. Biegun zimna, cholerna wiocha, wygwizdów, szlag by to trafił.

Sąd był brzydki. Jego bryła mogła się wydawać nowoczesna, kiedy powstawała w latach dziewięćdziesiątych, teraz przypominała cygański pałac, przerobiony na gmach użyteczności publicznej. Schodki, chromy, zielony kamień, połamane płaszczyzny – budynek nie pasował ani do otaczającej go architektury, ani do samego siebie, w jego zielonym kolorze było coś przepaszającego, jakby próbował ukryć własną brzydotę na tle cmentarnych drzew. Sala rozpraw konsekwentnie rozwijała stylistykę gmachu, najbardziej rzucającym się w oczy elementem pomieszczenia, przypominającego salę konferencyjną w podrzędnej korporacji, były zielone wertikale.

Skrzywiony, zniesmaczony Szacki wyrzekał w myślach na otoczenie, nawet kiedy już w todze usiadł na miejscu przeznaczonym dla prokuratora. Po drugiej stronie miał oskarżonego i jego adwokata. Hubert Huby był miłym siedemdziesięcioletkiem. Miał gęste, jeszcze szpakowate włosy, okulary w rogowych oprawkach i uroczy, skromny uśmiech. Jego obrońca, zapewne z urzędu – obraz

nędzy i rozpaczy. Toga niedopięta, włosy nieumyte, buty niewypastowane, wąsy nieprzystrzyżone, budził podejrzenie, że śmierdzi. Tak jak cała sprawa, myślał z rosnącą irytacją Szacki, dla którego dokończenie wszystkich spraw poprzednika było warunkiem otrzymania posady w Sandomierzu.

W końcu pojawiła się sędzia. Siksa, wyglądała, jakby dopiero co zrobiła maturę, ale przynajmniej proces się zaczął.

Panie prokuratorze? – Sędzia uśmiechnęła się do niego miło po dopełnieniu formalności, w Warszawie żaden sędzia się nie uśmiechał, jeśli już to złośliwie, kiedy przyłapał kogoś na nieznamość przepisów.

Teodor Szacki wstał, odruchowo poprawił togię.

– Wysoki sędzie, urząd prokuratorski podtrzymuje tezy z aktu oskarżenia, oskarżony przyznał się do wszystkich zarzucanych mu czynów, jego wina nie budzi wątpliwości w świetle jego własnych zeznań i zeznań poszkodowanych kobiet. Nie chcę przedłużać sprawy, wnoszę o uznanie oskarżonego winnym, że kierując się podstępem, doprowadził wielokrotnie inne osoby do poddania się innej czynności seksualnej, co wyczerpuje znamiona czynu opisanego w artykule sto dziewięćdziesiątym siódmym paragraf drugiego kodeksu karnego, i wnoszę o wymierzenie kary sześciu miesięcy pozbawienia wolności, co, zaznaczam, jest dolną granicą kary przewidzianej przez ustawodawcę.

Szacki usiadł, sprawa była ewidentna, chciał tylko, żeby to się skończyło. Specjalnie zażądał najniższego możliwego wyroku, nie miał ochoty na dyskusje. W myślach bez przerwy układał plan przesłuchania Budnika, żonglował tematami i pytaniami, zmieniał ich kolejność, starał się przewidzieć scenariusze rozmowy, przygotować się na wszystkie warianty. Miał pewność, że Budnik kłamał w sprawie ostatniego wieczoru, jaki spędził z żoną. Ale

wszyscy kłamią, to ich jeszcze nie czyni mordercami. Mógł mieć kochankę, mogli się pokłócić, mogli mieć ciche dni, mógł pić z kumplami. Wróć, kochankę trzeba skreślić, jeśli Sobieraj i Wilczur mówili prawdę, to był najbardziej zakochanym człowiekiem świata. Wróć, niczego nie można skreślić, to jakiś małomiasteczkowy zblatowany układ, nie wiadomo kto, dlaczego i po co mu coś opowiada. Wilczur nie budzi zaufania, Sobieraj była przyjaciółką rodziny.

– Panie prokuratorze – ostry głos sędzi wyrwał go z letargu, zdał sobie sprawę, że słyszał co trzecie słowo z mowy obrońcy.

Wstał.

– Tak, wysoki sędzie?

– Mógłby się pan ustosunkować do stanowiska obrony? Kurwa mać, nie miał najmniejszego pojęcia, jakie jest stanowisko obrony. W Warszawie, poza wyjątkowymi przypadkami, sąd nie pytał o zdanie, wysłuchiwał znużony stron, znikał, wydawał wyrok, załatwione, następny, proszę. W Sandomierzu sędzia była litościwa.

– Żeby zmienić kwalifikację czynu na artykuł dwieście siedemnasty, paragraf pierwszy?

Szackiemu wyświetliła się przed oczami treść przepisu. Spojrzał na obrońcę jak na wariata.

– Ustosunkuję się, że to chyba żart. Pan mecenas powinien zapoznać się z podstawowymi interpretacjami i orzecznictwem. Artykuł dwieście siedemnasty dotyczy naruszenia nietykalności cielesnej i właściwie stosuje się go tylko do łagodnych bójek lub kiedy jeden polityk trzaśnie drugiego po gębie. Oczywiście rozumiem intencje obrony, naruszenie nietykalności jest ścigane z oskarżenia prywatnego, a zagrożenie karą to najwyżej rok. Nie ma porównania z molestowaniem, za które grozi od pół roku do ośmiu lat. A to właśnie robił pański klient, panie mecenasie.

Obrońca wstał. Spojrzał pytająco na sędziego, dziewczyna skinęła głową.

– Chciałbym też przypomnieć, że w wyniku mediacji prawie wszystkie poszkodowane wybaczyły mojemu klientowi, co powinno skutkować umorzeniem postępowania.

Szacki nie czekał na pozwolenie.

– Jeszcze raz: proszę przeczytać kodeks, mecenasie – warknął.  
– Po pierwsze, „prawie” robi wielką różnicę, a po drugie, umorzenie w wyniku mediacji ma zastosowanie tylko do przestępstw zagrożonych karą do trzech lat pozbawienia wolności. Pan może co najwyżej wnioskować o nadzwyczajne złagodzenie kary, która i tak jest śmiesznie niska, biorąc pod uwagę wyczyny pańskiego klienta.

Mecenas uśmiechnął się i rozłożył ręce w geście zdziwienia. Za dużo filmów, za mało fachowych lektur, skomentował w myślach Szacki.

– Ale czy komuś stała się krzywda? Czy komuś było nieprzyjemnie? Ludzkie sprawy, dorośli ludzie...

Szackiemu spłynęła na oczy czerwona zasłona. Policzył w myślach do trzech, żeby się uspokoić. Zaczerpnął powietrza, wyprostował się, spojrzał na sędziego. Przytaknęła, zaciekawiona.

– Panie mecenasie, urząd prokuratorski jest zdumiony zarówno pańską nieznajomością prawa, jak i cywilizowanych obyczajów. Przypominam, że oskarżony Huby przez wiele miesięcy chodził po domach w powiecie sandomierskim, wyposażony w kitel oraz torbę lekarską, podając się za lekarza. Już to jest karalne. Podawał się za specjalistę od, cytuję, „mammografii palpacyjnej” i proponował badanie profilaktyczne, chcąc doprowadzić kobiety do obnażenia się i udostępnienia mu swoich wdzięków. Co podchodzi pod definicję gwałtu. I chciałbym też przypomnieć, że większość „pacjentek” zapewniał o dobrym stanie ich biustów, co nie musiało być prawdą i mogło doprowadzić do zaniechania badań profilaktycznych i

poważnych problemów zdrowotnych. Zresztą jest to główny powód, dla którego jedna z poszkodowanych nie zgodziła się na mediację.

– Ale u dwóch pań wyczul guz i skłonił je do leczenia, które w konsekwencji uratowało im życie – zaripostował z emfazą adwokat.

– To niech te panie ufundują mu nagrodę i przysyłają paczki. Tutaj zajmujemy się tym, że oskarżony dopuścił się czynu zabronionego i ma ponieść konsekwencje, ponieważ nie wolno chodzić po domach, okłamując i obmacując kobiety. Tak samo jak nie wolno chodzić po ulicach i wybijać ludziom zębów w nadziei, że potem u stomatologa zostaną wykryte i wyleczone poważniejsze problemy.

Widział, że sędzia powstrzymała parsknięcie śmiechem.

– I sprawa przyczyniła się w województwie do poważnej dyskusji o profilaktyce i konieczności badań mammograficznych – mecenas był nieugięty.

– Ale czy to jest wniosek formalny? – Szacki poczuł znużenie.

– To są okoliczności, które powinny być wzięte pod uwagę.

– Wysoki sędzie? – Szacki pytająco spojrzał na ubawioną sędzię.

– Zamykam posiedzenie, ogłoszenie wyroku w poniedziałek o dziesiątej. A pana, panie prokuratorze, zapraszam na chwilę do mojego gabinetu.

Gabinet pani sędzi, która po sprawdzeniu wokandy stała się Marią Tatarską, był brzydki jak cały budynek, równie nieprzyjemnie utrzymany w zgniłych zieleniach, ale przynajmniej przestronny. Szacki zapukał i wszedł po zaproszeniu w chwili, kiedy sędzia Tatarska zdejmowała tokę. Na szafce już szumiał elektryczny czajnik.

– Kawy? – zapytała, odwieszając sędziowski mundur. Szacki chciał odpowiedzieć, że chętnie, jedna łyżeczka, bez cukru, dużo mleka, ale w tejże chwili sędzia Tatarska odwróciła się do niego i prokurator musiał skoncentrować się na tym, żeby żaden z objawów emocji nie pojawił się na jego twarzy. I żeby teatralnie nie przełknąć śliny. Sędzia Tatarska pod togą była regularną seksbombą, o ciele dziewczyny z rozkładówki, a dekolt jej fioletowej bluzki zostałby uznany za odważny nawet w nocnym klubie.

– Chętnie, jedna łyżeczka, bez cukru, dużo mleka.

Porozmawiali chwilę o sprawie, w czasie kiedy robiła dla nich kawę. Small talk, nic ciekawego. Przypuszczał, że ściągnęła go tu w jakimś celu. Innym niż przyjemność obcowania z jego służbowym chłodem, wychudzoną sylwetką i siną twarzą faceta, który za kilka miesięcy kończy czterdziestkę, a zima upłynęła mu na depresji i zaniedbywaniu tężyzny fizycznej. Wiedział, że wygląda jak urzędnik państwowy. Zwykle miał to gdzieś, ale teraz chciałby wyglądać lepiej. Chciałby też, żeby przeszła do rzeczy, musiał wyjść w ciągu pięciu minut.

– Słyszałam trochę o panu, o pańskich sprawach, koledzy ze stolicy opowiadali. – Przyglądała mu się uważnie. Szacki milczał, czekał na dalszy ciąg. Co miał powiedzieć? Że też ją zna ze słyszenia? – Nie powiem, specjalnie żeśmy podpytywali, jak poszła plotka, że pan zostaje. Pewnie już się pan zorientował, że zmiany kadrowe to nie jest na prowincji codzienność. Z pańskiej perspektywy nie było pewnie tego widać, ale w środowisku to stało się małą sensacją.

Ciągle nie wiedział, co powiedzieć.

– Szukałam też w prasie, czytałam o pańskich sprawach, niektóre to pierwszoligowe kryminały, głośne historie. Zaintrygowała mnie ta z morderstwem w czasie ustawień Hellingera.



Szacki wzruszył ramionami. Hellinger, szlag by trafił, gdyby nie tamta sprawa, nie romans, nie stare esbeckie historie, pewnie by teraz jadł jajko w sosie nomen omen tatarskim w alei Solidarności i umawiał się z Weroniką, kto odbierze dziecko ze szkoły. Gdyby nie Hellinger, miałby teraz życie.

– Swojego czasu dużo interesowałam się Hellingerem, nawet pojechałam do Kielc na ustawienia, ale odwołali, nie chciało mi się jechać po raz drugi. Wie pan, samotna kobieta, długie wieczory, za dużo myśli. Myśli, że może z nią coś nie tak, może potrzebuje terapii. Głupie.

Szacki nie wierzył własnym uszom. Ona go podrywała. Ta seksbomba z prawniczym wykształceniem go podrywała. Spiał się, stary małżeński nawyk. Spiał się na myśl o flircie, o schadzkiach, kłamstwach, wysyłanych potajemnie esemesach, wyciszonych komórkach, biurogodzinach zmarnowanych na spotkania na mieście.

I zrozumiał, że małżeński nawyk to tylko nawyk, druga natura, ale ciągle druga. Był wolny, swobodny, miał mieszkanie z widokiem na Wisłę. Mógł się umówić i zerznąć prowincjuszkę w kuchni na stojaka. Tak po prostu. Bez wyrzutów sumienia, bez kombinowania, bez podchodów i owijania w bawełnę przyjaźni i niewinnej znajomości.

Musiał lecieć. Ale umówił się na wieczór. Hellinger, oczywiście, to dopiero była sprawa, chętnie jej opowie.

Tylko trzeba będzie spławić Klarę.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA ŚWIADKA. Grzegorz Budnik, urodzony 4 grudnia 1950 roku, zamieszkały w Sandomierzu przy ulicy Katedralnej 27, wykształcenie wyższe chemiczne, przewodniczący Rady Miejskiej miasta Sandomierz. Stosunek do stron: mąż Elżbiety Budnik (ofiary). Niekarany za składanie fałszywych zeznań.

Uprzedzony o odpowiedzialności karnej z art. 233 kk zeznaje, co następuje:

Elżbietę Szuszkiewicz poznałem zimą 1992 roku w czasie akcji „Zima w mieście”, przyjechała z Krakowa, żeby prowadzić warsztaty teatralne dla dzieci. Nie znałem jej wcześniej, choć dzieciństwo spędziła w Sandomierzu. Ja koordynowałem wtedy wszystkie imprezy w ratuszu. Zwróciłem na nią uwagę, bo dla niektórych tego typu akcje to pańszczyzna, a ona zrobiła z dziećmi takie przedstawienie na koniec ferii, że ludzie bili brawo na stojąco, *Opowiadania dla dzieci* Singera. Była młoda, nie miała wtedy trzydziestu lat, piękna, pełna energii. Zakochałem się bez pamięci, bez nadziei na cokolwiek – prowincjonalny urzędnik i wielkowiejska dziewczyna po PWST. Ale dwa lata później wzięliśmy ślub w katedrze sandomierskiej w Białą Niedzielę. Niestety nie dorobiliśmy się dzieci, chociaż bardzo chcieliśmy. Kiedy się okazało, że musielibyśmy przechodzić te wszystkie procedury medyczne, rozważaliśmy adopcję, ale w końcu uznaliśmy, że dalej będziemy zajmować się dziećmi społecznie. Ja mniej ze względu na obowiązki w radzie, Ela całkowicie się temu oddała. Uczyła w szkole, ale przede wszystkim organizowała imprezy, ściągała artystów, wymyślała najbardziej odjazdowe warsztaty. To było nasze wspólne marzenie, żeby zrobić

takie specjalne miejsce, ośrodek artystyczny dla dzieci. Gdzie moglibyśmy organizować całe obozy, takie w stylu amerykańskim. Ale ciągle to odkładaliśmy, zawsze jakaś bieżączka była do załatwienia. Mieliśmy ruszyć na dobre w tym roku, poszukać nieruchomości, wziąć kredyty.

Nasze pożycie układało się dobrze, kłótnie miały miejsce sporadycznie, prowadziliśmy życie towarzyskie, teraz może trochę mniej, zima długa, a u nas najlepiej siedzieć w ogrodzie.

Szacki czuł się wyczerpany. Krótki protokół był wynikiem trzygodzinnej rozmowy. Budnik wpadał w dygresje, w milczenie, czasami płakał, co chwila czuł się w obowiązku zapewnić, jak bardzo kochał swoją żonę, opowiedzieć anegdotę z ich wspólnego życia. Bywał tak autentyczny, że Szackiemu krajało się serce. Ale tylko bywał, poza tym prokuratorowski nos czuł brzydki zapach kłamstwa. Budnik w jednej sprawie na pewno mówił prawdę, jego uczucie do żony było poruszająco prawdziwe. Ale poza tym łągał jak z nut.

Ostatnie dni w większości spędziliśmy z żoną wspólnie. Zimą dużo pracowaliśmy, dlatego Wielkanoc postanowiliśmy spędzić we dwójkę. Zresztą nie mieliśmy gdzie jechać ani kogo zapraszać. Moja siostra pojechała odwiedzić brata, który mieszka w Niemczech, rodzice Eli pojechali do Zakopanego. Wszyscy mieli przyjechać teraz, w niedzielę, na piętnastą rocznicę ślubu, chcieliśmy zrobić przyjęcie, drugie wesele jakby. Od soboty z nikim się nie spotykaliśmy, to znaczy, widzieliśmy znajomych na święconym, poszliśmy nie do katedry, tylko do Świętego Pawła, żeby się przejść trochę. Potem już nikogo, w niedzielę zaspaliśmy na rezurekcję, zjedliśmy skromne, ale uroczyste śniadanie, trochę czytaliśmy, trochę gadaliśmy, trochę oglądaliśmy telewizję. Wieczorem poszliśmy na spacer, po spacerze zajrzeliśmy do katedry, ale nie na mszę, pomodlić się trochę we dwójkę przy Grobie. Nie pamiętam, czy był ktoś jeszcze, pewnie tak.

Poniedziałek właściwie cały spędziliśmy w łóżku, Elżunię bolało gardło, strasznie było zimno w te święta. We wtorek ciągle źle się czuła, nie mieliśmy żadnych obowiązków, więc zostaliśmy w domu. Odwołaliśmy na wszelki wypadek wizytę u znajomych, Olgi i Tadeusza Bojarskich. Nie pamiętam, ale chyba na pewno dzwoniła do nich żona, w poniedziałek wieczorem albo we wtorek rano. Ja we wtorek na chwilę wpadłem do urzędu, widziało mnie tam parę osób. Przyszedłem po południu, przyniosłem nam jedzenie z Trzydziestki, Ela czuła się lepiej, wyglądała całkiem dobrze i nawet żalowaliśmy, że odwołaliśmy spotkanie. Wieczorem oglądaliśmy jakiś film z Redfordem na jedynce, o więzieniu, nie pamiętam tytułu. I poszliśmy spać. Bardzo wcześnie, bolała mnie głowa. Nie wstawałem w nocy. Nie mam problemów z prostatą. Jak się obudziłem, Eli nie było. Zanim zdążyłem się zaniepokoić, zadzwoniła Basia Sobieraj. Cieszę się, że pan mnie przesłuchuje. Dla Basi mogłoby to być trudne.

– Przesłuchuję, ponieważ prowadzę śledztwo. Względy emocjonalne nie mają tu nic do rzeczy.

Grzegorz Budnik pokiwał w milczeniu głową. Wyglądał strasznie. Po wysłuchaniu wszystkich opowieści o legendarnym radnym Szacki spodziewał się zażywnego jegomościa z wąsami lub szpakowatą brodą, postępującą łysiną i kamizelką opinającą się na brzuchu, słowem, takiego posła albo burmistrza z telewizji. Tymczasem Grzegorz Budnik był typem emerytowanego maratończyka: niski, szczupły, żylasty w charakterystyczny drapieżny sposób, jakby w jego ciele nie było ani jednej komórki tłuszczowej. W normalnych warunkach zdolny zapewne pokonać na rękę niejednego osiłka z prowincjonalnej siłowni, dziś wyglądał na osobę, która właśnie przegrała długą walkę ze śmiertelną chorobą. Krótka ruda broda nie była w stanie ukryć zapadniętych policzków, spocone i nieumyte włosy przyklejały się do czaszki. Oczy miał podkrążone, czerwone od płaczu, mętne, zapewne od środków uspokajających. Zgarbiony i zamknięty w sobie, bardziej przypominał Szackiemu przesłuchiwanym niemal codziennie

stołecznych menelików niż nieugiętego radnego, przewodniczącego Rady Miejskiej, postrach urzędników i przeciwników politycznych. Obraz nędzy i rozpaczki dopełniał nierówno przyklejony na czole wielki plaster. Grzegorz Budnik bardziej wyglądał jak bezdomny włóczęga niż jak urzędnik.

– Co się panu stało w czoło?

– Potknąłem się, uderzyłem o garnek.

– Garnek?

– Straciłem równowagę, machnąłem ręką, uderzyłem w rączkę patelni, patelnia podskoczyła i wyrzuciła mnie w głowę. Nic poważnego.

– Będziemy musieli zrobić obdukcję.

– Nic poważnego.

– Nie dlatego, że się o pana martwimy. Musimy sprawdzić, czy to nie wynik bójkki albo zranienia.

– Nie wierzy mi pan?

Szacki tylko spojrział. Nikomu nie wierzył.

– Pan wie oczywiście, że może odmówić zeznań lub odpowiedzi na konkretne pytania?

– Tak.

– Ale woli pan kłamać. Dlaczego?

Budnik wyprostował się dumnie, jakby to mogło dodać prawdy jego zeznaniom.

– Kiedy po raz ostatni widział pan żonę? – Szacki nie pozwolił mu dojść do głosu.

– Mówiłem...

– Wiem, co pan mówił. Teraz proszę powiedzieć, kiedy naprawdę po raz ostatni widział pan żonę i dlaczego pan skłamał. Jeśli nie, zatrzymam pana na czterdzieści osiem godzin, postawię zarzut zabójstwa małżonki i wystąpię do sądu o areszt. Ma pan trzydzieści sekund.

Budnik zgarbił się jeszcze bardziej, czerwone oczy, nieprzyjemnie kontrastujące z bladą cerą, pokryły się łzami, Szackiemu przypomniał się Gollum z *Władcy pierścieni*.

– Dwadzieścia.

Gollum, syczący my precious, nieistniejący bez swojego skarbu, uzależniony od rzeczy, która nigdy nie mogła być jego. Czy tak wyglądał związek Grzegorza i Elżbiety Budników? Prowincjonalny Gollum, społecznik-brzydał i miastowa dziewczyna, piękna, mądra i dobra, gwiazda ekstraklasy na gościnnych występach u trampkarzy. Dlaczego została? Dlaczego za niego wyszła?

– Dziesięć.

– Przecież mówiłem...

Szackiemu nie drgnął ani jeden mięsień, wystukał numer na telefonie, jednocześnie wyciągnął z biurka formularz postanowienia o postawieniu zarzutów.

– Mówi Szacki, poproszę z inspektorem Wilczurem.

Budnik położył rękę na widelkach.

– W poniedziałek.

– Dlaczego pan kłamał?

Budnik zrobił taki gest, jakby chciał wzruszyć ramionami, ale zabrakło mu siły. Szacki przysunął do siebie protokół, pstryknął długopisem.

– Słucham?

\*

Zmieniam zeznania. Ostatni raz swoją żonę, Elżbietę, widziałem w Poniedziałek Wielkanocny około godziny czternastej. Rozstaliśmy się w niezgodzie, zaczęliśmy się kłócić o nasze plany, ona twierdziła, że czas ucieka, że jesteśmy coraz starsi i jeśli chcemy zrealizować nasze marzenia o ośrodku, musimy wreszcie zacząć. Ja wolałem zaczekać do wyborów samorządowych w przyszłym roku, kandydować na burmistrza, gdyby się udało, wszystko byłoby łatwiejsze. Potem jak to w kłótni, zaczęliśmy sobie wyrzucać. Ona mnie, że wszystko odkładam na później, że tak samo politykuję w urzędzie, jak w domu. Ja jej, że jest odrealniona, myśli, że wystarczy bardzo chcieć i wszystko się staje faktem. Krzyczeliśmy, obrażaliśmy się nawzajem.

Boże, jak sobie pomyślę, że ostatnie słowa, jakie jej powiedziałem, to żeby zabrała swoją chudą dupę z powrotem do Krakowa... – Budnik zaczął cicho szlochać. Szacki czekał, aż się uspokoi. Chciało mu się palić.

W końcu wzięła kurtkę i wyszła bez słowa. Nie goniłem jej, nie szukałem, byłem wściekły. Nie chciałem przeproszać, nie chciałem się kajać, chciałem być sam. Ma mnóstwo znajomych, podejrzewałem, że poszła do Barbary Sobieraj. Nie kontaktowałem się z nią w poniedziałek ani we wtorek. Czytałem, oglądałem telewizję, piłem trochę piwa. We wtorek wieczorem zacząłem już tęsknić, film z Redfordem był dobry, ale przykro mi go było oglądać samemu. Duma nie pozwalała mi zadzwonić wieczorem, pomyślałem, że rano pójdę do Barbary Sobieraj albo do niej zadzwonię. Fakty te zataiłem, ponieważ przestraszyłem się, że kłótnia i fakt, że jej nie szukałem, będą źle wyglądać i obciążą mnie przed organami ścigania.

\*

A nie wpadł pan na to, że te fakty mogą mieć znaczenie dla śledztwa? Znalezienie mordercy nie jest dla pana ważne? Budnik znowu nieomalże wzruszył ramionami.

– Nie jest. Nic teraz nie jest dla mnie ważne.

Szacki dał mu protokół do przeczytania, jednocześnie zastanawiając się, czy go zamknąć, czy nie. Zwykle słuchał intuicji w takich sprawach. Ale jego kompas głupiał. Budnik był politykiem, prowincjonalnym, ale politykiem, czyli zawodowym kłamcą i ściemniaczem. I Szacki miał pewność, że z jakichś powodów, które na pewno jeszcze pozna, nie powiedział mu całej prawdy. Mimo to jego smutek wydawał się autentyczny. Pełen rezygnacji smutek po nieodwracalnej stracie, nie rozdygotany, pełen strachu smutek mordercy. Szacki miał zbyt wiele okazji obserwować obie te emocje, nauczył się je rozpoznawać.

Wyciągnął z szuflady teczkę ze zdjęciami, wypełnił nagłówek protokołu okazania.

– Widział pan kiedyś to narzędzie?

Na widok zdjęcia brzytwomaczety Budnik pobladł, a Szacki zdumiał się, że to w ogóle możliwe przy jego kredowej cerze.

– Czy to...

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Nie, nie widziałem nigdy takiego narzędzia.

– Czy wie pan, do czego służy?

– Nie mam pojęcia.



Około szesnastej w słonecznym świetle w końcu pojawiła się jakaś nuta ciepła, nieśmiała zapowiedź wiosny. Prokurator Teodor Szacki wystawił twarz do słońca i popijał colę z puszki. Nie istniała dla niego inna cola.

Po przesłuchaniu Budnika spotkał się z Wilczurem, kazał znaleźć wszystkich, którzy mogli ich widzieć w Wielkanoc. W kościele, na spacerze, w knajpie. Każdy element przesłuchania musiał być potwierdzony, każdy znajomy odpytany. Kuzniecow dostałby palpacji w połowie listy żądań, inspektor Wilczur tylko kiwał swoją wychudzoną głową, w czarnym garniturze wyglądał jak śmierć odbierająca zamówienie na żniwa. Szacki czuł się nieswojo w obecności starego policjanta.

Czekał teraz pod budynkiem policji na Sobieraj, żeby z nią odbyć romantyczny spacer do sandomierskiego szpitala. Swoją drogą, zdziwił się, że mają tutaj zakład patomorfologii, był pewien, że trzeba będzie jechać do Kielc albo Tarnobrzega.

Otworzył leniwie jedno oko, słysząc trąbienie. Sobieraj machała do niego z jakiejś bezosobowej fury. Westchnął i zwlókł się z ławki. Opel Astra.

– Myślałem, że się przejdziemy.

Czemu zawsze tak jest, że im mniejsza dziura, tym częściej wszyscy wszędzie jeżdżą samochodami?

– Trzy kwadranse w jedną stronę? Chyba nie mam ochoty. Nawet z panem, panie prokuratorze.

W trzy kwadranse to ja do Opatowa dojdę i każdą wieś po drodze zwiedzę – miał na końcu języka Szacki, ale wsiadł do auta.

Samochód pachniał odświeżaczami powietrza i kosmetykami do plastiku, musiał mieć kilka lat, a wyglądał, jakby wczoraj wyjechał z salonu. Popielniczka była pusta, z głośników leciał jakiś smooth, nigdzie nie było żadnych okruszków i papierków. Czyli bezdżietna. Ale mężatka, zaobrączkowana, musiała mieć ze trzydzieści pięć lat. Nie chcą? Nie mogą?

– Dlaczego Budnikowie nie mogli mieć dzieci?

Spojrzała na niego podejrzliwie, włączając się do ruchu na Mickiewicza. Jechali w stronę wyjazdu na Warszawę.

– On nie mógł, prawda? – ponaglił Szacki.

– Prawda. Czemu pan pyta?

– Intuicja. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale to istotne. Sposób, w jaki Budnik o tym wspomniał, niby mimochodem, niby lekko. Tak mówią mężczyźni, którzy tyle razy słyszeli, że to nieważne, że prawie uwierzyli.

Spojrzała na niego uważnie. Minęli budynek sądu.

– Mój mąż też nie może mieć dzieci. Też mu mówię, że to nie ma znaczenia, że liczą się inne rzeczy.

– A liczą się?

– Mniej.

Szacki milczał, objechali rondo i przejechali obok paskudnego nowoczesnego kościoła, stosu czerwonej cegły ułożonego na kształt wrót piekieł, brzydkiego, przytłaczającego, kompletnie niepasującego do otoczenia i do miasta.

– Mam jedenastoletnią córkę. Mieszka w Warszawie z mamą. Mam wrażenie, że z dnia na dzień jest coraz bardziej obca, blaknie.

– I tak panu zazdroszczę.

Szacki milczał, spodziewał się wszystkiego, tylko nie takiej rozmowy. Dojechali do tak zwanej na wyrost obwodnicy, skręcili w stronę Wisły.

– Mieliśmy kiepski początek – powiedziała Sobieraj, cały czas nie odrywając wzroku od drogi. Szacki też na nią nie patrzył. – Myślałam o tym wczoraj, że jesteśmy więźniami stereotypów. Jestem dla pana głupią prowincjuską, pan dla mnie aroganckim bucem z Warszawy. I oczywiście możemy w to grać dalej, tyle tylko, że ja naprawdę chcę znaleźć mordercę Eli.

Zjechała z obwodnicy w boczną uliczkę i zaparkowała pod zaskakująco wielkim budynkiem szpitala. Kształt litery L, sześć pięter, lata osiemdziesiąte. Lepiej niż myślał.

– Pan się może śmiać, że to małomiasteczkowa egzaltacja, ale ona była inna. Lepsza, jaśniejsza, czystsza, trudno mi to opisać. Znałam ją, znałam wszystkich, którzy ją znali, znam to miasto lepiej, niżbym chciała. A pan, cóż, nie czas na ściemy, wiem, ile razy panu proponowali przejście do okręgowej, do apelacyjnej, jaką przepowiadali karierę. Znam pańskie sprawy, znam opinie i legendy o białowłosym Teodorze Szackim, herosie Temidy.

W końcu spojrzeli na siebie. Szacki wyciągnął do niej rękę, którą Sobieraj delikatnie uścisnęła.

– Teodor.

– Baśka.

– Zaparkowałaś na miejscu dla niepełnosprawnych.

Sobieraj wyciągnęła z bocznej kieszeni drzwi tabliczkę z niebieskim logo, zaświadczającą inwalidztwo, i położyła na desce rozdzielczej.

– Serce. Dwa zawały. Pewnie i tak nie dałabym rady urodzić.

Artur Żmijewski powinien tu zamieszkać – powiedział Szacki, rozglądając się po zadbanej izbie przyjęć sandomierskiego szpitala. – Mógłby jeździć na rowerze ze swojej parafii prosto do Leśnej Góry.

– I tak tu bywa – odpowiedziała Sobieraj, prowadząc go schodami do piwnicy. – Jak kręcili *Ojca Mateusza*, to uchlał się tak, że wymagał hospitalizacji. Musieli mu wyrównać elektrolity. Znana sprawa, naprawdę nie słyszałeś?

Wykonał ręką nieokreślony gest. Co miał powiedzieć? Że nie słyszał, bo nie udzielał się towarzysko, że przeżywał w samotności swoją depresję? Zwekslował rozmowę na szpital. Naprawdę był zaskoczony, spodziewał się ponurego budynku śmierdzącego pleśnią, jakichś starych koszar w centrum, a ten co prawda czuć było latami osiemdziesiątymi, ale w środku zrobiony był już prawie na ładnie. Skromnie, miło, lekarze uśmiechnięci, pielęgniarki młode, jakby kręcili reklamówkę NFZ-etu. Nawet sala sekcyjna nie budziła obrzydzenia, do warszawskiej trupiarni zawalonej zwłokami miała się jak uroczy pensjonat do baraku w obozie pracy. Na jedynym stole leżały alabastrowe zwłoki Elżbiety Budnik.

Prokurator Teodor Szacki próbował myśleć o niej jako o żonie Budnika, ale nie potrafił. Nigdy nikomu się do tego nie przyznał, ale w obecności zwłok nie potrafił myśleć o nich jak o jeszcze do niedawna żywym człowieku, jedynie traktowanie ich jak kawałka mięsa pozwalało mu nie zwariować, choć ze śmiercią tak wiele miał do czynienia. Wiedział, że to samo działo się w głowach patologów.

Patrzył na niepokojąco białe zwłoki i oczywiście dostrzegł poszczególne elementy. Ciemnoblond włosy, lekko zadarty nos, wąskie usta. Była drobnej budowy, miała małe stopy, wąskie biodra

o wystających kościach miednicy, niewielkie piersi. Pewnie wyglądałaby inaczej, gdyby urodziła dzieci. Czy była ładna? Nie miał pojęcia. Zwłoki zawsze są tylko zwłokami.

Jego wzrok nieustannie wracał do gardła wielokrotnie rozplatanego nieomalże do kręgosłupa – zdaniem Żydów, pewnie też Arabów, to był najbardziej ludzki sposób zadania śmierci. Czy to znaczy, że nie cierpiała? Szczerze wątpił, humanitarność koszernych ubojni też do niego nie przemawiała.

Trzasnęły drzwi, Szacki odwrócił się i jakimś cudem udało mu się po pierwsze, nie zrobić zdziwionej miny, po drugie, nie cofnąć o krok. Ubrany w anatomiczny fartuch przybysz był przedstawicielem jakiejś humanoidalnej rasy olbrzymów. Dwa metry wzrostu, tyleż w barach, postura niedźwiedzia, dłońmi mógłby ładować węgiel do kotła szybciej niż łopata. Do ogromnego ciała przytwierdzona była głowa, o dobrodusznej, zaróżowionej twarzy, słomkowe włosy upięte zostały z tyłu w małą kitkę. Rzeźnik z wielopokoleniowego rodu rzeźników, którzy w genach mają rąbanie półtuszy. Czyż mogło być dla niego lepsze miejsce?

Pokonując lęk, Szacki zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę na powitanie.

– Teodor Szacki, prokuratura rejonowa.

Olbrzym uśmiechnął się sympatycznie i nieśmiało, zawijając dłoń Szackiego w ciepłą górę mięsa, którą miał przytwierdzoną do przedramienia.

– Paweł Rzeźnicki, bardzo mi przyjemnie. Basia o panu opowiadała.

Nie wiedział, czy to żart, więc na wszelki wypadek wziął to za dobrą monetę. Olbrzym wyciągnął z kieszeni fartucha gumowe rękawiczki i naciągnął je z trzaskiem, podchodząc do stołu. Prokuratorzy wycofali się na plastikowe krzeselka pod ścianę.

Lekarz klasnął w dłonie, fala uderzeniowa sprawiła, że drzwi zadygotały.

– Kurczaki, z moimi dziećmi właśnie przedstawię ci ją.

– Przykro mi, Pawle. Zawiozłabym ją gdzie indziej, ale do ciebie mam zaufanie. Jeśli to za trudne... Wiem, że znałeś Elę...

– To już nie Ela – odpowiedział Paweł, wciskając guzik dyktafonu. – Jest 16 kwietnia 2009 roku, oględziny zewnętrzne i otwarcie zwłok Elżbiety Budnik, lat czterdzieści cztery, przeprowadza Paweł Rzeźnicki, biegły w zakresie medycyny sądowej, w zakładzie anatomopatologii Samodzielnego Publicznego Zespołu Zakładów Opieki Zdrowotnej w Sandoźmierzu. Obecni prokuratorzy Barbara Sobieraj i Teodor Szacki. Oględziny zewnętrzne...

Na szczęście Rzeźnicki swoją posturą zasłaniał większość przeprowadzanych przez siebie czynności, Szacki i Sobieraj mogli pograć się w rozmowie. Nie było sensu dręczyć olbrzyma, dopóki nie wiedział więcej niż oni. Szacki zrelacjonował Sobieraj swoją rozmowę z Budnikiem. Rzecz jasna, denatka nie dotarła do niej ani w poniedziałek, ani nigdy, ostatni kontakt miały ze sobą w niedzielę, kiedy składały sobie świąteczne życzenia przez telefon.

– Skąd wiedziałeś, że kłamie? Intuicja?

– Doświadczenie.

Potem opowiedział o swojej korespondencji ze „Sztychem”. W miarę opowieści krew odpływała jej z twarzy, a oczy robiły się coraz większe.

– Powiedz, że żartujesz – wydusiła w końcu.

Zaprzeczył, zdziwiony jej reakcją.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy, prawda? – musiała podnieść głos, w tle hałasowała piła, którą Rzeźnicki przecinał mostek.

- To znaczy, że ten, kto podrzucił ten nóż, miał nadzieję, że sprawa wycieknie do mediów i że rozpęta się tradycyjna polsko-żydowska histeria, a w histerii będzie nam trudniej pracować, bo więcej czasu będziemy spędzali na konferencjach prasowych niż na czynnościach. Spokojnie, nie przez takie burze przechodziłem. Media wszystkim się nudzą po trzech dniach.

Sobieraj słuchała go, jednocześnie kręcąc głową. Skrzywiła się, słysząc nieprzyjemne chrupnięcia. To Rzeźnik przecinał żebra denatki.

- To nie będzie zwykła histeria – powiedziała. – Tutaj tygodniami będą się kręcić dziennikarze. Sandomierz to centrum legendy o krwi, a historia stosunków polsko-żydowskich to na zmianę albo miła kohabitacja, albo oskarżenia i krwawe pogromy, ostatecznie antysemityczne zabójstwa zdarzyły się tu już po wojnie. Jeśli ktoś, nie daj Boże, użyje sformułowania „mord rytualny”, to koniec.

- Mord rytualny to bajka – odpowiedział spokojnie Szacki. – I każdy wie, że to bajka, którą się opowiadało dzieciom, żeby były grzeczne, bo inaczej przyjdzie zły Żyd i je zje. Nie histeryzujemy.

- Nie taka bajka. Żyd to nie wilk i nie zła królowa, to prawdziwa osoba, do której można zgłosić pretensje. Wiesz, jak to wyglądało. Matka-chrześcijanka nie upilnowała dzieciaka, to dalej w krzyk, że Żydzi porwali, zabili. Od słowa do słowa się okazywało, że w sumie to mało kto tych Żydów lubi, ktoś im wisi kasę i skoro się znalazł taki pretekst, to nie byłoby źle puścić z dymem dzieciobójcom parę chałup i warsztatów.

- Dobrze, w takim razie nie bajka, ale zamierzchła historia. Żydów nie ma, warsztatów nie ma, oskarżać kogo nie ma, palić też nie. Ktoś, kto podrzucił tę brzytwę, zapewne bardzo chce, żebyśmy poszli tym tropem.

Sobieraj głośno westchnęła. W tle Rzeźnicki monotonicznie dyktował do protokołu, że wszystkie kolejne narządy nie noszą znamion urazów ani zmian patologicznych.

– Obudź się, Teodorze. Sandomierz to jest wszechświatowa stolica mordu rytualnego. Miejsce, gdzie oskarżenia o porywanie dzieci i związane z tym pogromy były regularne jak pory roku. Miejsce, gdzie Kościół firmował to bestialstwo, nieomalże je zinstytucjonalizował. Miejsce, gdzie do dziś wisi w katedrze obraz przedstawiający mordowanie przez Żydów katolickich dzieci. Jako część cyklu o chrześcijańskim męczeństwie. Miejsce, gdzie zrobiono wszystko, aby tę część historii zamieść pod dywan. Teraz, jak o tym myślę, Boże, to wyjątkowo obrzydliwe...

Szacki patrzył na stół sekcyjny odsłonięty przez Rzeźnickiego, który na stoliku obok kroił narządy wewnętrzne Elżbiety Budnik. Nie użyłby słowa „obrzydliwe”, obraz przed jego oczami – otwarte zwłoki ze zwisającą na boki skórą, z wystającymi z klatki piersiowej białymi końcówkami żeber – był okropny, ale nie obrzydliwy. Śmierć w jej ostateczności cechowała fizjologiczna elegancja. Spokój.

– Obrzydliwe, że ktoś próbuje to połączyć z Elą i Grześkiem.

Spojrzał pytająco.

– Grzesiek całe życie walczył z tym zabobonem, walczył, żeby mówić o tym w sposób właściwy, jako o czarnej karcie naszej historii, a nie swego rodzaju ekscentrycznej tradycji przodków. Długo lata próbował zdjąć obraz albo przynajmniej opatrzeć go odpowiednią tablicą, że zostaje tutaj jako memento polskiego antysemityzmu, przypomnienie, do czego może prowadzić nienawiść.

– I co?

– Kościół załatwia takie sprawy po swojemu. Ani nie zdjęli, ani tablicy nie powiesili. Jak się zrobiło za głośno, to zasłonili zasłonką, na zasłonce powiesili portret papieża i udają, że nie ma sprawy.



Gdyby to nie był obraz, tylko mozaika na posadzce, pewnie przykryliby dywanem.

– Bardzo ciekawe, ale to wszystko nie ma znaczenia. Ktoś, kto podrzucił rytualny nóż, chce, żebyśmy się tym zajęli. Obrazami, historiami, legendami, żebyśmy zaczęli łączyć po kościołach, siedzieć w czytelniach i rozmawiać z naukowcami. To ściema. Nie mam wątpliwości. Martwi mnie jedynie, że to dobrze przygotowana ściema. Że jeśli ktoś zadaje sobie tyle trudu, żeby wpuścić nas w te koleiny, może być za mądry, żeby ta sprawa w ogóle została rozwiązana.

Rzeźnicki podszedł do nich, w swojej gigadłoni miał plastikową torebkę z małym metalowym przedmiotem. Jego fartuch był zaskakująco czysty, nieomalże bez śladów krwi.

– Mój asystent ją zszyje. Chodźmy pogadać.

Pili kawę z plastikowych kubków. Była tak wstrętna, że koniec końców wszyscy pacjenci musieli tutaj trafiać na gastrologię. Szacki był tego pewien. Rzeźnik – okazało się, że naprawdę ma taką ksywkę, bardzo zaskakujące – przebrał się, w szarym golfie wyglądał jak wielki głaz z różową piłką na szczycie.

– Wszystko wam dokładnie opiszę, ale sprawa jest praktycznie ewidentna. Ktoś jej poderznął gardło bardzo ostrym, chirurgicznym wręcz narzędziem. Jednak nie skalpelem i nie żyłką, ponieważ cięcia są za głębokie. Wielka brzytwa, którą mi pokazaliście na zdjęciach, nadałaby się doskonale. To wszystko się stało, kiedy jeszcze żyła, ale musiała być nieprzytomna, inaczej broniłaby się, nie wyglądałoby to tak – przez chwilę szukał słowa – precyzyjnie. A niewątpliwie jeszcze żyła, ponieważ nie ma w niej krwi. Przepraszam za szczegóły, ale to oznacza, że w momencie przecięcia tętnicy szyjnej w układzie krwionośnym jeszcze przez chwilę było ciśnienie, zdolne wypompować krew z organizmu. Ma też zastygłą krew w

uszach, co zapewne oznacza, że w momencie śmierci wisiała do góry nogami, jak – przez twarz Rzeźnika przebiegł bolesny wyraz – jak, za przeproszeniem, krowa w ubojni, co za pieprzony zwyrodnialec musiał to zrobić. Zadał też sobie trud, żeby ją umyć, była zapewne cała we krwi.

– Musimy szukać krwi – pomyślał na głos Szacki.

– Musicie też dowiedzieć się, co to jest – powiedział Rzeźnik, podając im foliową torebkę na dowody. Szacki przyjrzał się uważnie, przełknął ślinę, od torebki bił mięsny zapaszek prosektorium. W środku był metalowy znaczek o przekątnej około centymetra, taki, jakie się nosi w bluzie albo kłapie marynarki. Nie z agrałką, lecz z grubym sztyftem, na który od wewnątrz trzeba nakręcić docisk. Wyglądał staro. Sobieraj nachyliła się, żeby obejrzeć dowód, jej rude włosy połaskotały Szackiego w policzek. Pachniały rumiankiem. Prokurator spojrział na jej zmarszczone w skupieniu czoło, na gęste piegi, którym udało się wydostać na wolność spod warstwy makijażu. Było w tym widoku coś, co go rozczuliło. Ruda dziewczynka, która dorosła, dojrzała, ale ciągle chce ukryć piegi na nosie.

– Gdzieś to widziałam – powiedziała. – Nie wiem gdzie, ale na pewno widziałam.

Znaczek był czerwony, prostokątny. Bez żadnych napisów, jedynie biały, geometryczny symbol. Wyglądał jak wydłużona litera S, tyle tylko, że bardzo zgeometryzowana, dwa krótsze odcinki przylegały do dłuższego pod kątem prostym, wyglądało to idealnie jak połówka swastyki. Od dolnego, krótszego końca dodatkowo odchodził w górę mały dzyndzel.



– Miała to w zaciśniętej dłoni. Musiałem połamać jej palce, żeby to wyciągnąć – powiedział Rzeźnik jakby do siebie, łagodne spojrzenie niebieskich oczu zawisło na jakimś punkcie za oknem, być może na jednej z zabytkowych wież Sandomierza.

Szacki za to patrzył na sympatyczny profil piczki-zasadniczki Sobieraj, na kurze łapki koło jej oczu, na mimiczne zmarszczki w kącikach ust, które mówiły, że dużo się uśmiechała i miała dobre życie. I zastanawiał się, dlaczego Budnik nie chciał, żeby przesłuchiwała go Sobieraj. Bo nie chciał, żeby jej było ciężko? Bzdura. Nie chciał, żeby coś zauważyła. Tylko co?

Kiedy w świetle jarzeniówek sandomierskiego prosektorium asystent Rzeźnika wkładał zmięte gazety do białego trupa najbardziej przez wszystkich ukochanej obywatelki Sandomierza, prokuratorzy Teodor Szacki i Barbara Sobieraj siedzieli na kanapie w gabinecie swojej szefowej i zjadali po trzecim kawałku murzynka, choć nie mieli ochoty nawet na drugi.

Opowiedzieli jej o przesłuchaniu Budnika, o sekcji, o znaczku z dziwnym symbolem, o nożu, który – być może – był narzędziem do rytualnego uboju. Misia wysłuchiwała ich z matczynym uśmiechem, nie przerywała, czasami coś wtrąciła, żeby pomóc im w relacji, jak wzorowa absolwentka kursu aktywnego słuchania. Skończyli, a ona zapaliła zapachową świeczkę, aromat wanilii rozszedł się po gabinecie, razem z zapadającym za oknem zmierzchem i bursztynowym światłem lampy na biurku stworzyło to miłą, świąteczną atmosferę.

Szacki nabrał ochoty na herbatę z sokiem malinowym, ale nie był pewien, czy mimo wszystko nie przegnie, jeśli o nią poprosi.

– Czas śmierci? – zapytała Miszczyk, wyciągając okruchy z miękkiego, zużytego zapewne przez kilkoro dzieci dekoltu. Szacki twardo patrzył jej w oczy.

– Z tym jest pewien problem, widelki są dość duże – odpowiedział. – Na pewno więcej niż pięć-sześć godzin, biorąc pod uwagę stężenie pośmiertne, czyli zamordowano ją najpóźniej we wtorek około północy. A najwcześniej? Patolog twierdzi, że mogła być martwa nawet od Wielkiego Poniedziałku. Krew ze zwłok została spuszczone, czyli nie można wnioskować na podstawie plam opadowych. Zimno było jak diabli, więc żadne procesy gnilne się nie

zaczęły. Będziemy wiedzieli więcej, jeśli się okaże, że ktoś ją widział. Na razie w grę wchodzi okres od opuszczenia domu w poniedziałek do północy następnego dnia. Oczywiście zakładając, że Budnik mówi prawdę. Równie dobrze może być martwa od niedzieli.

– A mówi?

– Nie. Nie wiem, kiedy dokładnie nie mówi prawdy, ale na pewno nie mówi. Jest pod stałą obserwacją, zobaczymy, co wyjdzie z przeszukania domu i posesji. Na razie jest głównym podejrzanym. Okłamał nas, nie ma alibi. Może i ona była święta, ale podobno nie działo się między nimi najlepiej.

– Ludzie zawsze tak gadają, jak komuś się układa – zaprotestowała Sobieraj.

– W każdym gadaniu jest ziarno prawdy – zripostował Szacki.

– A inne wersje?

Sobieraj sięgnęła do swoich papierów.

– Wykluczamy wstępnie mord na tle rabunkowym i seksualnym. Nie ma śladów gwałtu, na napad to za bardzo wydumane. Sprawdzam wszystkich, z którymi robiła wspólne akcje, rodzinę, znajome środowisko artystyczne. Zwłaszcza to ostatnie, Ela była związana z teatrem, a przyznacie, że ma to w sobie coś z przedstawienia.

– Fałsz – skomentował Szacki. – Ale to na razie drugorzędne. Przede wszystkim szukamy krwi. Musimy znaleźć ślady tych kilku litrów, które z niej wypłynęły. Policja będzie przetrząsać miejsca publiczne w mieście i pod miastem, także każdy prywatny lokal, który pojawi się w śledztwie, będzie sprawdzany pod tym kątem.

– Skoro mówimy o krwi – Mischczyk zawiesiła głos i westchnęła, poruszenie tego tematu przyszło jej z trudem – co z wątkiem mordu rytualnego?

– Oczywiście zgarniamy wszystkich Żydów z okolicy – powiedział z kamienną twarzą Szacki.

– Teodor żartuje – szybko wtrąciła Sobieraj, zanim wybrzmiała ostatnia głoska ze zdania Szackiego.

– W życiu bym nie przypuszczała. Że tak szybko przejdziecie na ty. Macie całkowity zakaz rozmów z prasą na temat śledztwa, zwłaszcza prokurator Żartowniś, wszystkich odsyłacie do mnie. Ja się postaram, żeby to śmierdzące jajo się nie stłukło.

Szacki miał wyrobione zdanie na ten temat, nie po to ktoś zadał sobie tyle zachodu, żeby to nie wypłynęło. Postawiłby duże pieniądze, że rano trudno się tu będzie przepchać między wozami transmisyjnymi. Ale skoro Miszczyk bierze prasę na siebie, cóż, nie jego cyrk, nie jego małpy. Zachował te przemyślenia dla siebie, podobnie jak te, że pani prokurator rejonowa właśnie wpisała się w wielowiekową polską tradycję zamiatania pod dywan. W Kościele zrobiłaby błyskawiczną karierę.

Być może było tak dlatego, że Oleg Kuzniecowa był zupełnie inny. Zwalisty, rubaszny, jowialny, próbujący w każdym zdaniu zawrzeć jakiś głupi dowcip. Być może było to kwestią tego, że z Kuzniecowa przez lata się znali, że razem pracowali, razem pili, razem spotykali się po domach. A być może było to kwestią tego, że Kuzniecowa był jego prawdziwym przyjacielem i że prokurator Teodor Szacki kochał go jak brata. I z tego powodu nie potrafił, nie mógł, nie chciał polubić inspektora Leona Wilczura.

Inna sprawa, że inspektor Wilczur słabo nadawał się do lubienia. Umówił się z nim w Ratuszowej, potwornej mordowni w suterenie kamienicy przy rynku, śmierdzącej szlugami, które przez dekady wsiąkały tu w każdy element wystroju, pełnej dziwnego typu klientów i dziwnych kelnerów. Szacki był pewien, że na zapleczu dziwni kucharze dziwnie preparują dziwne mięso, dlatego ograniczył się do kawy i sernika. Sernik czuć było starą kanapą, na której każdy siada, a której się nikomu nie chce uprać. Kawa była sypana. Wilczur wyglądał jak demon. W półmroku, w papierosowym dymie, jego głęboko osadzone żółte oczy świeciły chorobliwie, ostry nos rzucał cień na pół twarzy, policzki się zapadały przy każdym chciwym zaciągnięciu się papierosem.

– Panowie, może po kieliszeczku? – Ton kelnera był grobowy, jakby chodziło o kieliszeczek świeżej krwi.

Odmówili. Wilczur zaczekał, aż kelner odejdzie, potem zaczął mówić, co jakiś czas zaglądając do leżących przed nim papierów albo do małego laptopa. Który na początku zadziwił Szackiego. Inspektor wyglądał raczej na typ człowieka, któremu należałoby oszczędzić tortury tłumaczenia, czym są esemesy.

- Znamy wersję Budnika, możemy ją teraz uzupełnić o różne zeznania. W niedzielę na pewno byli w katedrze około osiemnastej, na pewno wyszli przed mszą, która zaczyna się o siódmej. Mamy na to dwóch niezależnych świadków. Potem byli na spacerze, kwadrans po siódmej złapała ich kamera na Mariackiej.

Wilczur obrócił komputer. Na krótkim nagraniu widać było niewyraźne sylwetki idącej pod rękę pary. Szacki powiększył obraz, pierwszy raz mógł zobaczyć Elżbietę Budnik żywą. Była tego samego wzrostu, co jej mąż, ciemnoblond włosy rozsypywały się po sportowej kurtce, nie miała czapki ani kapelusza. Musiała coś opowiadać, jedną ręką gwałtownie gestykulowała, w pewnej chwili zatrzymała się, żeby poprawić cholewkę kozaczka, przez ten czas Budnik przeszedł kilka kroków. Dogoniła go w trzech małych podskokach, jak dziewczynka, a nie dojrzała kobieta. Przy ubranym w brązową jesionkę i filcową czapkę poważnym Budniku wyglądała jak jego córka, a nie żona. Zrównała się z mężem na granicy widzenia kamery, wsunęła mu rękę do kieszeni. Potem zniknęli.

- Wszystko w porządku, prawda? - Wilczur oderwał filtr od kolejnego papierosa.

Szacki wiedział, o co mu chodzi. Nie było widać między nimi napięcia, kłótni ani upartego milczenia. Ot, para na spacerze w wielkanocny wieczór. To świadczyło na korzyść wersji Budnika, że spędzali jak zwykle święta, poprzytykali się, ona wyszła i... i właśnie, i co?

- Nie złapała jej ta kamera w poniedziałek albo wtorek? - zapytał.

- Nie, posadziłem dwójkę ludzi, żeby przejrzyli od tego momentu do znalezienia zwłok wczoraj rano. Każdą minutę. Nie ma jej. Sprawdziliśmy tę kamerę i drugą przy zamku, jeśli chce się wyjść z Katedralnej do miasta, trzeba przejść obok jednej z nich. Inna droga to tylko przez krzaki albo przez mur i ogród katedry w stronę Wisły.



– Sąsiedzi?

– Zero. Ale proszę spojrzeć na to.

Drugie nagranie było z kamery na rynku, obejmującej fragment knajpianej pierzei, przy której mieściły się Ciżemka, Staromiejska, Trzydziestka i ta kawiarnia, co to Szacki zapomniał, jak się nazywa, bo nigdy do niej nie zaglądał. Cyferki pokazywały, że był wtorek, godzina szesnasta z minutami. Nic się nie działo, kręcili się pojedynczy przechodnie. Otworzyły się drzwi do Trzydziestki i wyszedł z nich Budnik, w przezroczystej foliowej torebce miał dwa „laptopy” – styropianowe pojemniki na jedzenie. Energicznie ruszył w stronę Mariackiej, szybko wyszedł z pola widzenia kamery.

Szacki doskonale wiedział, dlaczego Wilczur pokazał mu ten film.

– Ciekawe, prawda? – stary policjant odchylił się na krześle, wciskając się tak daleko w ciemny kąt pomieszczenia, że częściowo musiał już być na następnej posesji.

– Bardzo. Bo jeśli prawdą jest wersja, że żona opuściła Budnika w poniedziałek...

– To po co niósł jej obiad we wtorek?

– Co by się, owszem, zgadzało, ale z jego pierwszą wersją, absolutnie nieprawdopodobną, którą nawet on porzucił.

Wilczur pokiwał głową – w mroku ruszał się wystający, blady nos. Szacki myślał. Wypalił dziś tylko jednego papierosa, więc zostały mu jeszcze dwa. Intuicja mówiła, że warto je sobie zachować na spotkanie z Tatarską, poza tym przez sam pobyt w tym pomieszczeniu wypalił półtorej paczki. Mimo to wyjął papierosa, Wilczur podał mu ogień. Nawet jeśli był zaskoczony, że prokurator w ogóle pali, nie dał tego po sobie poznać. Milczał, kiedy Szacki układał w głowie możliwe scenariusze. Puzzle wirowały w jego

wyobraźni, ale każdy z innego kompletu, czuł, że dopasowuje je na siłę.

Jeszcze w niedzielę byli razem. Potem on pojawia się we wtorek w knajpie i kupuje dwa obiady. A ona – dopiero w środę, jako alabastrowe zwłoki w krzakach koło starej synagogi. Co się wydarzyło?

Załóżmy, że faktycznie pokłócili się w poniedziałek. Ona wyszła, wściekła ruszyła przez pola w kierunku Wisły, niezauważona przez kamery. Tam dorwał ją tajemniczy szaleniec, zamordował. Tylko dlaczego w takim razie Budnik następnego dnia kupił dwa obiady? Dlaczego na ciele denatki nie ma żadnych śladów walki, ucieczki, nie ma śladu po uderzeniu?

Załóżmy, że pokłócili się w poniedziałek tak bardzo, że Budnik zathukł swoją żonę. Wróć, na ciele nie ma śladów. Załóżmy, że pokłócili się bardzo, wieczorem przycisnął ją poduszką. W piwnicy zamordował, spuścił krew. Wróć, nigdzie w domu nie ma śladów krwi. W takim razie wywiózł w ustronne miejsce, tam zamordował, wróć, kamery nie odnotowały, żeby Budnik wyjeżdżał samochodem. Wyniósł szczelnie zawiniętą – bo znowu nie ma śladów – przez krzaki w ustronne miejsce, zamordował, spuścił krew. Dla niepoznaki, że niby wszystko normalnie, poszedł we wtorek do biura, wziął dwa obiady, żeby mieć alibi. W nocy, znowu przez krzaki, zaciągnął ją na drugi koniec starówki, zostawił. Czy to brzmi wiarygodnie? Absolutnie, po tysiącokroć nie.

To może założmy, że miał plan przygotowany od dawna. Że miał motyw, o którym na razie nic nie wiedzą. Pracuje w urzędzie, zna system bezpieczeństwa, układ kamer. Przedefilował w niedzielę przed kamerą, potem wyciągnął ją na spacer w jakieś miejsce w pobliżu tego, gdzie znaleziono zwłoki. Żeby nie trzeba było ciągnąć trupa przez całe miasto. Ogłuszył, zamordował, wykrwawił. Jak było po wszystkim, podrzucił.

– Jak by nie patrzył, gówno widać, co nie? – zaskrzypiał Wilczur ze swojej ciemności.

Szacki przytaknął. Niestety, nie było widać motywów ani dowodów, a narzędzie zbrodni okazało się sterylne jak przygotowane do operacji narzędzie chirurgiczne.

– To jeszcze jeden odcinek – Wilczur podsunął prokuratorowi laptopa.

Obraz na ekranie był kompletnie biały, kontury kamienic tak blade, że praktycznie niewidoczne, Szackiemu przypomniało się Silent Hill.

– Gdzie to jest?

– Żydowska. Kamera wisi na ścianie synagogi – Szacki odnotował, że Wilczur nie użył słowa „archiwum” – ustawiona w stronę zamku. Po prawej jest parking, za parkingiem krzaki, w których znaleźli Budnikową. Nagranie ze środy rano, kilka minut wcześniej, zanim dostaliśmy zgłoszenie. Proszę patrzeć.

Szacki patrzył, mijały sekundy, minuty, cienka mgła troszkę zrzędła, przejaśniło się, widać było już, że kamera wisi nad ulicą, a nie jest zanurzona w misce z mlekiem. Nagle na dole ekranu pojawiło się czarne półkole, Szacki się wzdrygnął. Półkole ruszyło do przodu w dół ulicy, w miarę jak oddalało się od kamery, okazywało się, że półkole to tak naprawdę górna część kapelusza o kształcie melonika, tylko z bardzo szerokim rondem. Pod kapeluszem znajdował się sięgający ziemi czarny płaszcz, na tyle długi, że nie było widać nóg ani butów. Efekt był upiorny, czarna zjawa w kapeluszu lewitowała przez moment w szarym mleku, by po chwili zniknąć zupełnie. Szacki cofnął obraz, wcisnął pauzę. Bardzo chciał, żeby kojarzyło mu się to z czymś innym, ale nie było rady – we mgle zakrywającej ulicę Żydowską w Sandomierzu płynęła zjawa chasyda. Spojrzał na Wilczura.

– Pan wie oczywiście, co tam było w tych krzakach, gdzie znaleźli Budnikową – zaskrzypiał policjant.

– Mury miejskie?

– Po pierwsze, wyżej, po drugie, dawno i nieprawda. Kirkut. Jej trup leżał dokładnie pośrodku starego cmentarza żydowskiego.

Zimne wieczorne powietrze było jak lekarstwo, antidotum na Ratuszową. Szacki odetchnął pełną piersią, Wilczur obwiązał szyję szalikiem i zapalił papierosa. Z tyłu trzasnęły drzwi, jeden z meneli wyszedł i teraz patrzył niepewnie.

– Panie władzo...

– Dajcie mi spokój, Gąsiorowski. Który to już raz? I zawsze się tak samo kończy, prawda?

– No wiem, panie władzo, ale...

– Ale co?

– Ale to już tydzień, jak Anatola nie ma.

– Gąsiorowski, zlitujże się nad nami. Policja przegania włóczęgów, nie szuka. A już na pewno nie takich z innego powiatu.

– Ale...

– Ale nie ma o czym mówić, do widzenia.

Menel schował się za drzwiami, Szacki spojrzał pytająco. Wilczur nie kwapił się z wyjaśnieniami, a on uznał, że nie musi znać wszystkich bolączek prowincjonalnej policji. Pożegnali się zdawkowo.– Musimy się dowiedzieć, gdzie jest krew Elżbiety – powiedział Szacki, zapinając kołnierz płaszcza. Znowu było lodowato.

– W macy – mruknął Wilczur i rozpląnął się w ciemnościach.

Okna były pootwierane, szedł z nich niewielki chłodek i zapach nocy. Rogi jelenie spały na ścianach, a pod stolikami, na wieszakach i na lustrach czaiły się niebieskie plamy. Twarz w lustrze zamajaczyła jak na dnie jeziora. Wie, że nie może tutaj zostać, z każdym drgnieniem wskazówek zegara w przedpokoju ryzykuje bardziej, całe ciało wbrew rozumowi rwie się do ucieczki. Mimo to musi wytrzymać do soboty. Jeśli wytrzyma do soboty, jeśli do niedzieli nic się nie wydarzy, jeśli w niedzielę wieczorem będzie na wolności – to naprawdę ta Niedziela Miłosierdzia Bożego zasłuży na swoją nazwę.

Kupno porządnej butelki wina na najpiękniejszej polskiej starówce okazało się niewykonalne. W zapyziałych sklepach były tylko jakieś dziwne kwasy i w końcu uznał, że najszybciej będzie zbiec schodami ze skarpy i kupić butelkę frontery w Orlenie przy obwodnicy. Jak pomyślał, tak zrobił, chciał przy okazji kupić pudełko z torcikiem wedlowskim, co wydało mu się sympatycznym warszawskim upominkiem, niestety torcika nie było, wziął więc jakąś bombonierkę, która wręcz wyła, że kupiono ją na stacji benzynowej, i pudełko prezerwatyw. Wrócił na górę, starając się nie spocić za bardzo, ponieważ intuicja mówiła mu, że jeszcze dziś wystąpi bez ubrania. Druga półkula, ta racjonalna, tłumaczyła, że intuicja zawsze to podpowiada każdemu facetowi i że często się to nie sprawdza, ale i tak pilnował, żeby nie podbiegać.

Teraz stał w salonie sędzi Marysi Tatarskiej w jej domu na Żeromskiego i się dziwił. Bardzo się dziwił.

Wystrojowi wnętrza, to raz. Zrozumiał już, że brak, który odczuwa, odwiedzając sandomierskie mieszkania, to brak Ikei. W Warszawie nie do pomyślenia było, żeby przeciętne mieszkanie przedstawicieli klasy średniej nie miało przynajmniej połowy wystroju ze szwedzkiej firmy. Tutaj w lepszych domach obowiązywał styl krakowsko-mieszczański, czyli mnóstwo tkanin z ilością kurzu zdolną zamordować alergika, kredensy i mętne lustra. Zamożniejsi mieszkańcy bez rodowodu mieszkali w willach o wystroju boazeryjno-wypoczynkowym. Biedota to mieszkania w blokach, a w nich brązowe meblościanki i mebelki przywleczone z targowicy. Po Tatarskiej spodziewał się zakurzonego mieszczaństwa, ewentualnie pastelowej nowoczesności, podrabianej Ikei. A zobaczył... hmm, było w tym pomieszczeniu coś z sali szpitalnej. Biel, chrom, lustra i

szkło. Salon był biały, bez żadnej przerośni biały, do tego stopnia biały, że książki na kilku półkach pieczołowicie obłożono w biały papier, na którym ręcznie wypisano tytuły i autorów.

Wystrojowi gospodyni, to dwa. Sędzia Maria Tatarska miała na sobie prostą, czerwoną koktajlową sukienkę i czerwone szpilki. Nie żeby spodziewał się zobaczyć ją w polarze i japonkach, ale jej strój był zbyt wystawny na niezobowiązujący wieczór przy winie. W białym wnętrzu wyglądała jak plama krwi, być może efekt był zamierzony. Szacki w duchu wzruszył ramionami, świadom, że go obserwuje. Lubił normalnie i zwyczajnie, efekciarstwo nie robiło na nim wrażenia, co najwyżej wywoływało żal, że są osoby zdolne włożyć tyle czasu i wysiłku w sprawy nieistotne.

Wystrojowi podwórka, to trzy. Tak, przede wszystkim wystrojowi podwórka, ponieważ ogródek sędzi Marii Tatarskiej był cmentarzem. Nie w przerośni, dosłownie. Szacki zawsze oglądał go od drugiej strony, od głównego wejścia, przechodząc lub przejeżdżając ulicą Mickiewicza. Piękna, zadrzewiona nekropolia rozciągała się prawie do położonej niżej ulicy Żeromskiego. Gdzie stały różne warsztaty kamieniarskie i dom sędzi Tatarskiej. Salon na piętrze znajdował się ciut powyżej poziomu nagrobków, tuż przy murze. Wystarczyło bijące z domu światło, żeby Szacki mógł się zabawiać czytaniem wyrytych w kamieniu nazwisk. Z niepokojem zauważył, że było tam troje czterdziestolatków. Również czterdziestolatków. A jemu zostało kilka miesięcy do urodzin.

Odwrócił się, sędzia siedziała na kanapie z kieliszkiem wina w dłoni, biel i czerwień z trupami w tle, jakże to narodowe, pomyślał Szacki.

– Memento mori – powiedziała, stopę w czerwonej szpilce postawiła na kanapie. Nie miała majtek.

## **Rozdział trzeci**

*piątek, 17 kwietnia 2009*

Dla katolików szósty dzień Oktawy Wielkanocnej, chrześcijanie prawosławni obchodzą Wielki Piątek, Żydzi zaczynają szabat o zachodzie słońca, w Sandomierzu to 18.31. Według hipotezy Molnara mija dokładnie 2015 lat od narodzin Jezusa, świeczki na torcie dmuchają też Jan Borysewicz, Apoloniusz Tajner i Victoria Beckham. W Polsce nudy, premier zyskuje poparcie, rząd traci poparcie, prezydent traci poparcie. Wałęsa przysięga, że nie był agentem i niech go szlag trafi, jeśli kłamie. Na świecie Biały Dom ujawnia, że Bush pozwalał torturować więźniów, UE donosi, że liczba udanych i nieudanych ataków terrorystycznych spada, szkocka policja dzieli się informacją, że pracuje w niej dziesięciu wyznawców jedi, a Watykan wyraża ubolewanie, że rząd Belgii krytykuje Benedykta XVI za krytykę stosowania prezerwatyw. W kinach premierę mają *Vicky Cristina Barcelona* Woody'ego Allena i niedoceniony *General Nil* ze świetną rolą Olgierda Łukaszewicza w roli Fieldorfa. Legia wygrywa w Gliwicach z Piastem 1:0 i zostaje liderem ekstraklasy. W powietrzu czuć wiosnę, w Sandomierzu maksymalna temperatura dochodzi do 20 stopni, niestety, to nie zasługa słońca, jest pochmurno i leje.



Prokurator Teodor Szacki odebrał klasyczne wykształcenie i wiedział, że Eros z Tanatosem od zawsze chodzą pod rękę, znał legendę Tristana i Izoldy, czytał Morsztyna, *Brzezinę* i *Kochanków z Marony*, był nawet okres, kiedy nie zasnął, dopóki nie wsączył w siebie paru kropel erotycznego przygnębienia Iwaszkiewicza. Ale nigdy te dwa pierwiastki nie połączyły się w jego życiu tak dosłownie i w sposób tak przejmujący. Obudził się z posmakiem winnego kaca na języku i zanim zdał sobie sprawę, gdzie jest, poczuł, że do świadomości przywróciło go nie pragnienie, lecz nieznośny, pulsujący ból członka. W miarę odzyskiwania świadomości, powracały wspomnienia wczorajszego wieczoru, kiedy to Tatarska wymęczyła go na sposoby, których wcześniej nie widział nawet na pornosach. Głupio mu było się ulotnić, bo najwidoczniej ona dużo sobie obiecywała, a on nie chciał wyjść na chama, dlatego brał udział bez specjalnego zaangażowania w kolejnych erotycznych ćwiczeniach, z których połowa była tandetna, połowa zwyczajnie głupia, a wszystkie jednakowo wyczerpujące. Opisanie byłyby seksprzygodą, o której się opowiada przez lata, przez dekady wspomina. W rzeczywistości Szacki chciał jak najszybciej zapomnieć o tym incydencie. Bardzo potrzebował prysznic.

Otworzył oko, bojąc się, że zobaczy czyhające na jego przytomność sędziowskie ciało i – po raz kolejny w czasie tej wizyty – się zdumiał. Pół metra od nosa miał szybę, metr za szybą moką lastrykową płytę, na której napisane było: „Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny”. Szacki zamknął oko, nie chciał myśleć o tym, że obudził się po zwierzęcych perwersjach na nagrobku z ewangelicznym cytatem z przypowieści o pannach roztropnych i nieroztropnych, o ile dobrze pamiętał. Jak bardzo by chciał być wczoraj panną nieroztropną, przed którą zamknięto drzwi, nie

wpuszczono jej na imprezę, żeby mu wczoraj sędzia Tatarska powiedziała „zaprrawdę nie znam cię” i odprawiła. Odwrócił się tyłem do zwłok pięćdziesięciodwuletniego Mariusza Wypycha i strzegącego go cytatu z Ewangelii świętego Mateusza. Po drugiej stronie, we wnętrzu było niewiele lepiej, sędzia Tatarska pochrapywała na wznak, usta miała otwarte, twarz błyszcząca i spuchnięta, obfite piersi wlały jej się pod pachy. W świetle kwietniowego dnia jej salon nie był już śnieżnobiały, co najwyżej spranoszarawy. Szacki spojrzął na zegar, zaklął i czym prędzej ewakuował się z pogrzebowego domu rozpusty.

Półtorej godziny później, umyty i wykąpany, siedział już w prokuraturze i miał nadzieję, że szczypanie przy sikaniu to po prostu kwestia otarcia, a nie jakiejś tajemniczej infekcji. Dziwnie pewien, że ma na twarzy wypisaną każdą czynność minionej nocy, zamknął drzwi od gabinetu i zagrzebał się w świecie symboli. Po godzinie wiedział już, że z symbolami jest gorzej niż z nożami – liczba znaków graficznych, stowarzyszeń, mnogość logo, poświęconych im stron internetowych – było tego milion. Postanowił usystematyzować poszukiwania.

Zaczął oczywiście od żydowskich i szybko się rozczarował, ponieważ wiele tego nie było. Gwiazda Dawida, menora, zwoje Tory, Tablice Przymierza, zaskakująco – ręka Fatimy. Zawsze kojarzył ten symbol z Arabami, okazało się, że to też żydowski amulet. Widać z kulturami jak z małżonkami, im bardziej podobne, tym bardziej skaczą sobie do gardeł. Szackiemu przypomniało się, jak kiedyś w Warszawie w sklepie halal nazwał przez przypadek jagnięcinę koszerną. Właściciel mało się nie wysadził z wściekłości. Szacki przejrzał dokładnie litery hebrajskiego alfabetu, ale nie znalazł niczego podobnego. Lektura dotycząca Kabały była interesująca, ale na żadnym z rysunków, schematów, w żadnym z mistycznych pism

nie znalazł nic, co by w zbliżonej choć formie przypominało leżący przed nim znaczek.

Bezskuteczne badanie żydowskich sekt zaprowadziło go do chrześcijaństwa. Przez chrześcijaństwo doszedł do krzyża we wszystkich jego tysiącach odmian, przez moment sądził, że może to jakaś wariacja na temat krzyża prawosławnego, symbol jego połówki, jakiś zakon – ale nie, nic z tych rzeczy.

Od krzyża doszedł do swastyki. Starożytny znak występował w wielu odmianach, przyjrzał się każdej, jako że znaczek trzymany przez Budnikową wyglądał wypisz, wymaluj jak połowa symbolu nazistowskiego z dzyndzlem na dole. Przy okazji zmarnował kilka minut na oglądanie zdjęć bengalskiej aktorki Swastiki Mukherjee, o wyjątkowo apetycznej urodzie. Co prawda rano ślubował, że już nigdy nie będzie uprawiał seksu, ale dla niej zrobiłby wyjątek. Zdziwił się, jak wiele polskich organizacji korzystało kiedyś z emblematu swastyki, zanim stała się symbolem Hitlera i jego pomysłów na aryjski ład. Zwłaszcza na Podhalu był to popularny talizman, obecnie albo wstydliwie zakrywany, albo – jak w schronisku na Hali Gąsienicowej – opatrywany odpowiednimi wyjaśnieniami, żeby żaden turysta nie omdlał z oburzenia. Tradycyjnie polska, słowiańska swastyka zwana była swargą lub swarzą. Tym tropem doszedł do symboli słowiańskich, mozolnie przeglądał znaczki, które pojawiały się na przykład na wyrobach garncarskich z czasów przedchrześcijańskich, ryty rzeźby płaskiej, nalepki na ciasta obrzędowe, znaki z pisanek i hafty. I co? I nic.

Serce zadrżało mu żwawiej, kiedy przypomniał sobie o masonach (nic) i kiedy zagłębił się w kipiący od symboli świat okultyzmu, satanizmu oraz tym podobnych bzdur, których adepci lubią sobie wytatuować coś na tyłku albo naszyć na kurtkę. Też nic.

Odchylił się na krześle, bolała go głowa od kaca i ślepienia w komputer. To wyglądało jak żart, jakby ktoś zadał sobie trud przetrząśnięcia wszystkich symboli świata, aby stworzyć logo

niepodobne do niczego. Musiał pomyśleć. Gapił się w monitor, na którym w kilku różnych oknach tłoczyły się odwrócone gwiazdy, szatańskie mordy i wykresy zaświadczone, że pentagram jest wpisany w plan ulic miasta Waszyngton. Był też alfabet runiczny, który przykuł uwagę Szackiego. Przeciągnął się i zagłębił w nowe symbole. Poznał runy wymyślone przez Tolkiena dla *Władcy Pierścieni*, poznał różnice między poszczególnymi formami tego starogermańskiego alfabetu i w końcu odniósł – fakt, że połowiczny – sukces. Gdyby w jego symbolu zamazać dzyndzel, wyglądałby on jak runa eiwaz. Runa magnetyczna, oznaczająca cis, będąca symbolem przemiany, odpowiadająca znakowi wodnika, doskonały amulet dla przewodnika duchowego, urzędnika państwowego i strażaka. Nawet katoliccy święci nie mieli tak szerokiego spektrum działania. Tylko co z tego wynika? Absolutnie nic, mielizna, marnacja czasu. No i nie ma dzyndzla.

Wściekły wstał z krzesła. Chciało mu się spać, bolała go głowa i członek, w ustach miał kapecę po winie, w mózgu moralny kapecę po sekswyczynach, na dodatek pogoda była taka, że albo do łóżka, albo do knajpy. Chmury wisiały nisko, siąpiło bez przerwy niemrawym, upierdliwym deszczem, woda zbierała się na szybie i ściekała w dół pojedynczymi strumykami. Pomyślał o Elżbiecie Budnik zawieszanej do góry nogami w jakimś magazynie, mordercy obserwującym, jak krew coraz wolniej wycieka z jej szyi. Podstawił wiadro? Miskę? Pozwolił, żeby spłynęła do kratki kanalizacyjnej? Im szczegółowiej wyobrażał sobie tę scenę, tym bardziej drżała w nim struna takiego zwykłego, ludowego, wcale nie prawniczego poczucia sprawiedliwości. Było coś urokliwego w Elżbiecie Budnik na nagraniu z miejskiej kamery. Ładna kobieta, ale z nutą dziewczęcości, kobieta, która nie zapomniła, co to znaczy podbiec w podskokach, zaśmiać się głośno w kinie i zjeść latem gofra z bitą śmietaną, pozwalając, żeby biała kropka została na nosie. Której chciało się robić warsztaty dla dzieci, przedstawienia, imprezy, większość pewnie za darmo albo za psi grosz. Która pewnie już

miała rozpisane wakacje, wiedziała, kiedy kto przyjedzie, kiedy wycieczka, kiedy koncert, kiedy wyjazd do zamku w Ujeździe. Która cieszyła się, kiedy matki jej mówiły, że aż żal, żeby dzieci wyjeżdżały na lato, kiedy tu się tyle dzieje.

Żyła, kiedy powiesił ją do góry nogami, kiedy poderżnął jej gardło. Jasna krew tętnicza najpierw trysnęła mocnym strumieniem, zapieniła się, potem zaczęła płynąć po twarzy w rytm ostatnich uderzeń serca.

Szacki po raz pierwszy poczuł, że bardzo chce zobaczyć sprawcę na sali. Nawet jeśli to oznacza obejrzenie na kacu każdego pieprzonego symbolu, jaki stworzyła ludzkość w swojej historii.

Wrócił do komputera, zapisał, co znalazł o runie eiwaz, i zabrał się do symboli narodowych. Może od tropu żydowskiego właściwszy będzie antysemityczny? Lektura portali narodowych była dość zaskakująca, spodziewał się apeli „Jebać Żydów siekierami” i „Pedały do gazu” okraszonych rysunkami w stylu przedwojennych antysemitycznych paszkwili, a natknął na eleganckie i dobrze zredagowane strony internetowe. Niestety, nigdzie nie było runy z dzyndzlem. Był Szczerbiec, symbol Falangi, krzyż celtycki skinheadów, oczywiście znak „zakazu pedałowania”. Miał już dać spokój, z obowiązku kliknął jeszcze na serwis malopolscy-patrioci.pl i głośno westchnął z ulgą. W nagłówku strony oprócz godła Rzeczypospolitej widniała runa z dzyndzlem, czymkolwiek była.

– Alleluja! – krzyknął głośno i w tej samej chwili do środka włożyła swoją rudą głowę Sobieraj.

– Chwalmy Pana – odpowiedziała. – Opisałam rano ten tajemniczy znaczek mężowi i on mówi, że to jest rodło, symbol Związku Polaków w Niemczech. I że musimy wrócić do szkoły chyba, skorośmy go od razu nie rozpoznali. Pogrzebałam trochę i... masz chwilę?

Szacki zminimalizował szybko wszystkie okna w przeglądarce.

– Jasne, porządkowałem papiery. I oczywiście, że rodło, musiałem być wczoraj nieźle padnięty, że na to nie wpadłem.

Sobieraj spojrzała znacząco, ale nie skomentowała. Usiadła obok, razem z otaczającą ją chmurą perfum, dość owocową chmurą, trochę zbyt owocową na wczesną wiosnę, i rozłożyła na biurku zadrukowane kartki. Na jednej ich symbol, rodło, był nałożony na mapę Polski.

– Spójrz, Teodorze – nie pamiętał, kiedy ktoś się do niego zwracał ostatnio w ten sposób, nauczycielki w szkole chyba. – Tajemnicza połówka swastyki z wichajstrem to symbol kształtu Wisły na mapie Polski. W prawo, potem długo na skos do góry, potem w prawo. A wichajster to miejsce, gdzie Wisła przepływa przez Kraków. Symbol powstał w 1933 roku, po przejęciu władzy przez Hitlera. Naziści wprowadzili swastykę, zakazali używania wszelkich innych symboli niż przez nich zaaprobowane, o białym orle w ogóle nie mogło być mowy, zakaz jego używania utrzymywał się jeszcze z czasów pruskich. I teraz spójrz, co robią nasi sprytni krajanie w Niemczech. Tworzą taki znaczek i mówią Niemcom, że to pół swastyki, Niemcy robią mądre miny, kiwają głowami, mówią: no tak, to ma sens. Prawdziwi Niemcy mają całą wspaniałą swastykę, a Polacy w Niemczech tylko pół, *gut, gut, sicher, bachdzo grzetschna polnische schweine, verstehen?*

– Dlaczego nie *verstehen*, ja wszystko *verstehen* – zacytował Szacki Misia.

– Oczywiście dla naszych to było absolutne przeciwieństwo swastyki, to znaczy tego, co sobą reprezentowała. Rodło było i jest symbolem więzi niemieckiej polonii z Rzeczpospolitą.

– A ta nazwa? To od radła?

– Neologizm, rebus, coś z rodziny i coś z godła, rozumiesz? Pierwsza sylaba słowa „rodzina” i druga słowa „godło”.

Szacki pokiwał głową.

– I co? Istnieje jeszcze ten związek?

– Jak najbardziej, z tego, co mi się udało dowiedzieć, nawet dość pręźnie działa, ma siedzibę w Bochum. To taka organizacja, która wspiera polonusów, reprezentuje ich przed urzędami, pomaga w kłopotach, coś w rodzaju pozarządowego konsulatu. Mają też mocną narodową mitologię, powstałi w latach dwudziestych, musieli działać za czasów rozwoju nazizmu, domyślasz się, co to oznacza.

– Konfiskata mienia, delegalizacja, aresztowania, rozstrzelania, obozy zagłady.

– Dokładnie tak. Dlatego dziś rodło jest też symbolem męczeństwa, polskości i niezłomności w organizacjach narodowych, na przykład kilka drużyn harcerskich używa tego znaku.

– Narodowych w sensie „chłopak i dziewczyna, normalna rodzina”?

– Nie, raczej takich rozsądnie narodowych, patriotycznych.

– Rozsądnie narodowych? – parsknął Szacki. – Gramy teraz w oksymorony?

Sobieraj wzruszyła ramionami.

– W Warszawie może to niemodne, ale na prowincji niektórzy lubią czuć się dumni z tego, że są Polakami.

– Wczoraj mi tłumaczyłaś, że bycie prawdziwym Polakiem w Sandomierzu może mieć bardzo ciemną podszewkę.

– Może zapomniałam dodać, że między odrzuceniem narodu a paleniem synagog w jego imieniu jest spora przestrzeń do zagospodarowania przez ludzi rozsądnych.

Szacki nie chciał polemizować. Nie lubił ludzi, którzy mieli hobby, więcej – obawiał się ich. Naród to było dla niego hobby. Pasja, która do niczego nie jest potrzebna i w niczym nie pomaga, ale która tak angażuje, że w niesprzyjających okolicznościach może

doprowadzić do rzeczy strasznych. Prokurator, jego zdaniem, nie powinien utożsamiać się z narodem, powinien nie wierzyć w nic i nie mieć zasnuwającej umysł mgłą pasji. Kodeks jest precyzyjny, kodeks nie dzieli na lepszych i gorszych, nie patrzy na wiarę i narodową dumę. A prokurator ma być sługą kodeksu, strażnikiem porządku i praworządności. Sobieraj wstała, oparła się o parapet okna.

– A propos palenia synagog – powiedziała, wskazując głową na coś za oknem.

Szacki wyjrzał, po drugiej stronie ulicy stała furgonetka Polsatu, technicy rozkładali umieszczony na dachu talerz anteny. Cóż, nie jego cyrk, nie jego małpy. Zastanawiał się nad dalszymi ruchami. Elżbieta Budnik miała w dłoni znak Związku Polaków w Niemczech, stosowany też przez niektóre organizacje patriotyczne i narodowe. Trzeba będzie pogadać z tutejszymi narodowcami, o ile w ogóle są tacy, sprawdzić harcerzy, prawicowych działaczy.

– Jurek Szyller jest honorowym członkiem Związku Polaków w Niemczech – powiedziała cicho, jakby do siebie Sobieraj. – Coraz dziwniejsza robi się ta sprawa.

– A kto to jest Jerzy Szyller?

Ruda głowa prokurator Barbary Sobieraj odwróciła się wolno w jego stronę. Były chwile, kiedy wydawała się Szackiemu ładna, w taki fajny, kobiecy, niewulgarny i nienachalny sposób. Na ładnej twarzy malowało się zdumienie i niedowierzanie, jakby spytał, kto był poprzednim papieżem albo jak to możliwe, że ten Kaczyński jest w dwóch miejscach jednocześnie.

– Żartujesz, prawda?

Nie, nie żartowałam.



Wysłuchał tego, co Sobieraj ma do powiedzenia o Jerzym Szyllercie, i zaraz po jej wyjściu z gabinetu zadzwonił do Wilczura, kazał mu natychmiast przyjechać. Potrzebował odtrutki dla kolejnego panegiryku, który wygłosiła jego piegowata koleżanka. Z jej opowieści wyłaniał się przystojny patriota, uczciwy biznesmen, płacący w terminie wysokie podatki obywatel, koneser sztuki, erudyta, człowiek światowy. Słowem, kolejna osoba bez skazy w Sandomierzu, mieście ludzi bez skazy, prawych, uczciwych i szlachetnych, którzy tylko raz na jakiś czas wezmą jakiegoś Żyda na widły albo poderzną komuś gardło i zostawią w krzakach.

Wilczur zagłębił się w fotelu, nie zdejmując płaszcza, przyniósł ze sobą wilgoć, chłód i zaczerwieniony nos pośrodku żółtawej twarzy. W pokoju od razu zrobiło się ciemniej, Szacki włączył lampkę i wyłuszczył, w czym rzecz.

– Nie ma tygodnia, żeby nie przyszedł do nas jakiś donos na Szyllera – zaczął Wilczur, odrywając filtr od papierosa. – Że źle zaparkował pod Bramą Opatowską. Że drzewa przed jego biurem zasłaniają światło. Że jego pies nasrał komuś pod drzwiami. Że ma dwa samochody, w jednym jest kratka, a to przecież limuzyna, a nie dostawczak. Że przeszedł przez Mickiewicza na czerwonym świetle, stwarzając zagrożenie dla ruchu drogowego. Że nie przestrzega ciszy nocnej. Że wysmarkał się pod pomnikiem Jana Pawła II, obrażając uczucia religijne katolickich obywateli Sandomierza i tym samym naruszając artykuł sto dziewięćdziesiąty szósty kodeksu karnego.

– To ostatnie to żart?

– Nie. Wyjątek też nie. Chciałbym dostawać złotówkę miesięcznie od każdego sandomierzanina, który go nienawidzi jak psa. –

Wilczur zamyślił się, otoczony chmurą dymu, zapewne wyobrażał sobie, na co by przeznaczył taki majątek.

– Nienawidzą go z jakiegoś konkretnego powodu?

Wilczur zaśmiał się chrapliwie.

– Pan naprawdę nigdy nie mieszkał w małym mieście, prokuratorze. Nienawidzą go, bo jest bogaty, piękny, ma wielki dom i błyszczący samochód. W katolickim świecie może to oznaczać tylko jedno, że jest złodziejem, ciemieżycielem ubogich, który dorobił się kosztem innych.

– A jaka jest prawda?

– Prawda jest taka, że Jerzy Szyller to biznesmen, który ma rękę do nieruchomości, obraca nimi tutaj i w Niemczech, specjalizuje się w miejscach atrakcyjnych turystycznie, słyszałem, że swego czasu skupował od chłopów działki w Kazimierzu Dolnym. Trochę też inwestuje w infrastrukturę, jego jest na przykład ten nowy hotel przy Zawichojskiej. Wiem, że kilka razy go prześwietlała skarbówka i różne urzędy, jest czysty. Dość charakterystyczny typek, ale tego się pan sam dowie.

– Jakie miał stosunki z Budnikami?

– Na pewno nie kochali się z Budnikiem, przez jego przekręty i oddawanie ziemi Kościołowi kilka ładnych działek umknęło Szyllerowi sprzed nosa. Co do Budnikowej, to nie mam pojęcia, facet jest trochę filantropem, na pewno finansował jakieś jej przedsięwzięcia dla dzieci. W ogóle byli z innych bajek. Budnikowie to taka lewicująca inteligencja z „Wyborczej”, Szyller raczej spod znaku „Gazety Polskiej” i biało-czerwonej flagi na maszcie przed domem. Oni byli dla niego trochę komunistami, on dla nich trochę faszystą, grilla na pewno razem nie robili.

Wilczur cierpiał na polską przypadłość, że nawet jeśli mówił o kimś dobrze i neutralnie, to brzmiało to jak inwektywy. Zmęczony

ton, lekkie skrzywienie ust, podniesiona jedna brew, zaciągnięcie się papierosem w miejscu przecinka, zaciągnięcie i strząśnięcie popiołu w miejscu kropki. Ogólna pogarda do świata brudziła każdego, o kim mówił stary policjant.

– Szyller. Żyd?

Złośliwy uśmiezek przemknął po wargach policjanta.

– Po ostatnich zmianach nie prowadzimy ewidencji wyznania i pochodzenia. Ale jeśli wierzyć donosom, stuprocentowy. Także pederasta, zoofil i czciciel szatana.

Wilczur dla efektu podniósł rękę z wyprostowanymi palcami małym i wskazującym, wyglądał teraz jak brzydszy i bardziej zniszczony brat Keitha Richardsa.

Szacki się nie roześmiał.

W telefonie Jerzego Szyllera elegancki niski głos informował po polsku i niemiecku, że właściciel uprzejmie prosi o pozostawienie wiadomości. Szacki nagrał się bez większego przekonania, ale niespełna kwadrans później Szyller oddzwonił, przepaszając, że nie mógł odebrać. Kiedy Szacki zaczął tłumaczyć, w jakiej sprawie dzwoni, przerwał mu uprzejmie, ale stanowczo.

– Oczywiście rozumiem, w pewien sposób spodziewałem się tego telefonu, zarówno państwo Budnikowie, jak i ja jesteśmy w Sandomierzu osobami publicznymi, utrzymywaliśmy – prawie niedostrzegalnie zawiesił głos – chcąc nie chcąc, kontakty. Przyznaję, że specjalnie odwołałem wyjazd do Niemiec, przewidując, że mogą być potrzebny wymiarowi sprawiedliwości.

– W takim razie proszę przyjść na Koseły.

– Cóż, niestety nie jestem aż tak idealnym obywatelem. Odwołałem wyjazd do Niemiec, ale skorzystałem z okazji, żeby pozłatwić sprawy w Warszawie. Jeszcze jestem w stolicy – Szackiemu spodobało się, że użył tego słowa – zaczyna się piątkowy szczyt, zanim wyjadę... Czy to byłby wielki problem, gdybyśmy się spotkali jutro? Proszę wybaczyć moją bezczelność, oczywiście mogę w każdej chwili wsiąść w samochód, ale boję się, że wtedy i tak nie będę wcześniej jak około dwudziestej.

Doświadczenie uczyło Szackiego, że z każdą godziną mijającą od czasu znalezienia zwłok sprawa się rozmywa, a szanse na znalezienie sprawcy maleją. Już chciał ostro zareagować, ale wytłumaczył sobie, że te parę nocnych godzin nie ma żadnego znaczenia.

– Dobrze, spotkajmy się jutro.

– O której mam pojawić się w prokuraturze?

– Ja pojawię się u pana o piętnastej. – Szacki nie miał pojęcia, dlaczego tak odpowiedział, to był impuls, zadziałał śledczy szósty zmysł.

– Oczywiście. W takim razie do zobaczenia?

– Do zobaczenia – odparł Szacki i odłożył słuchawkę, zastanawiając się, dlaczego Szyller zakończył pytaniem. Kindersztuba nie pozwoliła mu zakończyć rozmowy, której nie zaczął? Czy dopuszczał do siebie myśl, że jednak się nie zobaczą?

Do pokoju zajrzała sekretarka szefowej.

Prokurator Teodor Szacki był człowiekiem światłym, znał podstawy psychologii i wiedział, że negatywna identyfikacja to ślepa uliczka. Że człowiek powinien określać siebie przez dobre emocje, przez to, co lubi, co go uszczęśliwia, sprawia mu radość. Że budowanie tożsamości na tym, co go drażni i wkurwia, to wstęp na równię pochyłą zgorzknienia, po której zjeżdża się coraz szybciej, aby na końcu stać się zięjącym nienawiścią frustratem.

Wiedział o tym, starał się z tym walczyć, jak umiał, ale zdarzały się momenty, kiedy zwyczajnie się nie dało. To był jeden z tych momentów. Prokurator Teodor Szacki w swoim nienagannym garniturze i dopasowanym krawacie, wyprostowany, z idealną, szlachetną białą gęstych włosów i srogim spojrzeniem wyglądał za zaimprovizowanym prezydiálním stołem jak ucieleśnienie wymiaru sprawiedliwości. Patrzył na zgromadzoną po drugiej stronie grupkę kilkunastu dziennikarzy i koncentrował się na swoim oddechu, powstrzymując próbujące pojawiać się na jego twarzy grymasy pogardy, które mogłyby uchwycić kamery.

Tak, białowłosy heros Temidy nienawidził mediów szczerze. Z wielu różnych względów. Na pewno dlatego, że były niemiłosiernie, boleśnie, do krwawych torsji nudne i przewidywalne. Na pewno dlatego, że w żywe oczy kłamały i konfabulowały w zależności od potrzeby chwili, żonglując faktami tak, aby pasowały do z góry założonej tezy. Na pewno dlatego, że wypaczały obraz świata, nadając każdemu marginalnemu ekstremum cechy normy i trendu, bo tylko wtedy margines zyskiwał rangę, która usprawiedliwiała międlenie czegoś nieistotnego dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ale to wszystko byłoby jeszcze do zniesienia, pod warunkiem że włożyło się media do szufladki z rozrywkami dla zaburzonych

emocjonalnie. Ktoś lubi oglądać mecze piłki nożnej, ktoś inny pornozy ze zwierzętami, a ktoś TVN24 – ot, różni ludzie, różne pasje. I gdyby Teodor Szacki nie był prokuratorem, pewnie skatalogowałby dziennikarzy obok miłośników dogadzania labradorom i zapomniał o sprawie. Niestety tyle razy w jego śledztwach namieszali debile krzyczący o prawie obywatela do informacji, tyle razy rozdmuchiwanie najbardziej sensacyjnych i krwawych aspektów sprawy mieszało świadkom w głowach, tyle razy mimo próśb i błagań publikowano fakty, które cofały śledztwa o tygodnie lub miesiące – że gdyby dobry Bóg zwrócił się do Szackiego z pytaniem, która grupa zawodowa ma zniecka wyparować, nie wahałby się ani chwili.

A teraz, proszę, okazało się, że może i cyrk nie jego, ale małpy jak najbardziej.

– Czy wytypowali państwo już jakichś oskarżonych?

– Na razie śledztwo prowadzone jest w sprawie, a nie przeciwko. To oznacza, że badamy różne tropy, przesłuchujemy różne osoby, ale nikomu nie postawiliśmy zarzutów. – Misia odpowiadała gładko, ani na chwilę nie zdejmując z twarzy matczynego uśmiechu. Było to już któreś z rzędu głupie, niekompetentne pytanie i Szacki ze zgrozą skonstatował, że na prowincji pismacy byli głupszy od tych w Warszawie.

– Jak państwo skomentują fakt, że ofiara została brutalnie zamordowana nożem do rytualnego koszerne uboju?

Na sali zapanowała cisza. Po obu stronach stołu. Szacki już otwierał usta, kiedy zabrzmiał dźwięczny, w przyjemny sposób wysoki głos Sobieraj.

– Proszę państwa, niestety mam wrażenie, że ktoś próbuje utrudniać śledztwo, rozpuszczając nieprawdziwe plotki, a państwo podążacie za nimi jak owce na rzeź, niekoniecznie rytualną. Faktem jest, że ofiarę pozbawiono życia poprzez przecięcie tętnicy szyjnej, w

bardzo nieprzyjemny sposób. Faktem jest, że posłużyło do tego bardzo ostre narzędzie. Ale nic nam nie wiadomo o rytualnym uboju. Ani koszernym, ani halal, ani żadnym innym.

– Czyli w końcu mówimy o rytuale żydowskim czy arabskim?

– Proszę pana – wtrącił się Szacki – nie mówimy o żadnym rytuale. Powtórzę: żadnym. Skąd państwo w ogóle bierzecie te pomysły? Czy ja coś przegapiłem? Czy teraz u was jest jakaś moda, żeby zabójstwa nazywać mordami rytualnymi? Stała się tragedia, kobieta została pozbawiona życia, wszyscy działamy na pełnych obrotach, żeby wyjaśnić sprawę i doprowadzić do ujęcia sprawcy. Okoliczności zabójstwa nie są w żaden sposób bardziej niezwykle niż dziesiątki zabójstw, z którymi miałem do czynienia wcześniej, a spędziłem piętnaście lat w średniowiejskiej prokuraturze w Warszawie. I wiele widziałem, proszę mi wierzyć.

Miszczyk spojrzała na niego z uznaniem, wyjątkowo bez matczynej aprobaty. Wstała jakaś brzydka dziennikarka w zielonym golfie, oczywiście się nie przedstawiła, pewnie wszyscy powinni ją znać.

– Czy ofiara była Żydówką?

– To nie ma znaczenia dla śledztwa – odpowiedział Szacki.

– Rozumiem, że gdyby ofiarą był na przykład homoseksualista, też by to dla pana nie miało znaczenia? – Z jakiegoś powodu brzydka dziennikarka sprawiała wrażenie obrażonej.

– Miałoby takie samo jak fakt, że grywała w szachy albo chodziła na ryby...

– Orientacja seksualna to dla pana rodzaj hobby?

Salwa śmiechu. Szacki odczekał.

– Wszystko, co dotyczy ofiary i podejrzanych, ma dla śledztwa znaczenie i wszystko jest sprawdzane. Ale doświadczenie uczy, że



rzadko w preferencjach religijnych bądź innych leżą motywy zabójstw.

– A gdzie? – krzyknął ktoś z sali.

– Alkohol. Pieniądze. Stosunki rodzinne.

– Ale taki antysemitowski wybryk zasługuje chyba na specjalne traktowanie? – drażyla dziennikarka. – Zwłaszcza w mieście pogromów, w kraju, gdzie ciągle kwitnie antysemityzm i gdzie dochodzi do ksenofobicznych rozruchów?

– Jeśli pani wie o jakichś antysemitowskich wybrykach, proszę złożyć doniesienie. Mnie nic na ten temat nie wiadomo, na pewno nie ma z tym nic wspólnego śledztwo w sprawie Elżbiety B.

– Ja, proszę pana, ja po prostu chcę napisać prawdę. Polacy zasługują na prawdę o sobie, nie tylko na wypraną i wyprasowaną bohaterszczyznę.

Parę osób zaklaskało, Szackiemu przypomniało się, jak klaskali Lepperowi, gdy ten rechotał, zastanawiając się głośno, czy można zgwałcić prostytutkę. Tak, tamta scena to była esencja prawdy o polskich mediach. Z ostatnią uwagą dziennikarki akurat się zgadzał, niemniej narastało w nim poczucie bezsensu i marnowanego czasu. Spojrzał na Miszczyk i Sobieraj, siedziały przed kamerami bez ruchu, jakby ta heca miała trwać cały dzień.

– Dobrze, proszę pisać prawdę – niestety nie udało mu się ukryć pogardy, widział to na jej twarzy – może przetrze pani szlak kolegom po fachu. Ostatnie pytanie, musimy wracać do pracy.

– Czy jest pan antysemitą, panie prokuratorze?

– Jeśli pani jest Żydówką, to tak, jestem antysemitą.

Był wściekły. Po konferencji uciekł do swojego gabinetu, żeby uniknąć rozmowy z Miszczyk. Zamienił parę słów z Sobieraj i zadzwonił do Wilczura, żeby sprawdzić postępy śledztwa, ale żadnych postępów nie było. Świadkowie się nie pojawili, śladów krwi nie znaleziono, przeglądanie nagrań z kolejnych kamer nie przynosiło rezultatu, Budnik siedział w domu. Przesłuchania kolejnych znajomych Elżbiety Budnik potwierdzały jedynie, że była wspaniałą osobą, wesołą i pełną życia społeczniczką. Nie wszyscy oceniali jej małżeństwo wysoko, ale każdy mówił, że „przynajmniej się przyjaźnili”. Im bardziej akta pęczniały, tym bardziej Elżbieta Budnik była spiżowa, tym bardziej nie pojawiał się jakikolwiek motyw, tym bardziej prokurator Teodor Szacki był sfrustrowany. Z trudem powstrzymał się, żeby nie wsiąść w samochód i nie wyjechać na spotkanie Szyllerowi, przesłuchać go na Statoilu w Kozienicach, zrobić cokolwiek, czegokolwiek się dowiedzieć, popchnąć sprawę do przodu.

W poszukiwaniu świeżej myśli i świeżego powietrza wyszedł z prokuratury, minął stadion, gdzie ciągle trwała jakaś afera w obronie budek z ziemniakami, i zaczął iść Staromiejską w stronę kościoła Świętego Pawła, mijając wille sandomierskiej elity i nowoczesny park Piszczele, urządzony w wawozie o tej samej nazwie. Szacki nie widział tego miejsca przed remontem, ale podobno był to typowy zaułek pod wezwaniem Świętego Jabola, gdzie o każdej porze dnia można stracić dziewictwo wbrew swojej woli. Szedł szybko, energicznie. Było na tyle ciepło, że rozpiął płaszcz, mżawka osiadała na tkaninach ubrania, okrywając Szackiego eteryczną lśniąca zbroją.

Doszedł do kościoła i położonego przy nim malowniczo cmentarza, chmury rozwiały się na tyle, że pięknie było widać wzgórze z sandomierską starówką, od którego Szacki oddzielony był teraz łagodnym wąwozem. Miasto wyglądało stąd jak statek dryfujący po zieleniejących już błoniach. Strzelista sygnaturka katedry znaczyła dziób, kamieniczki wyglądały jak poustawiane na pokładzie kontenery, maszt wieży ratuszowej tkwił dokładnie na środku okrętu, na rufie stała zwalista sylwetka Wieży Opatowskiej. Szacki dokładnie widział stąd charakterystyczny, przysadzisty kształt synagogi i rozciągające się pod nią krzaki, w których znaleziono zwłoki.

Zaczął schodzić w dół, w stronę miasta, mnożąc w myślach możliwe scenariusze wydarzeń. Każdy zaczynał się od kluczowego założenia, że albo zabójcą jest Budnik, albo nie jest nim Budnik. Każdy był tak samo bezsensowny i nieprawdopodobny. Czując narastającą frustrację, szedł coraz szybciej, minał zamek i kiedy w końcu zatrzymał się pod katedrą, był mocno zadyszany.

Katedra była taka sobie, ani ładna, ani brzydka, dość duża, ceglana gotycka bryła z doklejonymi barokowymi elementami na fasadzie. Na pewno każdy przewodnik lal na kościół miód i lukier, rozwodząc się nad jego najstarszymi dziejami, na Szackim budowla nie robiła specjalnego wrażenia, zwłaszcza odkąd dowiedział się, że najładniejsza część, czyli strzelista sygnaturka, to efekt neogotyckiej przebudowy pod koniec XIX wieku. Podszedł do bocznego wejścia, wisiała tam świeżutka, zapewne dziś powieszona kartka z napisem „Absolutny zakaz filmowania i fotografowania!!!”. Widać media już się dały księżułom we znaki.

Wszedł do środka.

Jak na wielkanocną porę, świątynia była zaskakująco pusta. Jedna osoba o wyglądzie turysty kręciła się po wnętrzu, w ławkach nie było nikogo. Koło chóru mężczyzna i kobieta bliźniaczym gestem zmywali kamienną posadzkę. Szacki odetchnął niepowtarzalnym,

nie dającym się z niczym pomylić zapachem starego kościoła, poczekał chwilę, aż oczy przyzwyczajają się do półmroku, i rozejrzał się. Był tu pierwszy raz. Spodziewał się gotyckiej monumentalnej surowizny, czegoś w rodzaju katedry Świętego Jana w Warszawie, tymczasem sandomierska bazylika nie przytłaczała kościelnym dostojeństwem. Podobało się Szackiemu, że architektoniczny szkielet – kolumny i żebra sklepienia – wykonany był nie z czerwonej cegły, lecz białego kamienia, który nadawał wnętrzu elegancji. Wolnym krokiem, który włączał mu się zawsze w kościołach, przeszedł między ławkami i stanął pośrodku głównej nawy, pod imponującym kryształowym żyrandolem. Z jednej strony miał chór zwieńczony koroną organów, z drugiej ołtarz główny i prezbiterium – wszystko po barokowemu przepyszne. Marmurowa chrzcielnica na pękatej nóżce, złote ramy w bocznych ołtarzach, każdy powywijany ornament, pulchne aniołki i ciemne olejne obrazy krzyczały do widza: hej, zrobili nas w XVIII wieku.

Przechadzał się slalomem między kolumnami, oglądając bez zainteresowania rzeźby i malowidła świętych, zatrzymał się na chwilę przy prezbiterium, które jakiś sandomierski Giotto nawet udanie ozdobił scenami z Nowego Testamentu. Szacki patrzył na Ostatnią Wieczerzę, wskrzeszenie Łazarza, na Piłata, Judasza i Tomasza, zestaw nieśmiertelnych motywów, które podobno dwóm miliardom ludzi ofiarowują poczucie pewności, spokój i świadomość, że mogą robić, co chcą, bo w końcu Bóg i tak najbardziej lubi synów marnotrawnych. Kolejne poronione hobby dla zaburzonych, szlag by was wszystkich trafił. Szacki potarł twarz dłońmi, czuł się śmiertelnie znużony.

Odwrócił się gwałtownie od ołtarza, przecież nie po to przyszedł do katedry, żeby podziwiać drugoligową sztukę europejską. Szybkim krokiem zaczął iść główną nawą, między ławkami, w stronę chóru. Pod żyrandolem próbował wyminąć mężczyznę, który jednostajnym gestem robota zamiatał podłogę. Ruch mopa był jak metronom.

- Nie po mokrym - ostrzegł mężczyzna.

Szacki zatrzymał się. Mężczyzna przerwał i spojrzał mu w oczy. Ziemista cera, smutne spojrzenie, czarna koszula zapięta pod szyję. Trochę z zombie, trochę z menela - prawdziwy katolik, radosny i szczęśliwy, że Bóg rozwinął przed nim świetlisty szlak prosto do nieba. Szacki bez słowa cofnął się o krok i skrawkiem suchej podłogi przeszedł do bocznej nawy. Kroki zagłuszały rytmiczne szuranie mopa, który wznowił działalność.

Nie mogło być wątpliwości, gdzie znajduje się słynny obraz. Na zachodniej ścianie, po obu stronach wejścia do kruchty wisiały cztery wielkie płótna. Pierwsze dwa przedstawiały w naturalistyczny sposób dwie rzezie, sądząc po wyglądzie napastników - jakiś najazd tatarski albo mongolski. Niewierni na pierwszym obrazie rozprawiali się z mieszkańcami Sandomierza, na drugim - z łatwo rozpoznawalnymi po białych habitach dominikanami. Po drugiej stronie wejścia znowu rzeź i płonący zamek, tym razem na Tatarów to nie wyglądało, pewnie potop - nikt nie miał takiej tendencji do palenia i wysadzania jak Szwedzi, prawdziwi pasjonaci materiałów wybuchowych, i to na długo przed Noblem. A czwarte płótno? Prokurator Teodor Szacki stanął przed nim, założył ręce na piersiach. Czy to możliwe, żeby miało ono coś wspólnego z morderstwem Budnikowej? Czy naprawdę należy szukać religijnego szaleńca? Odwrócił się w kierunku ołtarza i w myślach poprosił Boga, żeby to nie był religijny szaleniec. Najgorsze są sprawy z szaleńcami. Szaleniec oznacza metry akt, korowody biegłych, spory o możliwość rozpoznania własnych czynów; męka, a jeśli chodzi o wyrok - loteria, niezależnie od materiału dowodowego.

Szacki modlił się i myślał. Z lewej strony systematycznie zbliżało się do niego szur-szur kościelnej toalety. Tym razem kobieta. Przeszła wiadro, zaczęła zmywać, doszła do nóg Szackiego. Przerwała pracę i spojrzała na niego wyczekująco. Była tak samo promieniejąca i wypełniona radością wiary jak jej partner,

sklep z akcesoriami dla samobójców zatrudniłby ją momentalnie. Prokurator cofnął się o krok i zaczął iść w stronę wyjścia wąską alejką suchej posadzki, nie było większego sensu, żeby gapił się na czerwony całun okrywający kontrowersyjny obraz. W ramach nagrody pocieszenia, żeby nie było, że nie ma nic do oglądania, na tkaninie wisiał portret Jana Pawła II.

Szacki wiedział, co jest na obrazie, oglądał go w Internecie. Karol de Prevot nie był może dobrym malarzem, ale miał inklinację do makabry i komiksową zdolność obrazkowej narracji, co podobało się ówczesnemu archidiakonowi katedry, który zlecił artyście malarską dekorację świątyni. Jako że archidiakon Żuchowski był prawdziwym chrześcijaninem i zaprzysięgłym żydożercą, de Prevot udokumentował żydowskie zbrodnie na sandomierskich dzieciach. Na obrazie byli Żydzi kupujący dzieci od matek i sprawdzający ich stan jak bydło na targu, byli Żydzi mordujący, byli fachowcy od odzyskiwania krwi dzięki beczce nabitej gwoździami i pies, który zjadał rzucone mu szczątki. Szackiemu najbardziej utkwiał w głowie widok porzrzucanych na ziemi niemowlęcych zwłok.

Nie udało mu się dojść do drzwi, pomiędzy nim i wyjściem z bocznej nawy były trzy metry mokrej, świeżo umytej podłogi. Chciał po prostu zrobić trzy duże kroki, ale coś go tknęło. Cisza. Nie było kroków, nie było szurania. Mężczyzna i kobieta stali oparci o swoje mopy w identycznych pozach i patrzyli na niego z oddali. W pierwszej chwili chciał wzruszyć ramionami i wyjść, ale w ich oczach był taki smutek, że westchnął i zaczął szukać drogi po suchym. Ścieżka wiła się; czując się jak szczur w labiryncie, doszedł do przeciwległej strony kościoła – bardzo daleko od wyjścia. Ale wyglądało na to, że teraz ma otwartą drogę do ołtarza i z tamtej strony dojdzie do drzwi. Mężczyzna i kobieta, uspokojeni jego zachowaniem, wrócili do pracy.

Idąc blisko ściany, Szacki patrzył na mijane obrazy, też zresztą dzieła barokowego komiksiarza de Prevota. Patrzył i szedł coraz

wolniej, aż w końcu stanął. Katolickie wychowanie nie pozwalało mu użyć słowa „pornografia” w opisie tego, co widział – ale też żadne inne słowo nie oddawało tak dobrze istoty rzeczy. Wielkie obrazy miały jeden temat – śmierć. Śmierć realistyczną, krwawą, męczeńską, na dodatek w setkach odsłon. W pierwszej chwili Szacki nie pojął, dlaczego przy każdym trupie jest numererek, potem spostrzegł, że obrazy opatrzone są łacińską nazwą miesiąca, i zrozumiał, że to rodzaj perwersyjnego kalendarza. Po małej makabrze na każdy dzień roku. Stał właśnie przy marcu, tortury były tak wymyślne, jakby chciały oddać całą beznadzieję zimnego i błotnego polskiego przedwiośnia. 10 marca konał przybity włóczniami do drzewa Aphrodosius, dwa dni później szpadel przecinał szyję Micdoniusa, wzrok przykuwały flaki owijające się krwawą wstęgą wokół zębatego czegoś, co przeszło 31 marca ich kumpla w męczeństwie Beniamina. W kwietniu było ciut lepiej, zrzucanie ze skarpy do rzeki, obcinanie głów, ciągnięcie za koniem i rozszarpywanie przez dzikie bestie. Jednego chyba gotowano, wyraz twarzy nie wskazywał na ciepłą kąpiel. 12 maja natknął się na Teodora. Akurat jego imiennik mógł mówić o łagodnym wymiarze kary – utopiony z ciężarem u szyi. Szacki poczuł absurdalną ulgę, że to nie jego patron, on sam obchodził imieniny w dniu wspomnienia Teodora z Tarsu, zakonnika i intelektualisty z VII wieku.

Szedł dalej, malarska makabra odrzucała go i przyciągała jednocześnie, jak leżąca na poboczu drogi ofiara wypadku. Podziwiał inwencję de Prevota, jak na 365 dni zadziwiająco mało tortur się powtarzało, choć ukrzyżowania i podrzynania gardeł były zdecydowanie na topie.

Udało mu się w końcu dojść w pobliże drzwi, przyspieszył kroku, bo kościelny w czerni najwyraźniej usiłował zamalować ostatni kawałek suchej posadzki przy wyjściu. Zatrzymał się przy listopadzie, miał urodziny jedenastego. Cóż, akurat ten męczennik naprawdę zasłużył na kanonizację. Nie dość, że w nieprzyjemny sposób powieszono go na haku, to jeszcze dla pewności nogi

obciążono odważnikiem, a ciało przeszyto włócznią. Szacki pomyślał ponuro, że to beznadziejna wróżba, jakby ktoś chciał mu powiedzieć, że zawsze znajdzie się miejsce na troszkę dodatkowego męczeństwa.

Kościelny chrząknął znacząco. Szacki oderwał wzrok od wizji barokowego pornografa.

– Znalazłem swoje urodziny – powiedział bez sensu.

– To nie urodziny – odparł sprzątający zaskakująco wesołym tonem – to wróżba, jak pan skończysz.

Na zewnątrz było listopadowo. Mokro, ciemno, zimno. Prokurator Teodor Szacki zapiał płaszcz i wyszedł przez furkę na Kościelną, zaczął iść w stronę rynku. Spojrzał w kamerę, tę samą, która po raz ostatni uchwyciła Elę Budnik, jak poprawiała cholewkę kozaczka, a potem w trzech podskokach doganiała swojego męża. Przez głowę przeleciała mu myśl, żeby zająć do Budnika, ale dał spokój.



Na zewnątrz ciągle pada, zima żegna się z Ziemią Świętokrzyską zmęczonym, słabym płaczem. Tutaj jest sucho i ciepło, gdyby nie rozpalone oczy siedzącego w kącie mężczyzny, byłoby nawet przytulnie. Niewielkiego wzrostu, szczupły, ze spętanymi rękami i nogami, przypomina dziecko, tylko ryża broda wystająca spod knebla zdradza, że ofiara jest dojrzałym człowiekiem. Budzi litość, ale to niczego nie zmienia. W oddali zegar na wieży ratuszowej bije cztery razy na pełną godzinę, potem wybija drugą. Jeszcze doba. Jeszcze tylko doba. Niestety, nie może jej przeczekać tutaj, trzeba jeszcze zajrzeć do psów i wrócić na górę. Na szczęście drugi akt już dobiega końca.

## **Rozdział czwarty**

*sobota, 18 kwietnia 2009*

Siódmy, przedostatni dzień Oktawy Wielkanocnej dla katolików i Wielka Sobota dla prawosławnych chrześcijan; szabat w całym żydowskim świecie. Tadeusz Mazowiecki świętuje swoje 82. urodziny. Jarosław Kaczyński twierdzi, że tylko PiS może ocalić demokrację w Polsce, a Leszek Miller przekonuje, że nie było afery Rywina ani w ogóle żadnych afer w rządzie SLD. Na świecie parlament Somalii wprowadza szariat w całym kraju, Bułgaria wpada w panikę, bo znany astrolog przepowiada trzęsienie ziemi. A w Usti nad Łabą setki neofaszystów z Czech, Słowacji, Węgier i Niemiec świętują zbliżające się urodziny Hitlera, napadając na romskie osiedle. Łukasz „Flappyhandski” Fabiański w swoje 24. urodziny broni słabo, Arsenal przegrywa z Chelsea i odpada w półfinale z Pucharu Anglii. W Sandomierzu złodzieje wycinają sześć jabłoni i śliwę. Sześćdziesięcioletnie drzewa były warte tysiąc złotych. Wieczorem w klubie w podziemiach ratusza głośna impreza, Soundomierska Strefa Rocka. Pierwszy w miarę wiosenny dzień. Ciepło, słonecznie, nie pada.

Posłuchajcie tego. Rabin i ksiądz jadą w jednym przedziale, czytają, cisza, pełna kultura. Mija chwila, ksiądz odkłada książkę i mówi: „Tak z ciekawości: wiem, że nie wolno wam jeść wieprzowiny. Ale... nie próbował pan nigdy?”. Rabin zamyka gazetę, uśmiecha się i mówi: „Szczerze? Zdarzyło mi się”. Po chwili dodaje: „I tak z ciekawości: wiem, że obowiązuje was celibat...”. Ksiądz mu przerywa: „Wiem, o co panu chodzi, i od razu odpowiem, że tak, uległem raz pokusie”. Uśmiechają się, wyrozumiali dla swych niedoskonałości, ksiądz wraca do książki, rabin do gazety, czytają, cisza. Nagle rabin mówi: „Lepsze niż wieprzowina, co nie?”.

Szacki znał ten dowcip, ale roześmiał się szczerze, lubił dowcipy o Żydach.

– Dobra, to jeszcze jeden...

– Jędrek...

– Ostatni, obiecuję. Pascha, piękny dzień, Mosze zabiera lunch do parku, siada na ławce i wsuwa. Dosiada się do niego jakiś niewidomy człowiek, a że Mosze w świąteczny czas czuje do ludzi serdeczność, to częstuje go kawałkiem macy. Niewidomy bierze macę, obraca ją w dłoni, mina mu rzednie, w końcu mówi: „Kto napisał to gównno?”.

Tym razem Szacki wybuchnął śmiechem już bez żadnych ale, dowcip był przedni, poza tym świetnie opowiedziany.

– Jędrek, proszę cię! Teodor pomyśli, że jesteśmy jakimiś antysemitami.

– Dobra rodzina z Kielecczyny. Opowiadałaś, jak się poznaliśmy na zlocie ONR? Co to była za noc, w świetle pochodni wyglądałaś jak aryjska królowa... Ała!

Andrzej Sobieraj uchylił się przed rzuconym przez żonę kawałkiem chleba, ale zrobił to tak niezgrabnie, że wyrzucił łokciem o kant stołu. Spojrzał na nią z wyrzutem. Szacki zawsze czuł się niezręcznie, będąc świadkiem bliskości między ludźmi, dlatego tylko uśmiechnął się półgębkiem i suto polał swój kawałek kiełbasy musztardą grillową. Dziwnie się czuł, targały nim emocje, których nie potrafił nazwać.

Mąż piczki-zasadniczki Sobieraj, której Szacki mimo rosnącej sympatii nie potrafił przestać tak nazywać w myślach, był dość typowym misiem. Takim, co to nigdy, nawet za swoich najlepszych lat, nie był amantem, do którego kobiety nie wzdychały i o którym nie śniły, ale wszystkie go lubiły, bo i pogadać można, i się pośmiać, i poczuć bezpiecznie. Potem oczywiście wybierały tajemniczych przystojniaków, alkoholików i dziwkarzy, pewne, że miłość ich zmieni, a ufny misio trafiał się żonzie, która potrzebowała kogoś do pomiatania i wyreki. Sobieraj mimo wszystko na taką nie wyglądała, akurat ten misio trafił dość szczęśliwie. I szczęśliwie też wyglądał, szczęśliwie i sympatycznie. Sympatyczna była jego koszula w kratę, wciśnięta w stare, tanie dżinsy. Sympatyczna była jego krępa, lekko pękata, grillowo-piwna sylwetka. Sympatyczne były spokojne oczy, wąsy wkręcające się do ust i cienkie zakola, dwie przecinki w lesie szpakowatych, falujących włosów.

– Już się tak nie rzucaj – powiedział Sympatyczny Andrzej do żony, obracając kawałki kiełbasy na grillu. – Kto jak kto, ale pan prokurator się chyba z powodu antysemityzmu nie obrazi. Z tego, co piszą w gazetach...

Sobieraj parsknęła, Szacki uśmiechnął się z grzeczności. Niestety, wczorajsza konferencja przewinęła się przez media, Niestety, prawie wszystkie pisały o „tajemniczym mordzie”, o

„antysemickich podtekstach”, o „brunatnym podłożu”, jedna gazeta ze szczegółami przytoczyła historię miasta i zasugerowała w komentarzu, że „nie jest do końca pewne, czy śledczy zdają sobie sprawę z delikatności materii, z jaką przyszło im się zmierzyć”. A to dopiero początek, jeśli szybko nie rozwiążą sprawy albo jeśli szybko nie pojawi się coś nowego, żeby padlinożercy mieli na czym żerować, będzie tylko gorzej.

– Właściwie to czemu w ogóle mówimy o antysemityzmie? – zapytał Sobieraj. – Ela nie była Żydówką, z tego, co wiem, nie miała z nimi nic wspólnego, nie organizowała nawet koncertów klezmerskich, jedyny jej kontakt z judaizmem to recital piosenek ze *Skrzypka na dachu* kilka lat temu. Jej zabójstwo nie jest więc chyba faszystowskim aktem? A samo pojawienie się słowa „żydowskie” w dowolnym kontekście nie musi od razu oznaczać, że kontekst jest antysemicki.

– Mirmilku, nie filozuj – zbyła jego wywód Sobieraj. – Elcie zabito żydowskim nożem do rytualnego uboju bydła.

– No wiem, ale jeśli odrzucimy histerię, to logiczniej byłoby chyba przesłuchać w takiej sytuacji żydowskich rzeźników niż tych, którzy nienawidzą żydowskich rzeźników? Czy też jesteśmy tak poprawni politycznie, że nawet hipotetycznie nie możemy rozważyć, że sprawca jest Żydem lub ma bliskie związki z tą kulturą? A przez to na przykład dostęp do narzędzi?

Szacki przez moment rozważał słowa dolatujące z chmury dymu nad grillem.

– Nie do końca tak jest – odpowiedział. – Z jednej strony masz rację, ludzie mordują się tym, co jest pod ręką. Rzeźnik tasakiem, wulkanizator łyżką do opon, fryzjer nożyczkami. Ale z drugiej strony zwykle pierwsze, co robią, to starają się zatrzeć ten ślad. A tutaj narzędzie zbrodni leżało obok zwłok, na dodatek umyte, wyjałowione, starannie dla nas przygotowane, żeby nie dać żadnych

poszlak poza jedną: że to jakaś brudna żydowsko-antysemicka sprawa. Dlatego uważamy, że to ściema.

– Może i ściema, ale rozumiem, że takiej rytualnej brzytwy nie kupuje się w Biedronce.

– Nie, nie kupuje – przyznał Szacki. – Dlatego staramy się dowiedzieć, skąd pochodzi.

– Z umiarkowanymi sukcesami – dopowiedziała Sobieraj. – Na rękojeści jest lekko zatarty napis „Grünewald”, koresponduję z muzeum noży w Solingen, żeby się czegoś dowiedzieć. Twierdzą, że to może być jakaś mała przedwojenna manufaktura z dzielnicy Grünewald, właśnie w Solingen. Tam do dziś się wszędzie produkuje jakieś ostrza, noże i brzytwy, a przed wojną było takich warsztatów i manufaktur dziesiątki. Część na pewno żydowska. Zobaczymy. Jest w idealnym stanie, wygląda bardziej na zabytek, element czyjejś kolekcji, niż faktycznie używany chalef.

Szacki skrzywił się, słowo „kolekcja” skojarzyło mu się ze znienawidzonym słowem „hobby”. Ale jednocześnie pchnęło myśli na nowy tor. Nóż to kolekcja, kolekcja to hobby, hobby to antykwariat, a antykwariat to... Wstał, lepiej myślało mu się na chodząco.

– Czyli że gdzie się kupuje takie fanty? – Sobieraj wypowiadał na głos myśli Szackiego. – Na giełdach? W antykwariatach? W tajnych melinach?

– Internet – odpowiedział Szacki. – Allegro, ebay. Nie ma dziś na świecie antykwariatu, który by nie sprzedawał przez Internet.

Wymienili z Sobieraj porozumiewawcze spojrzenia, jeśli nóż został kupiony na internetowej aukcji, to po transakcji musiał zostać jakiś ślad. Szacki segregował w głowie czynności, które trzeba będzie wykonać w poniedziałek, żeby to sprawdzić. Zamyślony odchodził w głąb ogrodu, zostawiając z tyłu dom Sobierajów i ich samych. Kiedy zawracał, obchodząc jabłonkę dookoła, miał już gotową listę, ale zamiast satysfakcji z nowego pomysłu czuł

niepokój. Dobrze mu znany, uporczywy jak ból zęba niepokój. Coś przeoczył, na coś nie zwrócił uwagi, popełnił błąd. Był tego absolutnie pewien, wałkował w kółko wydarzenia ostatnich dni, żeby dostrzec tę skazę. I nic. To było jak wiszące na końcu języka nazwisko, którego za żadne skarby nie możemy sobie przypomnieć. Nieznośne swędzenie w środku czaszki.

Widział teraz w pełnej krasie willę, domek raczej, Sobierajów. Stał w dzielnicy Kruków, czyli jak na warunki sandomierskie daleko od miasta, blisko obwodnicy, za kominem widać było kościół po drugiej stronie szosy, z charakterystycznym dachem w formie wywróconej do góry nogami łodzi. Szacki z trudem przyzwyczajał się, że posiadanie własnego domu nie oznacza tutaj – jak w Warszawie – luksusu i przynależności do elity, która wyrwała się z blokowisk, że to taki sam średnio klasowy standard jak pięćdziesiąt metrów mieszkania w dużym mieście. Ale o ileż bardziej ludzki. Było coś naturalnego w wyjściu z salonu na taras, w ogrodzie z kilkoma jabłonkami, w leniwej sobocie spędzanej na leżakach przy grillu, w oddychaniu pierwszymi zapachami wiosny.

Nie znał tego świata, ale wydawał mu się bardzo piękny i zazdrościł tym, którzy go nie doceniali i bez końca potrafili narzekać na dom i ogród, na bezmiar pracy przy nich, na to, że zawsze jest coś do zrobienia. Nawet jeśli, to miejskie soboty w mieszkaniach, na basenach, w centrach handlowych, w samochodach i na śmierdzących ulicach były w porównaniu z tym jak wyrok. Czuł się niczym więzień, który po czterdziestu latach odsiadki został wypuszczony na wolność. Nie wiedział, jak się zachować, całym ciałem odczuwał dyskomfort nieprzynależności. Wszystko w nim nie przynależało. Jego samotność do ich przyjaźni – bo miłości nie był pewien – jego zimna wielkowiejskość do ciepłego prowincjonalnego gniazda, cięte riposty do snujących się opowieści bez pointy, wyprasowany garnitur do sportowych ciuchów, w końcu cola do piwa. Tłumaczył sobie, że gdyby nie przesłuchanie, to siedziałby rozwalony w swetrze i kończył drugi browar, ale znał siebie aż za do-

brze. Na tym to polegało, że prokurator Teodor Szacki nigdy nie siedział rozwalony w swetrze.

Zrobiło mu się ciężko, wolnym krokiem wrócił do Sobieraj, jej mąż zniknął wewnątrz domu. Trawa tłumiała kroki – albo nie słyszała, jak stanął tuż za nią, albo udawała, że nie słyszy. Wystawiła piegowatą twarz do słońca, sięgające ramion rude włosy założyła za uszy, w przedziałku widział dokładnie krótkie odrosty, typowa mysz polska, już z delikatnymi śladami siwizny. Mały nos, śliczne pełne usta, nawet bez makijażu wyraźnie odcinające się brzoskwiniowym kolorem od bladej cery. Miała na sobie moherowy golf i długą plisowaną spódnicę, bosa stopy położyła na taborecie – typowym polskim taborecie z białymi nogami i zielonkawym siedzeniem. Śmiesznie ruszała palcami u stóp, jakby chciała je rozgrzać, lub wybijała rytm nuconej w myślach piosenki. Wydała mu się spokojna i ciepła. Nieskończenie daleka od kobiet, z którymi miał do czynienia ostatnio, właścicielkę starannie wygolonych cipek, miłośniczek wulgarnych jęków i ostrego rżnięcia w szpilkach. Szacki pomyślał o czekającej go wieczorem klubowej randce z Klarą i głośno westchnął. Sobieraj leniwie odchyliła głowę i spojrzała na niego.

– Piegi ci wychodzą – powiedział.

– Ja nie mam żadnych piegów.

Uśmiechnął się.

– Wiesz, dlaczego cię zaprosiłam?

– Bo zauważyłaś, jaki jestem przerażająco samotny, i przestraszyłaś się, że jak strzelę samobójca, to ten żydowski szajs spadnie na twoją głowę?

– Tak, to powód numer jeden. A powód numer dwa... uśmiechniesz się jeszcze raz?

Uśmiechnął się smutno.



– No właśnie. Nie wiem, jak ci się życie ułożyło, Teodorze, ale mężczyzna z takim uśmiechem zasługuje na coś więcej, niż ci się teraz wydaje. Rozumiesz, o czym mówię?

Złapała go za rękę. Miała suchą, chłodną dłoń osoby z niskim ciśnieniem. Odwzajemnił uścisk, ale co miał powiedzieć? Wzruszył tylko ramionami.

– W Sandomierzu zimy potrafią być po prowincjonalnemu potworne, ale teraz zaczyna się wiosna – powiedziała, nie puszczając jego dłoni. – Nie będę ci opowiadała, co to znaczy, sam zobaczysz. I... – zawahała się – i nie wiem dlaczego, ale pomyślałam, że powinieneś opuścić to ciemne miejsce, w którym siedzisz.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc się nie odezwał. Rosnąca pod mostkiem kula emocji wymykała się jego kontroli. Skrępowanie, wzruszenie, zażenowanie, zazdrość, smutek, ból przemijania, zadowolenie z dotyku chłodnej dłoni Barbary Sobieraj, zazdrość raz jeszcze – nie potrafił zapanować nad kulą śniegową emocji. Ale było mu bardzo przykro, że taka zwykła rzecz, jak spędzenie z kimś leniwego wiosennego poranka w przydomowym ogrodzie, nigdy nie stała się jego udziałem. Bez sensu takie życie.

Sobieraj wyszedł na taras z dwoma piwami w ręku, uchwyt jego żony rozluźnił się, Szacki dopiero teraz wyjął rękę z jej dłoni.

– Muszę lecieć na to przesłuchanie – powiedział tylko i skłonił się sztywno.

Prokurator Teodor Szacki odszedł szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie, po drodze odruchowo zapiał górny guzik grafitowej marynarki. Kiedy zamykał furtkę, układał już w głowie scenariusze rozmowy z Jerzym Szyllerem. Nic więcej go nie interesowało.

Wszystko kryją mogiły, a to co zostało, jakieś bardzo jest dalekie i zawoalowane takimi uczuciami, których nie może pojąć. Taka siła żalu i zawziętości, taka żądza zniszczenia, po prostu chęć zemsty. Żeby zająć myśli, w kółko, do znudzenia, powtarza w głowie wszystkie elementy planu, wydaje się, że nie może być mowy o błędzie, ale strach nie jest przez to mniejszy, napięcie nie znika. Chce uciekać, ale plan nie przewiduje ucieczki, musi czekać. Potworne jest to czekanie, dźwięki są za głośne, światła za jasne, barwy za jaskrawe. Tykanie zegara na ścianie jest dokuczliwie niczym kuranty z ratusza, każda kolejna sekunda doprowadza do pasji. Ma ochotę wyjąć baterie, ale to nie znajduje się w planie, zepsuty zegar może być tropem, poszlaką, wskazówką. Ciężko, bardzo ciężko jest wytrzymać.

Szacki już miał wcisnąć guzik dzwonka, ale cofnął rękę i ruszył wolno wzdłuż ogrodzenia posesji. Czy Szyller go obserwuje? Nie widział twarzy w oknie, nie widział ruchu firanki, nie było też kamer. Pije kawę? Ogląda telewizję? Czyta wywiad z Leszkiem Millerem i klnie na czym świat stoi? A może to ten rodzaj patrioty, który nigdy nie sięgnie po „Wyborczą”? Gdyby on czekał na prokuratora prowadzącego śledztwo w sprawie o zabójstwo, raczej nie potrafiłby się skupić na codziennych czynnościach. Sterczałby w oknie albo stał na ganku i przekraczał dzienny limit papierosów.

Dom Jerzego Szyllera stał na zboczach wąwozu Piszczele, bo gdzieś miałby stać dom jednego z najznamienitszych i najbogatszych sandomierzan. Sądząc po rozmiarach sąsiednich posesji, właściciel musiał połączyć trzy albo cztery działki, dzięki temu gustowny dworek polski mógł być otoczony zadbanym ogrodem. Żadnych szaleństw, żadnych ścieżek z granitowych płyt, oczek wodnych i świątyń Diany, tylko kilka drzew orzechowych, wiosenna, świeżo wyrosnięta trawa, wino oplatające z jednej strony werandę. Gdyby nie charakterystyczny portyk wsparty na pękatych kolumnach i gdyby nie biało-czerwona flaga zwisająca dość smętnie na maszcie przed wejściem, Szacki pomyślałby: Niemcy. Chociaż nie, w Niemczech byłoby to czuć stylizacją, plastikowe okna byłyby podzielone złotymi szprosami, a w domu Szyllera było coś autentycznego. Kolumny sprawiały wrażenie drewnianych i zmęczonych, dach lekko ugiął się pod ciężarem gontu, cały budynek przypominał dostojnego staruszka, który świetnie się trzyma, ale swoje lata ma. Taki Max von Sydow wiejskiej architektury.

Wcisnął dzwonek, gospodarz odezwał się tak błyskawicznie, że musiał trzymać rękę na domofonie. Czyli jednak.

\*

Jerzy Szyller przynudzał monotennie, Szacki pozwalał mu gadać. Jego rozmówca był wbrew pozorom otwartości i jowialności niezwykle spięty, zachowywał się trochę jak pacjent u onkologa, który będzie rozmawiał o wszystkim, byleby nie usłyszeć wyroku. Udając życzliwe zainteresowanie, prokurator przyglądał się gospodarzowi i otoczeniu.

– Proszę wybaczyć, że zachowam nazwę miejsca dla siebie, chyba nie było w tym nic nielegalnego, ale nie chciałbym oczywiście, żeby ktokolwiek miał kłopoty.

– Ale przetransportował pan całość, czy tylko część? – zapytał Szacki, myśląc, że Szyller używa zbyt wielu słów. Zagłusza napięcie w sposób, który obserwował setki razy.

– Dwór był dość zniszczony, powstał w połowie XIX wieku, jak pan może przypuszczać, po wojnie nikt się nim oczywiście nie opiekował, popadł w ruinę, ale też miał na tyle szczęścia, że Białorusini nie zamienili go w jakiś sowchoz, myślę, że był zwyczajnie zbyt mały, poza tym ziemie w okolicy nieurodzajne. Moi fachowcy go rozebrali belka po belce, już tutaj trzeba było wymienić i uzupełnić około dwudziestu procent konstrukcji, dach został odtworzony na podstawie kilku przedwojennych zdjęć, które zachowały się w rodzinie Wyczerowskich. Zresztą potomkowie hrabiostwa pojawili się u mnie przed dwoma laty, musi pan wiedzieć, że to bardzo miła...

Szacki wyłączył się. Za chwilę wypchnie Szyllera z tej upierdliwej narracji, ale to zachwilę. Teraz rejestrował. Tembr głosu Szyllera, przy powitaniu niski i aksamitny, wchodził niepostrzeżenie na coraz wyższe tony. Dobrze, niech się podenerwuje. Nie widział obrączki, nie widział nigdzie zdjęć kobiet, nie widział zdjęć dzieci, biorąc pod uwagę fakt, że Szyller był klasycznie przystojnym, dobrze sytuowanym mężczyzną w sile wieku – dziwne. Możliwe, że był gejem. Przemawiałaby też za tym jego staranna garderoba i

nienachalna, ale wysmakowana elegancja wewnątrz. Zamiast obrazów w złożonych ramach – kilka grafik i rycin, w tym reprodukcje ilustracji Andriollego do *Pana Tadeusza*. Zamiast przodka z szablą – portret gospodarza, w stylu Dudy-Gracza, a może nawet samego Dudy-Gracza, cholera wie.

Szyller skończył nudny wywód o transporcie dworu z Białorusi do Sandomierza i klasnął z emfazą w dłoń. Gejostwo plus jeden, pomyślał Szacki. I dodał za chwilę jeszcze jeden punkt, kiedy gospodarz zerwał się, żeby przynieść czekoladki, przełożone – jeszcze raz plus – na małą kryształową paterę. Minus jeden za ruchy – Szyller ruszał się energicznie i miękko, ale nie było w tym przegięcia, ta miękkość kojarzyła się raczej z ruchami drapieźnika.

Usiadł, zakładając nogę na nogę. Sięgnął do mankietów koszuli typowo męskim gestem człowieka, który wszedł do domu i chce odtrąbić koniec dnia, podwijając rękawy. Jednak cofnął dłoń, zanim dotknęła guzików. Szacki zachował kamienną twarz, ale poczuł gwałtowne uderzenie niepokoju. Coś było nie tak.

– Zaczniemy – powiedział, wyciągając dyktafon z kieszeni marynarki.

Szacki konsekwentnie grał znudzonego i – żeby było jasne – tak naprawdę trochę się nudził, ale chciał uśpić czujność Szyllera i pozwolić mu się wygadać. Odebrał dane osobowe, pouczył o odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań, zdziwił się uprzejmie, że przesłuchiwany ma pięćdziesiąt trzy lata – faktycznie nie wyglądał na więcej niż czterdzieści pięć – i teraz od kwadransa słuchał o relacjach Szyllera z małżeństwem Budników. Same okrągłe oczywistości. Z nim kontaktował się rzadko, wie pan, kontakty biznesu z politykami nie są dobrze widziane, cha, cha, cha, choć oczywiście znali się i wpadali na siebie w czasie oficjalnych imprez.

Jak by określił charakter tych kontaktów? Sporadyczne, poprawne, może nawet życzliwe.

– A denatka?

– Elżbieta – poprawił go z naciskiem Szyller.

Szacki tylko wskazał ręką dyktafon.

– Z Ela znamy się nieomalże od dnia, kiedy tu wróciła.

Jeszcze nie przywykł do czasu przeszłego, Szacki go nie poprawił.

– Od jej małżeństwa?

– Mniej więcej.

– Jak wyglądały państwa kontakty?

– Wie pan, jeśli się w Sandomierzu szuka sponsora na cokolwiek, to lista jest dość krótka. Huta, ja, kilka zakładów, kilka hoteli, od biedy knajpy. Nieomalże nie ma dnia, żeby ktoś nie prosił. Koncert, biedne dzieci, chorzy staruszkowie, deskorolki dla klubu deskorolkowców, gitary dla nowej kapeli, napoje na wernisaż. Rozwiązałem to tak, że jeden z księgowych dysponuje pewną kwartalną kwotą na cele, nazwijmy to, sandomierskie. On wybiera projekty, ja je zatwierdzam, oczywiście.

– Jak duża jest to kwota?

– Pięćdziesiąt tysięcy kwartalnie.

– Denatka z nim się kontaktowała?

– Elżbieta – znowu podkreślenie – rozmawiała z księgowym albo bezpośrednio ze mną.

Szacki zaczął wypytywać bardziej szczegółowo, jeszcze kilka razy podrażnił Szyllera „denatka”, ale żadnych wartościowych informacji nie wyciągnął. Znali się, może nawet przyjaźnili, on fundował (lub nie, ale raczej tak) jej różne wariackie pomysły w

rodzaju wystawienia *Shreka* na sandomierskim zamku. Być może, tak się chwilami wydawało Szackiemu, biznesmen z białoruskiego dworku podkochał się lekko w Budnikowej.

– W dalszym ciągu będzie pan tak hojnie dotował lokalne życie kulturalne?

– Oczywiście. O ile uznam proponowane projekty za tego warte. Nie jestem instytucją państwową, mam luksus wspierania tego, co mi się podoba.

Szacki zanotował w myślach, żeby sprawdzić, co zyskuje, a co nie akceptację wielmożnego pana.

– Słyszałem, że nie kochał pan – prawie niedostrzegalnie zawiesił głos, aby zobaczyć reakcję rozmówcy – Budnika? Że jego działalność w magistracie nie była na rękę pana interesom.

– Plotki.

– W każdej plotce jest ziarno prawdy. Rozumiem, że prężnemu biznesmenowi, który chce działać w przejrzystych warunkach, nie musi odpowiadać, że miasto oddaje w ramach rekompensaty za wielowiekowe krzywdy nieruchomości Kościołowi, żeby potem obracać nimi poza systemem zamówień publicznych ku wiekuistej chwale wszystkich zainteresowanych. No, nie pana, rzecz jasna.

Szyller spojrział na niego czujnie.

– Myślałem, że pan jest tu nowy.

– Nowy: tak, ze Szwecji: nie – spokojnie zripostował Szacki. – Wiem, jak ten kraj funkcjonuje.

– Albo nie funkcjonuje.

Szacki gestem dał do zrozumienia, że się zgadza.

– Cieszę się, że jest pan taki zgodny. Jako urzędnik państwowy. To wraca wiarę w Rzeczpospolitą.

No proszę, pan nudzikoń potrafi być błyskotliwy, pomyślał Szacki. Tyle tylko, że nie ma czasu na puste przekomarzanki.

– Jest pan patriotą? – zapytał gospodarza.

– Oczywiście. Pan nie?

– W takim razie nie powinno panu przeszkadzać, że ktoś działa na korzyść Kościoła, jedynie słusznej katolickiej wiary. – Szacki nie uznał za stosowne odpowiedzieć na pytanie, jego poglądy nie miały tu nic do rzeczy.

Szyller wstał gwałtownie. Kiedy nie kulił się na kanapie, sprawiał wrażenie potężnego mężczyzny. Dość wysoki, szeroki w barach, mocnej budowy. Taki typ, na którym nawet garnitur z supermarketu będzie dobrze leżał. Szacki pozazdrościł, jego musiały być szyte na miarę, żeby nie wyglądały jak powieszzone na kiju od szczotki. Gospodarz podszedł do barku i Szackiemu przez krótką chwilę wydawało się, że sięgnie po widoczną z daleka metaxę, ale Szyller przyniósł butelkę jakiejś snobistycznej wody mineralnej i nalał im po szklance.

– Nie jestem pewien, czy to temat naszej rozmowy, ale największym i najbardziej szkodliwym idiotyzmem w dziejach Polski jest utożsamienie patriotyzmu z tą pedofilską sektą. Przepraszam za mocne słowa, ale wystarczy mieć trochę rozumu, żeby zobaczyć, że Kościół stoi nie za największymi naszymi osiągnięciami, tylko za klęskami. Za krwiożerczym mitem o przedmurzu chrześcijaństwa, za pornograficzną żądzą męczeństwa, za podejrzliwością wobec bogatych...

Tu cię boli, pomyślał Szacki.

– ...za lenistwem, zabobonem, biernym czekaniem na boską pomoc, w końcu za nerwicą seksualną i za bólem tych wszystkich biednych par, których nie stać na in vitro i którym nie będzie dane cieszyć się potomstwem, bo państwo boi się mafii onanistów w czarnych kieckach. – Szyller spostrzegł, że ponoszą go emocje, i



opanował się. – Dlatego tak, jestem patriotą, staram się być dobrym patriotą, chcę, żeby moje czyny świadczyły o mnie i chcę być dumny z mojego kraju. Ale proszę mnie nie obrażać posądzeniami, że jakąś żydowską sektę stawiam ponad inne zabobony i nazywam to patriotyzmem.

Szacki poczuł odrobinę sympatii do tego faceta, nikt jeszcze nigdy nie wyraził tak celnie jego własnych poglądów. Zachował tę myśl dla siebie.

– Patriotyzm bez katolicyzmu i antysemityzmu, naprawdę, tworzy pan nową jakość – po raz kolejny skierował rozmowę na interesujące go tematy. Widział, że są one też bliskie gospodarzowi, wyraźnie się rozkręcał, rozluźniał, znać było, że takie rozmowy wielokrotnie toczyły się w tym domu.

– Proszę się nie obrazić, ale myśli pan poprawnymi stereotypami, wdrukowano panu, że najlepszy obywatel to lewicowy kosmopolita o krótkiej pamięci. A patriotyzm to rodzaj wstydlivego hobby, które idzie w parze z ludowym katolicyzmem, ksenofobią i oczywiście antysemityzmem.

– Czyli jest pan niewierzącym, kochającym Żydów patriotą?

– Powiedzmy, że jestem niewierzącym polskim patriotą i antysemitą.

Szacki podniósł brew. Albo gość nie czytał gazet, albo jest pieprznięty, albo pogrywa z nim w jakiś pokrętny sposób. Intuicja mówiła mu, że raczej to ostatnie. Niedobrze.

– Zdziwiony? – Szyller rozsiadł się wygodniej na kanapie, wyglądało to, jakby mościł się w swoich poglądach. – Nie wyciąga pan kodeksu, nie stawia mi zarzutów o nawoływanie do nienawiści na tle rasowym?

Szacki nie skomentował. Miał ważniejsze rzeczy na głowie. Poza tym wiedział, że Szyller i tak powie swoje. To ten typ.

– Widzi pan, żyjemy w dziwnych czasach. Po Zagładzie każdy, kto odważy się przyznać do antysemityzmu, staje ramię w ramię z Eichmannem i saltuje Hitlerowi, patrzą na niego jak na zboczeńca, który marzy o tym, żeby rozdzielać rodziny na rampie. Tymczasem między pewną rezerwą wobec Żydów, ich roli w historii Polski i ich obecnej polityki, a nawoływaniem do pogromów i ostatecznego rozwiązania jest pewna różnica, zgodzi się pan ze mną?

– Proszę mówić dalej, to bardzo ciekawe – zachęcił go Szacki, nie chcąc wdawać się w otwartą kłótnię. Szczerze musiałby odpowiedzieć, że każda próba oceny ludzi poprzez przynależność do grupy narodowej, etnicznej, religijnej czy jakkolwiek innej jest dla niego obrzydliwa. I że jest pewien: każdy pogrom miał swoje źródła w kulturalnej dyskusji o „pewnej rezerwie”.

– Niech pan spojrzy na Francję i Niemcy. Czy okazując rezerwę wobec przybyszów z Algierii i Turcji, stają się od razu faszystami i mordercami? Czy może to po prostu obywatele zaniepokojeni przyszłością swojego kraju, zaniepokojeni rozrastającymi się gettami, brakiem asymilacji, agresją, obcym elementem, który rozsadza ich kulturę?

– Nie przypominam sobie, żeby Żydzi w przedwojennej Polsce palili dorożki, organizowali się w mafie i żyli z przemytu narkotyków.  
– Szacki opieprzył się w myślach za to, że nie powstrzymał riposty. Daj mu mówić, człowieku, daj mu mówić.

– Tak pan mówi, bo nie żył pan w tamtych czasach...

– Faktycznie, jestem trochę młodszy od pana. Szyller tylko parsknął.

– Nie wie pan, jak to wyglądało. Że Polak z Żydem z sąsiedniej dzielnicy nie mogli się dogadać, bo mówili różnymi językami. Że żydowskie dzielnice niekoniecznie były zadbanymi skansenami interesującej kultury. Brud, nędza, prostytutka. Zazwyczaj czarna dziura na mapie miasta. Ludzie, którzy bardzo chcieli żyć w

rozwijającej się Polsce, ale nie chcieli dla niej pracować i walczyć dla jej dobra. Słyszał pan o batalionach żydowskich w powstaniach narodowych? O starozakonnych oddziałach w legionach? Ja nie. Siedzieć cicho i czekać, aż Polacy się wykrwawią, żeby móc potem zająć jeszcze kilka ulic w wyludnionym mieście. Tak, sądzę, że gdybym żył w tamtych czasach, nie byłbym ich fanem, niezależnie od szacunku dla Tuwima i Leśmiana. Tak samo jak dziś nie zgadzam się z tym, żeby każdy pełen agresji i ksenofobii ruch Izraela na Bliskim Wschodzie był momentalnie rozgrzeszany, bo przecież Zagłada. Wyobraża pan sobie, co by było, gdyby Niemcy zaczęli się odgradzać kilkumetrowym murem od tureckich osiedli?

Szacki sobie nie wyobrażał. Więcej: nie chciał sobie wyobrazić. Nie chciał też opowiadać o Berku Joselewiczu. Chciał znaleźć mordercę Elżbiety Budnik, najlepiej razem z niepodważalnymi dowodami, postawić zarzuty, napisać akt oskarżenia i wygrać w sądzie. Tymczasem siedział w tym irytująco doskonałym salonie, w którym poza tandetnym porożem nad lustrem nie było się do czego przyczepić, słuchał mętnych światopoglądowych wynurzeń i trafiał go szlag. Czuł, że zaangażowanie Szyllera podszyte jest rutyną, wyobrażał sobie gości przy stole, rozlewanie wina minimum pięć dych za butelkę, zapach perfum minimum dwie stówy za trzydzieści mililitrów, poledwicę wołową minimum siedem dych za kilogram. Szyller w swojej koszuli za minimum trzysta bawi się spinką za Bóg wie ile i pyta, co by było, gdyby Niemcy. Goście potakują, uśmiechają się ze zrozumieniem: ależ on to potrafi ująć w słowa, co za mówca ten nasz Jurek.

– Tamtych czasów nie ma, Żydów nie ma, może pan dziękować komu trzeba.

– Błagam, stać pana na więcej. – Szyller wydawał się autentycznie zdruzgotany odżywką Szackiego. – Jestem antysemitą, ale nie zboczonym faszystą. Gdybym miał boski wybór i mógł cofnąć Zagładę, świadom, że Polska zostaje ze swoimi przedwojennymi

problemami, cofnąłbym, nie wahałbym się ani ułamka sekundy. Ale teraz, kiedy to się stało i nie odstanie, jest smutnym faktem historii, bliźną na dziejach świata, gdyby pan się teraz spytał, czy zniknięcie Żydów z Polski było dla niej dobre, to odpowiadam: tak, dobre. Tak samo jak dziś zniknięcie Turków z Niemiec byłoby dobre dla naszych sąsiadów.

– Tak, polskie dzieci w końcu są bezpieczne.

– Mówi pan o mordzie rytualnym? Ma mnie pan za idiotę? Myśli pan, że ktokolwiek rozsądny może brać na poważnie tę bzdurę, tę miejską legendę o straszliwych, rzeczywistych konsekwencjach?

– Podobno w każdej legendzie jest ziarno prawdy – prowokował dalej Szacki.

– Widzi pan, właśnie o tym mówię. Wystarczy słowo krytyki i już jestem oczywiście faszystą, gotowym maszerować z pochodniami przez miasto, krzyzczeć, że polskie dziecko na macę porwali. Kraj przesądów, przekłamań, uprzedzeń i hysterii. Ciężko jest być tutaj patriotą.

Nowoczesny antysemita przerwał, zadumał się nad swoimi słowami, zapewne dostrzegł w nich zaskakującą nawet dla siebie głębię.

– Szyller – powiedział z namaszczaniem Szacki. – Prawdziwie polskie nazwisko.

– Niech pan nie kpi, to nazwisko starej polskiej arystokracji z Ukrainy, proszę przeczytać *Sławę i chwałę*.

– Nie przepadam za Andrzejewskim.

– Iwaszkiewiczem.

– Zawsze mi się mylą te socrealistyczne pedały. – Szacki uśmiechnął się głupkowato.

Jerzy Szyller obdarzył go spojrzeniem pełnym pogardy, rozlał resztkę wody i poszedł do kuchni, pewnie po nową butelkę. Szacki myślał. Rozmawiał już wystarczająco długo, żeby poznać reakcję rozmówcy, uważał swój wewnętrzny wykrywacz kłamstw za nastrojony. Na dodatek dał się poznać jako idiota, co zawsze pomaga. Pora przejść do rzeczy naprawdę istotnych. Czuł spokój, ponieważ był pewien, że nie wyjdzie od Szyllera z pustymi rękami. Czegoś się dowie. Nie wie jeszcze czego, ale czegoś na pewno. I to coś będzie ważne.

Prowadzący długą Polaków rozmowę Jerzy Szyller i prokurator Teodor Szacki z kilku rzeczy nie zdawali sobie sprawy. Szacki – że wbrew intuicji i oczekiwaniom wcale nie zbliża się do szybkiego rozwiązania sprawy, przeciwnie, każda minuta spędzona na dyskusji go od tego finału oddala. Szyller – że znudzona mina prokuratora to maska i że jego rosnące przeświadczenie, jakoby śledczy był typowym niekompetentnym urzędnikiem, jest boleśnie błędne. Obaj – że należą do bardzo nielicznej grupy sandomierzan, którzy mogą, a mimo to nie oglądają siódmego odcinka przygód ojca Mateusza.

Irena i Janusz Rojscy mniejszością żadną nie byli, siedzieli obok siebie na kanapie, żałując, że to nie Polsat, gdzie w przerwie na reklamę można się wysikać, zrobić herbatę i obgadać, co się wydarzyło do tej pory. Artur Żmijewski właśnie przeprowadzał wizję lokalną w zaniedbanym domu opieki, której pensjonariusz z cudzą pomocą przeniósł się na tamten świat.

– Gdzie oni to kręcili? Bo na pewno nie u nas. Robią tyle zamieszania, a potem jeździ tylko rowerem po rynku w te i we wte. Nie zazdroszczę, po tych kocich łbach.

Rojska nie wdawała się w dyskusję, zrządzenie męża przestała zauważać jakieś dwadzieścia lat temu, na półmetku ich wspólnej przygody. Dziś jej mózg do tego stopnia zamieniał je w szum tła, że nawet nie zagłuszało serialowych dialogów.

– Albo początek? Widziałaś to, jak ojciec Mateusz nowe kino otwiera? Książ! Kino! W Sandomierzu! Przecież ta czarna mafia zabrała nam kino koło katedry. Bo się okazało, że to wszystko kościelne, a jakże, to dostali i zrobili tam dom kultury, w którym się głównie dzieje, żeby biskup z okien nie patrzył, jak młodzież na

amerykańskie filmy chodzi, i się nie gorszył. I co? I nie ma w Sandomierzu kina. No, chyba że w *Ojcu Mateuszu*.

– Nie bluźnij.

– Nie bluźnię. Na Boga złego słowa nie powiedziałem, a na czarnych i na scenarzystów mogę gadać, ile chcę. Polski kryminał, jak Boga kocham, takie kryminały jak wszystko inne. Co to za kryminał, w którym się gównem dzieje, na dodatek od początku wiadomo, o co chodzi. O, spójrz, Maliniak. Jak on się nazywa?

– Kłosowski. To po co oglądasz?

– Oglądam, bo chcę zobaczyć swoje miasto w telewizji. I oczywiście nie mogę, bo oni to podobno gdzieś pod Warszawą kręcą, tutaj ani kościoła, ani zakrystii, tylko rynek i rower. A komenda w urzędzie skarbowym, to akurat dobre. Poza tym pamiętasz, jak byliśmy na kawie i akurat kręcili? Trzeba oglądać, nie wiadomo, w którym odcinku będziemy, wszystkie nagrywam na wszelki wypadek. O, spójrz, Turecki.

– Turecki to był Gajos, a to jest Siudym.

– Nawet nieźle się trzyma, nie rozumiem, czemu go ci grafomani wsadzili do domu starców.

– Jest dyrektorem.

– Aha. Myślisz, że nas dzieci też oddadzą do domu starców? Ja wiem, to nie jest przyjemny temat, ale może sami powinniśmy zaproponować? Ja wiem, że czujemy się młodo, ale ja już mam siedemdziesiątkę, ty sześćdziesiąt siedem, nie wolno uciekać od takich tematów. Dla mnie codzienne wchodzenie na nasze drugie piętro to jest wyzwanie. A i im by pewnie łatwiej było, ktoś by się opiekował nami, byłiby spokojni. A tak naprawdę ten dom starców mi niestraszny, bylebyśmy razem byli.

Rojaska złapała męża za rękę, poczuli to samo wzruszenie. Na ekranie Artur Żmijewski w swoim sandomierskim kościele pod

Warszawą prosił wiernych, żeby modlić się o samotnych i cierpiących, żeby zaznali miłości, że nigdy nie jest za późno, aby kochać i być kochanym. Rojski pogłaskał żonę po przedramieniu, czasami zastanawiała się, dlaczego mąż bez przerwy do niej gada, skoro potrafią się idealnie porozumieć bez słów. Ot, zagadka.

– Wiesz, pomyślałam o Zygmuncie.

– Tym z serialu? – Tamten denat miał na imię Zygmunt.

– Nie, naszym Zygmuntem...

– Swoją drogą, to dziwne, że wszyscy o tym imieniu mają minimum siedemdziesiątkę. Nawet w serialach. Wyobrażasz sobie w ogóle Zygmunta niemowlaka? Nie, zawsze jakieś zgrzybiałe dziadki.

– Pomyślałam, że może byśmy poszli się pomodlić za samotnych, żeby jeszcze kogoś pokochali. Zygmunt jest taki dziwny, jak mu Ania odumarła, to się postarzał chyba z piętnaście lat, martwię się o niego. I pomyślałam, że wielu jest takich ludzi.

Przez chwilę oglądali w milczeniu serial. Rojska myślała o wszystkich samotnych przyjaciółach, Rojski, że dobre serce jego żony nigdy nie przestanie go zaskakiwać i że jest największym szczęściarzem na świecie, bo go kiedyś zechciała ta córka piekarza z warkoczem do pasa.

– To może dziś pójdziemy? Pomodlimy się i będziemy mieli mszę z głowy, jutro nie będziemy musieli iść.

– Nie, dziś chyba nie. Chciałam jeszcze zrobić roladę na jutro, może Krysia wpadnie, poza tym wiesz, co o tym sędzę, do kościoła trzeba chodzić w niedzielę. Nie jesteśmy jakimiś Żydami, żeby szabas święcić.

Pokiwał głową, co prawda, to prawda. Najbardziej przekonała go jednak rolada, jego żona potrafiła wyczarować z wołowiny prawdziwe dzieła sztuki, gdyby krowa je zobaczyła, byłaby dumna, że oddała życie dla czegoś tak cudownego. Rojski przy każdej



sposobności powtarzał wyświechtany bon mot, że jeśli zabije go cholesterol, to będzie odchodził z uśmiechem na ustach. Bo było warto.

– Pozornie uśpione sumienie nagle budzi się – mówił na ekranie sandomierski biskup głosem Sławomira Orzechowskiego. – Nie jest to przyjemne, bo prowadzi do uczucia bezradności, rozgoryczenia, bólu. I wtedy On pomaga nam się podnieść z kolan.

Irena i Janusz Rojscy nie poszli dziś do kościoła, u niej zadecydowały względy światopoglądowe, u niego – rolada. Przytuleni do siebie oglądali piękne ujęcie Sandomierza z lotu ptaka w ostatniej scenie odcinka, myśląc, jak spokojne, niewinne jest ich miasto.

Pod pozorem odważnych i kontrowersyjnych poglądów Szyller był niesłuchanie płytki, a jego erudycja okazała się zręcznym żonglowaniem stereotypami, niczym więcej. Do takich wniosków doszedł prokurator Teodor Szacki, wysłuchując wywodów przesłuchiwanego o Niemczech. Jako honorowy członek Związku Polaków w Niemczech miał mnóstwo do powiedzenia na ten temat, nic z tego nie było interesujące – nie było też zbyt pozytywne, sugerował, że Polacy to prześladowana mniejszość. Na dodatek Szyller miał specyficzny sposób mówienia, który zapewne podobał się kobietom, ale niezmiernie drażnił prokuratora. Niezależnie od rangi sprawy, wszystko wypowiadał z zaangażowaniem i staranną emfazą, dość podniesionym tonem, co mogło sprawiać wrażenie, że to człowiek męski, pewny siebie i swoich poglądów, który wie, czego chce, i zazwyczaj to dostaje. A tak naprawdę Jerzy Szyller był po prostu skoncentrowanym na sobie egotykiem, uwielbiającym brzmienie własnego głosu, dlatego tyle staranności wkładał w wypowiedzane kwestie.

Werbalny onanizm, skomentował w myślach Szacki, słuchając historii rodzinnej Szyllera. Był potomkiem jednego z pierwszych członków Związku, stąd jego wysoka pozycja i honorowe członkostwo. Urodził się w Niemczech, miał mały dom w Nadrenii Północnej-Westfalii, niedaleko Bochum, gdzie mieściły się władze – jak mówił – Bundu. Ale więcej bywał w Sandomierzu lub mieszkaniu w Warszawie, które nazywał w kółko służbówką, jakby to miało być zabawne.

– Czy zna pan ten symbol? – prokurator wyciągnął z teczki wydruk rodła, niechętnie, bał się, że skrzywi się na kolejne emfatyczne „oczywiście”.

– Oczywiście! Przecież to rodło, właśnie symbol Bundu, dla nas nieomalże święty znak. Nie wiem, czy zna pan historię jego powstania, akurat miałem honor usłyszeć ją od samej autorki, Janiny Kłopockiej...

– Znam – przerwał Szacki. – Przepraszam, jeśli moje pytanie wyda się panu głupie, ale w jakiej formie używacie rodła? Sztandary, herby, papier firmowy, koszulki, jakieś znaczki w klapie marynarki?

– Wie pan, nie jesteśmy sekta, oczywiście rodło pojawia się wszędzie tam, gdzie oficjalnie występuje Związek, ale nie wieszamy go obok Orła Białego. Ostentacja nigdy nie jest wskazana.

Szacki wyciągnął zdjęcie znaczka, który trzymała denatka. Specjalnie przygotował dość zwyczajne, które nie sugerowało, że to ważny dowód w sprawie. Podsunął Szyllerowi.

– Czy członkowie Związku często noszą coś takiego?

Szyller oglądał zdjęcie.

– Jedynie działacze, ewentualnie zasłużeni członkowie. Nie kupi pan tego od Turka, można to dostać jedynie od przewodniczącego Bundu.

– Pan oczywiście ma taki?

– Oczywiście.

– Mógłbym go zobaczyć?

– Oczywiście.

Gospodarz wstał i zniknął w głębi domu. Szacki czekał, z trwogą myślał o papierkowej robocie, jaka go czeka po tej rozmowie. Przesłuchać nagranie, wydobyć istotne fragmenty, spisać, dać do podpisania. Osobno protokół okazania. Chryste, dlaczego nie ma asystentki.

– Dziwna sprawa... – Gospodarz stanął w drzwiach, w ciepłym świetle popołudnia jego śnieżnobiała koszula wydawała się brzoskwiniowa.

– Ale nie może pan go znaleźć – dopowiedział prokurator.

– Nie mogę.

– Gdzie go pan trzyma?

– W pudełku ze spinkami, wpinam go tylko na specjalne okazje.

– Ktoś o tym wie? Kochanka? Przyjaciele?

Szyller przecząco pokręcił głową. Wyglądał na autentycznie zdziwionego. To nie był dobry znak, Szacki wolałby, żeby zaczął motać, opowiadać, że jest w marynarce w Warszawie, cokolwiek.

– A mogę spytać, skąd pan go ma? – zapytał w końcu prokuratora.

– Wyjeliśmy go z dłoni denatki.

– Elżbiety – Szyller poprawił automatycznie, ale z jego głosu zniknęła staranna emfaza.

– Denatki Elżbiety.

Szyller ciężkim krokiem podszedł do kanapy, bez słowa usiadł naprzeciwko prokuratora. Spojrzał na niego pytająco, jakby czekał, aż Szacki poradzi mu, co ma powiedzieć.

– Gdzie pan spędzał święta?

– W niedzielę byłem u siostry w Berlinie, przyleciałem w poniedziałek rano, o trzynastej byłem już tutaj.

– Gdzie pan był w poniedziałek i wtorek?

– W domu.

– Ktoś pana odwiedzał? Znajomi, przyjaciele?

Zaprzeczenie. Szacki tylko spojrział przeciągle, milczał, planując dalszy ciąg rozmowy, i nagle w jego głowie pojawiła się zaskakująca myśl. Myśl głupia, pozbawiona podstaw, mająca źródło tylko i wyłącznie w intuicji. Na tyle jednak niepokojąca, że prokurator wstał i zaczął wolno chodzić po pomieszczeniu, uważnie mu się przyglądając. Szukał w tym gustownym muzeum ziemiaństwa znaków, że mieszka tu człowiek z krwi i kości. Plamy po winie, zdjecia na ścianie, okruszków po śniadaniu, brudnego kubka po kawie. Upchniętych zabłoconych butów, koca, którym można owinać się wieczorami, rzuconej na parapet czapki. Niczego nie znalazł. Dom był albo nieużywany, albo wyjątkowo dokładnie wysprzątany. Z brudu? Z czyjejś obecności? Ze śladów niewygodnych wydarzeń? Żeby nie powiedzieć nic więcej ponad to, co gospodarz miał o sobie do powiedzenia? Myśli w histerycznym tempie przelatywały przez umysł Szackiego. Jeśli ma przycisnąć Szyllera, musi przyjąć jakąś hipotezę, założyć, że kłamie w konkretnej sprawie, i w tej sprawie zaatakować. Niestety, chwilowo najmocniej rozpychała się w jego głowie hipoteza najbardziej absurdalna.

– Często w ogóle ktoś pana odwiedza?

– Nie jestem specjalnie towarzyski. Jak pan słyszy, spędziłem sam pół Wielkiejnocy. A to miejsce jest dla mnie szczególne, taki azyl. Lubię tu być sam, nie chcę imprez, głośnych rozmów, cudzych zapachów.

Parapet nad kominkiem, miejsce, gdzie kurz i brud zalegają już pół minuty po wysprzątaniu, też był sterylny. Szacki przesunął palcem po dębowej, po lakierowanej desce – nic. Półka z książkami – tak samo. Telewizora nie było. Żaden z mężczyzn nic nie mówił od dłuższej chwili i Szacki poczuł się nieswojo. Był sam w pustym domu razem z dwa razy większym od niego facetem, który być może jest mordercą. Zerknął na Szyllera. Biznesmen patrzył na niego czujnie. Gdyby Szacki był paranoikiem, mógłby pomyśleć, że śledzi jego ruchy, przygotowując się do ataku. Gospodarz zauważył wzrok

prokuratora i na wszelki wypadek przybrał lekko przestraszony wyraz twarzy.

– Rozumiem, że nie najlepiej to wygląda? – zapytał.

– Kiedy pan widział denatkę ostatni raz?

– Z Elżbietą spotkałem się jakieś dwa tygodnie przed świętami. Rozmawialiśmy o wakacjach, chciała zrobić kino letnie na Małym Rynku, gadaliśmy, jak przekonać do tego mieszkańców. Wie pan, jak to jest, ludzie zawsze są przeciw. Chcieliby, żeby dużo się działo, ale nie pod ich oknami.

Szacki podjął decyzję. Raz się żyje, najwyżej przestrzeli i Szyller napisze na niego skargę. Nie pierwszą i nie ostatnią zapewne w karierze białowłosego prokuratora.

– Mógłbym zobaczyć zdjęcie, które stało na kominku?

– Słucham?

– Chciałbym zobaczyć zdjęcie, które stało na kominku.

– Tam nie stało...

– Pokaże mi je pan czy nie?

Szyller nie odpowiedział. Ale jego twarz spoważniała. Cóż, koniec anegdotek dla pana prokuratora, już się chyba nie przyjaźnimy, pomyślał Szacki.

– Rozmawiałem o panu z ludźmi. Same superlatywy. Wzorowy obywatel. Filantrop. Biznesmen z ludzką twarzą.

Szyller wzruszył ramionami. Jeśli chciał grać zaaferowanego, lekko przestraszonego obywatela, to teraz właśnie porzucał tę pozę. Podwinał w końcu rękawy koszuli, mięśnie na opalonych przedramionach zagrały groźnie. Sandomierski filantrop dbał o swoje patriotyczne ciało, bez dwóch zdań.

– Duża kultura. Duża inteligencja. Wydawałoby się, że powinien pan rozumieć swoje położenie. Brutalnie zamordowana kobieta ścisnęła w kurczowo zaciśniętej dłoni rzadki znaczek, którego pan nie może znaleźć. I nie potrafi wytłumaczyć, co się mogło z nim stać. Nie może pan też w żaden sposób udowodnić, gdzie był w czasie, kiedy popełniono zabójstwo. A mimo to pan kłamie. Bardzo mnie to dziwi.

– Pan się łatwo dziwi, panie prokuratorze. Taka dziecięca cecha się przydaje w pańskim zawodzie?

Szacki pokręcił z niedowierzaniem głową. Co za tania odzywka, chyba przecenił Szyllera.

– Powiniennem pana zamknąć, przedstawić zarzuty, potem zastanawiać się, co dalej – prawie się roześmiał, mówił to już drugi raz w ciągu kilku dni, co za pieprzone miasto krętaczy, czy ktoś tu w ogóle mówi prawdę, do jasnej cholery?

– Co pana powstrzymuje?

– Nie widzę powodu, dla którego miałby pan zabić swoją kochankę. Zwłaszcza w ten sposób.

– Niech pan się nie wygłupia.

– Po kolei. Chcę usłyszeć wszystko po kolei. Może pan zacząć od zdjęcia.

Jerzy Szyller siedział bez ruchu, powietrze było gęste od jego emocji, jego wahania, jego panicznych rozważań, co zrobić.

– Pan nic nie rozumie. To małe miasto. Już zawsze będą mówili, że kurwa, że się puszczała.

– Zdjęcie. Już.

Jerzy Szyller szybko doszedł do wniosku, że przyklejenie miłości swego życia łatki kurwy to rzecz przykra, ale nie tak przykra jak areszt śledczy w Tarnobrzegu. Przyniósł wszystkie rzeczy, które

wcześniej pieczołowicie wysprzątała. Jej koc, którym owijała się na kanapie, jej szlafrok w śmiesznym lazurowym kolorze, album ze wspólnymi zdjęciami i w końcu oprawioną w gustowną – jakżeby inaczej – drewnianą ramkę fotografię z kominka. Szacki go rozumiał, gdyby miał z kimkolwiek takie zdjęcie, traktowałby je jak relikwię. Zrobione na Błoniach w Krakowie, siedzieli razem na ławce, w tle widać było kawałek Wawelu. Szyller wyglądał jak Pierce Brosnan na wakacjach, Ela Budnik uwiesiła się jego szyi w wariackiej, pełnej zgrywy pozie, teatralnie zginając jedną nogę gestem Audrey Hepburn i układając usta do całusa. On był po pięćdziesiątce, ona po czterdziestce, a wyglądali jak para nastolatków, szczęście wypływało każdym porem skóry, prześwietlało kliszę, tyle było miłości w tym małym obrazku, że Szackiemu zrobiło się żal Szyllera. Być może był zabójcą, być może nie, ale jego strata musiała być niewyobrażalna.

Prokurator poznał dzieje romansu ze szczegółami i choć znać było, jak ważne to są dla Szyllera wydarzenia, jak przełomowe i głębokie, w gruncie rzeczy była to historia banalna. Kobieta, której wydaje się, że jest kimś więcej, niż jest w istocie, i która syndrom zamykających się drzwi błędnie interpretuje jako uwięzienie w klatce, w której nie może rozwinąć skrzydeł. Wieloletnie małżeństwo, cicha stabilizacja, małomiasteczkowa nuda. I facet, drobny biznesmen i drobny antysemita, do tego stopnia przekonany o swojej wyjątkowości i erudycji, że udaje mu się przekonać także ją, i razem wmawiają sobie, że oni sami i ich grafomański romans to tak naprawdę wielka literatura. Norma, standard, nuda. Szacki z zadziwiającym nawet jego samego cynizmem pomyślał, że tak naprawdę dopiero gipsowo blady trup przydał tej historii wielkości.

– Czy przez te półtora roku mąż denatki nabrał jakichś podejrzeń, mówiła coś panu?

– Nie, nic nie mówiła. Ale też w tym związku łatwo było coś ukryć. On siedział w urzędzie w bardzo nietypowych godzinach, sporo jeździł. Ona też miała spotkania z artystami w najróżniejszych



porach w najróżniejszych miejscach. Dzięki temu spędziliśmy kilka razy wspaniałe dni w Bochum.

– Czy planowała zostawić męża?

Cisza.

– Rozmawialiście o tym? To nie mogło być dla pana przyjemne. Świadomość, że codziennie kładzie się obok niego, całuje na dobranoc, robi to, co zwykle robią małżonkowie.

Cisza.

– Panie Szyller, rozumiem, że Sandomierz to małe miasto, ale nie aż tak małe. Tu chyba zdarzają się rozwody, zejścia, ludzie rozpoczynają nowe życie. Rozumiem, że w waszej sytuacji nie byłoby to trudne. Bezdzielnicy, o wolnych zawodach. Tak naprawdę mogła mu przysłać papiery pocztą.

Przesłuchiwany wykonał ręką nieokreślony gest, dając do zrozumienia, że ta kwestia ma tyle skomplikowanych niuansów, że nie da się jej ująć w słowa. Szackiemu przypomniał się Budnik, to, że sprawił na nim wrażenie Golluma, dla którego nic nie miało znaczenia – tylko jego skarb. Co by zrobił, gdyby się dowiedział, że jego skarb ktoś mu zabiera? I to nie ktoś, tylko znany adwersarz, człowiek, z którego poglądów być może razem z Ela śmiali się w łóżku, którego emfazę przedrzeźniali. Być może ona dla niepoznaki skarżyła się, że musi do niego chodzić, że to taki dziwny typ, wiesz, taki aż nadto samczy, wbrew pozorom prostak, ale co poradzić, dzięki niemu zrobimy coś dla dzieci. I nagle dowiaduje się, że nie wysiadywała u niego z męczeńską miną, opowiadając o biednych dzieciach, tylko spocona ujeżdżała go, wiła się pod nim, błagała, żeby rznął ją mocniej, i oblizywała wargi z jego spermy.

Odchodzę. Żegnaj. Miałaś rację, słusznie przez całą naszą znajomość przeczuwałaś, że nigdy nie będziesz mnie miał do końca. Jestem dla ciebie za dobra, zawsze byłam.

Wystarczy do zabójstwa? Oczywiście.

– W poniedziałek czekałem na nią.

– Słucham?

– W poniedziałek wielkanocny miała przyjść do mnie i już zostać, we wtorek mieliśmy wyjechać i nigdy nie wrócić.

– Czy to oznacza, że miała powiedzieć o was mężowi?

– Nie wiem.

Ożeż do kurwy nędzy! Szacki wyciągnął telefon i zadzwonił do Wilczura, stary policjant odebrał od razu.

– Zgarnijcie Budnika błyskawicznie, potrzebuję też kogoś do zabezpieczenia na Słoneczną, do Jerzego Szyllera. Będziemy robili przeszukanie, a potem konfrontację. Raz, raz.

Wilczur był zawodowcem. Powiedział tylko „jasne” i odłożył słuchawkę. Biznesmen patrzył zaskoczony.

– Jak to „przeszukanie”? Przecież wszystko panu opowiedziałem, wszystko pokazałem.

– Niech pan nie będzie naiwny, ludzie codziennie mi pokazują i opowiadają. Co najmniej połowa to ściemy, półprawdy i ordynarne kłamstwa. Biorąc pod uwagę pański stopień zażyłości z denatką...

– Elżbieta.

– ...powinienem oprócz przeszukania kazać przekopać ogródek i zamknąć pana do czasu wyjaśnienia wszystkich kwestii. Co może zresztą zrobić.

– Mój prawnik...

– Pański prawnik będzie mógł napisać zażalenie – warknął Szacki, rosła w nim wściekłość, której nie potrafił powstrzymać. – Zdaje sobie pan w ogóle sprawę, jak ważne dla śledztwa fakty zataił? Zamordowano pańską kochankę, a pan, mając informacje, które

mogą być kluczowe, siedzi cicho, bo jeszcze ktoś o niej złe słowo powie? Co z pana za obywatel i patriota, skoro ma pan w dupie sprawiedliwość, przypomnę: ostoję mocy i trwałości Rzeczypospolitej! Zwykły małomiasteczkowy antysemita i tyle, rzygać się chce.

Jerzy Szyller zerwał się na równe nogi, na przystojną twarz wystąpiły mu czerwone plamy, ruszył w stronę Szackiego szybkim krokiem i kiedy prokurator był pewien, że dojdzie do bójki, zadzwonił telefon. Wilczur. Załatwione, dobrze.

– Tak?

Szacki przez chwilę słuchał.

– Zaraz będę.

Wybiegł, w furtce zderzył się z mundurowymi, kazał im pilnować Szyllera.

Prokurator Teodor Szacki usiadł na kanapie w salonie Budników, ponieważ zrobiło mu się autentycznie słabo. Krew pulsowała w skroniach, nie mógł skoncentrować wzroku na jednym punkcie, czuł dziwne mrowienie w palcach rąk i nieprzyjemny, metaliczny posmak w ustach. Gwałtownie nabrał powietrza, ale to nie przyniosło mu ulgi, wręcz przeciwnie, poczuł ukłucie w płucach, jakby powietrze pełne było małych igiełek.

A może to nie płuca, tylko serce? Zamknął oczy, policzył do dziesięciu i z powrotem.

– Wszystko w porządku? – spytała Sobieraj.

Wszyscy byli wyrwani z domowych pieleszy. Sobieraj miała na sobie džinsy i czerwony polar, Wilczur dziwne brązowe spodnie – które sprawiały wrażenie, jakby wewnątrz nie było nóg – i ciężki golf, dwóch policjantów przyozdabiały bazarowe wiatrówki, tak brzydkie, że nie było wątpliwości, że są policjantami. Szacki w swoim garniturze po raz kolejny tego dnia czuł się jak krety. A to był tylko jeden z powodów.

– Nie, Basiu – odpowiedział spokojnie. – Nic nie jest w porządku. Ponieważ bardzo ważny świadek, a od niedawna główny podejrzany w sprawie o bardzo głośne i bulwersujące zabójstwo, pilnowany bez przerwy przez dwójkę policjantów, zniknął. I choć oczywiście nie ma to teraz żadnego praktycznego znaczenia, to błagam, zaspokójcie moją ciekawość i powiedzcie: jak to jest, kurwa, możliwe?

Policjanci jednocześnie wzruszyli ramionami.

– Panie prokuratorze, nie ruszyliśmy się ani na krok, przysięgamy. Jak wcześniej byliśmy głodni, to zadzwoniliśmy do

kolegów, żeby coś przywieźli, mogą zaświadczyć. Siedzieliśmy przed tą chałupą bez przerwy.

– Wychodził?

– Koło południa do ogrodu kilka razy. Coś przyciął, włączył spryskiwacz, dokręcił skrzynkę na listy. Wszystko zanotowane.

– A potem?

– Kręcił się po domu, jak się zrobiło ciemniej, widzieliśmy, jak się zapalały i gasły światła.

– Ktoś obserwował dom od strony skarpy?

– Ale tam jest dwumetrowy mur, panie prokuratorze, no.

Szacki spojrział na Wilczura. Inspektor strząsnął popiół do doniczki z fikusem, odchrząknął.

– Obstawiliśmy trasy wylotowe, sprawdzamy samochody i autobusy. Ale jeśli puścił się gdzieś piechotą przez krzaki, to czarno to widzę.

Cóż, nie było żadnej możliwości, żeby to zrobić po cichu.

– Zawiadomcie okoliczne komendy rejonowe, ja wystawię nakaz aresztowania i list gończy, zróbcie notatkę i załatwcie przez Kielce, żeby to jak najszybciej trafiło do mediów. Sprawa jest świeża, facet to nie zawodowiec, tylko podstarzały radny, zbierzemy co prawda od wszystkich zjebkę, ale powinno się udać. Przynajmniej mamy podejrzanego, zawsze jakiś konkret, spróbujemy to przedstawić jako sukces organów ścigania.

– Nie będzie łatwo – mruknęła Sobieraj. – Media się rzuca.

– Tym lepiej. Będą o tym trąbili na okrągło, każda ekspedientka będzie znała Budnika, zanim zgłodnieje na tyle, żeby gdzieś wejść po bułkę.

Szacki wstał gwałtownie, zakreśliło mu się w głowie. Od-  
ruchowo złapał się ramienia Sobieraj, kobieta spojrzała na niego  
podejrzliwie.

– Luz, nic mi nie jest. Do roboty, my wypełnimy kwity w  
prokuraturze, wy przygotujcie komunikat, za pół godziny się  
zdzwonimy, za godzinę chcę to widzieć na pasku w telewizji.

Przed wyjściem omiół wzrokiem mieszczański salon Budników.  
Znowu zabrzączał mu jakiś dzwoneczek alarmowy. Czuł się jak  
człowiek patrzący na dwa obrazki różniące się dziesięcioma  
szczegółami. Miał pewność, że coś było nie tak, ale nie wiedział co.  
Cofnął się na środek pomieszczenia, policjanci minęli go i wyszli,  
Sobieraj zatrzymała się w drzwiach.

– Dawno tu byłaś? – spytał.

– Ja wiem? Jakiś miesiąc temu, przez chwilę, na kawie.

– Coś się zmieniło?

– Tu się ciągle coś zmienia, zmieniało raczej. Ela co kilka  
miesiący przestawiała meble, zmieniała oświetlenie, dodawała  
kwiaty i tkaniny, z tych samych klocków tworzyła zupełnie nowe  
mieszkanie. Twierdziła, że woli wprowadzać kontrolowane zmiany,  
niż czekać, aż jej dusza się zbuntuje i poszuka sobie zmiany wbrew  
niej.

Spojrzał na nią przeciągle.

– Tak, wiem, jak to teraz brzmi.

– Ale poza tym, że pomieszczenie wygląda inaczej, ma inny  
wystrój, niczego ci nie brakuje? Czegoś, co tutaj zawsze było?

Basia Sobieraj rozglądała się przez chwilę uważnie.

– We framudze drzwi do kuchni zawsze wisiał taki drażek do  
podciągania, Grzesiek na nim ćwiczył. Ale ciągle im odpadał, pewnie  
w końcu go wyrzucili.

– Coś jeszcze?

– Nie, raczej nie. Dlaczego?

Machnął ręką, że to nieważne, i razem wyszli z małego domku przy Katedralnej, prosto w cień ogromnego z tej perspektywy kościoła, ostre gotyckie kształty odcinały się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba. W sieni wisiało zdjęcie Eli Budnik sprzed dziesięciu, piętnastu lat. Była bardzo piękna, bardzo dziewczęca, jak to się mówi – tryskająca życiem. I bardzo fotogeniczna, dopowiedział sobie Szacki, myśląc o zdjęciu na kominku Szyllera.

Dochodziła dziewiąta wieczorem. Baśka Sobieraj poszła w końcu do domu, wcześniej opuściła ich szefowa, prokurator Teodor Szacki siedział zgnębiony w biurze, wsłuchany w młodzieżowy harmider i stłumione dźwięki dyskotekowej muzyki, w klubie po drugiej stronie ulicy zaczynała się impreza. Czuł się nieswojo, od paru godzin w fizyczny sposób odczuwał niepokój, fizjologiczny lęk, który nie miał źródła w żadnym realnym zagrożeniu, po prostu był, rozlewał się po całym ciele – bały się jego ramiona, jego szyja, bały się narządy wewnętrzne. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było męczące i przewlekłe, jakby znane wszystkim krótkie ukłucie strachu rozciągnęło się na godziny. Im bardziej o tym myślał, tym czuł się gorzej.

Zaczął chodzić po gabinecie.

Spisana pokrótce, przedstawiona Misi – która przyszła z domu z kanapkami i termosem herbaty z sokiem malinowym – i wpięta do akt wersja śledcza wydawała się prawie stuprocentowo pewna. Grzegorz Budnik zostaje porzucony lub dowiaduje się o romansie żony z Jerzym Szyllerem. Wściekłość porzuczonego, żal, ból, do tego świadomość, że może to być złamanie jego budowanej przez lata kariery politycznej, zapewne dochodzi do kłótni. W czasie kłótni ściska jej szyję trochę za mocno, Elżbieta Budnik traci przytomność, Budnik wpada w panikę – zabił żonę. Ogląda *CSI*, wie, że na szyi zostały jego odciski, dlatego decyduje się na upozorowanie poderżnięcia gardła, przy okazji postanawia wzbudzić histerię na tle stosunków polsko-żydowskich, jest z Sandomierza, zna temat. Być może nawet dziwi się, kiedy z jego żony wypływają litry krwi, być może za późno zdaje sobie sprawę z tego, że jeszcze żyła. Zna miasto, każde przejście podwórkami, wie, gdzie wisi każda kamera.



Wykorzystuje to, żeby niepostrzeżenie podrzucić zwłoki pod starą synagogą. Jednak kiedy do Sandomierza wraca Szyller – pęka. Wie, że jeśli śledczy dowiedzą się o romansie, stanie się głównym podejrzanym. Jeszcze raz wykorzystuje znajomość miasta, tym razem, żeby z niego uciec pod boki pilnujących go policjantów.

Historia miała słabe strony, zagadką było miejsce zabójstwa, sposób przeniesienia zwłok, samo narzędzie zbrodni też nie należało do rzeczy, które trzyma się w kredensie obok widelczyków do tortu. Szackiemu nie dawała spokoju także sprawa znaczka znalezionej w dłoni denatki. Od początku nie sądził, żeby to obciążało Szyllera – takie rzeczy się nie zdarzają w rzeczywistości i prokurator był przekonany, że sprawca z jakichś powodów chciał koniecznie pograżyć biznesmena. Ale Budnik? Przecież musiał przewidzieć, że skierowanie śledztwa na Szyllera momentalnie rykoszetem trafi w niego.

Jednak mimo luk brzmiało to wiarygodnie, mimo fizycznego braku podejrzanego wyglądało o niebo lepiej niż jeszcze dwanaście godzin wcześniej, kiedy nie było nic wiadomo i rozważano opcję poszukiwania jakiegoś świra z religijno-narodową obsesją. Jest konkret, mediom można mówić, że poszukują podejrzanego, człowieka z imieniem i nazwiskiem. Można się też spodziewać, że Budnik wpadnie lada dzień, lada godzina.

Tak, tyle teorii. W praktyce Szackiego roznosiło. Próbował siebie przekonać, że miesza dwa porządki, że jego niepokój jest czysto prywatny, że ciało się upomina, aby zapłacił cenę za przeprowadzkę, za rozstanie, za samotność, za wszystkie zmiany – wszystkie na gorsze zresztą – ostatnich miesięcy. Próbował, ale wewnątrz aż skomlił jak gończy pies. Coś było nie tak.

Bardzo nie chciał być tego wieczoru sam. Spławił wcześniej Klarę, która ciągnęła go na jakiś wioskowy dyskotekowy koncert do ratusza, ale teraz zadzwonił do niej i powiedział, że dojdzie. Trzeba

jej powiedzieć, że nie będą kontynuować tej znajomości, trzeba trochę uporządkować swoje życie.

Wpadł jeszcze do domu, żeby założyć dzinsy i sportową koszulę, ale i tak czuł się jak stary dziad, wchodząc razem z Klarą do podziemi sandomierskiego ratusza, jakby przyprowadził starszą córkę na imprezę. Znal z prokuratorskiej praktyki zagadnienia tabletek gwałtu i crystal meth, ale nigdy nie miał do czynienia z klubowym podziemiem w praktyce. Czy obowiązuje tu jakiś kodeks, niepisane zasady? Co ma zrobić, jeśli jakieś umalowane dziecko zaproponuje, że mu obciągnie? Podziękować grzecznie? Zadzwoić na policję? Odprowadzić do rodziców? A jeśli będą chcieli mu wcisnąć narkotyki? Przedstawić od razu zarzuty? Głowę miał pełną pytań, kiedy znalazł się w niewielkiej nisko sklepionej ceglanej piwnicy.

Miejsce było ciasne, ale malownicze, na suficie wisiała obwieszona jakimiś łańcuchami krata, w kącie kawałek kamiennej rzeźby jakiegoś świątka – stąd pewnie nazwa klubu, Lapidarium – nie mogło być wątpliwości, że to podziemia starego i zacnego budynku. Ludzi było sporo, ale nie tyle, żeby nie móc dopchać się do baru, Szacki wziął piwo dla siebie i dla Klary, jednocześnie oglądając towarzystwo. Cóż, było to towarzystwo zaskakujące. Żadnych plastikowych panien, małaolat ze świecącymi od błyszczczyka ustami i cyckami na wierzchu, żadnych żelbojów w opalizujących koszulach, żadnych białych stringów połyskujących trupio w ultrafioletowym stroboskopie. Stroboskopu zresztą nie było, ultrafioletu też nie. Mało tego, nawet grupa wiekowa Szackiego była dość licznie reprezentowana, kilka par typu zakola-i-odrosty mogło już mieć dzieci w wieku najmłodszych uczestników imprezy.

Obserwował Klarę, która dołączyła do grupki znajomych. Wszyscy mieli tyle lat, co ona, jakieś dwadzieścia sześć, dwadzieścia

siedem. Ktoś opowiedział dowcip, reszta wybuchnęła śmiechem. Wyglądali sympatycznie: gość o wyglądzie administratora sieci w okrągłych okularkach i z przerzedzonymi blond włosami, dwie panny w dżinsach, jedna płaska i szeroka w biodrach, druga cycata i szczupła, śmiesznie wyglądały obok siebie. No i Klara. W dżinsach, bordowej bluzce z dekoltem w serek, z włosami spiętymi w koński ogon. Młoda, śliczna, może nawet najładniejsza na tej sali. Dlaczego miał ją za głupią tipsiarę? Tylko dlatego, że jest bardziej kobieca od jego wymiętej byłej żony, z którą spędził ostatnie półtorej dekady? Czy teraz każdy przejaw kobiecości, każdy but na obcasie i pomalowany paznokieć będą mu się wydawały wulgarne, czy aż tak ma przeoraną psychikę po etapie koszmarnych ikeowskich kapci za 4,99, które walały się koło jego łóżka, odkąd w ogóle Ikea pojawiła się w Polsce?

Podszedł do towarzystwa, patrzyli na niego z życzliwą ciekawością w czasie prezentacji. Klara, dziwna rzecz, wydawała się dumna, że taki dziadek znalazł się w ich gronie.

– Boże, prawdziwy prokurator, nie będziemy teraz mogli palić trawki – zażartowała płaska z biodrami, Justyna.

Twarz Szackiego zamieniła się w kamienną maskę.

– Nie będziecie mogli palić trawki, ponieważ nie możecie posiadać trawki. Ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii, paragraf sześćdziesiąty drugi, ustęp pierwszy, przewiduje karę pozbawienia wolności do lat trzech dla posiadacza środków odurzających lub substancji psychotropowych.

Towarzystwo zamilkło i patrzyło niepewnie, Szacki upił spory łyk piwa. Szczyny, jak zawsze z nalewaka.

– Ale nie martw się, znam paru dobrych adwokatów, może nawet załatwią ci osobną celę na drugą połowę odsiadki.

Wybuchnęli śmiechem i zaczęła się luźna rozmowa, Klara zaczęła coś opowiadać o otwarciu przewodu doktorskiego – był

wstrząśnięty, nie wiedział nawet, że skończyła jakieś studia – ale w pół zdania przerwało jej głośnie wejście supportu. Szacki mało nie wypuścił ze zdumienia piwa z ręki i to zdumienie nie opuściło go już do końca imprezy, najlepszej, na jakiej był od lat. Okazało się, że na tej wiosce słuchali i grali zajebistą muzykę. Support zaczął mocno punkrockowo, żeby potem zejść w stronę melodyjnej stylistyki Iron Maiden, następne dwie kapele – z tego, co zrozumiał, obie miały korzenie w Corruption, które jak się okazało, było z Sandomierza – także jechały rockowo, bez żadnych zaśpiewajek, rapowanych wstawek i jęczenia o tym, że ona i on, *yeah, baby*.

Z każdym kawałkiem ludzi jakby było więcej, wszyscy darli się głośnie i skakali wyżej, pod sklepieniem coraz gęściej zbierały się endorfiny, pot zaczął skraplać się na metalowej kracie, było w tym coś z plemiennego doświadczenia, które przywodziło mu na myśl stare warszawskie kluby, do których chodził przed wiekami na koncerty Kultu. Pierwsza kapela była zdecydowanie lepsza muzycznie, miejscami podchodziła pod Soundgarden, miejscami było to takie megadeathowate, ale bardziej płaskie, bez zaskoczeń. Szackiemu do gustu przypadła druga, emanująca szybką, świeżą energią w stylu *Load/Reload* Metalliki. Śpiewali po polsku, mieli fajne teksty, wszystko w nich było milion razy ciekawsze i trylion razy prawdziwsze od wypełniających ramówkę Zetki plastikowych gwiazd.

Gdzieś tam na górze kręci się świat. Drogówka sprawdza na moście wyjeżdżające z miasta samochody, patrole pilnie kręcą się po bocznych uliczkach z wygaszonymi kogutami, wypatrując drobnej sylwetki i rudych włosów. Jerzy Szyller stoi w ciemnej kuchni, obserwując mężczyzn czuwających w granatowym oplu vectrze przed jego furtką. Ma na sobie tę samą koszulę z podwiniętymi rękawami i w ogóle nie chce mu się spać. Leon Wilczur ogląda na Polsacie trzecią część *Obcego* i nie pali, inspektor nigdy nie pali u siebie w

domu. Barbara Sobieraj odbywa z mężem zmęczoną rozmowę doświadczonych małżeństwa i choć dotyczy ona emocjonującej sprawy adopcji, to i tak śmierdzi rutyną i przekonaniem, że jak zwykle do niczego nie doprowadzi. Sędzia Maria Tatarska czyta w oryginale *Tajemniczy ogród*, wmawia sobie, że ćwiczy język, ale tak naprawdę chce to jeszcze raz przeczytać i jeszcze raz popłakać się ze wzruszenia. Maria „Misia” Miszczyk je kabanosa – rzygać już jej się chce od tych ciast, z których zrobiła swój znak rozpoznawczy – i ogląda zdjęcie Budnika w Polsat News. Zdjęcie zrobione przez policję w czasie ostatniego przesłuchania, Miszczyk myśli, że do dupy musi być praca polityka, skoro Budnik wygląda tak mizernie, połowa człowieka, jakiego pamięta z dawnych lat. I jeszcze ten plaster. Małżeństwo Rojskich śpi spokojnie, nie zdając sobie sprawy z tego, jak niewiele jest par, które po czterdziestu latach małżeństwa ciągle śpią pod jedną kołdrą. Dwieście dwadzieścia kilometrów dalej, na warszawskim Grochowie, Marcin Ładoń – w tej samej chwili, co miliony innych czternastolatków – onanizuje się zapamiętane, myśląc o wszystkim, tylko nie o czekającej go w przyszłym tygodniu wycieczce do Sandomierza. A Romanowi Myszyńskiemu znowu się śni, że porcelanowo białe zwłoki sztywnym krokiem manekina chodzą za nim wewnątrz synagogi, a on nie może uciec, ponieważ potyka się o sterty wypisanych cyrylicą akt.

Gdzieś tam na dole prokurator Teodor Szacki kręcił się zapamiętane w plemiennym rytmie metalowego rock'n'rolla. Sczepieni pod rękę, wirowali razem z Klarą aż do utraty równowagi, pijani piwem i endorfinami, kasztanowe włosy przyklejały się jej do spoconego czoła, twarz błyszczała, bluzka pod pachami była mokra od potu. Zadyszani, znaleźli w sobie resztkę oddechu, żeby wykrzyczeć refren.

– Nie mogę, drogi Boże, czuć się jeszcze gorzej! – darł się zgodnie z prawdą Szacki. – Nie mogę, mój Boże, pamiętać upokorzeń!

Nie czekał na bisy, zarzucił na Klarę swoją kurtkę i zaciągnął do mieszkania na Długosza niczym zdobycz do jaskini. Pachniała potem, piwem i papierosami, każdy zakamarek jej ciała był rozgrzany, wilgotny i słony, a Szacki po raz pierwszy pomyślał, że jej jęki i krzyki wcale nie są wulgarne.

To był wspaniały wieczór, Szacki, nawet jeśli nie zasypiał szczęśliwy, to zasypiał spokojny, ostatnia jego myśl była taka, że zostawi małolatę rano, po co psuć sobie i jej taki wspaniały wieczór.

## **Rozdział piąty**

*niedziela, 19 kwietnia 2009*

Joseph Ratzinger obchodzi czwartą rocznicę zostania Benedyktem XVI, on i inni katolicy zamykają obchody Oktawy Wielkanocnej, świętując Niedzielę Miłosierdzia Bożego, w Łagiewnikach kardynał Dziwisz komentuje sytuację polityczną, mówiąc, że warunkiem życia społecznego jest opanowanie sztuki przebaczącej miłości. W tym samym czasie poseł Palikot oskarża Lecha Kaczyńskiego o alkoholizm na podstawie liczby „małpek” zamawianych przez kancelarię. Marek Edelman w milczeniu składa bukiet żonkili przed pomnikiem Bohaterów Getta w 66. rocznicę wybuchu powstania. Zawsze robił to w samo południe, dziś musi czekać, aż skończą oficjalne delegacje. Tymczasem w Czechach przygotowani do urodzin Führera ciąg dalszy, w wyniku podpalenia romskiego domu dwuletnia dziewczynka trafia do szpitala w stanie krytycznym. Policja inauguruje sezon motocyklowy, ostrzegając przed brawurą zgrabnym hasłem: „Idzie wiosna – będą warzywa”. Pod Sandomierzem wypadek samochodowy, auto ścina słup energetyczny i staje w płomieniach, ginie siedemnastoletni chłopak. Słonecznie, ale zimno jak diabli, temperatura nie przekracza 12 stopni, w nocy spada do 0.



Prokurator Teodor Szacki nie mógł znaleźć prezerwatywy. Ani opakowania po prezerwatywie. Ani otwartego pudełka po prezerwatywach. Ani w ogóle żadnego śladu po tym, że wczorajszej upojnej nocy użyli zabezpieczenia. A wcześniej używali. Czyli że nie ma spirali. Nie ma pigulek. Są dni płodne i niepłodne, jest uważanie i przede wszystkim pieprzone antykoncepcyjne małomiasteczkowe średniowiecze, opresyjne zakładanie gumy. O ile w ogóle była guma. A to nie jest pewne.

Szacki miotał się po pokoju niczym pan Hilary w wersji dla dorosłych, czując narastającą panikę, chcąc za wszelką cenę upewnić siebie, że nie, nie ma takiej szansy, żeby zapłodnił tę uroczą, młodszą o piętnaście lat sandomierzanę. Którą na dodatek przed zdaniem sobie sprawy z antykoncepcyjnej katastrofy oddalił, przez co zamknęła się w łazience i tam szlochała.

Trzasnęły drzwi. Szacki błyskawicznie wstał z kolan i założył na twarz minę pełną współczucia i empatii. Klara bez słowa zaczęła zbierać swoje ciuchy i przez chwilę nawet miał nadzieję, że obędzie się bez rozmowy.

– Studiowałam w Warszawie, studiowałam w Getyndze, sporo podróżowałam po świecie, mieszkałam w trzech stolicach. Miałam też, nie ukrywam, różnych mężczyzn. Niektórych na dłużej, niektórych na krócej. Wszyscy mieli tę wspólną cechę, że byli fajni. Nawet jak dochodziliśmy do wniosku, że może jednak niekoniecznie, to i tak byli fajni. Jesteś pierwszym prawdziwym chujem, jaki stanął na mojej drodze.

– Klara, proszę cię, po co od razu takie słowa – powiedział spokojnie Szacki, starając się nie myśleć o dwuznaczności jej

ostatniego zdania. – Wiesz przecież, kim jestem. Starszy o półtorej dekady urzędnik państwowy, z przeszłością i po przejściach. Co chcesz ze mną budować?

Podeszła i stanęła tak blisko, że prawie stykali się nosami. Poczuł, że ma na nią straszną ochotę.

– Teraz już nic, ale jeszcze wczoraj nie byłam pewna. Masz w sobie coś, co mnie ujmowało. Jesteś bystry, dowcipny, trochę tajemniczy, w nieoczywisty sposób przystojny, masz jakiś rodzaj męskości, który mi się podobał. I te garnitury są naprawdę fajne, uroczo sztywniackie. – Uśmiechnęła się, ale momentalnie spoważniała. – To zobaczyłam w tobie. I dopóki myślałam, że ty coś zobaczyłeś we mnie, z dnia na dzień nabierałam ochoty, żeby dać ci więcej. Ale ty zobaczyłeś we mnie tipsiarę, wiejską dupę do dymania, lachociągą z prowincji. Aż dziw, że mnie nie zabrałeś do macdonalda. Nie powiedzieli ci, że wsiowe pokrowce na kutasa najbardziej lubią do maca?

– Nie ma chyba potrzeby, żebyś była ordynarna.

– To ty jesteś ordynarny, Teo. W każdej swojej myśli o mnie jesteś wulgarnym, ordynarnym, chamskim i prostackim mizoginem i seksistą. Smutnym urzędniczyną też, przyznaję, ale to dopiero potem.

Wypunktowała go tymi słowami, po czym odwróciła się gwałtownie, podeszła do łóżka i zrzuciła ręcznik. Ostentacyjnie zaczęła się przy nim ubierać. Dochodziła dziesiąta, słońce stało wysoko, na tyle wysoko, żeby dokładnie oświetlić jej posagową figurę. Była prześliczna. Smukła, po kobiecemu pozaokrągłana, z piersiami na tyle młodymi, żeby mimo swoich rozmiarów zadziornie sterczały. Potargane po nocy długie włosy, gęste, pofalowane, nie potrzebujące żadnych sztuczek, zawijały się na jej dekolcie, pod słońce widział delikatny meszek na brzoskwiniowej skórze ud i ramion. Zakładała bieliznę, nie spuszczać z niego wzroku, a on od-

chodził od zmysłów z pożądania. Naprawdę nie robiła na nim kiedyś wrażenia?

– Odwróć się – poleciła zimno.

Odwrócił się posłusznie, śmieszny w swoich paroletnich, wyblakłych od częstego prania bokserkach, jedynej ozdobie białego, zaniedbanego ciała. Było zimno, widział, jak dostaje gęsiej skórki na chudych udach, i zrozumiał, że bez garnituru lub togi jest absolutnie bezbronny, żółw wyjęty ze skorupy. Czuł się śmiesznie. Z tyłu doleciał go cichy szloch. Zerknął przez ramię, Klara siedziała na łóżku ze spuszczoną głową.

– No i co ja im wszystkim powiem? – szeptała. – Tak o tobie opowiadałam. Mówili, żebym się opanowała, a ja się kłóciłam, głupia.

Zrobił parę kroków w jej kierunku, na co ona wstała, pociągnęła nosem, zarzuciła torebkę na ramię i wyszła, nie obdarzając go spojrzeniem.

– Aha, jeszcze jedno – odwróciła się w drzwiach. – Wczoraj byłeś uroczo natarczywy i rozkosznie nieuważny. A mówiąc ogólnie, to był bardzo, bardzo niedobry dzień na nieuwagę.

Uśmiechnęła się smutno i wyszła. Wyglądała przepięknie, Szackiemu przypominała się scena z *Amatora*.

Bazylika katedralna Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Sandomierzu była pełna. Jeden duch i jedno serce ożywiało wszystkich wierzących – jeśli wierzyć odbijającym się od kamiennych ścian słowom czytania z Dziejów Apostolskich. Ale – jak to zwykle w kościele bywa – nikt nie słuchał, każdy patrzył, pogrążony w swoich myślach.

Irena Rojska spoglądała na siedzącego w fotelu biskupa Frankowskiego i zastanawiała się, jaki będzie nowy biskup, bo ten był tylko na chwilę, po tym jak starego zabrali do Szczecina. Mógłby być i Frankowski, ale to niepewne. Ludzie gadali, że za dużo się udziela w Radiu Maryja. Może i tak, ale Rojska pamiętała, jak w Stalowej Woli robotników bronił, jak strajkujących tajnym tunelem do kościoła wyprowadzał, jak go komuna dręczyła. Nie dziwne, że jest cięty na czerwonych, że go boli, jak widzi, że teraz to tacy sami dobrzy Polacy jak ci, co w więzieniach siedzieli. A gdzie ma o tym mówić, jak nie w Radiu Maryja? Nie w TVN przecież.

Janusz Rojski oderwał w końcu tęskny wzrok od ławki, na której siedziała jego żona. Potwornie rwała go noga od stania, gdzieś tak aż od kręgosłupa, od nerek szło do pięty. Ale co miał zrobić, wszystkie ciężarne i wszystkie zgrzybiałe staruszki z diecezji przyjechały dziś do katedry, a żonę prosić o miejsce było głupio. Spojrzał w górę na obrazy, na jakiegoś biedaka pożeranego przez smoka i na drugiego tak skutecznie wbitego na pal, że końcówka wychodziła mu przez łopatkę. Ci musieli swoje wycierpieć za wiarę, to i ja godzinę mogę odstać, pomyślał. Nudziło mu się, chciał już iść na świąteczną kawę do kawiarni, usiąść w miękkim cieple, porozmawiać. Chuchnął w dłonie. Znowu pieruńsko zimny dzień, nigdy ta wiosna nie przyjdzie.

Maria Miszczyk nie była wierząca, a nawet gdyby była, to jej parafia mieściła się dwadzieścia kilometrów dalej. Coś ją jednak rano podkusiło, żeby tu przyjechać. Nie dawała jej spokoju sprawa Budnika, jedną rękę cały czas trzymała na wyciszonej komórce, żeby nie przegapić wibracji, kiedy będą dzwonić, że go złapali i że skończy się ten koszmar. A Budnik mieszkał obok katedry, tu była jego parafia, tu wisiał ten cholerny obraz, przez który jej ukochane miasto raz po raz stawało się antysemicką stolicą Polski. Prokurator Miszczyk stała w lewej nawie pomiędzy ludźmi, czuła wbity w siebie wzrok Jana Pawła II, którego portret ozdabiał skrywającą obraz tkaninę. I zastanawiała się, czy on czuje wbite w siebie spojrzenia Żydów upuszczających krew z chrześcijańskich dzieci i wsadzających niemowlęta do beczek nabitych gwoździami. I co miałby na ten temat do powiedzenia.

Nikt o tym nie wiedział, ale niewierząca prokurator Miszczyk była kiedyś bardzo wierząca, tak wierząca, że zanim zrobiła fakultet z prawa, studiowała na KUL-u, chciała się jak najwięcej dowiedzieć o swoim Bogu i swojej religii. A im więcej wiedziała, tym mniej stawała się wierząca. Słuchała teraz ze wszystkimi psalmu sto osiemnastego, słuchała, żeby dziękować Panu, bo jest dobry, bo łaska jego trwa na wieki. I pamiętała, jak kiedyś uwielbiała ten psalm. Dopóki się nie dowiedziała, że w katolickiej liturgii zostało z niego kilka wersów. Że w całości to opowieść o boskiej pomocy w walce i zemście, o ścieraniu z powierzchni ziemi innych narodów w Imię Pańskie. „Prawica Pańska moc okazuje, prawica Pańska wysoko uniesiona”. Uśmiechnęła się blado. Dziwnie to się układa, katolicy wierni w kościele z żydożerczym bohomazem wysławiają zapamiętane swojego Boga słowami psalmu, który w istocie jest dziękczynieniem za zwycięstwo Izraela nad jego sąsiadami. Tak, wiedza była najbardziej zajadłym mordercą wiary i czasami żałowała, że ją zdobyła. Zaśpiewała na koniec ze wszystkimi refren: „Dziękujcie Panu, bo jest miłosierny”.

Przygnębiona swoimi religioznawczymi rozważaniami, wspomnieniem utraconej wiary i wszystkiego, co w jej życiu niegdyś było, a pozostawiło po sobie jedynie pustkę, Maria Miszczyk wyszła z kościoła jako jedna z pierwszych, wsiadła w samochód i szybko odjechała. Właśnie dlatego prokurator Teodor Szacki pojawił się przed nią na miejscu zbrodni.

Janusz Rojski musiał chyba nadrobić ponadgodzinne, nie licząc aklamacji, milczenie, dlatego jeszcze w kruchcie zaczął mówić i nie zamknął się od tej pory ani na chwilę. Rojska pomyślała, że w kawiarni wciśnie mu do rąk gazetę, może to go uciszy.

– Myślisz, że on naprawdę mu grzebał?

– Słucham? Kto? Komu?

– Święty Tomasz. Jezusowi. Nie słuchałaś czytania?

– Boże, Janku, skąd mam wiedzieć. W Ewangelii tak pisze, to chyba tak.

– Bo się zastanawiałem, że to trochę obrzydliwe. Jeszcze w ręce, to palec, ale do brzucha musiał mu włożyć całą rękę. Myślisz, że tam było pusto, czy coś poczuł? Trzustkę na przykład albo śledzionę? Czy po zmartwychwstaniu ma się trzustkę?

– Jak się umarło w wieku trzydziestu trzech lat, to nie, dopiero po pięćdziesiątce dowiadujesz się, że masz jakieś narządy. Jak twoja noga?

– Lepiej – skłamał.

– Przepraszam, że cię nie puściłam, widziałam, że boli, ale kołacze mi się strasznie...

Rojski w odpowiedzi przytulił do siebie żonę i pocałował ją w wełniany beret.

– Już nie wiem zupełnie, co z tym zrobić, może powinnam się zdecydować na tę operację.

– Po co się kroić niepotrzebnie? Doktor Fibich przecież mówił, że niegroźne, tylko nieprzyjemne. A nawet jak cię pokroją, to nie wiadomo, czy minie, nerwowe może być.

– No wiem, wiem, zmieńmy już temat lepiej. Pamiętasz, śmialiśmy się kiedyś, że starzy ludzie tylko o chorobach i dolegliwościach. A teraz tak samo, czasami sama siebie nudzę.

– A nie, to ja raczej nie.

Rojska spojrzała na męża z ukosa, czy żartuje, ale nie, tak się wyrwało staruszkowi ze szczerego serca. Nie skomentowała, żeby nie sprawić mu przykrości. Zamiast tego wzięła go pod rękę, było jej zimno, zastanawiała się, czy to starość, czy też wiosna w tym roku taka słaba, koniec kwietnia, a jabłonki w katedralnym ogródku szare, ani jednego kwiatka, jak tak dalej pójdzie, to jej bez chyba w lipcu zakwitnie. Stali pomiędzy katedrą a zamkiem, koło pomnika ofiar drugiej wojny światowej, wyglądającego jak reklama gry w domino. Rano rozważali, czy nie pójść po mszy na spacer nad Wisłę, ale teraz jednomyślnie skęcili w kierunku miasta i zaczęli się piąć Zamkową w stronę rynku, nie musieli uzgadniać, gdzie idą, zawsze szli do Małej. Było tam może trochę drożej, ale jakoś tak inaczej, ładniej. I posypywali piankę na kawie cukrem pudrem. Rojska raz naprawdę długo się zastanawiała, czy nie wypowiedzieć się z tego, że przez całą mszę myślała tylko o tym, kiedy ta męka się skończy i będzie mogła dostać swoją słodką piankę.

– Naprawdę rozmawiamy ciągle o chorobach? – włączył swoją narrację Rojski. – Chyba nie, to ten Tomasz tak mnie nastroił, jakoś to mi stało przed oczami, jak grzebie Jezusowi, może przez te obrazy, sam nie wiem, nie lubię stać pod kwietniem, tam chyba najgorsze męczarnie, ten na pal wbity zawsze tak mi wzrok ciągnie, jeszcze tam mu coś cieknie po tym palu...

– Janek! – Irena Rojska aż się zatrzymała. – Ty weź się uspokój z tymi okropieństwami.



Jakby na podkreślenie oburzenia tuż obok jej głowy, na murze okalającym opuszczony, niszczący dworek, usiadł granatowo-czarny kruk, naprawdę wielkie ptaszysko, i przekrzywił głowę, patrząc na staruszków. Spojrzeli zaskoczeni, mieli go na wyciągnięcie ręki. Ptak chyba zrozumiał, że popełnił faux pas, bo szybko zeskoczył na drugą stronę muru. Rojska zrobiła znak krzyża, na co jej mąż popukał się znacząco w czoło. Bez słowa kontynuowali spacer pod górę i wtedy kruk wrócił. Tym razem zeskoczył na ich stronę, przedelfował pod nogami i schował się w bramie opuszczonej posesji. Zachowywał się jak pies, który chce coś pokazać panu.

Rojska poczuła niepokój i przyspieszyła kroku, jej mąż jednak, którego wzrok starzał się wolniej niż jej, został w miejscu, wpatrzony w granitowe płyty chodnika. Ptak pozostawił po sobie małe, charakterystyczne potrójne ślady, jakby wcześniej specjalnie umoczył pazury w ciemnej farbie.

– Idziesz czy nie?

– Zaczekaj, coś się stało chyba.

Zatrzepotały skrzydła, na wyszczerbionym murze usiadło już kilka kruków. Rojski jak zahipnotyzowany przeszedł nad deską z tabliczką ostrzegającą o możliwości zaważenia się budynku i wszedł do zarośniętego ogrodu. Stojący pośrodku krzaków piętrowy dworek też był częściowo zarośnięty zielskiem, niszczał tutaj od dekad, aż zyskał tak charakterystyczny dla opuszczonych budynków trupi wygląd. Zzieleniały, z częściowo zaważonym dachem, z pustymi oczodołami okien, wyglądał jak pysk utopca, który wychylił się na chwilę z rzęsy, żeby upolować kolejną ofiarę.

– Czyś ty zwariował już doszczętnie?! Janek!

Rojski nie odpowiedział, rozgarniając szare gałęzie krzaków, szedł wolno w stronę domu, noga bolała go jak diabli, mógł nią tylko bezwładnie szurać. Na podwórku było pełno kruków, nie latały, nie

krakały, chodziły tylko w milczeniu i patrzyły wyczekująco. Puste okna dworu przywodziły na myśl torturowanych męczenników z katedry, ich wypalone oczy, grymas cierpienia, usta otwarte do krzyku. Z tyłu Irena Rojska awanturowała się, straszyla swoim kołataniem i tym, że nigdy już nie zrobi rolady, jeśli natychmiast nie wróci. Słyszał, rozumiał, ale zatrzymać się nie mógł. Wszedł do środka, zbutwiałe deski podłogi nie tyle skrzypnęły, co zamlaskały nieprzyjemnie.

Jego wzrok chwilę przyzwyczajając się do półmroku, okna były niewielkie, częściowo zabite deskami, mimo słońca niewiele światła przedostawało się do wewnątrz, a przynajmniej na parter, bo z piętra biła jasna luna i tam skierował swoje kroki Rojski. Kruki zostały na zewnątrz, jeden, największy, stał na progu, odcinając drogę odwrotu. Starszy pan stanął u podnóża schodów i pomyślał, że to nie jest dobry pomysł, że stopni nie zostało wiele, a te, co zostały, nie budzą zaufania. Nawet gdyby był wyjątkowo lekkim i wyjątkowo odważnym kotem, powinien zrezygnować. Mimo to ruszył do góry, wyrzucając sobie cały czas w myślach, że jest głupim starym dziadem i że już dawno minęły czasy, kiedy po każdej przygodzie, doszedłszy do siebie, mógł powiedzieć „ech, zawsze się udaje”.

Poręcz była śliska od wilgoci i pleśni, nie sposób było jej uchwycić gołą dłonią. Owinał więc rękę szalikiem. Pierwszy stopień załamał się, jak tylko postawił na nim stopę, na szczęście był na to przygotowany. Drugi był solidny, trzeci tak samo, do ósmego jakoś to wyglądało, na wszelki wypadek ominął dziwnie wybrzuszony siódmy. Potem było gorzej. Dziewiątego nie było, jedenastego i dwunastego też nie. A dziesiąty, cóż, zresztą za daleko zaszedł, żeby dywagować, stanął na nim i szybko podciągnął rwącą nogę. Stopień zajęczał ostrzegawczo i zatrzeszczał, zaczął lekko się przechylać i Rojski poczuł, że zsuwa się po zbutwiałym drewnie. Bojąc się upadku, szybko jak na swoje lata przeskoczył przez dziurę i to był moment, kiedy powinien się uspokoić, ale podłoga piętra znalazła się na wysokości jego oczu i to go zgubiło. Chcąc jak najszybciej

minąć linię mety, prędko pokonał jeszcze dwa stopnie, ale zawiodła chora noga, stracił równowagę i bojąc się upadku na dół, rzucił się szczupakiem w smugę wpadającego przez dziury w dachu i wielkie balkonowe okno słonecznego światła. Coś trzasnęło i niestety nie była to deska, ból ze złamanego nadgarstka rozlał się po ciele Rojskiego gorąca, mdlącą falą. Jęcząc, przewrócił się na plecy, słońce oślepiło go mocno, odruchowo zasłonił oczy złamaną ręką, ból szarpnął, uczucie było straszne, jakby obcęgami wrywano mu kości przedramienia. Krzyknął głośno i przycisnął rękę do piersi, oddychał szybko i gwałtownie przez zaciśnięte zęby, zrobiło mu się słabo, pod zaciśniętymi powiekami słoneczne powidoki walczyły o miejsce ze szkarłatnymi płatkami. Mimo to udało mu się dźwignąć na kolana i otworzyć oczy, pierwsze, co zobaczył, to rodzina malutkich grzybków wyrastająca ze szpary w czerwonej podłodze. Widok był tak absurdalny, że musiał się roześmiać. Co za głupi stary dziad, po co on tu w ogóle laźl – i jak teraz zejdzie. Straż pożarna będzie go musiała ściągać jak kotka z drzewa.

W plecy uderzył go delikatnie jakiś kawałek papy. Rojski uspokoił oddech i wstał, uderzając głową o wiszący kawałek dachu. Zaklął i odwrócił się, żeby stwierdzić, że niestety ani papa nie była papą, ani kawałek dachu kawałkiem dachu. Zwłoki powieszono na haku pod powalą jak półtuszę, tułów zamknięto w ocembrowanej, ponabijanej bretnalami beczce. Powyżej beczki ciało było gipsowo białe, poniżej pokryte warstwą zaschniętej krwi, słońce blikowało radośnie na amarantowej politurze. Na ryżej czuprynie trupa siedział kruk i patrzył jednym okiem na Rojskiego. Bez przekonania dziobnął zwisający smętnie z czoła zwłok plaster.

Rojski zamknął oczy. Widok zniknął, powidok został pod powiekami na zawsze.

Zastanawia się, czy już znaleźli trupa. Nie ma to żadnego znaczenia, po prostu się zastanawia. Czy znajdą dziś, czy – wątpliwe – za tydzień, to bez znaczenia. Włącza telewizor, nastawia kanał informacyjny, wycisza dźwięk. Palikot wypija „małpkę” whisky, Edelman składa kwiaty pod pomnikiem Bohaterów Getta. Te same dwa obrazy na przemian. Jeśli znajdą trupa, wszystko to stanie się drugorzędne.

Prokurator Teodor Szacki dobiegł na miejsce jeszcze przed Wilczurem, wszedł po drabinie na piętro opuszczonego dworku zaraz po mundurowych. Wieści rozchodziły się szybko, na Zamkowej stał już tłum ludzi, a kolejni schodzili się ze wszystkich stron. Za nim wgramolił się po drabinie Marszałek, gruby policjant z sumiastymi wąsami. Zanim Szacki zdążył wydać jakiegokolwiek polecenie, Marszałkiem wstrząsnęły torsje, chwilę z nimi walczył, a potem obrzygał siebie i swoje wąsy. Niewiarygodne, pomyślał Szacki, ale w gruncie rzeczy nie miał do niego pretensji. Widok był straszny, chyba najgorszy, jaki widział w swojej karierze. Rozkładające się zwłoki, topielcy, pogorzelnicy, ofiary meliniarskich mordów i bójek z roztrzaskanymi czaszkami – wszystko to blakło przy wiszącym na haku trupie Grzegorza Budnika, jeszcze do niedawna poszukiwanego listem gończym jedyne podejrzanego w sprawie o zabójstwo swojej żony.

Szacki patrzył na surrealistyczny w swym okropieństwie obraz, zaatakowany przez nadmiar bodźców mózg z pewnym oporem, jakby na zwolnionych obrotach, przetwarzał informację. Co najbardziej rzucało się w oczy?

Na pewno beczka, upiorny rekwizyt, który nadawał scenie cechy teatralnej nierealności, sprawiając, że jakaś część Szackiego czekała na oklaski, po których trup otworzy oczy i uśmiechnie się do widowni.

Na pewno przykuwała wzrok twarz. Szacki uczył się na jakimś szkoleniu z kryminalistyki, że ludzki mózg jest zaprogramowany na rozpoznawanie twarzy, na niuanse ich wyrazu, na rysujące się na nich emocje, na wszelkie zmiany, które informują o tym, czy do innego człowieka trzeba się raczej uśmiechnąć, czy raczej szykować

się do ucieczki. Dlatego czasami widzimy Matkę Boską na szybie albo upiorny grymas na pniu drzewa – to mózg wszędzie, cały czas, poszukuje ludzkich twarzy, stara się je wyłowić, posegregować na znane i nieznanne, rozpoznać emocje. Mózg Szackiego cierpiał od widoku twarzy Budnika. Znaki szczególne wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej – chorobliwe wychudzenie, zapadnięte oczy, ryża czupryna i broda, to nieszczęsne skaleczenie na czole – były zniekształcone przez wbity w podbródek i wychodzący policzkiem hak. Zmasakrowane mięśnie nadawały twarzy obcy, niepokojący wyraz, jakby Budnik zajrzał na chwilę do piekła i widziane tam obrazy zmieniły go na zawsze. Szacki pomyślał, że w zależności od stopnia sadyzmu zabójcy ta metafora nie musiała być daleka od prawdy.

Najgorsze jednak były barwy, bezlitośnie wydobyte przez ostre już o tej porze roku słońce. Ciało Budnika, u góry śnieżnobiałe, pozbawione krwi jak ciało jego żony kilka dni wcześniej, u dołu było błyszcząco krwiste – wyglądało to jak perwersyjna instalacja sztuki nowoczesnej, głos obrazoburczego artysty o współczesnej Polsce. Spójrzcie, oto wasze barwy narodowe. Goły polski trup, zamordowany wedle legendy, którą wymyślili jego przodkowie, aby móc bezkarnie mordować innych.

Cała podłoga także pokryta była krwią zmieszana z brudem, zaschnięta kałuża o brunatnym kolorze miała trzy metry średnicy i środek dokładnie pod sękatymi stopami Budnika. W miejscu koło schodów była rozmazana, zapewne przez osobę, która znalazła zwłoki.

– Odczepić go? – zapytał Marszałek, kiedy doszedł do siebie.

Szacki pokręcił przecząco głową.

– Najpierw zdjęcia, technicy muszą zebrać wszystkie ślady. Tym razem zwłoki są w miejscu popełnienia przestępstwa, musiało coś zostać.

Ostrożnie, uważając na najbardziej zmurszałe deski podłogi, prokurator podszedł do środka pomieszczenia. Dobrze mu się wydawało, na krawędzi okrągłej kałuży, niczym na rancie monety, widniał jakiś napis, zrobiony zapewne palcem. Szybko pomodlił się w duchu, żeby to był palec bez rękawiczki i żeby wariat, który to zrobił, był notowany. Pochylił się nad kałużą i przeczytał. Błagam, tylko nie to, pomyślał. Błagam, niech to nie będzie jakiś świr, który naoglądał się amerykańskich filmów i teraz bawi się z nami w kotka i myszkę. Na brzegu kałuży były wyżłobione w zaschniętej krwi litery KWP, a zaraz za nimi trzy sześciocyfrowe numery: 241921, 212225, 191621. Szackiemu niewiele to mówiło, na wszelki wypadek zrobił zdjęcie komórką.

Zmusił się, żeby spojrzeć do góry, na twarz Budnika. Zmieniony nie do poznania mężczyzna wyglądał jeszcze mizerniej niż przed paroma dniami w jego gabinecie, śmierć pozbawiła go resztek sportowej drapieżności. Najgorszy był ten plaster, żałosny nawet wtedy, kiedy trzymał się czoła, a teraz zwisał smętnie, odsłaniając ledwo zagojone skaleczenie – wisienka na torcie pośmiertnego upokorzenia.

Kiedy na miejsce dotarli jednocześnie Basia Sobieraj i Maria Miszczyk, zwłoki były już zdjęte i nakryte czarną folią. Szacki w jednorazowych rękawiczkach przeglądał portfel zmarłego, Wilczur stał oparty o pustą ramę okienną i palił. Sobieraj rozejrzała się po pomieszczeniu i wybuchnęła płaczem. Kiedy Szacki podszedł, żeby ją pocieszyć, i przyjacielskim gestem położył jej rękę na ramieniu, rzuciła mu się na szyję i objęła go kurczowo. Czuł, jak jej ciałem wstrząsa szloch. Ponad ramieniem koleżanki obserwował Miszczyk, mając nadzieję, że nie zemdleje, po pierwsze, nie chciał łapać jej stukilogramowego ciała, po drugie, bał się, że przeleci przez zmurszały strop. Jednak na twarzy jego zbyt obfitej szefowej nie

drgnął ani jeden matczynej mięsień, rzuciła okiem na miejsce zbrodni i utkwiała wzrok w Szackim. Pytająco podniosła brew.

– Oględziny zwłok będą dzisiaj, tak samo jak oględziny miejsca zbrodni i wyniki, czy w tej krwi jest też krew Budnikowej – odpowiedział na jej nieme pytanie. – Jak najszybciej przygotujemy nowe wersje śledcze, przedstawimy plan postępowania. To niestety wygląda na jakiegoś szaleńca, trzeba będzie zrobić portret psychologiczny, przejrzeć bazy danych pod kątem przestępstw na tle religijnym. Konferencję możemy zrobić jutro w południe.

– I co im powiemy?

– Prawdę. Jakie mamy inne wyjście? Jeśli to szaleniec, szum może nam pomóc. Może się komuś pochwali, może powie przypadkiem coś, co go zdradzi.

– Chce pan ściągać rodzinę do identyfikacji?

Szacki zaprzeczył, nie było sensu obarczać innych tym koszmarem. W dokumentach miał wszystkie potrzebne dane.

– Mówi pani coś skrót KWP?

– Komenda Wojewódzka Policji. Dlaczego?



Prokurator Teodor Szacki nie cierpiał chaosu. Uczucia zagubienia w wydarzeniach i w swojej ocenie wydarzeń, uczucia niemożności utrzymania myśli na jednym wątku, gubienia ciągu logicznego, bezradnego i nieefektywnego miotania się od myśli do myśli. Rezultat przynosiło wysnuwanie jednej myśli z drugiej, zazębianie ich ze sobą, tworzenie skomplikowanych precyzyjnych mechanizmów logicznych, które na końcu produkowały piękne i estetyczne rozwiązanie. Tym razem nie było o tym mowy, myśli szalały w jego głowie jak stado przedszkolaków na placu zabaw, śmierć Budnika rozmontowała wszystkie poprzednie założenia, do których zdążył się już przyzwyczać. W pewien sposób od pierwszej chwili śledztwa gdzieś głęboko był przekonany, że winien śmierci żony jest Budnik, dawało mu to spokój, pozwalało szukać dowodów. Jeszcze nigdy intuicja tak bardzo go nie zawiodła.

Boże, jaki był wściekły. Ze złością kopnął leżącą na ulicy puszkę, idąca z naprzeciwka ciężarna piękność spojrzała na niego z naganą. Oczywiście ciężarna, oczywiście piękność, jak na złość. Był zmęczony, bo za każdym razem, kiedy próbował ustawić jedną myśl na drugiej, pojawiała się Klara, burzyła konstrukcję i wciskała się do jego jaźni. Co, jeśli jest w ciąży? Może to i dobrze, w końcu wczorajszy wieczór był wspaniały, może to by oznaczało, że ustatkuje się u boku młodej i pięknej żony? A jeśli uległ nastrojowi chwili? Jeśli to tak naprawdę głupia plastikowa lala, która nigdy go nie pociągała i której raz udało się jakimś cudem wyrzucić pozytywne wrażenie? I czy to dobrze, że ją spławił? I czy w ciąży dałaby mu drugą szansę, czy wręcz przeciwnie, zamieniłaby się w roszczeniową żołą, czerpiącą z niego alimenty wiadrem, niczym wodę ze studni? A jeśli nie jest w ciąży, to powinien się cieszyć czy żałować?

Myślał, że długi spacer ze szpitala do prokuratury go otrzeźwi, chłodne powietrze pomoże zebrać myśli. A było tylko gorzej. Skreślił z Mickiewicza w Kosęły, za chwilę dotrze na miejsce, usiądzie w gabinecie Miszczyk, przedstawi jej plan śledztwa. Plan śledztwa! W głos się zaśmiał. Dobrze sobie, plan śledztwa.

Przed schodami do prokuratury stała grupka dziennikarzy, ktoś coś powiedział i wszyscy ruszyli w jego stronę. Po tym, jak telewizje pokazały wymianę zdań z upierdliwą małpą w zielonym, stał się rozpoznawalny. Wyprostował się, przykleił kamienną maskę na twarz.

– Panie prokuratorze, można słowo komentarza?

– Jutro będzie konferencja, o wszystkim państwa poinformujemy.

– Czy to seryjny zabójca?

– Jutro. Dziś miałbym dla państwa tylko plotki, jutro będziemy mieli informacje.

– Mogą być plotki.

– Nie mogą.

– Zabito podejrzanego o poprzednie morderstwo. Czy to znaczy, że śledztwo stanęło w miejscu?

– W żadnym wypadku.

– Czy powinno się zamknąć szkoły?

Szacki zdębiał. Przeciskał się systematycznie w kierunku wejścia, ale pytanie było tak głupie, że stanął.

– Dlaczego szkoły?

– Żeby chronić dzieci.

– Przepraszam, przed czym?

– Przed misterium krwi.

– Oszalał pan?

Prokurator Teodor Szacki miał wrażenie, że uchylił drzwi do alternatywnej rzeczywistości. Rzeczywistości, jak sądził, dawnej, zapomnianej i nieprawdziwej, zasłanej trupami starych demonów. Cóż, wystarczyło zerknąć przez szparę, żeby dowiedzieć się, że żadne demony nie umarły, poszły jedynie spać, na dodatek była to drzemka nad wyraz lekka. I teraz z radości merdają wszystkimi swoimi demonicznymi ogonami, że mogą wyjść przez uchylone w Sandomierzu drzwi i pobawić się z prokuratorem Szackim. Niewiarygodne. Jak głęboko wyryte w narodowej świadomości muszą być zastępujące myślenie stereotypy, skoro sześćdziesiąt pięć lat po Zagładzie, sześćdziesiąt trzy po ostatnim pogromie i czterdzieści po wygonieniu żydowskich niedobitków w 1968 roku przychodzi jakiś szaleniec urodzony na oko już w latach siedemdziesiątych i wierzy w misterium krwi.

– Nie oszalałem i nie żartuję – kontynuował mężczyzna, który ze swoją drobną posturą i kręconymi czarnymi włosami sam przypominał Szackiemu Żyda z karykatury. Ubrany był w pulowerek. – I nie rozumiem, dlaczego nie mamy odwagi zastanawiać się głośno, czy przypadkiem po latach nie wróciły do Polski mordy rytualne. Ja nie mówię, że tak jest. Ja tylko pytam.

Szacki czekał, aż ktoś go wyręczy i uciszy pajaca, ale nikt się nie kwapił, kamery i mikrofony czekały, co zrobi.

– Pan jest wariatem. Mord rytualny to antysemitcka legenda, nic więcej.

– W każdej legendzie jest ziarno prawdy. Przypominam, że wielu Żydów zostało skazanych w prawomocnych procesach za porwania i zabójstwa dzieci.

– Tak samo jak wiele czarownic. Myśli pan, że czarownice też wróciły do Najjaśniejszej? Pieprzą się z diabłem, wyciskają sok z czarnych kotów i knują, jak zdetronizować Chrystusa Króla?

Gromadka dziennikarzy wybuchła służalczym śmiechem. Wariat nie miał notesu ani dyktafonu i Szacki zrozumiał, że oprócz dziennikarzy byli tu też wielbiciele wszelkiego rodzaju spisków.

– Polityczna poprawność nie zmieni faktów, panie prokuratorze. A fakty to są dwa trupy zabite według starego żydowskiego rytuału, misterium krwi, praktykowanego od wieków w wielu miejscach świata. Może pan zaklinać rzeczywistość, ale ciągle ma pan w kostnicy dwa ciała. I żydowski obrządek, którego istnienie jest poza wszelką dyskusją. Istnieją dokumenty, istnieją zeznania świadków i nie mówimy tu o średniowiecznych podaniach, jeszcze w XX wieku niezależne sądy potwierdzały istnienie tego procederu.

– Nie zapominajmy o Piaseckim – dorzucił niemłody mężczyzna, który stał z tyłu, płaszcz i kapelusz nadawały mu wygląd amerykańskiego reportera z lat pięćdziesiątych.

– Święte słowa – ożywił się czarniawy. – Straszna, do dziś niewyjaśniona żydowska zbrodnia. Tym bardziej obrzydliwa, że ofiarą padł niewinny syn Piaseckiego. Wiedzieli, że dla niego to będzie gorsze niż jego własna śmierć.

– Skąd pan wie, że to żydowska zbrodnia, skoro jest niewyjaśniona? – zapytał odruchowo Szacki.

– Przepraszam, gdyby panowie mogli wytłumaczyć... – Jakiś pismak poczuł się zagubiony.

– Bolesław Piasecki – zaczął szybko wyjaśniać czarniawy – proszę poszukać, wielki Polak, działacz ruchu narodowego przed wojną, po wojnie szef PAX-u...

– Antysemita i żydożerca – burknął jeden z telewizyjnych operatorów, nie odrywając oka od wizjera.

Czarniawy zaczął opowiadać o Piaseckim, a Szacki myślał, że po czterdziestu latach niewiary w cuda i dziwy przyjdzie mu uwierzyć w pamięć genetyczną. O co, cholera, im wszystkim chodzi. Jak nie obraży w katedrze to getta ławkowe, jak nie getta to pogromy, jak nie pogromy to Piasecki, jak nie Piasecki to sześćdziesiąty ósmy, jak nie sześćdziesiąty ósmy to – Szacki zawiesił na chwilę myśl – to pewnie Michnik i Balcerowicz, nie może być inaczej. Założył się ze sobą o butelkę dobrego wina, że nie minie pięć minut, a tropiciele pejsatej mafii dojdą do Michnika.

– ...w pięćdziesiątym siódmym roku Żydzi z SB porwali i zamordowali mu syna. Pan prokurator dziwi się, że zbrodnia jest niewyjaśniona, oficjalnie oczywiście nie jest, oficjalnie żadna komunistyczna zbrodnia nie jest wyjaśniona. Czy to oznacza, że ksiądz Popiełuszko żyje i dobrze się miewa, a w kopalni Wujek nikomu nie stała się krzywda? Zabójstwo młodego Piaseckiego może i nie jest wyjaśnione, tylko tak się dziwnie składa, że nazwiska, jakie wypłynęły w tej sprawie, to funkcjonariusze SB żydowskiego pochodzenia. Zwracam też uwagę, że w polskiej tradycji nie ma zwyczaju mordowania dzieci, aby ukarać rodziców.

– W żadnej kulturze nie ma takiej tradycji – warknął Szacki, znajoma czerwona zasłona opadała mu powoli na oczy. Nienawidził głupoty, którą uważał za jedyną naprawdę szkodliwą cechę, gorszą od nienawiści. – Proszę nie opowiadać bzdur. Pan chyba nie wie, że za to są paragrafy.

– Nie sprowokuje mnie pan. – Tamten dumnie wypiął cherlawą pierś pod pulowerkiem. – Ja wiem, że władza lubi, kiedy tylko jeden sposób myślenia jest właściwy. A teraz sposób myślenia panów Szechtera i świętej, w cudzysłowie świętej, pamięci Lewertowa jest jedynie słuszny. Ale na szczęście można dziś mówić prawdę. Można mówić prawdę, jeśli wraca misterium krwi i jeśli polska krew wsiąka w sandomierską ziemię. I można mówić, jeśli się komuś nie podoba, że Polacy są spychani do roli mniejszości we własnym kraju.

Szacki poczuł się zmęczony. Bardzo, bardzo zmęczony. Tak bardzo, że nawet nie chciało mu się zastanawiać, jakie wino dla siebie wygrał. Odpowiedział tylko z przyzwyczajenia, z wieloletniego ojcowskiego nawyku, który każe tłumaczyć rzeczy oczywiste i powtarzać, że nie, słońce nie kręci się wokół ziemi, i nie, nie możesz mieć, drogie dziecko, własnego zdania na ten temat.

– To między innymi dzięki panom Michnikowi i Geremkowi może pan dziś mówić, co pan chce. Niestety.

Czarniawy pokraśniał.

– Nooo, widzę, że pan prokurator jednak się orientuje, co w trawie piszczy.

Pan prokurator poczuł się zbrukany sympatią wariata. Poczuł, że tonie. Tonie w rzece pieprzonej polskiej ksenofobii, która cały czas płynie pod powierzchnią, bez względu na moment dziejów, tylko czekając na sposobność, żeby wypłynąć na wierzch i zalać okolicę. Mentalna Wisła, niebezpieczny i nieuregulowany ściek przesądów i uprzedzeń, zupełnie jak w tej piosence biesiadnej, co to Wisła płynie po polskiej krainie. „Bo ten naród polski ma ten urok w sobie, kto go raz pokochał, nie zapomni w grobie”. Urok, na psa urok, szlag by to trafił, hobbyści patriotyczni, kolekcjonerzy pogardy.

Szacki nakręcał się wewnątrz coraz bardziej, a właściciel pulowerka patrzył na niego z sympatycznym uśmiechem człowieka, który odnalazł zaginionego brata. Im bardziej się uśmiechał, tym bardziej Szacki się nakręcał, aż w końcu wściekły wyrzucił z siebie słowa, których żałował, jeszcze zanim przecisnęły się przez krtań, ale było już za późno, żeby je powstrzymać.

– Tak, jasne, orientuję się, że Michnik z Geremkiem sprzedali Polskę razem ze swoją żydowską bandą, a Okrągły Stół to było tak naprawdę święto Chanuka. Proszę mnie posłuchać, bo nie będę tego więcej powtarzał. Jestem urzędnikiem Rzeczypospolitej Polskiej i interesuje mnie tylko i wyłącznie jedno: znaleźć i postawić przed

sądem sprawcę tych zbrodni. Jest mi obojętne, czy to będzie wskrzeszony z martwych Karol Wojtyła, Ahmed z budki z kebabami, czy jakiś chudy Żyd w pana typie, wypiekający macę w piwnicy. Ktokolwiek to jest, zostanie wyciągnięty za swoje zawzione pejsy z tej wilgotnej nory, w której się schował, i odpowie za to, co zrobił. Gwarantuję to państwu.

Czarniawemu cała krew odpłynęła z twarzy, wściekły Szacki już tego nie widział, bo odwrócił się na pięcie i czując, jak mu drętwieją ręce z wściekłości, wszedł do budynku prokuratury. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Nie wiedział, że na podglądach wycelowanych w niego kamer wyglądało to zupełnie jak słynna scena z *Amatora*, którą wspominał przed południem.

– Ptysiulka? – Maria Mischczyk podsunęła mu srebrną tackę, małe ptysie były ułożone na niej w zgrabną piramidę.

Szacki miał ochotę powiedzieć, że na chuj mu te ptysie, ale wyglądały tak apetycznie, że sięgnął i włożył jednego do ust. A potem od razu następnego, ciastka były nieprzyzwoicie, niewyobrażalnie pyszne. Biorąc pod uwagę fakt, że w Sandomierzu nie było ani jednego miejsca z dobrymi słodyczami – nie licząc bombonierek na stacji Orlenu – i że Szacki od tygodni czuł się jak narkoman na odwyku, miał ochotę podskoczyć z radości i krzyknąć: „Alleluja”.

– Smaczne – docenił oszczędnie.

Mischczyk uśmiechnęła się ciepło, jakby doskonale wiedziała, że ptysie są doskonałe, ale rozumiała, że nie wypada mu popadać w pretensjonalną egzaltację. Spojrzała pytająco.

– Dobra wiadomość jest taka, że mamy więcej, znacznie więcej – zaczął Szacki swoją relację. – Przede wszystkim wiemy, że Elżbieta Budnik została zamordowana w tym samym budynku, jest tam pełno jej krwi. Mamy też materiał do badań daktyloskopijnych i traseologicznych, gorzej jest ze śladami biologicznymi i materiałem DNA, budynek jest brudny, usyfiony, na skraju katastrofy budowlanej i od wielu lat zamieszkiwany przez najróżniejsze zwierzęta. Nic z tego nie będzie. Z tego samego powodu odpadają próbki zapachowe. Policja wstępnie przepuściła odciski przez bazę danych, niestety nic nie wyskoczyło.

– Mężczyzna?

– Nie da się tego stwierdzić na podstawie linii papilarnych. Odcisk sportowego buta ma rozmiar 39,5, też nam to nic nie mówi.



– Ale trzeba konkretnej siły, żeby wciągnąć kogoś na piętro.

– Niekoniecznie. – Szacki rozłożył przed szefową wykonane na miejscu zbrodni fotografie. – Strop między kondygnacjami istnieje tylko częściowo, tam gdzie go nie ma, znaleziono system bloczków, biorąc pod uwagę pozostawione w brudzie ślady, raczej pewne jest, że bloczków użyto do wciągnięcia ofiar. Budnikowa i jej mąż byli drobnej postury, mogła to zrobić kobieta. Niezbyt cherlawa, fakt, ale to możliwe.

– Jaka była bezpośrednia przyczyna śmierci Budnika? – Mischczyk zadała pytanie i sięgnęła po ptysiulka, zbyt szybko go rozgryzła, bita śmietana zakwitła jej na dolnej wardze na kształt kwiatu bawełny. Prokurator bardzo powoli i bardzo dokładnie oblizwała wargi, ruch był tak zmysłowy, że Szacki się podniecił, choć nigdy dotąd nie myślał o swojej macierzyńskiej szefowej w kategoriach seksualnych. Nagle zobaczył, jak go gwałtownie ujeżdża, fałdy obfitego ciała radośnie mlaskają, piersi majtają się na wszystkie strony, skacząc i odbijając się od siebie jak pogrążone w zabawie szczeniaki.

– Przyczyna śmierci, panie prokuratorze.

– Wykrwawienie. Wcześniej wstrzyknięto mu silny środek uspokajający, trankiloxil.

– Jak to... – Mischczyk zawahała się – jak to wyglądało, wie pan, pod beczką.

– Lepiej, niż się spodziewałem – odparł zgodnie z prawdą Szacki. – Budnik wykrwawił się przez przecięte w pachwinie tętnice, beczka była dla hecy i dla efektu, dekoracja teatralna. Oczywiście gwoździe pokaleczyły go i podrapały w kilku miejscach, ale nie były przyczyną śmierci.

– A te numery namazane we krwi?

– Wieczorem się tym zajmę razem z Basią.

Nawet jeśli Miszczyk zdumiała ciepło wypowiedziana „Basia”, nie dała tego po sobie poznać.

– Dobrze, to teraz złe wiadomości. Ale najpierw ptysiulka na poprawę nastroju.

Szacki bez ponaglenia sięgnął po ciastka. Mały ptyś był idealny. Świeżutka, chłodna, lekko kwaśna bita śmietana rozpływała się w ustach i łączyła z pachnącym jajkami ciastem, rozlewając się po kubkach smakowych w sposób ekstatyczny, ptyś Miszczyk był skończonym dziełem sztuki, platońską ideą wszystkich ptysiów.

– Po pierwsze, nasz podejrzany wykrwawił się na białoczerwono, ku chwale antysemickiej legendy o krwi. Co oznacza, że histeria mediów za chwilę będzie nie do opanowania i że z całego świata zjadą tu zarówno faszystowskie świry i tropiciele żydowskiego spisku, jak i fanatyczni obrońcy politycznej poprawności. Przed chwilą miałem próbkę na dole.

Zjadł następnego ptysia, postanowił w ten sposób rozdzielać złe wiadomości.

– Po drugie, był to nasz jedyny podejrzany. Nie wiemy o nikim, kto miałby motyw, aby zabić małżeństwo Budników. Rozważałem przez chwilę wersję, czy Budnik nie zabił żony, a następnie nie został w zemście zamordowany przez jej kochanka, Jerzego Szyllera. To jednak nieprawdopodobne, Szyller nie miałby żadnego powodu, aby powielać *modus operandi* Budnika. Prędzej uwierzę w to, że Szyller zamordował oboje. Między tą trójką działo się coś dziwnego i brudnego.

– A obecnie pan Szyller...

– Pozostaje na wolności, ale jest pod stałą obserwacją policji. – Szacki wyczuł ciężkie spojrzenie szefowej i dodał, że tym razem obserwacja oznacza, że aby zniknąć, musiałby wyparować lub przecisnąć się przez rurę kanalizacyjną.

Ptysiulek.

– Po trzecie, nie bardzo na razie wiadomo, jak ofiary znalazły się na miejscu zbrodni. Na pewno na posesję nie wjeżdżał żaden samochód, nie znaleźliśmy też śladów ciągnięcia przez krzaki, śladów po wózku albo taczce, ba, nie ma nawet śladów stóp, nie licząc tych pozostawionych przez staruszka, który znalazł zwłoki Budnika.

– To skąd to 39,5?

– Odcisnięte we krwi na górze.

I następny. Płyś był jak heroina, z każdym kolejnym Szacki coraz szybciej potrzebował następnego.

– Po czwarte, numery wymazane we krwi mogą wskazywać, że mamy do czynienia z wariatem, który chce się bawić w zagadki, amerykańskie filmy, dyszenie do telefonu i szycie sobie chałata z ludzkiej skóry.

– Co pan o tym sądzi?

Szacki się skrzywił.

– Studiowałem przypadki seryjnych zabójstw, mordercy tylko w Hollywood są geniuszami zbrodni. W rzeczywistości to zaburzone jednostki, uzależnione od zabijania. Mordowanie za bardzo ich podnieca, żeby bawili się w teatralne stylizacje, gierki ze śledczymi, a przede wszystkim przykładali się do zaplanowania zbrodni i późniejszego zatarcia śladów. Oczywiście próbują, ale sączą błąd na błędzie, a problem z ich schwytaniem bierze się stąd, że nie wywodzą się ze środowisk przestępczych, nie są notowani, ciężko ich namierzyć.

– W takim razie, o co tu może chodzić?

– Szczerze? Nie mam najmniejszego pojęcia. Na pewno o coś innego niż mordowanie dla mordowania. Budnikowa była lokalną społeczniczką, Budnik powszechnie znanym politykiem samo-

rządowym, oboje byli mocno związani z miastem. Miejsce zbrodni leży dokładnie między największymi lokalnymi zabytkami: zamkiem, katedrą i ratuszem. Oba ciała znaleziono na Starym Mieście. Gdybym miał się zakładać, tobym postawił na to, że rozwiązanie zagadki prędzej znajdziemy w tych starych murach niż w umyśle jakiegoś szaleńca.

– Dużo by pan postawił? – spytała Miszczyk, sięgając po jednego z trzech ostatnich ptysiów.

– Raczej niewielką kwotę.

Roześmiała się, chmurka śmietany sfrunęła na uwięzioną w nieapetycznym czółenku nieapetyczną stopę. Miszczyk wyjęła ją z buta i zaczęła wycierać chusteczką jednorazową, stopa była duża i nieforemna, przy palcach rajstopy były mokre od potu. Niestety od czasu wizji odbijających się od siebie wielkich, obwisłych piersi w Szackim coś pękło i teraz uznał ten widok za perwersyjnie atrakcyjny.

– Musimy sprawdzić trop żydowski.

Miszczyk westchnęła głośno, ale pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Czy nam się to podoba, czy nie, trzeba poszukać w środowisku, sprawdzić potomków starej gminy.

– Zajebią nas – powiedziała cicho Miszczyk. W połączeniu z jej aparycją królowej niań zabrzmiało to dziwnie. – Zajebią nas, jak się wyda, że penetrujemy środowisko żydowskie w poszukiwaniu zabójcy. Obwołają faszystami, nazistami, uprzedzonymi, ziejącymi nienawiścią Polakami, którzy wierzą w legendę o krwi. Wszystkie media nawijają już o antysemitkiej prowokacji, a jest niedziela. Jutro ruszą na dobre.

Szacki wiedział, że to prawda, ale przypomniała mu się wczorajsza rozmowa z Sobierajem przy grillu.

– Nie mamy wyjścia, nie możemy zignorować tezy, że to jednak jest sprawka jakiegoś żydowskiego świra. Tezy, która się mimo wszystko narzuca. Ofiary są Polakami, katolikami, patriotami. Zabójstwa są stylizowane na żydowski rytuał, legendarny, fakt, ale legenda jest rozpoznawalna. Miasto słynie z napięć na tle stosunków polsko-żydowskich. A lud Izraela przeszedł długą drogę od postawy biernej ofiary historii do walczącego brutalnie o swoje i mszczącego się za krzywdy agresora.

Miszczyk patrzyła na niego, zastygła w idealnym bezruchu, z każdym zdaniem jej oczy rozszerzały się coraz bardziej.

– Ale może pani być spokojna, nie będę cytował tej reasumpcji na konferencji prasowej.

Dopiero teraz wypuściła powietrze.

Chwilę jeszcze rozmawiali o planach poczynąń na najbliższe dni, układali listę spraw do załatwienia, czynności, które mogą uwiarygodnić lub wykluczyć niektóre założenia śledztwa. Był to żmudny proces eliminacji, ale Szacki nie czuł się przytłoczony, na tym etapie każda chwila mogła przynieść przełom, ważną informację, rewolucyjny zwrot akcji. Rzucili monetą, kto zje ostatniego ptysiulka. Szacki wygrał, rozsmarowywał resztki ciastka na podniebieniu, myśląc już o naparze z mięty, kiedy Miszcyk wystrzeliła swoje ostatnie pytanie.

– Podobno rzucił pan Klarę Dybusównę?

Atak na jego prywatność był bardzo niespodziewany i Szacki zapomniał języka w gębie. Nie był przyzwyczajony do małomiasteczkowego obiegu informacji.

– Chodzą słuchy na mieście, że od rana płacze i pomstuje, a jej bracia nabijają muszkiety.

Kurwa mać, nawet nie wiedział, że ma jakichś braci.

– To nie był rokujący związek – powiedział, żeby powiedzieć cokolwiek.

Parsknęła śmiechem.

– Związek z najlepszą partią w Sandomierzu nie był dla pana rokujący? Tutaj już wszyscy rycerze bez skazy połamali koniom nogi, próbując się wdrapać na jej szklaną górę. Jak pana wybrała, to nawet głuchy słyszał dobiegające z setek domów myśli samobójcze. Piękna, mądra, bogata, jak Boga kocham, połowa tutejszych kobiet zostałaby dla niej lesbijką. A dla pana to nie był rokujący związek?

Szacki wzruszył ramionami i wykonał jakiś idiotyczny grymas. Co innego mu zostało?

„Miasteczko samo napęlnia mnie smutkiem, ubóstwo i prymitywizm żalosne, nie ma co pić i nie ma gdzie co jeść, bo wszystkie restauracje zamknięte. W Gospodzie Ludowej zaczęło się od konfliktu, ale na szczęście schowałem swoje ambicje do kieszeni i przeprosiłem się. Toteż dostaję tam trochęjadła. Gorsza rzecz jest z kakaniem. Komórki dwie zamknęli na kluczyk, brudne i cuchnące. O siadaniu mowy nie ma. To jest dla mnie potworna strona mojego mieszkania tutaj i chyba już w przyszłości przestanę tu przyjeżdżać”.

Prokurator Teodor Szacki był zadowolony, że to wynotowane z *Dzienników Iwaszkiewicza* zdanie nie ma już zastosowania. Nabrał na łyżeczkę trochę zdobiącej jego kawę mlecznej pianki i wciągnął łąpczywie, drobinki cukru pudru połąskotały go w podniebienie. Albo jakiś bezimienny sandomierski geniusz wpadł na pomysł, żeby posypywać kawę cukrem zamiast czekolady, albo właściciele kafejki gdzieś to podpatrzyli, nieważne – pierwszy łyk kawy w Małej był dzięki temu tak niezmiennie pyszny, że Szacki nie miał ochoty chodzić nigdzie indziej. W ogóle lokal należał do jego ulubionych, był spełnieniem mieszczkańskich marzeń o „bezpretensjonalnej małej kafejce na dole”. Krótka karta z tostami i naleśnikami, kawa, herbata, domowe ciasto. Kanapa, kilka krzeseł, cztery stoliki na krzyż. Miejscowi narzekali na warszawskie ceny, co Szackiego niezmiennie śmieszyło, kiedy płacił siedem złotych za mistrzowską latte. Ostatnio mniej, kiedy z jakichś powodów zyskał miano stałego klienta, co było tyleż miłe, co zaskakujące – nigdy nie zamienił tu z nikim jednego słowa poza złożeniem zamówienia, siedział w kącie, pił kawę, milczał i czytał Iwaszkiewicza, taki sandomierski snobizm.

Iwaszkiewicza albo coś innego, wygrzebanego z księgarenki vis-à-vis. Która z kolei była ziszczeniem marzeń o „bezpretensjonalnej

małej księgarence na dole”, odtrutką na empiki, które Szackiemu zawsze kojarzyły się z przepelnionym więzieniem o zaostrowym rygorze. Jakby książki odbywały tam jakiś wyrok, a nie mieszkały, spokojnie czekając na czytelnika. Tutejsza księgarenka była może ciut zapyziała, ale przynajmniej nie czuł się w niej jak ofiara więziennego gwałtu zbiorowego, z którą jeszcze nie skończyły wszystkie nowości, a już dobierają się do niej promocje i bestsellery.

Teraz nie miał książki, siedział z zamkniętymi oczami i grzał dłonie o ciepły kubek. Za oknem było już ciemno, dochodziła dziewiąta, za chwilę będą zamykać. Trzeba odgwizdać koniec przerwy i wrócić do ślepienia w ekran komputera. Basia Sobieraj siedziała obok na kanapie, ze skrzyżowanymi po turecku nogami, kartkowała wyciągniętego ze sterty gazet i komiksów *Tytusa, Romka i ATomka*.

Dwie godziny siedzieli u niego w mieszkaniu, starając się znaleźć cywilnymi metodami jakiekolwiek powiązania pomiędzy pozostawionymi na miejscu zbrodni numerami: 241921, 212225, 191621. *Boh trojcu lubit*, wszystkie trzy naraz występowały na dokładnie trzech internetowych stronach. Jednej arabskiej, służącej – o ile dobrze wykoncypowali z rozsianych między robaczkami łańciskich nazw – do pokątnej sprzedaży środków na potencję. Jednej islandzkiej, która składała się z dziesiątek stron liczb opublikowanych w celach informatycznych. I jednej niemieckiej, będącej spisem bibliograficznym, liczby pojawiały się w numerach indeksów. I tyle. Wobec skali porażki zaczęli studiować pojedyncze numery, przerzucając się dowcipami i spostrzeżeniami. Próbowali znaleźć numery telefonów, przerabiali liczby na daty – dzięki czemu Szacki dowiedział się, że 2 kwietnia 1921 roku otwarto po raz pierwszy Targi Poznańskie, Albert Einstein miał w Nowym Jorku wykład o teorii względności, a 4 lutego 1921 roku urodził się indyjski polityk Kocheril Raman Narayanan, żył osiemdziesiąt cztery lata – mimo to nie znaleźli żadnego punktu zaczepienia. Poza tym



sam pomysł był rozpaczliwy, tylko pierwsza z liczb dawała się przerobić na w miarę współczesną datę.

Sobieraj zamknęła *Tytusa* i odłożyła na stertę.

– Zestarzałam się chyba, nie śmieszy mnie już prawie wcale – powiedziała i wyjęła z kieszeni polaru złożoną kartkę. – To co, jeszcze raz?

– Myślałem, że mamy przerwę – jęknął, ale wziął kartkę do ręki. Sobieraj wypisała na niej te interpretacje liczb, które wydawały się najrozsądniejsze. Sama śmietanka, już po odrzuceniu numerologii, identyfikatorów na serwisach randkowych i numerów aukcji internetowych. Na kartce stało:

241921 – symbol Animatora gospodarczego ds. rozwoju technologicznego w klasyfikacji zawodów Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej; numer, pod którym wpisana jest do KRS spółka Goldenline, prowadząca biznesowy serwis społecznościowy.

212225 – symbol modnych, wsuwanych butów Gucciego.

191621 – numer polskiego patentu dla korytka kablowego do światłowodów; asteroida z pasu asteroidów rozciągającego się pomiędzy wewnętrznymi i zewnętrznymi planetami Układu Słonecznego.

Masakra. Szacki spojrzął na to i od razu ponownie zamknął oczy.

– Źle kombinujemy – powiedział.

– Hmm? – mruknęła Sobieraj, Szacki nauczył się już, że uprzejme „hmm” to jej sposób na aktywne słuchanie.

– Zamiast myśleć, wrzucamy to bez sensu w Google'a, jakbyśmy naprawdę wierzyli, że cały świat jest już w Internecie. A nie ścigamy kogoś, kto morduje informatyków, wieszając ich na kablach sieciowych. Wszystko ociera się o starą tradycję, zabobony, zabytki. Google nam nie pomoże. Musimy pomyśleć. Trzy sześciocyfrowe

numery, stosunkowo blisko siebie, ale nie ułożone w kolejności. Ustaliliśmy, że sześciocyfrowe były kiedyś numery telefonów, sprawdzimy je w starych książkach adresowych województwa. Co jeszcze?

– Legitymacje policyjne!

Szacki otworzył oczy. To było to. To musiało być to. Skrót oznaczający Komendę Wojewódzką Policji i trzy sześciocyfrowe numery. Odstawił kawę i od razu zadzwonił do Wilczura, który na szczęście był jeszcze na komendzie. Kazał mu wrzucić w system trzy numery i oddzwonić. Sobieraj słuchała z wypiekami, jak wydaje chłodnym głosem polecenia służbowe, wyglądała jak mała ruda dziewczynka na tropie wakacyjnej tajemnicy.

– Co jeszcze? – zapytał Szacki. – Co jeszcze jest oznaczane sześciocyfrowymi numerami? Mów wszystko, co ci przyjdzie do głowy, najodleglejsze skojarzenia, rzeczy w ogóle nie na temat.

Sobieraj spojrzała na niego. Jeśli chciała o coś spytać, to zrezygnowała, przygryzła dolną wargę w zamyśleniu.

– Numery obozowe. Niemcy, Żydzi, antysemityzm. KWP to może być oznaczenie jakiejś kategorii.

– Dobrze. Do sprawdzenia. Co jeszcze?

– Numery na gadu są chyba sześciocyfrowe. Nie jestem pewna.

– Do sprawdzenia. Co jeszcze?

Sobieraj zagryzła mocniej wargę, zmarszczyła brwi i nachyliła się do niego.

– Mam! Liczba szarych komórek.

– Że jak?

– Liczba szarych komórek, które obumierają za każdym razem, kiedy zamiast myśleć, wydajesz polecenia.

– Ktoś musi zorganizować robotę.

– No, słucham. – Sobieraj zaplotła dłonie, odchyliła się w stronę oparcia kanapy i zaczęła kręcić młynka kciukami. Wyglądała słodko i Szacki poczuł, że lubi ją coraz bardziej. Trochę to był typ koleżanki z harcerstwa, dziewczyny, z którą można przesiedzieć całą noc na warcie i cały obóz przegadać, a jak w końcu dociera, że to była nie tylko przyjaźń, to ona już dawno jest czyjąś żoną. Zamknął oczy i zaczął wyobrażać sobie cyfry. Zobaczył teczkę na akta, ale odepchnął obraz od siebie, wszystkie sygnatury świata zawsze są łamane przez rok, to nie może być to. Z tego samego powodu odpadali więźniowie i aresztanci, poza tym ich numery nie były sześciocyfrowe. Opieprzył się za zbyt klasyczne myślenie. Trzeba coś zakręcić, pomyśleć odwrotnie. Może to rozbić? Nie numery sześciocyfrowe, tylko zbitki trzycyfrowych? 241 921 – 212 225 – 191 621. Trochę jak część numerów IP. Trochę jak numery telefonów komórkowych bez oznaczenia operatora. A zbitki dwucyfrowych? 2419 21 – 2122 25 -1916 21. Wyświetlał je w pamięci, obracał na wszystkie strony.

– Dziwna prawidłowość... – powiedział cicho.

– Hmm?

– Dziwna prawidłowość – powtórzył. – Jeśli rozbijemy numery na liczby dwucyfrowe, to żadna z nich nie jest wyższa niż dwadzieścia pięć. Spójrz.

Wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki, zapisał cyfry na serwetce w następujący sposób: 24 19 21 21 22 25 19 16 21  
Sobieraj obróciła do siebie serwetkę.

– Kwadrat magiczny? Rebus matematyczny? Jakiś szyfr? Łaciński alfabet ma dwadzieścia sześć znaków.

Szacki szybko przepisał:

XSU

UVY

SPU

Spojrzeni na siebie z Sobieraj. Nie wyglądało to sensownie. Ale Szacki poczuł niepokój. Uciekła mu jakaś myśl. Coś przemknęło w tyle głowy. Kiedy zamieniał cyfry na litery? Nie, wcześniej. Kiedy patrzył na rozpisane w kwadrat liczby. A Sobieraj powiedziała o rebusie? Nie, najpierw wspomniała o kwadracie magicznym. Nie wiedzieć czemu, kwadrat magiczny zapachniał mu papierem, tajemnicą, czytana pod kołdrą przy świetle latarki książką. Co to było? Jakaś młodzieżowa lektura, żydowski alchemik wskrzesza w Pradze Golema, wkładając mu w usta kartkę z kwadratem magicznym. Mój Boże, czy naprawdę do jego śledztwa wkracza właśnie Kabała? To był jakiś trop, ale to jeszcze nie to, jakaś inna myśl przeleciała, kiedy patrzył na te cyfry, jakieś odległe skojarzenie. Pary liczb. Kwadrat magiczny. Kabała. Przesady. Zabobony. Ezoteryka. Wiara. Złapał Sobieraj za rękę, nakazał palcem, żeby się nie odzywała, wyciągnięta myśl była coraz bliżej, nie chciał jej stracić. Liczby. Kabała. Wiara. No, jeszcze trochę. Wstrzymał oddech, zamknął oczy, widział, jak z neuronowej mgły wyłania się odpowiedź.

I wtedy zadzwonił telefon. Wilczur. Myśl przepadła, Szacki odebrał i wysłuchał, co ma do powiedzenia stary policjant. Sobieraj patrzyła wyczekująco, położyła dłoń na jego dłoni, Szacki pomyślał, że widok dwóch trzymających się kurczowo za ręce prokuratorów jest cokolwiek surrealistyczny, ale nie cofnął swojej.

– No i? – spytała, kiedy prokurator zakończył rozmowę.

– No i nic – odparł Szacki. – Pani nadkomisarz z dochodzeniówki w Brzegu Dolnym, aspirant drogowki z Barczewa i dzielnicowy z Gorzowa Wielkopolskiego. Różne miejsca urodzenia, różne nazwiska, żadnych punktów stykowych ani ze sobą, ani z naszą sprawą. Wilczur obiecał, że jego kumpel w Tarnobrzegu

sprawdzi jeszcze w archiwum legitymacje milicyjne. Może tam coś będzie.

Chciało mu się płakać. W zaginionej myśli mogło być rozwiązanie zagadki.

– Hmm – mruknęła Sobieraj. – Tak cię słucham, że Brzeg, Barczewo, Gorzów, miejsca na mapie. Myślisz, że to mogą być współrzędne geograficzne? Wiesz, stopnie, minuty, sekundy?

Szacki szybko dopił resztkę kawy, prawie pobiegli z powrotem do jego kawalerskiej nory, w której wyczuwał ciągle perfumy Klary. Klary – najlepszej partii w Sandomierzu.

Wykorzystując różne kombinacje, na naszej ćwiartce globu (szerokość północna, długość wschodnia) udało im się oznaczyć kilka pustynnych miejsc w Libii i Czadzie. Inne eksperymenty prowadziły na bezdroża Namibii i fale Oceanu Atlantyckiego.

– Spróbujemy oznaczyć to w Polsce – powiedziała Sobieraj, nachylając się nad jego ramieniem. Rude włosy łaskotały go w ucho.

– Libię w Polsce?

– To znaczy gdzie te południki przecinają Polskę. Kojarzysz, jak w *Dzieciach kapitana Granta*.

Tam, co prawda, chodziło o równoleżnik, ale Szacki szybko zrozumiał. Faktycznie, gdyby wszystkie numery były oznaczeniem szerokości geograficznej, to wszystkie przecinałyby nasz rejon świata. 19°16'21" od Bielska-Białej, przez Dąbrowę Górniczą i zachodnie przedmieścia Łodzi po Mierzeję Wiślaną w okolicach Krynicy Morskiej. 21°22'25" startowało z kolei niedaleko Krynicy Zdroju, aby przelecieć przez sam środek Ostrowca Świętokrzyskiego – tutaj spojrzeli na siebie znacząco – przeciąć wschodnie dzielnice stolicy i przez Mrągowo dotrzeć do granicy z Rosją. 24°19'21" było w

całości poza Polską, ale ciągle w jej przedwojennych granicach, delikatnie omijało od wschodniej strony Lwów, Grodno i Kowno.

– Ten Ostrowiec to już coś – wymruczała mu do ucha Sobieraj, za wszelką cenę próbując udowodnić, że dla prawdziwego optymisty i stłuczona szklanka może być do połowy pełna.

– Nawet wiem co – powiedział Szacki, wstając gwałtownie.

– Hmm?

– Gówno. Ściema. Kłamstwo. Wielkie gówno wielkości Australii, monstualna kupa rzadkiej kupy!

Sobieraj założyła włosy za uszy i patrzyła na niego cierpliwie, czekając, aż się uspokoi. Szacki chodził po pokoju od ściany do ściany.

– Na amerykańskich filmach zawsze pojawia się geniusz, który usiłuje myśleć jak morderca, tak? Marszczy czoło, chodzi po miejscu zbrodni i w gwałtownych czarno-białych retrospekcjach widzimy, jak jego umysł się dostraja, jak rozumie, co dokładnie się wydarzyło. – Coś błysnęło między szafą a ścianą, coś, co wyglądało jak srebrne opakowanie, Szacki z trudem oparł się pokusie sprawdzenia, czy to opakowanie prezerwatywy, czy opakowanie po prezerwatywie.

– Hmm? – tym razem Sobieraj wzbogaciła swoje mruknięcie o zachęcający gest. Jedną ręką wystukiwała coś na klawiaturze.

– Tylko że filmy mają inną logikę niż życie. Mają logikę, która w półtorej godziny musi doprowadzić do rozwiązania, zamknięcia akcji, pojmania sprawcy. A teraz wczujmy się w logikę prawdziwej sprawy i naszego mordercy. Zapewne nie chce, żebyśmy go złapali w półtorej godziny, więc jeśli nie jest absolutnie i do końca popieprzony, nie będzie zostawiał szarad, których rozwiązanie doprowadzi nas do niego.

– Czyli?

– Czyli albo zostawi szaradę, która skieruje nas na zupełnie fałszywy trop. Albo, co z jego, lub jej, punktu widzenia musi być zabawniejszym rozwiązaniem, zostawi nonsensowną szaradę. Taką, która nie ma rozwiązania i donikąd nie prowadzi, sprawia jedynie, że marnujemy czas, oglądając satelitarne zdjęcia pustyni w Libii. A z każdą minutą on, lub ona, jest zapewne coraz dalej, coraz bardziej bezpieczny.

– Okej – powiedziała wolno Sobieraj, bujając się na krześle, ręce miała splecione pod brodą. – I co proponujesz?

– Idziemy do łóżka.

Sobieraj wolno podniosła jedną brew do góry.

– Nie wzięłam swojej koronkowej bielizny, więc jeśli zgodziłbyś się przelożyć to na inny termin...

Szacki parsknął śmiechem. Naprawdę lubił ją coraz bardziej.

– Wy strasznie jesteście lubieżni na tej prowincji.

– Długie zimy, długie noce, kina nie ma, w telewizji nudy. Co robić?

– Spać. Idziemy spać, wypocząć. Jutro mamy profilera, spłyną dane z laboratorium, nagrania z miejskiego monitoringu, może będziemy mieli coś więcej.

Sobieraj odwróciła do niego laptopa.

– Najpierw spojrz na to.

Podszedł, wzmianka o bieliźnie sprawiła, że najpierw spojrział na nią, inaczej, ale zobaczył to samo, co zwykle. Dżinsy, grube trekkingowe skarpety, czerwony polar, zero makijażu. Podręcznikowy przypadek stuprocentowej oazowej harcerki. Jedyna koronka, jaką sobie wyobrażał w jej kontekście, to koronka do Miłosierdzia Bożego. Ale pachniała ładnie, pomyślał, pochylając się nad nią – bardziej szamponem niż perfumami, ale ładnie.

W oknie przeglądarki otwarte było hasło Konspiracyjne Wojsko Polskie. No tak, KWP. W głowie pojawiły się odpryski powierzchownej historycznej wiedzy. Żołnierze wyklęci, walcząca z komunistami powojenna partyzantka, wyroki sądu podziemnego, antysemickie wybryki. Szyller?

– Zostawiam cię z problemem, czy to może być ściema, czy nie, i faktycznie idę spać. Odezwę się, jak wskoczę w coś bardziej sexy. Buziak.

Cmoknęła go po koleżeńsku w policzek i wyszła. Pomachał jej, nie odrywając wzroku od komputera.

Kilka godzin później, kiedy wypalał swojego pierwszego papierosa przy uchylonym oknie w kuchni, a dym razem z piaskiem w jego oczach tworzył bolesną mieszaninę, wiedział już znacznie więcej o Konspiracyjnym Wojsku Polskim. O tyle więcej, żeby wpiąć do akt jeszcze jedną wersję śledztwa, wersję złowieszczą, która najbardziej ze wszystkich zakładała, że cała sprawa to krwawa żydowska dintojra. I która niestety przewidywała, że nie musi się skończyć na dwóch trupach, wręcz przeciwnie.

Świt zapowiedział się tym, że w czerni podwórka pojawiły się pierwsze niewyraźne kształty, ciemne plamy na tle bardzo ciemnych plam. Szackiemu przypomniawszy się noc sprzed kilku dni, palił w tym samym miejscu, kiedy ku jego utrapieniu na polarze pojawiły się czerwone paznokcie Klary. Myślał o tamtej nocy, myślał o niej, jak rano kazała mu się odwrócić, ubierając swoje posagowe ciało. Do wyciskanych przez zmęczenie i dym łez dołączyło trochę smutnej wilgoci. Prokurator Teodor Szacki znowu coś spierdolił, znowu został sam, bez nikogo i bez niczego.

Ale może tak było najlepiej.



## **Rozdział szósty**

*poniedziałek, 20 kwietnia 2009*

Prawosławni chrześcijanie świętują Wielki Poniedziałek, katolicy w końcu mają wolne, nie licząc tych o skrajnie prawicowych poglądach, którzy świętują okrągłe, 120. urodziny Adolfa Hitlera. Pozostałe Ludy Księgi też nie próżnują: muzułmanie obchodzą 1442. urodziny Mahometa, a Żydzi słuchają, jak prezydent Iranu na konferencji ONZ na temat walki z rasizmem wygłasza antysemityczne przemówienie. W Polsce 48 procent Polaków twierdzi, że w Sejmie nie ma partii, która reprezentowałaby ich interesy, a 31 procent – że żadna nie prezentuje ich poglądów politycznych. Indie wystrzeliwiają na orbitę szpiegowskiego satelitę produkcji izraelskiej, Rosja ostrzega NATO, że manewry wojskowe w Gruzji to niepotrzebna prowokacja, a we Włoszech Juventus zostaje ukarany za rasistowskie okrzyki kiboli, najbliższy mecz zagra bez publiczności. W Sandomierzu 37-latek parkuje swoją fiestę w sklepie hydraulicznym na Mickiewicza, nieopodal rozpoczyna się etap diecezjalny XIII Konkursu Wiedzy Biblijnej. Wszyscy 44 finaliści już wygrali jednodniowy pobyt formacyjno-wypoczynkowy w pustelni w Rytwianach. Trochę cieplej, ale bez ekscytacji, temperatura w dzień to około 13 stopni, jak na złość pięknie i słonecznie.

Śniły mu się jakieś bzdury. Koszmarne bzdury. Znowu był w Lapidarium, zamiast rocka leciały w kółko przeboje z lat osiemdziesiątych. Ciągłe brzmiało mu w uszach *Wake Me Up Before You Go Go*, kiedy sięgał po stojącą zawsze obok łóżka butelkę wody. W miarę odzyskiwania świadomości wspomnienia snu blakły w szybkim tempie, ale nie na tyle szybkim, żeby zmyć zdziwienie z zaspanej twarzy. Leciał Wham!, on tańczył z różnymi kobietami, na pewno były tam Tatarska, Klara, Weronika i Sobieraj. Baśka miała na sobie tylko czerwoną koronkową bieliznę, byłoby to wszystko bardzo erotyczne, gdyby nie pojawił się Hitler – dokładnie przy słowach *you put the boom boom into my heart*. Prawdziwy Adolf Hitler, z małym wąsikiem i w nazistowskim mundurze, niski, śmieszny facecik. Może niski, może śmieszny, ale tańczył zajebiście, naśladował ruchy George'a Michaela jak bóg tańca, dziewczyny zrobiły mu miejsce na parkiecie, wszyscy klaskali w kółeczku, a w środku tańczył Hitler. Nagle złapał Szackiego za rękę i zaczęli tańczyć razem, pamiętał ze snu, że uczucie niestosowności tańca z Hitlerem walczyło z uczuciem przyjemności, Hitler tańczył świetnie, zmysłowo, dawał się lekko prowadzić, pomysłowo reagował na każdy ruch. Ostatni blaknący obraz to roześmiany Hitler, wyrzucający na zmianę ramiona nad głowę, patrzący zalotnie na niego i piszczący *come on baby, let's not fight, we'll go dancing and everything will be all right*. Czy jakoś tak. Co za bzdura, Szacki kręcił głową z niedowierzaniem, ciągnąc swoje wymięte czterdziestoletnie ciało do łazienki. Sikając, w końcu poddał się narastającej w krtani potrzebie i wychrypiał do lustra słowa refrenu.

Wieczny dylemat, czy najpierw wziąć prysznic, czy najpierw zjeść śniadanie, rozstrzygnął w salomonowy sposób, narzucając cokolwiek i wychodząc na zakupy, żeby złapać trochę powietrza i zebrać myśli przed spotkaniem z profilerem. Basia z nim raz pracowała, Szacki tylko o nim słyszał, gość pochodził z Krakowa i w południowej Polsce był legendą, legendą o opinii tyleż geniusza, co ekscentryka. Nie podobało mu się to, nie lubił gwiazd, zawsze wołał tych nierzucających się w oczy, precyzyjnie wykonujących swoją robotę. Dobry śledczy musiał być jak równy bramkarz, który może nie obroni strzału nie do obrony, ale też nie puści szmaty. Nie ma miejsca w wymiarze sprawiedliwości dla Bartheza czy Boruca. Stał w społemowskim sklepie w kolejce do kasy, ręka cały czas bezwiednie wystukiwała o udo początek przeboju Wham! – pa, pa, pa, pam, pam – oczy błądziły po poukładanych w chłodniczej ladzie wędlinach. Jakże one były smutne. Naprawdę, nigdzie nie widział tak smutnych wędlin jak w tym sklepie. Większość wyglądała, jakby nie była prawdziwa – plastikowa podróbka wykonana na zepsutej wtryskarce. A te, które wyglądały na prawdziwe, były z kolei zbyt prawdziwe, mieniające się różnymi kolorami, zeschnięte lub zwilgotniałe. Na dodatek miały jakieś dziwnie niskie ceny. Dlatego, choć wzięła go ochota na kawałek kabanosa do kawy, stał w kolejce, trzymając w objęciach serek wiejski, opakowanie paczkowanego sera, sok pomidorowy i dwie bułki i przysłuchując się toczonej za jego plecami dyskusji dwóch kobiet.

– Dobry dzieciak, tylko najchętniej by czytał Ewangelię Jana, te wszystkie sądy ostateczne i okropieństwa, dla niego to jak Sapkowski. A konkurs jest właśnie bez Jana.

– A to dziś ten konkurs?

– Tak, w instytucie. Właśnie się zaczyna, nawet denerwuję się trochę. Wczoraj jeszcze żeśmy powtarzali, spytał się, czy Maria Magdalena była żoną Jezusa. Skąd oni to biorą?

– Z Dana Browna. Magdalena to się chyba w Biłgoraju objawiała, prawda?

– U Palikota?

Kobiety zachichotały, Szacki też się uśmiechnął. Jednocześnie ta rozmowa coś w nim poruszyła, znajomo zaswędziała w głowie. Dan Brown, wczorajsze zagadki, kamień magiczny, Kabała. Znowu coś umyka, powinien albo więcej spać, albo łykać jakiś magnez.

– A może wędlinki pan spróbuje? – kasjerka uśmiechnęła się tak promiennie, jakby po latach odnalazła syna. – Żywiecką pyszną przywieźli, zresztą co ja będę gadała – wstała od kasy i ukroiła okazały plasterek – pan sam spróbuje. Chłop musi mieć siłę, a nie tak na jakimś nabiale jak modelka.

Szacki podziękował grzecznie i pogryzł kielbasę, choć nie nawidził jeść czegokolwiek przed pierwszym łykiem kawy. Żywiecka była podła i rosła mu w ustach, mimo to uśmiechnął się miło i wziął dziesięć deka. Rozejrzył się dyskretnie, czy przypadkiem nie ma tu jakiejś telewizji, nigdy w żadnym sklepie przez czterdzieści lat nikt nie był wobec niego tak uprzedzająco grzeczny. Ale nie, nie było kamer, tylko on, rozanielona kasjerka i dwie gimnazjalne mamy. Jedna uśmiechała się do niego, druga przymknęła oczy i z aprobatą pokiwała głową. Absolutnie surrealistyczne. Jak tańczył z Hitlerem, przynajmniej był pewien, że to sen, teraz bał się, że wariuje. Czym prędzej zapłacił.

Znowu było lodowato, Szacki zwabiony słońcem zarzucił tylko lekką bluzę i teraz trząsał się z zimna, mimo to podskoczył jeszcze do szwajcarskiej piekarenki. Musiał zjeść pączka, chociaż wiedział, że będzie niesmaczny.

– Uszanowanie – starszy pan, mijając go, uchylił dworsko kapelusza i uklonił się Szackiemu.

Szacki odkłonił się automatycznie, myśląc, że to się robi naprawdę dziwne, i wszedł do piekarni. Przy kasie stała starsza

pani, cała w pogrzebowej czerni, widząc Szackiego, odsunęła się od lady.

– Ależ proszę, proszę, ja się muszę zastanowić jeszcze. Nic nie powiedział, wziął dziwnie rozdęty wielki pączek i wyjął z kieszeni garść drobnych.

– Nie trzeba – uśmiechnęła się panienka. – Dziś promocja.

– Jaka promocja? – nie wytrzymał. – Weź jednego, dostaniesz go gratis?

– Promocja dla naszego pana prokuratora – dopowiedziała z tyłu starsza pani. – A dla mnie, Nataszko, ta paróweczka w cieście, ta taka bardziej przypieczona taka.

Szacki wyszedł bez słowa, czuł, że go dławi w gardle, że tężeją mu mięśnie karku. Śni mu się *Truman Show*, a on nie potrafi odróżnić snu od jawy, nie potrafi się obudzić. Zwariował.

Szybkim krokiem wracał do siebie na Długosza, mijając sklep, w którym wcześniej robił zakupy, zderzył się z wychodzącym mężczyzną o wyglądzie wulkanizatora w garniturze. Mężczyzna wyraźnie był pogrążony w swoich myślach, ale kiedy zobaczył Szackiego, cały się – ku rozpacz prokuratora – rozpromienił.

– Gratuluję – wyszeptał konspiracyjnie. – W naszych czasach potrzeba odwagi, żeby mówić takie rzeczy wprost. Niech pan pamięta, że jesteśmy z panem.

– Jacy my, na Boga?

– My, zwyczajni, prawdziwi Polacy. Powodzenia! – mężczyzna konfidencko uściskał go za ramię i odszedł w stronę ratusza, a Szackiemu dopiero teraz uchyliły się właściwe klapki w mózgu. Błagam, pomyślał, niech to nie będzie prawda. Wskoczył do sklepu, potrafił jakiegoś chłopaczka, który mówił do kolegi: „Ty, weź no, kurwa, ale żeby ice tea nie było, co to w ogóle za wioska jest”, i

dopadł stojaka z gazetami. Zagadka momentalnie się rozwiązała, ani nie śnił, ani nie zwariował, ani nie był bohaterem *Truman Show*.

Na okładce „Faktu” zobaczył siebie w ulubionym grafitowym garniturze, stojącego na schodach sandomierskiej prokuratury. Obie ręce miał uniesione w geście, który wczoraj oznaczał „koniec pytań”, ale na zdjęciu wyglądało to, jakby stawiał mur jakiemuś niewidocznemu zagrożeniu, stanowcze *non possumus* rysowało się na jego wychudzonej – teraz widział to wyraźnie – twarzy. Tytuł *Tajemniczy żydowski mord?* i krótki tekst nie pozostawiały wątpliwości, czemu stawia tamę prokurator.

„Prokurator Teodor Szacki (40 l.) z całą stanowczością zapowiedział wczoraj, że dorwie zwyrodnialca, który zamordował już dwie osoby w Sandomierzu. Mieszkańcy mogą spać spokojnie, pod nieobecność księdza Mateusza to on rozwiąże zagadkę żydowskiego być może mordu. Szeryf w garniturze zagwarantował wczoraj osobiście reporterowi «Faktu», że złapie złoczyńcę, nie patrząc, czy to Żyd, czy Arab, nawet gdyby musiał «wyciągać go za pejsy z najbardziej zapluskwionej dziury». Brawo, panie prokuratorze! Na stronach 4-5 przedstawiamy szczegóły obu bestialskich mordów, wypowiedzi świadków i graficzną rekonstrukcję wydarzeń”.

Prokurator Teodor Szacki zamknął oczy. Świadomość, że właśnie został bohaterem małomiasteczkowej Polski, była przerażająca.

Tak naprawdę nie przeszkadzało mu, że w sklepie nie było ice tea, w ogóle nie miał ochoty ani na nią, ani na nic innego, po prostu chciał głośno dać upust swojemu rozczarowaniu i użyć słowa „kurwa”. Ten wyjazd od początku nie układał się po jego myśli. O świcie dowiedział się, że matka wyprała mu wczoraj ulubioną bluzę z Abercrombie, którą wujek Wojtek przywiózł z Mediolanu, i że musi jechać w fajansiarskim polarze, którego używał tylko na nartach, a i tak wtedy zapinał kurtkę pod szyję. Niestety, już pod szkołą okazało się, że to i tak nie ma wielkiego znaczenia, bo Ola zachorowała i w ogóle nie jedzie na wycieczkę. Zadzwoił do niej, Ola się popłakała i musiał ją pocieszać, przez ten czas wszyscy weszli do autokaru i zamiast siedzieć na końcu i pić rozrobioną przez Waltera wódkę z colą, wylądował w trzecim rzędzie obok Maćka, który patrzył na jego PSP tak długo, że musiał je schować do plecaka, zanim Kratos doszedł do końca etapu. Potem zrobiło mu się wstyd, bo co mu zależało, mógł na trochę dać Maćkowi to PSP, przecież mu nie ubędzie. I kiedy myślał, że nie może być gorzej, zawisła nad nim Gołąbkowa, żeby głośno chwalić jego opowiadanie o samotności i rozmaślać się, jaki z niego wrażliwy chłopiec. Potem poszła. Niestety, nie zabrała ze sobą siedzących z tyłu i jęczących Marysi i Stefci, które przez resztę drogi chichotały w przerwę między siedzeniami, że jest wrażliwy jak chomiczek. Nie no, poważnie, jeśli dziewczynki naprawdę dojrzewały szybciej od chłopców, to te musiały mieć jakąś wadę genetyczną. Dał Maćkowi PSP i przez resztę drogi udawał, że śpi.

Sam Sandomierz nie stanowił dla niego wielkiej atrakcji, odwiedził miasto jesienią, kiedy jeszcze było ciepło. Ojciec go zabrał, jego ojcostwo od czasu rozstania z matką to były na zmianę seanse nieobecności i seanse egzaltowanego podlizywania się. Marcin

chciał, żeby stary choć raz przestał się starać, ale nie wiedział, jak mu to powiedzieć. Chciał przyjść do niego i nie trafić na zajebisty obiad, nie zobaczyć wypożyczonego filmu i nowej książki w swoim pokoju. Chciał przyjść i zobaczyć go w gaciach, jak nieogolony pije browara i mówi, że sorry, jakiś ten dzień do dupy, weź sobie, synu, zamów pizzę i pooglądaj telewizję czy coś. W końcu byłaby to jakaś normalna sytuacja, dowiedziałby się, że ma ojca, a nie jakąś plastikową lale, która realizuje program z podręcznika rodzicielstwa po rozstaniu. Oczywiście, wiedział, że inni trafiali gorzej, stary dematerializował się w ogóle albo przysyłał esemes raz na dwa tygodnie. Ale co z tego, i tak wszystko to było chujowe, nawet nie ich rozstanie, bo to go nie zaskoczyło, tylko jak się teraz starali, matka tak samo, wystarczyło, że krzywo spojrzeł, i już sięgała do portmonetki, żeby pocieszyć swoje biedne dziecko z rozbitego domu, nawet jak nie miała na rachunki. Wstyd mu było, że są tacy słabi, że tak łatwo nimi sterować, tak łatwo, że nie przynosiło to żadnej satysfakcji, jak przejście zbyt prostej gry. Dobrze, że miał skrzypce, skrzypce były uczciwe, nie oszukiwały, nie obiecywały, nie podlizywały się. Potrafiły się odwdzięczyć, ale potrafiły też być bezlitosne, wszystko zależało od niego – tak, związek ze skrzypcami to był najbardziej uczciwy układ w dotychczasowym, niedługim przecież, życiu Marcina Ładonia.

Pograżony w niewesołych myślach i pozbawiony iced tea, na którą nie miał ochoty, stanął z boku grupy i czekał na wejście do sandomierskich podziemi. Gołąbkowa patrzyła na niego mokrymi oczami, pewnie myślała, że znowu się alienuje, pograża w samotności, biedny chłopiec, zbyt wrażliwy na współczesny świat. No naprawdę, lubił ją, ale czasami była tak odrealnioną kretynką, że wzbudzała litość. Co się dzieje z nimi wszystkimi, miękcy są i rozmemłani, rozlają się w oczach jak bibuła na deszczu, a potem wielkie zdziwienie, że dzieci ich nie szanują. Dzieci, dobre, na jednej ręce potrafił policzyć dziewice wśród swoich koleżanek. W tym Ryśka, zbyt głupia, żeby rozłożyć nogi, i Faustyna z katolickiej



rodziny, pewnie zatknięta poświęconym kołkiem i zaszyta, tę to dopiero nieszczęście spotkało. No i Ola, ale Ola jest inna, wiadomo.

– Mario, łyka? – Walterowi błyszczały już trochę oczy i Marcin pomyślał, że jeszcze może być z tego chryja. Upił trochę „coli”, mocnej i cuchnącej wódką, potem szybko włożył świeżą gumę do ust.

– To druga. Pierwszą do Radomia zrobiliśmy.

– Zarabicie – powiedział, żeby powiedzieć cokolwiek.

Walter pociągnął z butelki gestem rasowego alkoholika, tak że tylko niewidomy by nie spostrzegł, czym smaruje swój piętnastoletni organizm. Marcin poczuł się zażenowany jego ostentacją i tym, że bierze udział w tandetnym przedstawieniu, szybko przesunął się bliżej środka grupy, która już schodziła do sandomierskich podziemi. Części kolegów mimo najlepszych starań nie udało się ukrywać ekscytacji przygodą, tylko panny pozostawały niewzruszone wobec takich atrakcji, Mary jedną ręką trzymała się Stefy, żeby się nie przewrócić, drugą pisała coś w komórce. Nie wiedzieć do kogo, wszyscy byli tutaj.

– ...Sandomierz był wtedy bogatym miastem, jednym z najbogatszych w Polsce, obowiązywało w nim prawo składu, co oznaczało, że każdy z podróżujących kupców musiał wystawić tu swoje towary na sprzedaż, przez co był Sandomierz gigantycznym, non stop otwartym centrum handlowym, gdzie można było dostać wszystko. – Mary oderwała od komórki znudzony wzrok na dźwięk słów „centrum handlowe”, ale szybko dała spokój. – Mieszczanie sandomierscy bogacili się i w trosce o swój dobytek, towary, a także bezpieczeństwo przez wieki drążyli pod miastem piwnice, które z biegiem lat zamieniły się w monstrualny labirynt. Połączone pomieszczenia sięgały ośmiu pięter w głąb lessowej skały, korytarze biegły pod Wisłą aż do zamku w Baranowie, do innych sąsiednich wsi. Do dziś nikt nie wie, ile tak naprawdę ich jest.

Przewodniczka miała przyjemny, zadziorny głos, który nie zmieniał faktu, że przynudzała, zwłaszcza jeśli się musiało wysłuchać tej samej historii drugi raz w przeciągu kilku miesięcy. Ale nawet gdyby nie przynudzała, nie zmieniłoby to faktu, który już poprzednio tak zadziwił Marcina – że słynne sandomierskie lochy wyglądały jak piwnica w bloku z wielkiej płyty. Ceglane ściany, betonowe stropy, podłoga z lastryko, jarzeniowe światło. Zero magii, zero tajemnicy, zero czegokolwiek. Niezwykłe, jak im się udało spieprzyć taką atrakcję.

– I nagle Mongołowie otoczyli miasto – powiedziała niskim głosem przewodniczka, co ją ośmieszyło, zamiast dodać dramatyzmu opowieści. – Halina Krępianka, nieutulona w żalu po stracie całej rodziny, poszła do obozu wroga. Tam opowiedziała wodzowi Tatarów, że wprowadzi ich tajnymi korytarzami do miasta, ponieważ chce się zemścić na mieszkańcach za to, że ją pohańbili... – Przewodniczka zawstydziała się nagle, pewnie nie była pewna, czy dzieci rozumieją, co dokładnie ma na myśli.

– Pohańbili? To czemu uciekała, głupia jakaś – mruknęła Mary.

– Lol – zawtórowała jej najlepsza przyjaciółka.

– Kiedy Tatarzy zaufali dziewczynie, długo prowadziła ich labiryntem korytarzy, a przez ten czas mieszkańcy zamurowali wejście do podziemi. Zginęli wszyscy najeźdźcy, zginęła też bohaterska dziewczyna...

– Jak się kapnęli, to ją dopiero pohańbili. – Mary była niezastąpiona.

– He, duże lol.

– ...a na dowód tego, że w każdej legendzie jest ziarenko prawdy, mogę wam powiedzieć, że wąwóz Piszczele od tego ma swoją nazwę, że do dziś można tam wykopać ludzkie kości, być może właśnie szczątki żywcem pogrzebanych Tatarów.

Przeszli noga za nogą do następnej sali, o tyle ciekawej, że przypominała górniczy chodnik, Marcin słuchał wykładu o tym, jak już po wojnie ratowano miasto przed zawaleniem. To było ciekawe, ciekawsze niż legendy o bohaterskich dupach. Jak górnicy wiercili szyby na rynku, jak domy na starówce musiano rozebrać i zbudować na nowo, jak puste tunele i piwnice wypełniano specjalną masą, żeby wzmocnić podziurawioną jak sito skałę. Oparł się plecami o ścianę, słuchanie nie przeszkadzało mu gapić się na wystającą z biodrówek Mary tasiemkę liliowych stringów. Może on był niedzisiejszy, ale drażniło go trochę, że one prawie wszystkie usiłowały wyglądać jak przechodzone dziwki. Dobrze, że Ola taka nie była.

Przewodniczka zawiesiła na moment głos, zapanowała cisza.

W ciszy usłyszał delikatne, odległe, dobiegające jakby z głębi ziemi wycie.

– Słyszycie?

Mary odwróciła się do niego i podciągnęła spodnie.

– Czy co słyszemy, zboku?

– No wycie takie z głębi ziemi. O, cicho, cicho, teraz...

Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

– Oł-em-dzi. Oszalałeś?

– Ale posłuchajcie, naprawdę słychać wycie.

– Takie wycie, jakby ktoś kogoś hańbił, czy raczej szatańskie? Bo chyba tylko to pierwsze mnie interesuje.

– Lol.

– Jezu, ale z ciebie głupi lachon. Ty weź się zamknij na chwilę i posłuchaj.

– A ty weź się idź leczyć, psycho freak normalnie, Oli muszę powiedzieć.

Dziewczyny zachichotały wspólnie i dołączyły do grupy, która przechodziła do następnej sali. Marcin został, przykładając ucho do ściany w różnych miejscach, w końcu znalazł takie, gdzie wycie słycać było najlepiej. Przedziwny był to dźwięk, ciarki przechodziły od niego po plecach. Długie, modulowane, prawie nieprzerwane wycie torturowanego człowieka albo zwierzęcia. Cokolwiek wydawało ten dźwięk, musiało być w oplakany stanie. Chociaż może mu się wydaje, może to wiatr, wentylacja jakaś.

Zgasło światło, delikatna, połączona z szeptami łuna dobiegała jedynie z kierunku, gdzie zniknęła jego klasa. Położył się z uchem przy podłodze, coś nie dawało mu spokoju w tym dźwięku, czegoś nie słyszał do końca. Szukając najlepszej jakości, szurał uchem po zimnym lastryku, coraz lepiej słyszał wycie, był już pewien, że dobywało się z więcej niż jednego gardła. I oprócz wycia było coś jeszcze, inny rodzaj dźwięku, znajomy, zwierzęcy...

Już miał go nazwać, kiedy poczuł bolesne uderzenie w bok.

– Co jest, kurwa... – Ciemność rozjaśniło trupie światło komórkowego wyświetlacza. – Mario? Ocipiałeś?

Marcin wstał, otrzepał ubranie.

– Bo takie wycie...

– Ta, jasne, na skrzypcach wycie. Ty weź się lepiej napij, Vivaldo.

Doktor nadkomisarz Jarosław Klejnocki siedział z nogą założoną na nogę, pykał fajkę i patrzył na nich spokojnym spojrzeniem, ukrytym za grubymi okularami. Okulary były naprawdę grube, nie było w tym żadnej przerośniętości, na tyle grube, że można było dostrzec wybrzuszony kształt soczewek i żeby widoczny za nimi fragment twarzy naukowca wydawał się znacznie węższy od reszty. Do tego krótkie siwe włosy, broda równie krótka, niżej golf, tweedowa marynarka, spodnie od garnituru i czerwone sportowe buty w stylu House'a.

Ubranie delikatnie na nim wisiało, Szacki pomyślał, że jeszcze niedawno musiał być gruby, pewne zmizernienie, odrobina nadmiarowej skóry na policzkach, sposób ubierania się i powolne ruchy świadczyły o tym, że przez lata przyzwyczajał się do swojej tuszy. Którą mu pewnie zabrała choroba albo litościwa żona, uznawszy, że nie chce, aby przedwcześnie owdowił ją cholesterol.

Oprócz Klejnockiego i Szackiego w sali konferencyjnej prokuratury byli Basia Sobieraj i Leon Wilczur, który wcześniej oprowadzał naukowca po miejscach zbrodni. Okna były zasłonięte żaluzjami, na dużym rozkładanym ekranie wyświetlano zdjęcia zwłok. Sobieraj siedziała tyłem do ekranu, nie chciała na to patrzeć.

Klejnocki pyknął jeszcze raz fajeczkę i odłożył ją na specjalny stojaczek, który wcześniej wyjął z kieszeni. Gdyby ktoś zorganizował konkurs na typowego krakowskiego wykształciucha, nadkomisarz miałby prosty wybór – albo grand prix, albo przewodniczący jury. Szacki nagle poczuł irytację. Pozostawała tylko nadzieja, że za tym przerostem formy kryje się inna treść niż jasnowidztwo w naukowym przebraniu.

– Wzięłem ostatnio, wyobraźcie sobie państwo, udział w konkursie na najbardziej polski wyraz. Wiecie, co zaproponowałem?

Chuj-kurwa-złamany, pomyślał Szacki, uśmiechając się uprzejmie.

– Żółć – powiedział z emfazą Klejnocki. – Z dwóch powodów. Po pierwsze, składa się ono z samych znaków diakrytycznych charakterystycznych ekskluzywnie dla języka polskiego i w ten sposób zyskuje rangę tyleż oryginalności, co niepowtarzalności.

Kurwa mać, to nie może być prawda. To nie jest tak, że on tutaj siedzi i słucha tego wykładu, niepodobna.

– Po drugie, mimo że wyraz ten językowo jest tak dystyngtywny, zawiera pewne treści uogólniające, w symboliczny sposób stanowi o naturze wspólnoty, która się nim, przynajmniej, że niezbyt często, posługuje. Oddaje pewien charakterystyczny nad Wisłą stan mentalno-psychiczny. Zgorzknienie, frustrację, drwinę podszytą złą energią i poczuciem własnego niespełnienia, bycie na „nie” i ciągle nieusatisfakcjonowanie.

Klejnocki przerwał, wytrząsał popiół z fajki i w zamyśleniu zaczął ją ponownie nabijać, czerpiąc tytoń z aksamitnego woreczka w kolorze sukna na stole bilardowym. W pomieszczeniu rozszedł się zapach wanilii.

– Dlaczego o tym mówię?

– Też zadajemy sobie to pytanie – nie wytrzymała Sobieraj.

Klejnocki skłonił jej się uprzejmie.

– Zapewne, droga pani prokurator. Mówię o tym, bo uważałem, że oprócz zbrodni w afekcie istnieje coś takiego jak zbrodnia, nazwijmy to, w żółci. Dość charakterystyczna dla tego miejsca na Ziemi, które chcąc nie chcąc, nazywamy ojczyzną. Afekt to nagły wybuch emocji, chwila podniecenia i zaślepienia, która znosi wszystkie narzucone przez kulturę hamulce. Na oczy spada

czerwona kotara i ważna jest tylko jedna myśl: zabić. Żółć to co innego. Żółć zbiera się powoli, małymi kropelkami. Najpierw tylko czasami się odbija, potem zamienia się w nieprzyjemną zgagę, przeszkadza żyć, jest irytującym coraz bardziej szumem tła, niczym ćmienie zęba, z tą różnicą, że przyczyny żółci nie usuniemy w czasie jednego zabiegu. Mało kto wie, jak sobie z nią poradzić, a tymczasem każda chwila to kolejna kropelka drażniącej emocji. Kap, kap, kap. – Każdemu „kap” towarzyszyło pyknięcie fajki. – W końcu czujemy już tylko żółć, nic innego w nas nie ma, zrobilibyśmy wszystko, żeby z tym skończyć, żeby nie czuć więcej tej goryczy, tego upokorzenia. To moment, kiedy ludzie rzucają wszystko w diabły, na przykład jeśli żółć zbierała się w pracy. Niektórzy rzucają siebie. Z mostu lub z dachu wieżowca. Niektórzy rzucają się na kogoś. Na żonę, na ojca, na brata. I myślę, że z tym przypadkiem mamy do czynienia tutaj. – Wskazał fajką na bladego trupa Eli Budnik.

– Czyli przechodzimy do konkretów – wtrącił Szacki.

– Jak najbardziej, chyba nie przypuszczali państwo, że będę tak pierdolił cały dzień.

Sobieraj podniosła brew, ale nic nie powiedziała. Wilczurowi nawet nie drgnęła powieka. Do tej pory absolutnie nieruchomy i milczący, uznał chyba, że skończyła się gra wstępna i pora wkroczyć do akcji. Oznaczało to, że pochylił się na krzesło – Szacki dałby głowę, że usłyszał skrzypienie i nie było to skrzypienie krzesła – oderwał filtr od papierosa i zapalił.

– Przyznaję, dziwna jest to sprawa – zaczął Klejnocki, a Szacki pomyślał, że się zaczyna. Zawsze miał profilerów za rodzaj jasnowidzów, którzy dają tyle informacji i tak mnożą wątpliwości, że coś musi pasować. O nietrafionych fragmentach nikt potem nie pamięta. – Gdyby nie to, że raczej oczywisty i nie budzący wątpliwości jest fakt, że sprawcą jest ta sama osoba, sugerowałbym, że w wypadku drugiego zabójstwa macie do czynienia z naśladowcą. Zbyt wiele jest tu różnic.

– Na przykład? – spytał Szacki.

– Obie ofiary wykrwawiły się na śmierć. Niby podobieństwo. Ale spójrzmy na szczegóły. Denat ma precyzyjnie podcięte tętnice udowe. Rozwiązanie w pewien sposób eleganckie, krew wypływa szybko, spływa po nogach, koniec. Denatka z kolei ma rozplątane gardło tak, że przypomina ono skrzela, co oznacza wiele wściekłych cięć. Chciał ją ukarać, upokorzyć, oszpecić, nie przeszkadzało mu, że krew zalewa ofierze twarz i tułów, że ochlapuje sprawcę. Przy takim sposobie poderżnięcia gardła tam musiało być wszystko we krwi.

Szacki przypomniał sobie karmazynową rozległą kałużę na piętrze opuszczonego dworku.

– Czyli że pierwsza zbrodnia została dokonana „w żółci” i teoretycznie powinna zamknąć sprawę. Mord dokonany, żółć wypłynęła razem z krwią ofiary, pojawia się spokój, potem poczucie winy, wyrzuty sumienia. Taka jest dynamika. Dlaczego zabił jeszcze raz? – Klejnocki wstał, zaczął się przechadzać wzdłuż pomieszczenia.

– Poza tym obie ofiary były rozebrane. Niby podobieństwo. Ale spójrzmy na szczegóły. Denatka jest porzucona goła w publicznym miejscu, upokorzona po raz kolejny, wszystko to wyraźnie pokazuje, jak silna była potrzeba zabójstwa. Dlatego możemy wykluczyć, że sprawca jest osobą obcą lub przypadkową. Denat wisi w ustronnym miejscu, mało tego, beczkę można potraktować nawet jako rodzaj okrycia, w końcu nie zrobiła ona wielkiej krzywdy, to raczej gadżet. Wygląda, jakby sprawca tym razem podświadomie wstydził się swojego czynu, podczas gdy wcześniej chciał, żeby usłyszał o nim cały świat. Dlaczego? Na razie nie wiemy, ale radzę przyjąć, że kluczem do zagadki jest pierwsze zabójstwo i stojące za nim motywy. Drugie jest, jak by to powiedzieć, uzupełniające, nie kluczowe. Przepraszam za cyniczny ton, ale rozumiem, że na tym etapie przede wszystkim zależy państwu na ujęciu sprawcy.



– Mówi pan cały czas „on” – wtrąciła Sobieraj. – Czy profil pasuje do mężczyzny?

– Bardzo dobre pytanie, właśnie chciałem o tym powiedzieć. Niestety, nie możecie państwo wykluczyć kobiety z kilku względów. Przede wszystkim ofiara nie została zgwałcona. Bardzo rzadko zdarza się, żeby opętany żądzą mordu mężczyzna nie wykorzystał nieprzytomnej kobiety, bo oznacza to dla niej dodatkowe upokorzenie. Poza tym twarz ofiary jest nietknięta. Mimo że sprawca pociął ostrym narzędziem gardło ofiary na strzępy. To może wskazywać na kobietę. Dla kobiet twarz jest bowiem wizytówką, manifestacją piękna, które świadczy o wysokiej wartości, o płodności, o lepszej pozycji. Zniszczenie tej wizytówki jest dla kobiety silniejszym tabu niż dla mężczyzny. I w końcu to, o czym mówiłem wcześniej. Pierwsze zabójstwo to typowy mord o silnym podłożu emocjonalnym, drugie jest popełnione jakby ze wstydem, z obowiązku, bo zakładał to plan na przykład zemsty. A kobiety są znacznie bardziej systematyczne. Facet zarżnąłby, napięcie by go opuściło, dałby spokój. A kobieta odfajkowałaby punkt pierwszy i zaczęła realizować punkt drugi. Oczywiście nie twierdzę, że sprawcą jest kobieta. Twierdzę, że niestety nie można tego wykluczyć.

– Bardzo nam pan pomaga – skomentował zgryźliwie Szacki. – Niczego nie może pan potwierdzić, niczemu zaprzeczyć, wszystko jest możliwe. Nie posuwa nas to do przodu.

– Ofiary nie zginęły w tym samym miejscu. Co pan powie na taki konkret, panie prokuratorze?

– Myli się pan – zaskrzypiał z tyłu Wilczur.

– Stopień nie gwarantuje nieomyślności, inspektorze – zachnął się Klejnocki, pokazując tym samym, że nie jest przyzwyczajony do tego, aby małomiasteczkowe gliny legitymowały się wyższą szarżą.

– Badania wykazały, że pod denatem była też krew pierwszej ofiary.

– Być może wykazały, być może była. Radzę sprawdzić jeszcze raz, wziąć próbki z kilku miejsc. Nie jest psychologicznie prawdopodobne, żeby mord pod wpływem emocji został z takim trudem zrealizowany. Drugi jest na chłodno zainscenizowany, ale pierwszy nie, absolutnie wykluczone. Jeśli jednak sprawca zadał sobie trud, żeby podrzucić tam krew pierwszej ofiary, oznacza to, że bardzo mu zależy, abyście nie znaleźli miejsca, gdzie została zamordowana.

Szacki spojrzał na Wilczura, ten tylko skinął potakująco głową. Trzeba będzie sprawdzić.

– Dziękujemy – powiedział do Klejnockiego. – Potwierdzenie będzie dla nas bardzo ważne.

– Czy zaatakuje jeszcze raz? Czy może być seryjnym zabójcą?

– Nie, nie pasuje do profilu seryjnego mordercy. Jak mówiłem wcześniej, bardziej to wygląda na realizowanie jakiegoś planu, zemsta to oczywiście narzucający się motyw. Jeśli więc plan zakłada dalsze ofiary, to tak, zabije.

– Co na to wskazuje?

– Napis pozostawiony na miejscu zbrodni. Gdyby sprawa była skończona, nie chciałoby mu się bawić w żadne gierki.

– Czyli to gierka?

– Albo sposób zakomunikowania, czego dotyczy zemsta. Często mścicielom nie wystarcza śmierć osoby, którą obwiniają o swoją krzywdę. Ważna jest też infamia, świat musi się dowiedzieć, za co ofiary poniosły karę. Oczywiście jest też trzecia możliwość, w końcu zabójcy tak samo jak i my egzystują w pewnej przestrzeni metakryminalnej.

– Wiem, dokąd pan zmierza – westchnął Szacki. – Że oglądają te same filmy i że morderca po prostu nabazgrał parę przypadkowych cyferek, żeby nam namieszać w głowach.

- Dokładnie.

Klejnocki sięgnął ręką i wyłączył projektor.

- Przepraszam, ale nie mogę już patrzeć na tego trupa.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Szacki myślał, że spotkanie mimo wszystko było owocne i musiał oddać Klejnockiemu sprawiedliwość: rozumował bardzo logicznie, nie pozwalał, aby nadmiar teorii przysłonił mu rzeczywistość.

- Zakładając, że jest jeszcze ktoś na liście do odfajkowania. Kto to może być?

- Ktoś powiązany – odparł zgodnie z przeczuciem Szackiego krakowski naukowiec. – Najpierw żona, potem mąż, nie sądzę, żeby teraz przyszła kolej na ekspedientkę z Białegostoku. Ktoś z rodziny, może wieloletni przyjaciel, ktoś z tego samego układu. Jeśli uda wam się dowiedzieć, czego dotyczy sprawa, jeśli znajdziecie kolejną osobę, zanim zaatakuje...

Klejnocki nie musiał kończyć, Szacki bez przerwy słyszał w głowie tykanie zegara, odkąd ta sprawa w ogóle się zaczęła, teraz zegar po prostu zaczął tykać głośniejszym i szybciej. Jeśli znajdą potencjalną ofiarę, znajdą też mordercę. Może mężczyznę, może kobietę, pewnie kogoś powiązanego z Budnikami, kogoś znanego. Może kogoś, kogo minął na ulicy, a może nawet kogoś, kogo już zna. Spojrzał na rozpytującą jeszcze o jakieś drobiazgi Sobieraj, spojrzął na Wilczura, który rozmawiał przez komórkę w kącie pomieszczenia. Pomyślał o innych, o Szyllerze, o Miszczyk, o mężu Sobieraj, o dziwnym anatomopatologu Rzeźnickim, o sędzi Tatarskiej, o facecie, który go rano zaczepił przed sklepem. Wszyscy oni byli w jakiś sposób powiązani, znali się od dziecka, razem chodzili na imprezy, rozpuszczali plotki, wyjawiali sekrety, poznawali tajemnice. Nie był paranoikiem, nie dopuszczał do siebie myśli o ogólnomiejskiej zмовie milczenia, ale zauważył, że coraz częściej się cenzuruje w kontaktach z nowymi ziomkami.

Do tej pory tylko przeczuwał, że rozwiązanie zagadki kryje się w murach starego, istniejącego od zarania polskiej historii miasta. Teraz był tego pewien.

Z przyczyn oczywistych ominęła go konferencja prasowa, każde pytanie o Teodora „szeryfa żydożercę” Szackiego było zbywane przez Miszczyk w ten sam sposób. Chłodnym stwierdzeniem, że prokurator nadzorujący śledztwo zajmuje się czynnościami służbowymi. Nie rozmawiali wcześniej zbyt długo o pierwszej stronie „Faktu”, szefowa lakonicznie poinformowała go, że odbyła długą rozmowę z prokuratorem generalnym i nie była to rozmowa przyjemna. O tym, że śledztwo nie zostało im odebrane i przeniesione do okręgowej w Kielcach, zdecydował – nomen omen – fakt, że prokurator generalny nienawidził tabloidów po tym, jak zobaczył tam swoje zdjęcia w kąpielówkach (*Sauna Temidy*), a jakiś tajemniczy, wysoko postawiony w strukturach władzy obywatel potwierdził, że jeśli ktoś w ogóle potrafi posprzątać ten małomiasteczkowy bajzel, to właśnie białowłosy prokurator. Szacki był realista, wiedział, co to oznacza – ktoś bardzo nie chciał, żeby wrócił do Warszawy. Spokojnie, nie miał takiego zamiaru.

Obejrzał konferencję w telewizji. Koszmar, połowa pytań kręciła się wokół żydowskich mordów rytualnych, połowa wokół seryjnego zabójcy. Czwarta władza z trudem ukrywała podniecenie tym, że w końcu nad Wisłę zawitał być może prawdziwy seryjny morderca. Poprawka: nie ukrywała. Większość wygłaszających komentarze teflonowych prezenterów sprawiała wrażenie, jakby cały czas trzymała rękę w spodniach i przy słowie „seryjny” mocniej obciągała skórę. Żenujący spektakl. Zauważył też, że coraz wyżej podnosili głowy narodowi pravicowcy, objęci ostracyzmem za swoje poglądy politycy wrócili do łask, żeby dodać salonowi kolorytu. Różne typy upeerowsko-elpeerowskie siedziały w telewizji i starały się ubrać antysemitkę w szatki intelektualnej publicystyki spod znaku

„ja tylko pytam”, a czwarta władza udawała, że bierze to za dobrą monetę.

„Należałoby sobie zadać pytanie, czy lud Izraela zawsze był jedynie ofiarą? Oczywiście jest koszmar Holokaustu, ale jest też krwawy Stary Testament, jest zbombardowanie Libanu i mur rozdzielający palestyńskie rodziny. Nie twierdzę, że Żydzi stoją za wydarzeniami w Sandomierzu – choć akurat w tym mieście, gdzie zdarzały się w przeszłości różne incydenty, byłaby to straszna symbolika. Twierdzę, że nieroztropnością byłoby udawać, że jest na świecie naród absolutnie niezdolny do agresji. Bo akurat w tym wypadku takie założenie może prowadzić do eskalacji tragedii”.

Cóż, na głupotę nie ma rady, postanowił odciąć się od tego szumu, skupić na dowodach, przejrzał jeszcze raz wszystkie protokoły, stare i nowe. Nie wyglądało to najlepiej. Opuszczony dwór na Zamkowej stał w takim miejscu, że nikt nie mógł nic widzieć i oczywiście nikt nic nie widział. Miejsca nie obejmowała też żadna z kamer. Sześciocyfrowe numery nie były numerami starych legitymacji milicyjnych, również sprawdzanie numerów obozowych i identyfikatorów gadu-gadu było ślepą uliczką. Małym krokiem naprzód było potwierdzenie hipotezy Klejnockiego, że faktycznie Budnikowa nie została zamordowana w tym samym miejscu, co jej mąż. Jej krew znaleziono w kilku miejscach, podejrzenie równo rozmieszczoną, na pewno wyglądałoby to inaczej, gdyby tam została zaszlachtowana. Szacki wiedział, że to istotna informacja. Skoro sprawcy tak bardzo zależało, żeby przestali szukać miejsca popełnienia pierwszej zbrodni, musi ono wskazywać na jego tożsamość. Co by potwierdzało, że na pewno nie jest to osoba przypadkowa. Dlatego polecił pod kątem obecności krwi przeszukać dokładnie całą posesję. Może zabójca popełnił błąd, wylał gdzieś trochę, wskazując kierunek, z którego przyszedł, może nieświadomie zostawił im szlak z okruszków chleba. Chleb i krew, znowu jakaś pokręcona symbolika.

Po konferencji spotkał się jeszcze raz z Miszczyk i Sobieraj, podsumowali wszystko dokładnie. Prawie wszystko, ponieważ Szacki zataił efekt całonocnej kwerendy, dotyczącej Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Wspomnił o tym, a jakże, ale ani nie wpiął tego do akt jako dodatkowej wersji śledczej, ani nie przedstawił jako ważnego wątku. Dlaczego? Ponieważ czuł, że to rzuca zbyt duży cień na to cukierkowe miasto, żeby mógł zaufać wychowanym tutaj i zakochanym w Sandomierzu obywatelom. Poza tym wkręcał się coraz bardziej w myślenie, że nie są z nim do końca szczerzy. Że jest tym obcym, któremu się mówi tylko tyle, ile trzeba, i ani słowa więcej. Może było to nie w porządku w stosunku do Sobieraj, łącząca ich sympatia krzepła z rozmowy na rozmowę, a obecność rudej piczki-zasadniczki sprawiała Szackiemu autentyczną przyjemność. Ale ona była stąd, co znaczyło, że nie mógł jej zaufać do końca.

Po spotkaniu wrócił do akt. Musiał być pewien, że nie przeoczył żadnego zdania, żadnego słowa, żadnego fragmentu zdjęcia. Musiał być pewien, że w aktach na pewno nie kryje się rozwiązanie zagadki.

Gruba wskazówka wiszącego nad drzwiami zegara zbliżała się do dziesiątej, a on ciągle ślęczał nad papierami, obracał w wyobraźni każdy element układanki, różne wersje wyświetlały mu się w głowie na podobieństwo filmów. Skupiony, pogrążony w innym świecie – gwałtownie wciągnął powietrze ze strachu, kiedy tuż pod jego nosem rozdzwoniła się komórka. Komenda Powiatowa Policji. Czy prokurator Szacki? Zdecydowanie. Na śmierć zapomniał, że ma dziś dyżur, łatwo było zapomnieć w Sandomierzu o dyżurach, zazwyczaj nie działo się nic, co by wymagało obecności prokuratora na miejscu zdarzenia, czasami wypadek na obwodnicy. Słuchał oficera dyżurnego i znowu poczuł się jak rano w sklepie. To nie mogła być prawda, ktoś sobie z niego robił jaja.

– Będę za dziesięć minut – rzucił.

W samochodzie zerknął jeszcze do planu miasta, wydawało mu się, że wie, gdzie to jest, ale nie chciał ryzykować. Blisko, jakżeby inaczej, tutaj wszędzie było blisko. Jadąc, słuchał Trójki, rozdawali właśnie Fryderyki, Nosowska została wokalistką roku. Zaklął głośno. Niewiarygodne, no po prostu, kurwa, niewiarygodne. Uwielbiał Osiecką, cenił Nosowska, kupił płytę zaraz po premierze, żeby sprawdzić, co rockowa diwa zrobiła z tekstami poetki, jak zaaranżowała słynne songi, czy będzie w stanie zmierzyć się z kompozycjami Komedy, Satanowskiego, Krajewskiego. Po pierwszym przesłuchaniu był wstrząśnięty. Ponieważ Nosowska nic nie zrobiła. Było to po prostu kilkanaście coverów legendarnych kawałków Osieckiej. Ani jednej nowej nutki, po prostu covery. Tyle tylko, że zamiast zróżnicowanych głosów Fettinga, Jędrusik czy Rodowicz cały czas to zachrypnięte wycie, przejęte, egzaltowane i pretensjonalne. Szacki był autentycznie zażenowany sposobem, w



jaki artystka ekshumowała poetkę. Aż bał się, co będzie dalej. Która tam jeszcze zapomniana szansonistka wybierze się na cmentarz? Wyobraził sobie Kasię Kowalską wyjąca piosenki Republiki i parsknął śmiechem. No nie, bez przesady.

Minał dworzec autobusowy, skręcił w lewo i zaparkował za radiowozem. Ciemność na tyłach akademika zespołu szkół spożywczych rozświetlona była blaskiem pochodni. Jak tylko wyłączył radio, do samochodu zaczął się wdzierać śpiew.

– ...a łez, krwi naszej popłynęły rzeki. Jakże okropnie to musi być z temi, którym ty wolność odbierzesz na wieki. Przed Twe ołtarze zanosim błaganie...

Szacki położył głowę na kierownicy w geście rezygnacji. Błagam, tylko nie to. Tylko nie kolejna patriotyczna jatka. Jeszcze na dodatek podkład z tej katolickiej, ksenofobicznej grafomanii. My lepsi, wy gorsi, nas nagrodzić, was ukarać, naprawdę nie widział różnicy między *Boże coś Polskę* a *Horst Wessel Lied*. To drugie przynajmniej mniej jęcząco-zawodzące. Zapiął marynarkę, założył na twarz stalową maskę prokuratora i wyszedł w zimny wieczór, pachnący mgłą i wilgocią. Nie uszedł dziesięciu kroków, kiedy z mroku wyłonił się Marszałek i zaniepokojony zastąpił mu drogę.

– A pan prokurator co tutaj robi?

– Spaceruję – zachnął się Szacki. – Dyżurny dzwonił, że jest zdarzenie.

– A... – machnął ręką Marszałek. – Nocul jest trochę nadgorliwy, tak naprawdę nic się nie dzieje. Młodzież popiła, pohałasowała, sąsiedzi się przestraszyli, że rozruchy.

– Tak sobie popiła, że zapaliła pochodnie? – Szacki nie potrafił zrozumieć, jakie jest źródło niepokoju w oczach Marszałka. O co tutaj chodzi? Wyminął go zdecydowanym krokiem, idąc w stronę zgromadzenia, które grzmiało teraz *Marsz, marsz, Polonia*. No tak,

oczywiście, jęknął w myślach, jakżeby mogło w tej sprawie zabraknąć szalonych narodowców, niepodobna.

Na ulicy stała grupka kilkunastu chłopaków, w wieku od siedemnastu do może dwudziestu pięciu lat, część chyba wstawiona, część z pochodniami. Na początku Szacki zastanawiał się, co tutaj robią, słyszał plotki o sandomierskich narodowcach i o tym, że ich tradycyjnym miejscem spotkań jest z jakichś powodów stary cmentarz żołnierzy radzieckich na obrzeżach miasta. Zespół szkół spożywczych jakoś mu nie pasował do patriotycznych misteriów, chyba że chodzi o chleb, cholera wie. Zagadka szybko się wyjaśniła, zaraz za kompleksem szkolnym znajdował się mały cmentarz żydowski, w świetle latarni i pochodni widać było lapidarium, kilkumetrową piramidę zbudowaną z fragmentów macew.

– Polak pada dla narodu, dla matki ojczyzny – zawodzili chłopcy w czarnych koszulkach. – Chętnie znosi głód i trudy, a najczęściej blizny. Marsz, marsz, Polonia...

Ciekawe, czy wiedzieli, że to ukraińska melodia, pomyślał Szacki.

Jego pierwszym odruchem było rozgonić towarzystwo, zanim zlecą się media i napiszą, że szeryf Sandomierza razem ze swoimi wiernymi pretorianami ściga sprawców żydowskiego mordu rytualnego. Brawo, panie prokuratorze! Tak trzymać! *Sieg Heil!* Swoją drogą, to interesujące, że tabloidy na całym świecie są identycznie ksenofobiczne. Wiedzą, że ich zapijaczony i tłukący żonę czytelnik niczego tak nie potrzebuje, jak wskazania wroga, którego może obarczyć winą za swoje niepowodzenia. Po krótkiej chwili wahania Szacki zwalczył pierwszy odruch, kiwnął na Marszałka i kazał mu sprowadzić jak najszybciej Szyllera i trzy suki z Tarnobrzega.

– Ale po co, panie prokuratorze? – Marszałek miał prawie łzy w oczach.

– Natychmiast – warknął Szacki i musiał mieć w głosie coś takiego, co sprawiło, że policjant w dwóch susach doskoczył do radiowozu. Ale za chwilę wrócił.

– Młodym, wiadomo, nudzi się, gównu mają w głowie – zaczął znowu swoje. – Kółko patriotyczne zrobili sobie takie, lepsze to przecież niż narkotyki.

– Kółko patriotyczne, jasne, faszystowskie pedały i tyle. – Szacki z chwili na chwilę robił się coraz bardziej wściekły.

– No ale mój chłopak tam jest, panie prokuratorze. Po co robić aferę, rozgońmy ich i już.

Szacki spojrzał lodowato i już miał ostro skomentować, ale pomyślał o Helci, która nie chciała się z nim widywać, która stawała się coraz bardziej odległa, blakła nawet we wspomnieniach. Kim on jest, żeby dawać dobre rodzicielskie rady? Żał mu się zrobiło policjanta, w każdej innej sytuacji powiedziałby, żeby mu nie zawracali głowy i rozpędzili towarzystwo. Ale teraz, po pierwsze, potrzebował przykładowego ukarania, po drugie, zaczął już swój, nazwijmy to, eksperyment procesowy. Poza tym nie cierpiał narodowców, hobbyści z pochodniami, psia ich mać.

– Jest wolność zgromadzeń! – wrzasnął w ich stronę śniady brunet o bardzo niearyjskiej urodzie. – Do ciszy nocnej możemy tu stać! Gównu nam zrobicie!

Szacki uśmiechnął się do niego. Jakiś tam paragraf by się znalazł, ale na razie chciał z jednej strony uśpić ich czujność, a z drugiej prowokować obecnością swoją i policji.

– I wolność słowa! – dorzucił inny, ten już bardziej w typie lebensbornskim. – Możemy mówić, co chcemy, nie zamkniecie ust Polakom!

Znowu nie była to do końca prawda, ale Szacki uśmiechnął się po raz kolejny.

- To co, walczyka? - krzyknął do kompanów nieryjski i wszyscy zaczęli śpiewać na melodię megaprzeboju Jerzego Połomskiego.

- Był raz goj, sprytny goj, co z Żydami bez przerwy zadzierał... Żydzi wnet rzekli „oj”, trzeba jakoś uciszyć frajera...

Szacki zdławił w sobie wybuch śmiechu. Cała ta sytuacja była surrealistyczna, bez dwóch zdań, a weselny hicior przerobiony na antysemitkę przyśpiewkę nadawał wszystkiemu kabaretowego sznytu. Weseli chłopcy doszli do refrenu.

- ...caaaaa...ła sala strzela z nami, a jewireje padają setkami! Rozprawimy się z parchami, Arafata oddziały są z nami...

Z jednej strony czuł satysfakcję, bo właśnie weszli pod paragraf, z drugiej czuł się ubrudzony. Wierzył, że na początku każdego działania jest słowo, że słowa o nienawiści prowadzą do nienawiści, o przemocy – do przemocy, a o śmierci – do śmierci. Każda znana ludzkości masakra zaczynała się od gadania.

- ...a Murzynów z pedałami ogrodzimy w obozie drutami. Lewactwo, parchactwo, wpuścimy im gaz, endecki walczyk w szabas!

Dokładnie z ostatnim wykrzyknikiem zatrzymał się radiowóz, ze środka wyszedł Szyller. W dżinsach i czarnym golfie wyglądał jak wilk morski. Na chór patriotycznej młodzieży nawet nie spojrzął, od razu podszedł do Szackiego.

- Co to za szopka? - warknął.

- Przepraszam za kłopot, ale potrzebowałem pańskiej pomocy. Pomyślałem, że lepiej, żeby pan uciszył swoich przydupasów, zanim do tego miasta będą waliły pielgrzymki jako do światowego skansenu antysemityzmu. Wystarczająco dużo mamy problemów.

- Co to za bzdura?! To, że jestem patriotą, nie oznacza, że znam każdego świra w glanach.

Szacki podszedł bliżej, stara sztuczka naruszenia przestrzeni intymnej.

– Niech pan, za przeproszeniem, przestanie pieprzyć – wyszeptał. – Myśli pan, że śledztwo polega na uprzejmym gadaniu? Prześwietliliśmy dokładnie pana finanse, pańską działalność filantropijną, doskonale wiem, jakie organizacje dostają od pana pieniądze. Oczywiście do protokołu pan wszystkiemu zaprzeczy, okaże się, że jakiś księgowy robił to za pana plecami, a z organizacji patriotycznych to zna pan tylko kółka różańcowe. To potem. Ale teraz niech pan pójdzie do swoich chłopców i każe im iść do domu, zanim ci pijani faszyci wpakują nas wszystkich w kłopoty.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Szacki nie miał pojęcia, o czym myśli Szyller, ważne dla niego było tylko jedno: nie dać po sobie poznać, że cała historyjka z finansami to blef. Po dłuższej chwili biznesmen odwrócił się i podszedł do „niaryjskiego”. Rozmawiali cicho.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o eksperyment procesowy.

– Boże, dziękuję panu, panie prokuratorze – powiedział z ulgą Marszałek. – Już się bałem, że pan prokurator... a to przecież dzieciaki. Pan musi zrozumieć, że u nas inaczej jest, ludzie się znają, przyjaźnią, tutaj chodzi o całą społeczność, musimy być razem, prawda? Nawet jak im głupoty takie w głowie, żeby świętować urodziny tego wariata. Na szczęście z tego się wyrasta.

Szacki nie miał pojęcia, o czyich urodzinach policjant mówi, ale zrobiło mu się smutno, że musi sprawić mu przykrość. Od strony miasta zajechały tarnobrzeskie suki, na bombach, ale bez sygnału. Zatrzymały się w tej samej chwili, kiedy Szyller wrócił ze swojej misji.

– Załatwione – zakomunikował chłodno.

– Powiem, żeby wracali – rzucił Marszałek, ale Szacki powstrzymał go gestem.

– Zgarnąć ich wszystkich – powiedział spokojnie.

– Co? – wrzasnęli jednocześnie Marszałek i Szyller.

– Zgarnąć ich wszystkich i wsadzić na cztery osiem. Widzę tu czternaście osób, rano chcę mieć na biurku czternaście protokołów zatrzymań, ani jednego mniej. Zarzuty będą postawione do wieczora.

– Ale panie prokuratorze...

– Ty skurwysynu...

– Nie przechodziliśmy na ty, Szyller – wycodził zimno Szacki. – A po tym, jak właśnie powiązał się pan z ultrapravicowymi organizacjami narodowymi, zalecałbym grzeczność wobec wymiaru sprawiedliwości. Proszę zawieźć pana Szyllera z powrotem do domu, środek zapobiegawczy pozostaje w mocy.

– Ale panie prokuratorze...

– Jebać policję! Jebać policję! – zaczęło skandować kółko pieśni patriotycznej.

– Dawaj świnię! – ktoś wrzasnął. – Dawaj, kurwa, świnię! Szacki odwrócił się. Jeden z chłopaków, „lebensbornski”, wyciągnął z czarnego worka na śmieci świńską głowę i rzucił nią w stronę lapidarium. Głowa groteskowo utknęła pomiędzy połamanymi macewami, różowe ucho kołysało się miarowo. Zaraz za świnią nad murem cmentarza przefrunął słoik i rozbił się z hukiem o kamień, czerwona ciecz spłynęła na tablice, wypełniając wolno żłobienia hebrajskich liter.

– Krew za krew! Krew za krew! Krew za krew!

– Panie prokuratorze, błagam! – jęczał Marszałek.

– Zaczynam pracę o ósmej, panie kapitanie. Lepiej, żeby te protokoły na mnie czekały.

Funkcjonariusze tarnobrzeskiej prewencji bez emocji skuwali wierzgających demonstrantów i ładowali do suk. Szyller odjechał, Marszałek płakał, mieszkańcy patrzyli bez emocji na całe zajście.

Prokurator Teodor Szacki obojętnie odwrócił się i poszedł do samochodu. Najwyższy czas odgwizdać fajrant i zastanowić się, kto z zewnątrz może mu pomóc w rozsypłaniu tego wiejskiego węzła zbrodni. Miał już nawet pewien pomysł.

Z tyłu zatrzymani, zgodnie z najlepszymi tradycjami patriotycznych chórów, bisowali jakimś hymnem na melodię *Międzynarodówki*.

– Polsce niesiem odrodzenie, depcząc podłość, fałsz i brud. W nas mocarne wiosny tchnienie, w nas jest przyszłość, z nami lud...

Co za kraj, pomyślał Szacki. Nic tylko covery i przeróbki. Jak tu ma być normalnie?

W życiu nie można mieć starych rzeczy, w życiu można mieć tylko rzeczy nowe. Pragnienie jakiegokolwiek powrotu jest niemożliwe i gdybyśmy ten powrót wymyślili i zapisali na papierze – to także musimy się zawieść, bo powrót na papierze jest tylko wyborem fragmentów, poszczególnych słów, poszczególnych barw i poszczególnych kawałków uczucia. Cały prąd tamtego czasu minął bezpowrotnie. Dlatego, czekając na swoją kolejną ofiarę, czuje spokój. Nie tęskni, nie rozpamiętuje, nie żałuje. Trzeba się zająć sprawami praktycznymi, zastanowić się co dalej. W końcu w życiu można mieć tylko rzeczy nowe.



Zegar na ratuszowej wieży obwieścił czterokrotnym uderzeniem pełną godzinę, potem wybił jedenastą, nie rezygnując z żadnego dźwięku – o tej porze taka dokładność wydawała się zbędnym okrucieństwem. Inna rzecz, że w Sandomierzu poza dziećmi i policjantami przed domem Jerzego Szyllera mało kto spał. Wszyscy gadali. Zazwyczaj w kuchniach, tam gada się najlepiej, ale też w sypialniach, na kanapach, przed ściszonymi telewizorami. Gadali tylko o jednym. O znajomych zwłokach, o znajomych podejrzanych, o znajomych-którzy-na-pewno-to-zrobili, o znajomych-którzy-na-pewno-tego-nie-zrobili, o motywach i brakach motywów, o tajemnicach, plotkach, nieprawdopodobnych wytłumaczeniach, spiskach, mafiach, policjantach, prokuratorach i jeszcze raz o zwłokach. Ale też o starych zabobonach, o wiecznie żywych legendach, mitach przekazywanych z pokolenia na pokolenie, dawnych sąsiadach i w końcu – o ziarnie prawdy.

Ariadna i Mariusz gadali przed głośzącym wiecznie złą nowinę kanałem informacyjnym, to znaczy bardziej gadał on, ona słuchała, sprzeciwiając się dość oszczędnie. Nie chciała awanturą obudzić śpiącego w pokoju obok synka, poza tym z mężem nie chciało jej się nawet kłócić, odkąd oficjalnie uznała go za swoją największą życiową pomyłkę.

– Nie rozumiem. Wisi obraz od trzystu lat w kościele, katedrze nawet. Były procesy, byli skazani, jeszcze przed wojną proceder był powszechnie znany. A teraz udają wielkie zdziwienie, że prawda wyszła na jaw.

– Jaka prawda, oszalałeś? Nikt tego nigdy nie udowodnił.

– Nikt nie może udowodnić, że to jest nieprawda.

– Mariusz, zmiłuj się, to tak nie działa. Nie musisz udowadniać niewinności, tylko winę. Nie trzeba prawa studiować, żeby to wiedzieć, to jest... sama nie wiem, elementarz człowieczeństwa to jest.

– To był normalny zwyczaj u Żydów. Proste? Zresztą nie tylko u nas, podobno też we Francji, w innych krajach. A poza tym myślisz, że kto czarną wołgą jeździł?

– Niech zgadnę: Żydzi?

– A skąd legendy, że dzieci do wołgi były na krew porywane? Hmm? Może jednak coś tutaj pasuje?

– Tak, jedno kłamstwo do drugiego, takie same bzdury. Zawsze jak dziecko zginęło, bo rodzice popili albo nie mieli głowy do pilnowania, to się pojawiały strzygi, Żydzi, Cyganie, czarne wołgi, co tam akurat było modne. Nie rozumiesz, że to bajki?

– Na pewno w każdej bajce jest coś z prawdy, jakieś ziarno, choćby malutkie.

– Nie dobijaj mnie, przecież krew nie jest koszerna, żaden Żyd by nie tknął macy z krwią, kurna, przecież jesteś wykształcony człowiek, powinieneś wiedzieć takie rzeczy.

– Dlatego że jestem wykształcony, to wiem, że nie ma w historii rzeczy czarnych i białych. I że można opowiadać wszystkim o koszerności i szabasie, a robić co innego. Myślisz, że jak Izrael prowadził wojnę z Libanem, to w soboty przestawali? No właśnie.

– Ale nie nauczyli cię, że w historii to Polacy mordowali Żydów, a nie odwrotnie? Że to Polacy organizowali pogromy i przypadkowe podpalenia, a w czasie okupacji lubili donieść na jakieś dziecko, co się w lesie ukrywało, albo wziąć na widły kogoś, komu się cudem udało uciec?

– To tylko jedna wersja historii.

– A w drugiej chodzą nocami zakutani w chałaty i polują na dzieci? Boże, niewiarygodne.

– Umówmy się, że teraz inaczej polują. Pieniądze teraz rządzą bardziej niż te beczki z gwoździami. Zobacz, które banki są dziś w nieżydowskich rękach? Który jest w Polsce polski? To lepsze utaczanie krwi niż jakieś gwoździe.

– Jasne. Ty weź lepiej załóż drugi zamek w drzwiach, żeby ci syna nie uprowadzili. Taki gruby katolicki bobasek, byłoby na macę dla całego miasta.

– Uważaj, kobieto. Dobrze ci radzę: uważaj. Uważaj, co mówisz o moim synu.

– Albo nie, gorzej, bo mogą mu konto w banku założyć, to by dopiero była tragedia, z każdym przelewem parchy by się kosztem Kubusia bogaciły. Na Chrystusa Pana, Króla Polski i Wszechświata, nie dopuścimy do tego! Zawsze będzie nasz Kubuś pieniądze w skarpecie trzymał!

Ksiądz Marek i jego parafianka Aniela gadali przy stole w jej kuchni. Oddajmy im sprawiedliwość: ponieważ dobry Bóg obdarzył Anielę łaską wielkiej wiary i jeszcze większym talentem kulinarnym, częściej było słycać z kuchni energiczne mlaskania niż antropologiczne w gruncie rzeczy dyskusje.

– Grzeszę, wiem, że grzeszę, poza tym już późno i iść trzeba. Ale jak pani nalega, to może malutki kawałeczek, ten taki z boku, ze skórką przypieczoną, no, najbardziej taki lubię. Święty Tomasz by zjadł kawałek tego sernika, od razu by musiał jeden dowód na istnienie Pana Boga dopisać.

– Co też ksiądz, takie żarty!

– Przez takie żarty będę musiał znowu sutannę oddać do krawca. A tu raczej zeszczupłeć by trzeba było, turyści przyjeżdżają, chcą ojca Mateusza oglądać, a nie jakiegoś grubasa.

– Ksiądz nie opowiada, dobrze ksiądz wygląda.

– Za dobrze.

– A co ksiądz myśli, znowu się szum o tych bohomazach z katedry robi?

– A robi, robi. Nawet myślałem o tym ostatnio, pani Anielo, myślałem, że powinniśmy się uczyć od tych obrazów de Prevota, że każde morderstwo, każda nienawiść, każde posądzenie fałszywe, że to zawsze jest złe i powinniśmy się tego wystrzegać. Żaden fanatyzm nie jest dobry, żadna przesada, nawet jeśli w dobrej wierze ktoś przesadza.

– Ładnie to ksiądz mówi.

– Ale oczywiście jest wiele interpretacji, akurat jeśli chodzi o ten obraz. Myślałem też, że on mówi o ważnym dziś problemie aborcji, przecież kiedyś też ten problem istniał, a mówiono, że oni akurat umieli dokonywać aborcji.

– Żydzi?

– Nie wiadomo, czy Żydzi, czy ktoś, i tylko im podrzucano niemowlęta po aborcji.

Pan Stanisław, zwany przez przyjaciół Stefanem, od dwudziestu trzech lat dyplomowany przewodnik, oprowadzający wycieczki po Sandomierzu, kończył kolację w restauracji hotelu Basztowy. Zaprosili go księgowi z pewnej firmy budowlanej, którym wcześniej przez cały dzień pokazywał ukochane miasto.

– Proszę państwa, ja może i jestem stary, ale przed wojną nie żyłem, jak to mogło być naprawdę, nie mam pojęcia. Ale tak na logikę się zastanówmy. Są różne sekty religijne w Polsce i na świecie, prawda?

– Są.

– I w tych sektach, widzimy to przecież, niestety, w telewizji, zdarzają się samobójstwa, zdarzają się też morderstwa. Prawda?

– Prawda.

– Sataniści na przykład i inni. Czyli tak na logikę, mogły być też w historii różne sekty żydowskie?

– No, mogły.

– I takie sekty mogły robić rzeczy straszne?

– Oczywiście.

– I być może tutaj leży prawda. Że tak się, niestety, zdarzało i pamięć o strasznych wydarzeniach na tym obrazie przetrwała.

Pani Hela, jak wszyscy dawni mieszkańcy miasta, którzy znali innych Żydów niż tylko drewniane figurki ze sklepu z pamiątkami, przestała być na jeden dzień ciężarem i stała się autorytetem, który wie, jak to kiedyś było. A ona, jak większość z tych, którzy żyli w przedwojennym polsko-żydowskim mieście, nie pamiętała beczek, tylko wspólne wylegiwanie się na błoniach w ciepłe dni. Myślała o tych ciepłych dniach, kiedy na dole wnuczka dyskutowała z mężem.

– Sylwia mówi, że nie posyła, że po co ryzykować. Niech dzieciak w domu posiedzi, krzywda mu się nie stanie. Wiesz przecież, jaka legenda tu jest.

– Legenda, srenda. Może babci się zapytamy, ona pamięta, jak to przed wojną z Żydkami było.

– To chodźmy na górę do niej, faktycznie. Ale nie mów „Żydkami”, Rafał, to obrzydliwe jakieś.

– To jak mam mówić? Hebrajczycy?

– Bez tego zdrobnienia mów, no... Uważaj na ten schodek ostatni... Śpi babcia?

– Ja już się wyspałam swoje.

– Babcia, widzę, kwitnie.

– Przekwita raczej, daj, Rafałku, całusa, wnukozięciu mój ulubiony.

– Już tak go babcia nie rozpieszcza. Babcia pamięta, jak to przed wojną było, prawda?

– Lepiej. Kawalerowie się za mną oglądali.

– A Żydzi?

– Ba, najlepsi Żydzi, Mojsiek Epsztajn, ach, ten to był gładki.

– A tam, co opowiadali, wie babcia, bo teraz też gadają, jak to z tą krwią, co niby dzieci porywali?

– A to gadanie takie, ale wtedy też głupoty opowiadali. Pamiętam miałam taką koleżankę, niezbyt ona była rozcarnięta, poszła raz w niedzielę do sklepu, co to go miała Żydówka przy ulicy, matka ją pewnie po coś wysłała. Bo to tak wtedy działało, że Polacy mieli otwarte w sobotę, Żydzi w niedzielę, wszyscy byli zadowoleni.

– I ta koleżanka...

– I ta koleżanka poszła w niedzielę do sklepu, a że procesja kościelna szła, to Żydówka przymknęła drzwi, coby nie drażnić, rozumiecie. Jak ta koleżanka, nawet nie pamiętam, jak ona na imię miała, Krysia chyba, to zobaczyła, zaczęła się drzeć, że ją na macę chcą wziąć. Rwetes się zrobił, akurat moja matka była w tym sklepie, to uratowała sytuację, dała Krysi w tyłek i do domu odprowadziła. Ale wrzask był taki straszny, że faktycznie, pół miasta musiało uwierzyć. Taka to była maca i takie żydowskie łapanie, wszystko bzdura i nieprawda, aż mówić żal.

– Ale w kościele wisi. Jakby była nieprawda, toby zdjęli chyba.

– Bo w kościele sama prawda musi być, wiadomo. Ty, Rafałku, pomyśl trochę.

– No tak, ale chyba przed wojną nie układało się Polakom z Żydami, no nie?

– A bo to Polakom z Polakami się układało? Co wy się żeście tutaj, młodzi, wczoraj ze Szwajcarii sprowadzili? Czy to się Polacy z kim układają? Ale powiem wam, że ja mieszkałam po jednej stronie rynku, a po drugiej rodzina żydowska, oni mieli córkę w moim wieku, Mała miała na imię. A ja często zapadałam na anginy i tak siedziałam w domu sama, koleżanki nie chciały tak dnia marnować i ze mną siedzieć. A Mała przyszła zawsze. I zawsze mówiłam: „Tatusiu, przyprowadź mi Małą, będę się z nią bawić”. Mała siedziała cały dzień i bawiła się ze mną. I tak ją bardzo miło wspominam.

– A co się z nią stało?

– A nie wiem, wyjechała gdzieś. Idźcie już. I pomyślcie trochę, mówię, bo aż żal, że to takie głupie. Krew na macę...

– Już babcia nie przesadza...

– Idźcie, mówię. Zmęczona jestem, późno.

Jak tylko młodzi wyszli, babcia Helena Kołyszko od lat wyćwiczonym gestem wyciągnęła złożony kawałek gazety, służący za zamek do szafki w kredensie, wyjęła „Nalewkę Babuni”, napełniła do połowy szklanek włożoną w plastikowy koszyczek i zdrowo golnęła, z wprawą osoby, która pierwszy kieliszek wychyliła na weselu kuzynki Jagódki w 1936 roku, miała wtedy szesnaście lat. To dopiero było wesele, po raz pierwszy wtedy całowała się z chłopakiem, maj był taki piękny i ciepły. Mama Jagódki miała sklep i dobrze żyła z Żydami, śmiała się na weselu, że w katedrze „mało Polaków było, tylko cały kościół Żydów przyszedł”. A jak orszak przechodził przez miasto, cała grupa weselników, to wszystkie Żydóweczki wyszły: „Jagódka! Żeby ci się życie jasno świeciło!”. Szły sobie z Małą, trzymały się za ręce i się śmiały głośno, i kwiatów było tyle, każde drzewko w Sandomierzu wtedy chyba kwitło.

No ale Mała wyjechała, pomyślała babcia Kołyszko i wychyliła do końca nalewkę. Pamiętała, jak wyjeżdżała. Doktor Weiss też wtedy wyjechał, ten co jej anginę od maleńkości leczył. Bardzo był zachwycony Niemcami, że to kulturalny naród, że on nigdy czegoś podobnego... nie zrobi krzywdy Żydom. Ojciec babci Kołyszko go namawiał: „Panie doktorze, niech pan nie podpisuje, nie przyznaje się”. A on swoje: „Ależ skąd, Niemcy są kulturalni”. W Dwikozach podobno się otrął na rampie. Nie wszedł do tego wagonu, tylko wołał umrzeć tak. Widziała z okna, jak go prowadzą, strasznie płakała, bo była z doktorem zżyta, doktor tak się w ich okna patrzył, jakby chciał się pożegnać, ale matka nie pozwoliła. Potem szła pani Kielman z bliźniaczkami, dwie dziewczynki czteroletnie, prześliczne. Niemiec strzelił do jednej małej, pod ich domem ta dziewczynka została. Co to za ludzie, co to za naród, co strzelał, jak dziecko płacze, małe dziecko trzyma matka, a ten przychodzi i strzela. Ojciec wieczorem wrócił, opowiadał, że tylu znajomych było, że chcieli kogoś uratować, chcieli komuś rękę podać i nie dało się w ogóle, byli tak obstawieni.

A Mała wyjechała. Mówili, co byli w Dwikozach, że się potknęła i przez taki rów nie przeskoczyła, co go Niemcy wykopali naprzeciw stacji, żeby sprawdzić, kto silny i kto się nadaje. Ale gdzie by tam Mała nie przeskoczyła, bardziej była zwinna niż one wszystkie razem wzięte.

Już potem nigdy takiej przyjaciółki nie miała.



Kiedy wysadzili go przed furtką, życząc miłego wieczoru, mało nie rzucił im się do gardła. Bydło, cholerne bydło z awansu społecznego; szmondaki, którym słoma z butów wystaje, wysypuje się z cholewek całymi snopkami. Pan prokurator nie lepszy. Mylą mu się socrealistyczne pedały, nie dziwne, w chałupie pewnie tylko trylogia stała.

Wszedł do domu, rzucił kurtkę na wieszak i nie zapalając światła, nalał sobie pół szklanki metaxy. Miał słabość do tej przesłodzonej greckiej brandy. Usiadł w fotelu, zamknął oczy. Nie minęło pięć minut, a ryczał jak bóbr. Znał teorię, wiedział, że ciągle jest w fazie niewiary i ta faza mu odpowiadała, ale czasami przez niewiarę, przez przeświadczenie, że to tylko gra, ściema, że jak skończy się spektakl, to wszystko będzie jak dawniej – przebijał się doprowadzający go do granicy utraty przytomności ból. Wtedy przepływały przez niego falą wszystkie obrazy ostatnich miesięcy, ich najszcześniejsze chwile i na pewno najszcześniejsze chwile jego życia. Eli pije kawę, rękaw swetra naciągnięty na dłoń, żeby nie parzyła jej szklanka. Eli czyta książkę, nogi zarzucone na oparcie kanapy, włosy zebrane na jednym ramieniu, żeby nie przeszkadzały. Eli nawija włosy na palec. Eli się kąpie, włosy w kok, głowa oparta na poduszce z piany. Eli żartuje. Eli papie. Eli na niego krzyczy. Eli, Eli, Eli.

Nagle poczuł, że nie jest sam. Oczy przyzwyczyły się do ciemności na tyle, że dostrzegł ducha. Ciemną postać wbitą w fotel w rogu salonu. Postać drgnęła i wstała, wolnym krokiem ruszyła w jego stronę. Z tej strony było jaśniej, mimo zgaszonych lamp, z ulicy wpadało wystarczająco dużo żółtego, rozproszonego przez mgłę

światła latarni, aby coraz wyraźniej widział rysy postaci, w końcu ją rozpoznał.

– Czekałem na ciebie – powiedział.

## **Rozdział siódmy**

*wtorek, 21 kwietnia 2009*

Punktualnie o godzinie 10.00 Izrael zamiera na dwie minuty, uroczystie obchodzony jest Jom Ha-Szoah, Dzień Holokaustu. W Oświęcimiu odbywa się Marsz Żywych, uczestniczący w nim wicepremier Izraela porównuje politykę Iranu do nazistowskich Niemiec. Irańska prokuratura zapowiada, że zażąda kary śmierci dla schwytanych autorów internetowych stron pornograficznych. Na Białorusi posadę traci trener klubu hokejowego, który śmiało wygrać z drużyną Aleksandra Łukaszenki – do tej pory niepokonaną w krajowych rozgrywkach, dostawali łupnia tylko od Rosjan. Posłowie przyjmują rządowy raport o przygotowaniach do Euro 2012 (jest nieźle), fiskus nie zgadza się, aby rodzice żyjący w konkubinacie rozliczali się wspólnie z dzieckiem, a wrocławskie strażaczki skarżą się, że nie wolno im jeździć na akcje, bo nie ma damskich szatni. Okazuje się, że wspólne szatnie nie przeszkadzają ani im, ani tym bardziej ich kolegom. Pogoda taka sama jak wczoraj. Słonecznie, zimno.

Zresztą zacytuję panu, to akurat ukazało się w „Twoim Weekendzie”: „Bezpruderyjna trzydziestka poszukuje pana lub panów w wieku 55-65, gotowych do erotycznych eksperymentów bez zobowiązań, za to ze związaniami”. I taka buźka ze średnika, że śmieszne. „Francuski bez, kakaowe oko, bilard na dwie dziury, wiązanie i odrobinka przemocy na niby”. I znowu taka buźka z przymrużonym oczkiem. I mój numer telefonu. Pan sobie wyobraża, co się dzieje, jak się napisze w takiej gazecie, że kobieta szuka podstarzałego faceta do erotycznych zabaw, prawda? Pól Polski dzwoni. A drugie pół esemesuje, proszę, to jest ogłoszenie z internetu sprzed dwóch tygodni: „Chętnie poświęcę esami, nudzi mi się na wsi, a chciałabym trochę pomarzyć i zwilżyć swoją kłoptuszkę...”.

– Kłoptuszkę?

– Tak się na Podlasiu mówi na, no wie pan na co. Ale to jeszcze nie koniec. „Pisz, na pewno odpiszę, a może nawet wyślę ememes, chętnie panowie ZK”. Pan wie oczywiście, co to znaczy ZK?

– Jestem prokuratorem.

– No właśnie. Ja potem przez dwa dni dostaję co kwadrans wiadomość, która jest wulgarnym streszczeniem pornola, na dodatek nudne to wszystko, nie rozumiem, czemu co drugi zek musi pisać o wkładaniu przez kraty. Mają jakieś szablony? Moda jest taka? I niech mi pan nie mówi, żebym zmieniła numer, ja ciągle zmieniam numery, wydałam majątek, a nie mija tydzień i znowu to samo. A przecież w handlu robię, nie mogę nie mieć telefonu, mam kontrahentów, hurtownie. I tak jest coraz gorzej, ludzie narzekają, że kontaktu nie ma, a jak ma być, jak co tydzień nowy numer.

Myślałam, że to minie, ale nie mija. Dlatego chciałabym złożyć oficjalne zawiadomienie o popełnieniu, to znaczy, zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa i niech ta ujeżdżająca cudzych mężów dziwka idzie siedzieć w końcu.

Prokurator Teodor Szacki żywił naturalną sympatię do zbyt szybko mówiących i zbyt ekspresyjnych pań w typie peerelowskich królowych bazaru, być może dlatego, że przypominały mu matkę i wiedział, że za tymi wszystkimi słowami, lokami, pierścionkami i mechatymi garsonkami – zawsze ozdobionymi broszką z bursztynem – kryje się zazwyczaj złote serce i organiczna niezdolność do robienia ludziom krzywdy. Tym bardziej było mu przykro, że nie ma dobrych wiadomości dla siedzącej po drugiej stronie biurka pani Zgorzelskiej.

– Po pierwsze, musi pani z tym iść na policję, sprawa podchodzi pod kodeks wykroczeń i nawet jeśli przyjmę zawiadomienie, to i tak zajmie się tym policja, nie ma co wydłużać papierkowej roboty.

– Wykroczenie! Dobre sobie. A to, że koledzy moich synów w szkole zawsze się dziwnym trafem o tym dowiedzą? A to, że kontrahenci też się dziwnie uśmiechają? Przecież ja już bym wołała, żeby mnie pobiła, napadła czy coś i żeby było z głowy. A tak to się nie da żyć. Ile ona za to może dostać maksymalnie?

– Jeśli da się jej to udowodnić, półtora.

– Roku?

– Tysiąca złotych grzywny.

– Co?!

– Przykro mi. Chodzą słuchy, że mają zmienić przepisy i wpisać stalking do kodeksu karnego, wprowadzić jakieś rozsądne zagrożenie jako straszak, pewnie dwa albo trzy lata. Na razie jest tylko paragraf sto siedem kodeksu wykroczeń, który mówi o złośliwym nękanii.

Zgorzelska była zdruzgotana.

– Ale ona śpi na forsie. Półtora tysiąca? Zapłaci i jeszcze mi faksem potwierdzenie przelewu przyśle. A co, jeśli nie przestanie? Drugie półtora tysiąca?

Szacki potwierdził skinieniem głowy. Nie pierwszy raz, rozmawiając z poszkodowanymi, musiał się wstydzić za polskie rozwiązania prawne. Przeszarzałe, zawile, nie potrafiące nadażyć za czasami przepisy, które albo były kuriozalnie łagodne, de facto zdejmowały odpowiedzialność karną ze sprawcy, albo – efekt dwóch dekad populistycznych rządów – absurdalnie penalizujące, sprawiające, że więzienia w Polsce były pełne osób, których nie powinno tam być, uczestników pijackich bójek, gdzie nic się nikomu nie stało, ale scyzoryk z otwieraczem do piwa został zakwalifikowany jako niebezpieczne narzędzie.

– Ale jeśli będzie karana za to samo powtórnie, sędzia może jej wlepić areszt. Od pięciu do trzydziestu dni. Wydaje się niewiele, ale nie sądzę, aby pani... – ugryzł się w język, o mało nie powiedział „konkurentka” – prześladowczyni była aż tak zdesperowana. Poza tym po pierwszym wyroku może ją pani skarżyć o straty, ale to już do adwokata.

– Skarżyć w Polsce – parsknęła Zgorzelska. – Ja mam prawie pięćdziesiątkę, mogłabym pierwszej rozprawy nie dożyć.

Co miał powiedzieć? Że najrozsądniej wynająć kogoś, żeby postraszył babę? Uśmiechnął się przepaszająco i spojrzał wymownie. Tak naprawdę w ogóle nie powinno być tej rozmowy. Przypadek sprawił, że kiedy wchodził przed siódmą do prokuratury, chcąc dzięki wczesnej porze uniknąć dziennikarzy i wykorzystać czas na kolejne przejście papierów, Zofia Zgorzelska czekała na schodach. Była tak zmarnowana i zziębnięta, że nie miał litości jej odprawić, widać robi się miękki na stare lata.

Wstał, chcąc się pożegnać, i w tej samej chwili, bez pukania, gwałtownie otworzyły się drzwi, stanęła w nich zadyszana Basia Sobieraj, jeszcze w czapce i szaliku, cała zarumieniona. Wyglądała uroczo. Szacki pomyślał, że przy jej problemach z sercem nie powinna biegać. I że bardzo nie chce usłyszeć tego, co ma mu do zakomunikowania. To nie mogła być dobra wiadomość.

Najgorsze były rogi. W czasie poprzedniej wizyty wydały mu się po prostu tandetne, ot, małomiasteczkowa ozdoba, chyba wszędzie je tutaj widział. Teraz każda głowa dzika i każda jelenia czaszka wydawały się z niego nabijać. Betonowo spokojny na zewnątrz, w środku dyszał żądzą zniszczenia, złapania pogrzebacza i rozpiardolenia tego wszystkiego w drobny mak. Aż mrowiło go w palcach.

– Ona ma siedemdziesiąt lat, skąd mieliśmy przypuszczać, panie prokuratorze, to nie Warszawa, tutaj ludzie życzliwi, pomagają sobie – powtórzył policjant.

Niski, drobny, z dużym nosem, przypominał komiksowego Kajka. Szacki przymknął oczy, żeby go nie widzieć. Bał się, że jeśli jeszcze raz zerknie na ten czerwony kinol i przeproszające oczy, to nie wytrzyma i rzuci się na niego. To wszystko było jak zły sen. Dwójka mundurowych odwiozła wczoraj Jerzego Szyllera do domu, zaparkowała przed furtką i szykowała się do całonocnej warty. Zaraz potem, było około dwudziestej trzeciej, sąsiadka Szyllera, pani o dziwacznym greckim nazwisku Potelos, przyniosła policjantom termos z kawą. Robiła tak codziennie, bo miała dobre serce i wiedziała, że to niewdzięczna praca, jej syn był policjantem w Rzeszowie. Dała kawę, pogadała chwilkę, poprzynudzała o chorobach i poszła, życząc dobrej nocy. Słowa te były prorocze, wystarczył jeden kubek kawy i policjanci zapadli w bardzo głęboki sen, z którego obudzili się dopiero po siódmej, tak przemarznięci, że lekarz stwierdził odmrożenia uszu, nosa i palców. Co, swoją drogą, wiele mówiło o jakości wiosny Roku Pańskiego 2009.

– Czy to możliwe, żeby Szyller się z nią spotkał? Żeby poszedł do niej, dodał narkotyk do kawy?



- Nie ma mowy. Mieliśmy go cały czas pod obserwacją, na zmianę chodziliśmy wokół posesji. Wyciągnęliśmy go tylko, żeby pojechać tam na Suchą, co się widzieliśmy z panem prokuratorem. A potem ona przyszła chwilę po tym, jak drzwi się za nim zamknęły.

Za Szackim coś zaskrzypiało. Wilczur.

- Nic nie widziała, nic nie wie, jest spanikowana. Śladów włamania nie ma, ale też nie jest pewna, czy wszystkie drzwi i okna były pozamykane. Termos i puszkę z kawą wysłaliśmy do analizy. Stawiam na termos, kobieta twierdzi, że była zdziwiona, że stoi na blacie, a nie na ociekaczu. Ale w tym wieku, wiadomo, człowiek się tylko przez chwilę dziwi.

Szacki skinął głową, że przyjął to do wiadomości. Najbardziej doskwierało mu, że nawet nie było kogo opieprzyć. Nigdy nie mieli na Szyllera tyle, żeby postawić mu zarzuty i go zamknąć, tak naprawdę było uprzejmością z jego strony, że zgodził się zostać w chałupie – każdy sąd w pięć minut obaliłby decyzję o areszcie domowym. Że gliniarze wzięli kawę od starej, dobrze im znanej sąsiadki? No wzięli, on też by wzięł. Najgorsze, że nie wiadomo, co dalej. Uciekł? Ktoś go porwał? Zrozumiał, że tak naprawdę jest wściekły na siebie. Może gdyby myślał szybciej, lepiej kojarzył fakty, gdyby potrafił dostrzec coś, co na pewno już widział, tylko nie rozumiał znaczenia – może, może, może.

- Nie ma śladów walki – powiedział.

- Nie ma – mruknął Wilczur. – Albo wyszedł, albo został wyniesiony.

- Myślałem o tym. Wyślijcie do sprawdzenia butelki z barku i szklanek, która stoi na pianinie. Może jemu też coś dosypali. I zostawili odciski na dodatek. To by była miła odmiana.

- List gończy?

– Nie ma mowy, dość mam upokorzeń jak na jedną sprawę. Nie chcę dowiedzieć się za chwilę, że kolejny główny podejrzany wisi gdzieś na haku. Wyślijcie do mediów ogłoszenie, że poszukujemy ważnego świadka w sprawie, i tej wersji będziemy się trzymali. Świadek, ważny świadek.

Z kuchni Szyllera wyszła Basia, stanęła przy nich.

– I co? – spytała. – Myślisz, że to kolejny z serii? Teoretycznie ten sam styl. Ofiary znikają bez śladu z domu, po paru dniach pojawiają się ze spuszczoną krwią.

– Odszczekaj, ta się jeszcze nie pojawiła. Trzymaj kciuki, żeby Szyller się znalazł żywy, przyznał do wszystkiego i żebyśmy mieli to z głowy.

Klik. Znowu coś zaskoczyło w mózgu. To on coś powiedział czy Sobieraj coś powiedziała?

– Ale masz rację, myślałem o tym. Tylko jak to możliwe, że w mieście Budnik wyparował pod nosem policjantów, a tutaj ktoś musiał sobie zadać trud ogłuszenia ich. Mimo że teoretycznie łatwiej stąd prysnąć przez podwórko i dalej przez park.

– Ktoś nie chciał ryzykować.

– A wcześniej chciał? Dlaczego wyprowadzenie Budnika miałoby być mniejszym ryzykiem niż wyprowadzenie Szyllera? Coś mi tutaj nie gra.

Sobieraj wzruszyła ramionami i usiadła na kanapie. Wydawała się blada.

– Słabo mi trochę, a powinnam odwiedzić ojca w szpitalu – powiedziała cicho.

– Tutaj w Sandomierzu? – zdziwił się.

– Tak, podle się czuję, ostatnio częściej tam jeżdżę na trupy niż do niego. A to przecież przez niego tutaj wylądowałam – westchnęła i

sięgnęła do stojącej na stole miski z chrupkami. Szacki bezwiednie podał jej rękę, miała śmieszny kolor lakieru do paznokci, bardzo ciemnoróżowy.

– Stój! – wrzasnął.

Sobieraj cofnęła rękę i spojrzała na niego przestraszona. Szacki bez słowa wskazał jej miszkę z chrupkami, którymi o mało co się przed chwilą nie poczęstowała. Nie było w niej ani chipsów, ani słonych paluszków, ani rybek z makiem, ani krakersów czy chrupek kukurydzianych. Były – jakżeby inaczej – pokruszone kawałki macy, charakterystycznie perforowane i poprzipalane na wybrzuszeniach.

– Pieprzony żartowniś – mruknął. – Aż dziwne, że nie polał tego keczupem, widać mu się spieszyło.

Wszyscy pochylili się nad drewnianą miseczką do przekąsek, jakby to było jakieś rytualne naczynie.

– Skąd w ogóle ta maca? – spytał jeden z policjantów.

– Jak uciekali z Egiptu, nie mieli czasu czekać, aż ciasto na chleb wyrośnie – wyjaśnił swoim grobowym głosem Wilczur – musieli szybko upiec jakiś prowiant i wyszła im maca.

Szackiemu kliknęło w głowie i tym razem na tyle głośno, że zrozumiał, co powinien zrobić.

– Przełóż wizytę z ojcem – powiedział szybko do Sobieraj – i ogarnij tutaj wszystko, tym razem to nie spleśniała ruina, niech zbiorą mikroślady, maca oczywiście jak najszybciej do labo. Ja muszę lecieć.

– Co? Gdzie? Dokąd? – Sobieraj wstała, zaniepokojona jego pośpiechem.

– Do kościoła! – krzyknął Szacki i wybiegł.

Basia Sobieraj i inspektor Leon Wilczur wymienili zdziwione spojrzenia. Ona po chwili usiadła, on wzruszył ramionami i oderwał

filtr od papierosa. Rozglądał się chwilę, szukając śmietnika albo popielniczki, w końcu schował filtr do kieszeni.

Katedra Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Sandomierzu przypominała w tych dniach obleżoną twierdzę. Wokół ogrodzenia kręcili się dziennikarze, dostępu do budynku bronili duchowni, zaufani świeccy i naprędce sporządzone znaki o „zakazie fotografowania”, „zakazie nagrywania”, „zakazie zakłócania spokoju w Domu Bożym”, „zakazie wstępu poza godzinami sprawowania Liturgii”. Szacki wszedł do środka, korzystając z tego, że akurat wychodziła wycieczka seniorów. Był przygotowany na tłumaczenia i nawet wyciągnął legitymację z kieszeni marynarki, ale nie był przez nikogo niepokojony. Może rozpoznali we mnie swojaka, nieustraszonego szeryfa, co się Żydom nie kłania, pomyślał gderliwie, przechodząc przez portal. Stał w bocznej nawie, czekając, aż oczy przyzwyczajają się do półmroku.

Był sam. No, prawie sam. Jednostajny, szurający dźwięk powiedział mu, że starzy znajomi z poprzedniej wizyty nigdzie się stąd nie ruszyli. Faktycznie, zza kolumny oddzielającej go od nawy głównej wyszedł smutny mężczyzna i zaczął myć podłogę, po chwili mokry ślad oddzielił go od zachodniej ściany kościoła, gdzie była kruchta, chór, przepiękne organy, a pod nimi nieprzepiękne obrazy osiemnastowiecznego pacykarza i miłośnika horroru, Karola de Prevot. W tym jeden wstydliwie zasłonięty bordową kotarą. Szacki ruszył w tamtą stronę zdecydowanym krokiem. Smutny mężczyzna przestał szurać, spojrzął na niego pustym wzrokiem.

– Nie po mokrym – ostrzegł, zyskując tylko tyle, że Szacki machnął ręką i wszedł na mokrą posadzkę, nawet nie zwalniając. Bardzo to było westernowe, tyle tylko, że poślizgnął się, zachwiał i z trudem utrzymał równowagę, machając rozpaczliwie rękami. Uratowało go tylko to, że złapał się nogi putta z kolumny.

– Mówilem, nie po mokrym – powtórzył z rezygnacją mężczyzna, jakby widział taką scenę setki razy.

Szacki nie odpowiedział, podszedł do kotary, odpiął portret Jana Pawła II i postawił pod ścianą.

– Halo, co pan robi, nie wolno! – wydarł się mężczyzna. – Leć po księdza kanonika, Żasmina, znowu jacyś chuligani przyszli.

– Teodor Szacki, prokuratura rejonowa w Sandomierzu, przeprowadzam czynności procesowe! – krzyknął Szacki, pokazując bumagę biegnącemu w jego stronę mężczyźnie. I myśląc jednocześnie, że gdyby dostał tysiąc szans na to, aby zgadnąć, jak ma na imię smętna kobieta myjąca podłogę sandomierskiej katedry, i tak by nie zgadł.

Mężczyzna zatrzymał się, niepewny, jak potraktować intruza. Ale też wyraźnie ciekawy, co się wydarzy. Szacki tymczasem zebrał w dłoniach pluszową storę i z całej siły szarpnął. Puściła większość żabek, zasłona wydała z siebie ostatnie tchnienie w formie chmury kurzu i opadła. Przebijające się przez wysokie okno słońce trafiło w burzową chmurę i zamieniło ją w oślepiający obłok świetlistych drobinek, przez który niczego nie można było dojrzeć. Szacki zamrugał oczami, cofnął się o dwa kroki, żeby lepiej zobaczyć ogromny obraz.

Po wszystkich opowieściach spodziewał się uderzenia, naturalistycznej rzezi, silnych barw i zdecydowanych kształtów, podświadomie oczekiwał, że przed jego oczami ożyje stary zabobon, że zamiast starego płótna zobaczy kinowy ekran, a na ekranie film nie tyle o mordzie rytualnym, co o współczesnych wydarzeniach. Że coś zadrga, coś się stanie, pojawi się rozwiązanie zagadki. Tymczasem stare płótno, cóż, wyglądało po prostu jak stare płótno. Poczerniałe, z popękanym werniksem, na którym blikowało słoneczne światło, z trudem można było rozróżnić poszczególne kształty.

Smętny czyściciel posadzek musiał stać pod lepszym kątem.

– Boże wszechmogący – wyszeptał i przeżegnał się energicznie.

Prokurator Teodor Szacki przesunął się w jego stronę i zamiast się przeżegnać, sięgnął po telefon i zadzwonił do Sobieraj.

– Jestem w katedrze. Powiedz Wilczurowi, że potrzebuję tu na już dwóch mundurowych do zabezpieczenia, techników, jak tylko skończą u Szyllera, a ciebie i tego pomarszczonego psa najszybciej jak się da... Nieważne, szkoda czasu na gadanie, przyjeżdżajcie.

Rozłączył się i komórką obfotografował obraz. Teraz, kiedy jego oczy nauczyły się już wyławiać z powodzi czerni te mniej czarne kształty, mógł porównać oryginał z reprodukcjami. Akurat w tym wypadku rozmiar miał znaczenie. Reprodukcje oglądał w książkach lub na ekranie małego laptopa, tutaj przedstawienie mordu rytualnego miało jakieś dziesięć metrów kwadratowych, tyle co mały pokój w mieszkaniu. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jak na ironię ten obraz najlepiej wyszedł de Prevotowi pod względem artystycznym i kompozycyjnym, choć narracyjnie pozostawał wierny komiksowemu stylowi opowieści o męczeństwie. Szacki rozpoznawał poszczególne etapy legendy o misterium krwi. Po prawej dwóch Żydów zajmowało się zaopatrzeniem. Jeden, wyraźnie bogatszy, w kapeluszu i płaszczu, proponował matce kupno od niej niemowlęcia. Drugi nęcił małego chłopca czymś, co może było cukierkiem, a może zabawką, jednocześnie łapiąc go za szczękę gestem nabywcy na targu niewolników. Po przeciwnej stronie Żydzi zajmowali się uśmiercaniem lub torturowaniem (albo jednym i drugim) ułożonego na prześcieradle dziecka. A centralne miejsce kompozycji zajmowała oczywiście beczka, dwóch Żydów trzymało beczkę najeżoną gwoździami niczym zębami, przypominającą fantastycznego morskiego stwora, z którego otworu gębowego wystawały pulchne niemowlęce nogi. Skapującą krew zbierał do miseczki rozanielony właściciel ogromnego nochala. De Prevot nie byłby sobą, gdyby w prezentowaniu makabry nie poszedł o krok za daleko. Na ziemi wałało się trochę dziecięcych zwłok, upiorne wrażenie robiło

rozszarpane przez psa małe ciało. Z pyska zwierzęcia wystawała oderwana noga, na deser czekała druga noga, ręce i głowa – wszystko oddzielnie.

Ale Szacki nie dlatego robił zdjęcia, żeby zawsze mieć przy sobie to poruszające dzieło sztuki. Robił zdjęcia, ponieważ w poprzek obrazu nabazgrany był czerwoną farbą hebrajski napis:

עין תחת עין

Rdzawe litery świeciły w słońcu niczym karmazynowy neon, sprawiając upiorne wrażenie, i Szackiego nie zdziwiła reakcja smętnego pomywacza, ale pomyślał też, że był to typowy odruch katolika na widok hebrajskich liter – traktowanie ich tak, jakby miały zejść z obrazu, przemaszerować przez nawę i jeszcze raz uśmiercić Pana Naszego Jezusa Chrystusa, amen.

Sobieraj i Wilczur pojawili się chwilę później, równocześnie z księdzem kanonikiem i wikarym, których przyprowadziła Żasmina. Stanowili zaskakującą parę. Szacki, słysząc o kanoniku i wikarym, spodziewał się komediowych postaci, zażywnego grubaska i młodzika o odstających czerwonych uszach. Tymczasem stał przed nim wypisz, wymaluj Sean Connery i Christopher Lambert, jakby dopiero co zeszli z planu *Nieśmiertelnego*. Obaj diablo przystojni.

Po krótkiej awanturze obecni wyjaśnili sobie, że w interesie wszystkich jest trzymać gębę na kłódkę, i dopiero to uspokoiło sytuację. Śledczy zajęli się śledztwem, a kapłani powołali się na obowiązek ochrony domu Bożego, żeby móc bezkarnie przyjąć rolę gapiów. Nie byli do końca udobruchani, ale wyraźnie bardziej od obecności policji i prokuratury martwiła ich perspektywa wizyty biskupa, który na złamanie karku pędził do swojej katedry z Kielc i podobno był bardzo, ale to bardzo niezadowolony. A że cieszył się zasłużoną opinią choleryka, to mogło się jeszcze okazać, że przykrości dnia dzisiejszego dopiero przed nimi.



– Jeśli to nie farba, tylko krew, to trzeba sprawdzić, czy ludzka, zrobić badania DNA, porównać z krwią denatów i Szyllera. Poza tym każdy centymetr przestrzeni wokół obrazu ma być prześwietlony. Napis jest wysoko, ktokolwiek go zrobił, musiał przystawić drabinę, wleźć pod kotarę, oprzeć się, powiesić kubełek. To dawało dziesiątki okazji, żeby pozostawić ślad, i ten ślad muszę mieć. Nawet jeśli teraz wydaje nam się gównem, potem w sądzie może być na wagę złota jako małe ogniwo w łańcuchu poszlak. Dlatego jeśli jakikolwiek technik piśnie, że nie ma sensu, to pogonić.

Sobieraj spojrzała na niego kwaśno.

– A ty mnie, przepraszam, przyjmujesz teraz na asesurę?

– Ja cię uprzedzam, że jeśli tu przyjdzie jakaś Kasia, z którą chodziłaś do przedszkola, i zacznie błagać, że musi z dzieckiem do lekarza i że już nie ma potrzeby, bo to takie szczegóły, to wtedy mówisz jej, że ma tu siedzieć do wieczora i wszystko fotografować, nawet gdyby się do ciebie miała nigdy więcej nie odezwać. Jasne?

– Nie ucz mnie...

– Trzydzieści dziewięć.

– Mój wiek nie ma nic do...

– Prowadziłem trzydzieści dziewięć spraw o zabójstwo, dwadzieścia pięć skończyło się skazaniem. I ja cię teraz nie proszę, Basiu. Ja wydaję polecenia. Prokuratura to instytucja hierarchiczna, a nie lekcja demokracji.

Jej oczy ściemniały, ale nic nie powiedziała, skinęła tylko głową. Za nią stał nieruchomo Wilczur, oparty o konfesjonał. Wikary przyglądał się scenie z zachwytem, widać było, że Dana Browna zna nie tylko z teorii jako szatana w pisarskiej skórze, ale też poświęcił kilka wieczorów na dogłębne poznanie swojego wroga. Odchrząknął.

– Pierwsze i trzecie słowa są takie same. To musi być jakiś szyfr – powiedział cicho.

– Nawet wiem jaki – warknął Szacki. – Nazywa się alfabet. Ksiądz zna hebrajski? – zapytał bez większych nadziei kanonika, przekonany, że w odpowiedzi ksiądz proboszcz się przeżegna i zacznie odprawiać egzorcyzmy.

– Potrafię przeczytać. Pierwsze i trzecie słowo to „ein”, środkowe „techet” albo „tachat”. Niestety nie wiem, co oznaczają. „Ein” to może jeden, tak z niemiecka, tylko wtedy to byłby jidysz, nie hebrajski. – Musiał zauważyć zdziwiony wzrok Szackiego, bo dodał zgryźliwie: – Tak, mieliśmy biblistykę z elementami hebrajskiego w seminarium. Tylko nie zawsze uważałem, pierwsze zajęcia, rano byliśmy zmęczeni po pogromach.

– Przepraszam – powiedział Szacki po chwili. Było mu autentycznie przykro, zrozumiał, że odpowiadając stereotypem na stereotyp, nie różni się niczym od pijanych neofaszystów, których kazał wczoraj zgarnąć. – Bardzo przepraszam. I dziękuję za pomoc.

Ksiądz skinął głową, a Szackiemu kliknęło. To się zaczynało robić nieznośne, jeśli te puste kliknięcia się nie skończą, będzie musiał poszukać pomocy neurologa. O co mogło chodzić tym razem? Pogromy? Seminarium? Biblistyka? A może coś zobaczył kątem oka? Może jego mózg odnotował coś ważnego, co umknęło jego świadomości? Rozejrzał się uważnie po wnętrzu kościoła.

– Teo... – zaczęła Sobieraj, ale uciszył ją gestem.

Dostrzegł w jednej z bocznych kaplic coś, co przyciągnęło jego wzrok. Obraz Chrystusa Miłosiernego, taki sam jak wszędzie, kopia tego namalowanego na podstawie wizji siostry Faustyny. Dookoła wota, pod obrazem cytaty z Ewangelii: „To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem – J 15,12”.

Klik.

O co chodzi? O Chrystusa? O Faustynę? O cytaty? O miłosierdzie? Akurat tego w tej sprawie brakuje. Może o świętego Jana

Ewangelistę? Babki w sklepie rozmawiały o jakimś konkursie biblijnym, też mu wtedy kliknęło. Tyle tylko, że głowę miał zajęta Hitlerem i George'em Michael'em. Boże, jak to brzmi, wstydził się własnych myśli czasami. Skup się! Konkurs biblijny – klik. Jan Ewangelista – klik. Seminarium – klik.

Próbował połączyć ze sobą te fakty, gapiąc się cały czas na obraz.

Klik.

Mało brakowało, a zakląłby, ile sił w płucach. Jak mógł być taki głupi, no jak?!

– Potrzebuję Pisma Świętego. Natychmiast! – rzucił w stronę wikarego, który nie czekając na przyzwolenie proboszcza, rzucił się biegiem w stronę zakrystii; sutanna filmowo zafurkotała.

– Jakże ksiądz zna księgi zaczynające się na literę K? – zapytał.

– Cóż, nie ma dokładnie takiego siglum w Biblii Tysiąclecia – odpowiedział kanonik po chwili zastanowienia. – A na literę K zaczyna się Księga Kapłańska, dwie Królewskie, dwie Kronik i Koheleta. W Nowym Testamencie mamy dwa listy do Koryntian i jeden do Kolosan. Tak myślę, ale po łacinie nic się nie zaczyna na K, na C mamy Canticum Canticorum, czyli Pieśń nad Pieśniami w Starym, i oczywiście te same listy do Koryntian i Kolosan.

Wikary pokonał drogę do zakrystii i z powrotem niczym wytrawny sprinter, z trudem wyhamował przed zgromadzoną pod przedstawieniem mordy rytualnego grupką, dzierżąc olbrzymią księgę formatu A3, oprawioną w skórę, zdobioną okuciami i złoceniami.

– Czyś ty zwariował? – zapytał kanonik. – Nie mogłeś normalnie wziąć z półki?

– Chciałem, żeby każdy widział dokładnie – wydyszał wikary, choć jasne było dla wszystkich, że zwyczajna niebieska Biblia

Tysiąclecia nie pasowała mu do podniosłej, godnej Dana Browna chwili.

– Zaczniemy od Kapłańskiej – powiedział Szacki. – To część Pięcioksięgu, Tory, prawda?

– Prawda – potwierdził kanonik.

– Rozdział dwudziesty czwarty, wersety od dziewiętnastego do dwudziestego pierwszego.

– No jasne... – jęknęła z tyłu Sobieraj.

Wikary odnalazł odpowiednie miejsce, pomagając sobie kolanem, z szacunkiem podsunął do przeczytania proboszczowi.

– Ktokolwiek skaleczy bliźniego, będzie ukarany w taki sposób, w jaki zawinił. Złamanie za złamanie, oko za oko, ząb za ząb. W jaki sposób ktoś okaleczył bliźniego, w taki będzie okaleczony. Kto zabije zwierzę, będzie obowiązany do zwrotu. Kto zabije człowieka, będzie ukarany śmiercią.

Ksiądz kanonik miał donośny, niski głos, słowa wypowiedział powoli, z szacunkiem należnym Pismu. Groźnie zabrzmiały w ciszy świątyni, rezonowały od prastarych kamieni, odbijały się od ścian i sklepienia, wypełniając dźwiękiem i znaczeniem sandomierską katedrę. Nikt nie drgnął, dopóki dalekie echa nie umilkły całkowicie.

– Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty pierwszy, wersety od dwudziestego drugiego do dwudziestego piątego – powiedział Szacki, nie pytając już o literki.

Wikary zaszeleścił kartkami.

– Gdyby mężczyźni, bijąc się, uderzyli kobietę brzemienną, powodując poronienie, ale bez jakiegokolwiek szkody, to winny zostanie ukarany grzywną, jaką nałoży mąż tej kobiety, i wypłaci ją za pośrednictwem sędziów polubownych. Jeżeli zaś ona poniesie jakąś szkodę, wówczas on odda życie za życie, oko za oko, ząb za

zab, rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniec za siniec.

– I na „P”, to chyba będzie Księga Prawa, tak?

– Powtórnego Prawa – poprawił z tyłu Wilczur. Szacki drgnął, zaskoczył go głos tuż za plecami. I zdziwił się, ale tylko trochę.

– Tak, oczywiście. Rozdział dziewiętnasty, wersety od szesnastego do dwudziestego pierwszego.

Szelest. I wypieki na twarzy wikarego – wyglądał, jakby płonął, cały był postanowieniem zrzucenia sutanny i zamienienia jej na kurtkę i kapelusz Indiany Jonesa.

– Jeśli powstanie świadek złośliwy przeciwko komuś, oskarżając go o przekroczenie Prawa, dwu ludzi wiodących między sobą spór stanie wobec Pana przed kapłanami i przed sędziami urzędującymi w tym czasie. Jeśli ci sędziowie, zbadawszy sprawę dokładnie, dowiodą fałszu świadkowi, jeżeli świadek taki fałszywie oskarżył brata swego, uczynicie mu, jak on zamierzał uczynić swemu bratu. Usuniesz zło spośród siebie, a reszta, słysząc to, ulęknie się i nie uczyni więcej nic takiego pośród siebie. Twe oko nie będzie miało litości. Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę.

Ostatnie zdanie proboszcz przeczytał, nie patrząc na stronicę Biblii, zamiast tego wodził wzrokiem po twarzach słuchaczy. Na koniec zawiesił pytające spojrzenie na Szackim.

– To wszystko. Wygląda na to, że wyjaśniło się znaczenie hebrajskiego napisu.

– Oko za oko – zaskrzypiał złowrogo Wilczur. Szacki drgnął ponownie.

– Zapewne – skomentowała Sobieraj. – Wyjaśnił się też nasz tajemniczy szyfr. Okazuje się, że nie chodziło o Komendę Wojewódzką Policji. Zawsze coś.

I znowu klik. Nieznośny, upierdliwy klik.

– Taaak – przeciągnął Szacki. – Tylko dlaczego nie w kolejności? Dziwne.

– Ale co dziwne?

– Cytaty nie są po kolei – odpowiedział jej wikary szybko, aby nikt go nie ubiegł. – W Pięcioksięgu najpierw jest Księga Rodzaju, potem Wyjścia, Kapłańska, Liczb i Powtórzonego Prawa.

– Czyli powinno być WKP? Dlaczego litery są zamienione?

– Nie mam pojęcia – odparł Szacki. – Ale się dowiem. Muszę znaleźć jakiegoś rabina.

Basia Sobieraj spojrzała na zegarek.

– Musisz być za pięć minut na Kosęły. Masz przesłuchanie Magiery, specjalnie go z Kielc dowieźli.

Prokurator Teodor Szacki zaklął szpetnie. Wilczur parsknął śmiechem, kanonik spojrzał na niego z pełną wyrozumiałości nagana, wikary był zachwycony.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA PODEJRZANEGO. Sebastian Magiera, urodzony 20 kwietnia 1987 roku, zamieszkały w Zawichoście przy ulicy Topolowej 15a, obecnie przebywa w AŚ Kielce. Wykształcenie średnie techniczne, przed zatrzymaniem bezrobotny, pracujący dorywczo jako ogrodnik. Stosunek do stron: syn ofiary. Niekarany, pouczony o obowiązkach i prawach podejrzanego, wyjaśnia, co następuje:

Chciałbym zmienić swoje wyjaśnienia składane poprzednio kilkakrotnie w toku postępowania i przyznać się do tego, że 1 listopada 2008 roku nieumyślnie zabiłem swojego ojca Stefana Magierę w jego domu przy ul. Topolowej 15a w Zawichoście. Zrobiłem to w emocjach i pod wpływem kłótni, nie miałem intencji pozbawienia życia swojego ojca. Powodem kłótni był fakt, że mimo wielokrotnie składanych obietnic ojciec mój nie chciał udostępnić mi, mojej żonie Annie i trzyletniemu synowi Tadeuszkowi pomieszczeń do mieszkania w swoim domu, który zamieszkiwał samotnie, oraz oddać w użytkowanie rodzinnej ziemi, która leżała odłogiem. Fakt ten bardzo negatywnie odbijał się na naszych warunkach bytowych.

Żonę swoją poznałem w technikum ogrodniczym w Sandomierzu przed pięcioma laty, mieszkałem wtedy samotnie z ojcem w Zawichoście, nadmieniam tutaj, że ojciec, były sportowiec, zawsze nadużywał alkoholu i był agresywny. Zakochaliśmy się w sobie i kiedy Anna zaszła w ciążę, a było to jeszcze przed naszym ślubem, poprosiłem ojca, żeby mogła zamieszkać z nami, w mieszkaniu bowiem u jej rodziców w Klimontowie nie było ku temu warunków. Pijany ojciec ubliżał mi i Annie, nie pozwolił zamieszkać nam u niego

oraz wyrzucił mnie z domu. Na początku mieszkaliśmy mimo wszystko u rodziców Ani, ale jak Tadzio się urodził, wynajęliśmy pokój w Klimontowie. Warunki były bardzo złe, nie mieliśmy pieniędzy. Dorywczo pracowałem jako ogrodnik, ale moje dochody nie były duże. Kiedy Tadzio trochę podrosł, pracy szukała też Ania, ale bez powodzenia. Przez cały ten czas próbowałem rozmawiać z ojcem, żeby nam udostępnił chociaż jeden pokój, ale ojciec był nieugięty, nawet po tym, jak wzięliśmy ślub w 2007 roku, ciągle lżył mnie i moją żonę. Mieliśmy problemy, zasiłek nie wystarczał na życie, szczególnie gdy okazało się, że Tadzio jest chory na astmę i potrzebuje drogich leków. Dlatego z pokoju w Klimontowie przenieśliśmy się do baraków socjalnych na Krukowie w Sandomierzu. Warunki nie były tam dobre. Moja żona Anna jest bardzo ładna i w 2007 roku znalazła pracę jako modelka. Zaczęła jeździć po Polsce z pokazami, a ja opiekowałem się dzieckiem. I rozmawiałem z ojcem, cały czas bezskutecznie. Ojciec powtarzał, że jemu udało się zdobyć brązowy medal na olimpiadzie w Monachium swoją ciężką i długą pracą i że powinienem brać z niego przykład.

Okazało się, że praca nie satysfakcjonuje Ani, że zajęcie modelki polega trochę na striptizie. Najpierw prezentowała bieliznę na dyskotekach, potem doszły do tego występy takie jak walki w kisielu i walki bokserskie z innymi dziewczynami. Było to dla niej i dla mnie bardzo upokarzające. Najpierw opowiadała o innych dziewczynach, o swojej szefowej, która była nieprzyjemna i agresywna, i o jej mężu, który odnosił się do pracowników bez szacunku i próbował je wykorzystywać. Potem przestała opowiadać, a ja nie pytałem, bo myślałem, że to jest dla niej przykre i nie chce o tym mówić. Poza tym było mi wstyd, bo to ja powinienem utrzymywać rodzinę. To był straszny czas, poszedłem do ojca z dzieckiem i zacząłem go błagać i zaklinać, że to nasza ostatnia nadzieja, że przecież ta ziemia tylko odłogiem leży i ojciec nawet na nią żadnych dotacji nie bierze, nic. A to nie tylko dotacje, uprawiać można, hodować różne rzeczy, ja zawsze do tego taką smykałkę



miałem. I zlitował się ojciec i powiedział, że dobrze, że będziemy mogli mieszkać razem z nim i że ziemię mi przepisze, on jej nie potrzebuje, bo mu renty starcza. I że do końca roku załatwimy wszystkie formalności i od 1 stycznia możemy się wprowadzić. To było wtedy lato 2008 roku, jak mieliśmy tą rozmowę. Przyznaję, że poza dniem ślubu i narodzin Tadeuszka był to wtedy najszczęśliwszy dzień mojego życia.

Głównie ja się zajmowałem przygotowaniami, bo Ania jeździła na pokazy, przyznaję, że coraz gorzej układało się wtedy między nami. Nie dlatego, że się kłóciliśmy, tylko mało rozmawialiśmy, myślę dziś, że miała mi za złe, że musi się tym zajmować, ale nie mieliśmy wyjścia, na leki wydawaliśmy nawet po trzysta złotych miesięcznie. Mimo to udało mi się jeszcze trochę pożyczyć po ludziach, żeby kupić narzędzia ogrodnicze do tej ziemi. Z ojcem nawet wtedy było dobrze, planowaliśmy razem, co będę robił, bywałem u niego, pokazywał Tadeuszkowi swój dysk, ale on był jeszcze za ciężki, nawet go dzieciak utrzymać nie mógł. Bałem się, że ojciec się zdenerwuje, ale on się śmiał tylko, że nic, nic, jeszcze do tego podrośnie.

We Wszystkich Świętych 2008 roku pojechaliśmy we trójkę do Zawichostu na groby i oczywiście odwiedzić ojca, trochę się tego spotkania bałem, bo po kłótniach z przeszłości Ania prawie wcale go nie widywała. Było nawet miło, jedliśmy, rozmawialiśmy i piliśmy trochę, ale niewiele. Ja głównie opowiadałem, jak to z tą ziemią będzie, ale ojciec w ogóle tematu nie podchwytował. Tylko włączył muzykę z radia i powiedział, że teraz Ania pokaże, jak tam jako modelka tańczy i różne popisy robi. Ania nie chciała, a ja się zdenerwowałem i powiedziałem, że nie ma mowy. Na co on, cytuję, że „skoro ta kurwa przed wszystkimi się rozbiera, to przed nim też może”. I że jeśli ona przed nim nie zatańczy, to ani domu nie będzie, ani ziemi, a swoimi grabkami to się będę mógł z Tadzikiem w piaskownicy bawić. I zaczął się śmiać, i ja zrozumiałem, że to wszystko były kłamstwa. Że on nigdy nie chciał ani mieszkania dać,

ani ziemi, ani mi pomóc, ani w ogóle nic. Że się gdzieś o Ani dowiedział i tylko to wszystko wymyślił, żeby nas upokorzyć i upodlić, nic w tym prawdy nie było.

I wtedy zobaczyłem, że Ania zaczyna się rozbierać, takimi obojętnymi, mechanicznymi ruchami to robiła. A ojciec jeszcze głośniej w śmiech, że on się na niej poznał jeszcze jak w szkole byliśmy, a ja mu nie chciałem wierzyć, to niech teraz patrzę, że taka lekcja to zupełnie za darmo, a przecież więcej warta niż dom i ziemia, bo może zmądrzeję w końcu. I ja wtedy poczułem, że teraz to już nic – ani przyszłości, ani żony, ani leków dla Tadzika – i taka czerwona mgła mi na oczy zaszła, i wziąłem z półki ten dysk z Monachium i ojca uderzyłem w głowę, a potem, jak leżał, jeszcze kilka razy.

Na swoją obronę chciałbym dodać, że działałem pod wpływem szoku, bólu psychicznego i silnych emocji.

Prokurator Teodor Szacki spojrzał na siedzącą przed nim kupkę nieszczęścia. Chłopak był drobnym blondynkiem o wielkich oczach i długich czarnych rzęsach, wyglądał jak ministrant marzenie. Spojrzał na monitor z tekstem protokołu. Nie dawał po sobie tego poznać, ale ciążyła mu odpowiedzialność, los chłopaka i jego rodziny zależał od niego. I nie chodziło tu o klasyfikację czynu. Zabójstwo było ewidentne, nawet jak się biegly zlituje i uzna wyjątkowe wzburzenie, to i tak z paragrafu czwartego dostanie z górnej półki, pewnie z osiem lat. Chodziło o to, czy Szacki uwierzy w jego kłamstwa, czy nie.

– Gdzie teraz mieszka pańska żona? – spytał.

– No, po sprawie spadkowej odziedziczyłem dom i ziemię, ona tam mieszka z dzieckiem. Podobno nawet ładnie zrobiła, pisała kuzynka.

– Za co?

– Do Unii w końcu ten wniosek złożyła, w gminie są ludzie, co wypełniają papiery. Plus zasiłek. Ja, gdybym już był w więzieniu, a nie w areszcie, to też bym coś dorobił, wysłał.

Magiera patrzył na niego błagalnie. Wiercił się na krześle, nie wiedział, co oznacza milczenie prokuratora. Milczenie prokuratora tymczasem oznaczało, że próbuje przypomnieć sobie wszystkie podobne sprawy z przeszłości. Nie pamiętał dokładnie chwili, kiedy po raz pierwszy dla jakiegoś wyższego dobra postawił się nad kodeksem, bardziej ufając swojemu osądowi niż bezlitosnej ustawie. Może i były w niej błędy, może była niesprawiedliwa, ale stanowiła podstawę porządku w Rzeczypospolitej. Moment, w którym uznał, że prześlizgnie się między jej paragrafami, powinien być tym, w którym przestał być prokuratorem.

Miał wybór między dwiema opcjami. Opcja pierwsza to kupić wersję Magiery. Co oznaczało oskarżenie go o zabójstwo i łatwe obronienie też z aktu na sali. Oskarżony się przyznaje, żona potwierdza jego wersję, świadków nie ma, rodziny ojca i oskarżyciela posiłkowego nie ma, apelacji oczywiście nie ma. Odsiedzi kilka lat i wróci do Zawichostu, żona na niego będzie czekała. Co do tego Szacki nie miał wątpliwości.

Opcja druga oznaczała, jak to się mówi, „ustalenie prawdy materialnej”. Co w tym wypadku oznaczało oskarżenie zarówno Magiery, jak i jego żony o zabójstwo z paragrafu pierwszego i wyroki od piętnastu lat w górę dla każdego, Tadeuszek do domu dziecka. Na dysku były odciski obydwójga. Żadne z nich nie miało alkoholu we krwi. Dziecko dziwnym trafem wylądowało przed zabójstwem u sąsiadki dwie ulice dalej. Z oględzin zwłok wynikało, że stary Magiera umarł półtorej godziny przed wezwaniem karetki – chcieli mieć pewność, że go nie odratują.

Ale też wszystko, co mówił cherubinek-ogrodnik o swoim życiu z Anną i o stosunkach z ojcem, było prawdą, potwierdzili to świadkowie. Nawet notariusz zeznał, że to było wyjątkowo

obrzydliwe, jak stary przyszedł do niego niby obgadywać sprawy ziemi, a tak naprawdę wyśmiewać się z syna i jego żony dziwki. A zbrzydzić notariusza – to jest naprawdę wielka sztuka.

Magiera wiercił się, pocił i błagał wzrokiem coraz bardziej. Szacki obracał w dłoni monetę, a w głowie jedną myśl: prawda czy pół prawdy?

Jest takie żydowskie przysłowie: pół prawdy to całe kłamstwo – powiedział rabin Zygmunt Maciejewski, wznosząc toast koszernym winem. Było pyszne, niestety Szacki nie mógł wypić już ani kropli, jeśli nie chciał zostawać w Lublinie na noc.

Kiedy kilka godzin wcześniej przemierzał dziurawą i wąską drogę z Sandomierza do Lublina, nie pokładał wielkich nadziei w czekającym go spotkaniu. Chciał pogadać z kimś, kto zna kulturę żydowską, dowiedzieć się czegoś, co nawet jeśli nie będzie przełomowe, to pozwoli mu w krytycznej chwili nie przegapić pozostawionej przez ich wariata poszlaki. I zrozumieć, czy ta dziwaczna gra ma jakieś drugie dno, ukryte znaczenie, którego nie potrafi dostrzec, ponieważ brakuje mu wiedzy.

Nie rozmyślał nad tym zbyt wiele, ale pukając do drzwi mieszkania w centrum Lublina, spodziewał się zobaczyć sympatycznego staruszka z ostrym nosem i siwą brodą, spoglądającego z mądrą dobrocią zza okularów połówek. Takie połączenie Albusa Dumbledora z Benem Kingsleyem. Tymczasem drzwi otworzył mu krępy mężczyzna w koszulce polo, o wyglądzie tyleż inteligentnego, co niebezpiecznego żuła z Grochowa. Rabin Zygmunt Maciejewski miał około trzydziestu pięciu lat i przypominał Jerzego Kuleja. Ale nie starego posła Kuleja, tylko Kuleja z czarno-białych zdjęć, z czasów, kiedy zdobywał złote medale na igrzyskach. Trójkątna twarz z ostro zarysowanym podbródkiem, zadziorny uśmiech zabijaki, płaski nos boksera, nad nim głęboko osadzone, czujne jasne oczy. I zakola wrzynające się w krótko obcięte czarne kędziory.

Prokurator Teodor Szacki starannie ukrył swoje zaskoczenie wyglądem żydowskiego nauczyciela, ale w głębi mieszkania nie

wytrzymał i musiał zrobić zdziwioną minę na widok jego wystroju, ponieważ młody rabin parsknął śmiechem. Że salon zastawiony był regałami pełnymi książek w kilku językach – tego można było się spodziewać. Ale że pomiędzy symetrycznie rozstawionymi półkami ściany zajmowały fototapety naturalnych rozmiarów piękności w kostiumach kąpielowych – to już wydawało mu się dziwne. Szackiego ciekawił klucz doboru, nie były to chyba Żydówki, bo tylko jedna, z burzą obsydianowych loków związanych w koński ogon, wyglądała jak oficer izraelskiej armii. Spojrzał pytająco na Maciejewskiego.

– Miss Israel z ostatnich dziesięciu lat – wyjaśnił rabin. – Powiesiłem je, bo uznałem, że trzeba dawać inne świadectwo niż szmoncesy, szabasowe świece, targowanie się w chałatach i skrzypcowe recitale na dachu.

– Te ukraińskie modelki też? – spytał Szacki, wskazując na wyginające się na kilku plakatach smukłe blondynki.

– Myślał pan, że wszystkie wyglądają jak Gołda Tencer? W takim razie zapraszam do Izraela. Tylko proszę wcześniej czule pożegnać żonę. Pewnie jestem nieobiektywny, ale nie znam bardziej seksownych kobiet. A to sporo znaczy w ustach kogoś, kto mieszka w akademickim polskim mieście. Rabin miał naturalną skłonność do skracania dystansu i choć w wypadku Szackiego nie było to normą, obaj mężczyźni dość szybko przeszli na „ty”. Przy okazji wyjaśnił, że żydowskie pochodzenie odziedziczył po matce z Izraela, imię po wielkim Żydzie Zygmuncie Freudzie, a nazwisko po polskim inżynierze, który czterdzieści lat temu wyjechał na kilkudniową delegację do Hajfy i już nie wrócił stamtąd do pozostawionej w Poznaniu żony i dwójki dzieci.

– Proszę sobie wyobrazić, że teraz przyjaźnię się ze swoim przyrodnim rodzeństwem. – Szacki nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek mógł się nie zaprzyjaźnić z będącym samą serdecznością rabinem Maciejewskim. – Mimo iż przez całe swoje dzieciństwo

słuchali, że Żydowa im ojca ukradła. Zawsze to podaje jako optymistyczny przykład, kiedy ktoś mnie pyta o stosunki polsko-żydowskie. A rozumiem, że o tym będziemy rozmawiali?

Zaczęli jednak od Sandomierza. Od popełnianych w mieście zabójstw, które prokurator opisał ze szczegółami. Od katedry, starego obrazu i legendy o mordzie rytualnym, która mogła w jakiś sposób być kluczem do sprawy. Choć tę akurat hipotezę Szacki chciał zgodnie z intuicją raczej wykluczyć niż potwierdzić. Od napisu na obrazie. Rabin dokładnie obejrzał fotografię i najpierw zmarszczył brwi, mamrocząc, że to dziwne i że musi jedną rzecz przemyśleć, a nagabywany przez prokuratora wytłumaczył, że słowa należy czytać „ajin tachat ajin”, że dosłownie oznaczają one „oko pod okiem” i faktycznie pochodzą z Pięcioksięgu.

– Chrześcijanie i muzułmanie często przytaczają te fragmenty jako dowód na agresję i brutalność judaizmu – tłumaczył Maciejewski, rozlewając wino, które wcześniej zareklamował jako koszerne. Nazywało się l'chaim i było przyzwoitym stołowym cabernet. – Tymczasem zapis ten nigdy nie był traktowany przez Żydów dosłownie. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że wedle tradycji Mojżesz otrzymał od Boga oprócz spisanej Tory, także tradycję ustną, czyli Talmud?

– Coś w rodzaju żydowskiego katechizmu?

– Dokładnie. Talmud stanowi oficjalną interpretację zapisów Tory, które cóż, bywają dyskusyjne. Gdybym był, Boże uchovej, sceptyczny wobec wiary, to powiedziałbym, że to było bardzo mądre posunięcie ludu Izraela: szybko napisać życiowe interpretacje niezyciowych zapisów i uznać je za głos Boga, tyle tylko, że przekazany podczas pogawędki. Ale ponieważ jestem bardzo bogobojny, to będziemy trzymać się wersji, że mądry Bóg wiedział, co kazać Mojżeszowi zapisać, a co tylko mu powiedzieć ku pamięci.

– I co miał do powiedzenia w kwestii wydłubywania oczu?

– Wy tłumaczył Mojżeszowi, że tylko kretyn mógłby to traktować dosłownie. Słynny jest następujący przykład: osoba, która oślepiła kogoś na jedno oko, sama jest jednooka. Gdyby zastosować dosłownie zapis z Tory, za karę trzeba byłoby wykluć pozostałe oko sprawcy, co uczyniłoby go zupełnie niewidomym. Czy to byłaby sprawiedliwa kara? Oczywiście nie. Dlatego Tradycja bardzo szybko wytłumaczyła, że w zapisie „ajin tachat ajin” chodzi o sprawiedliwe, monetarne zadośćuczynienie, proporcjonalne do szkody. Inna jest bowiem w przypadku utraty nogi szkoda pisarza, a inna zawodowego piłkarza. Innymi słowy, w prawie żydowskim nigdy nie było zasady, że karą za oślepienie powinno być oślepienie. Czy to jasne?

– W takim razie skąd to przekonanie? – zapytał Szacki.

Rabin dolał sobie wina, kieliszek prokuratora był pełny.

– Spora w tym zasługa Mateusza Ewangelisty, który zacytował, jak Jezus wykłada, że kiedyś nauczano „oko za oko, ząb za ząb”, a on teraz mówi, żeby nie stawiać przeciwko złu, tylko nadstawić drugi policzek. Urodził się z tego zabobon, który przeciwstawia miłosiernych chrześcijan krwawym Żydom. Co jest nawet dość zabawne.

– Czyli że Żydzi nie nadstawiają drugiego policzka? – zapytał Szacki, zastanawiając się, na ile rabin jest otwarty, a na ile poprawny politycznie, i czy nie wypieprzy go za drzwi, jak się dowie, że tak naprawdę sprawdza teorię o żydowskim szaleńcu, który postanowił zabawić się w mordy rytualne.

– Nie – odpowiedział krótko Maciejewski. – Rebe Schneerson, ostatni lubawicki rabin, lubił powtarzać, że najlepszym sposobem walki ze złem jest czynienie dobra. Ale są sytuacje, kiedy ta strategia słabo się sprawdza. Były momenty w historii, kiedy byliśmy ofiarami, ale nasza mitologia nie jest mitologią ofiar. Proszę spojrzeć na żydowskie święta. Pascha to wspomnienie utopienia egipskiej armii w Morzu Czerwonym. Chanuka to udane powstanie



Machabeuszy i pokonanie okupanta. Purim to wspomnienie tego, jak szykowana Żydom rzeź zamieniła się w wycięcie w pień agresora.

– A zemsta?

– Tora i Talmud są w tym temacie jednogłośne: zemsta jest wbrew Prawu. Nie wolno szerzyć nienawiści, nie wolno szukać pomsty, nie wolno żywić urazy, należy miłować bliźniego jak samego siebie. Ta sama Księga Kapłańska, z której pochodzi twój cytat. Tylko kilka rozdziałów wcześniej.

Szacki zamyślił się.

– A po wojnie? Wydawałoby mi się to naturalne.

Rabin Zygmunt Maciejewski wstał i zapalił stojącą na stole lampę – zaczynało zmierzchać. W półmroku roznegliżowane piękności wydawały się bardziej żywe niż przedtem, bardziej przypominały czające się po kątach prawdziwe osoby niż zdjęcia na ścianie. A między nimi stał młody Jerzy Kulej w roli lubelskiego rabina.

– Nie lubię rozmawiać o Zagładzie – powiedział. – Nie lubię tego, że koniec końców każda rozmowa między Żydami i Polakami wraca do wydarzeń sprzed siedemdziesięciu prawie lat. Tak jakby nie było siedmiuset lat wspólnej historii wcześniej i wszystkiego później. Tylko morze trupów i nic więcej. Dlatego wiem te modelki, których obecność wydaje mi się teraz surrealistyczna, a tobie pewnie jeszcze bardziej. Maciejewski gapił się w okno i nic nie wskazywało na to, aby miał kontynuować rozmowę. Szacki wstał, żeby rozprostować kości, podszedł do niego. Dziwna panowała atmosfera w mieszkaniu rabina. Poczuł, jak opada jego zawodowa garda, jak odpyływa cynizm i ironia, chce tak po prostu porozmawiać. Być może wynikało to z faktu, że od dawna musiał pilnować każdego słowa – w Sandomierzu wszyscy byli podejrzani i żadna rozmowa nie była tam po prostu rozmową. Stał obok rabina i nabrał ochoty, żeby opowiedzieć o swoim wielkim marzeniu: zawsze chciał się przejść po

dawnej Warszawie, poczuć i posmakować jej różnorodność, chodzić ulicami, na których polski mieszał się z rosyjskim i jidysz. Czuł potrzebę wyrażenia nostalgii za innością, ale zamknął otwarte już usta, bojąc się, że po prostu wyjdzie na to, że gędzi coś bez sensu, bo jak każdy wykształcony Polak śmiertelnie boi się wyjść na antysemitę. Nagle poczuł irracjonalną złość na siebie i szybko wrócił na fotel. Upił trochę wina, resztę rozcieńczył wodą gazowaną. Zamyślony rabin dalej stał przy oknie, z profilu wyglądał jak bokser rozpamiętujący przegraną walkę.

– Rozumiem, że masz jakiś powód, dla którego pytasz o żydowską zemstę – powiedział w końcu, wracając do stolika. – Mówiąc krótko, nie za bardzo tutaj było komu i na kim się mścić. Żydów niewiele, Niemców po przejściu Armii Czerwonej tak samo. Część Żydów, nikogo nie osądzam, stwierdzam fakt, polscy chłopci wzięli na widły, przestraszeni, że się upomną o swój majątek. Część nie miała najmniejszej ochoty na zemstę, zemsta oznaczała ryzyko, a cudem ocalone życie było zbyt kruche, żeby ryzykować nim w jakikolwiek sposób. Były wyjątki. Coś ci mówią nazwiska Wiesenthal i Morel?

– Pierwsze tak, drugie nie.

– Szymon Wiesenthal, nasz łowca nazistów numer jeden, podobno jeszcze w czasie wojny, tutaj, w sowieckim już Lublinie, założył razem z towarzyszami tajną organizację o nazwie Nekama, czyli Zemsta. Brzydzę się rewanżyzmem, ale jestem w stanie wyobrazić sobie taką sytuację, kiedy paru ocalonych z Zagłady do tego stopnia pała żądzą zemsty, aby powołać specjalną organizację. Może szybko okazało się, że mogą działać jawnie i coś, co powstawało w Polsce jako Nekama, stało się potem ośrodkiem dokumentacji historycznej, które Wiesenthal założył w Austrii. Jasne?

– Jasne – odparł lakonicznie Szacki.

– Czyli na jednym ręku mamy Wiesenthala – Maciejewski wykonał odpowiedni gest – i jego zemstę, polegającą na tropieniu

nazistów. Czyste rozwiązanie. Na drugiej dłoni z kolei ciąży nam Salomon Morel. Szlomo miał to szczęście, że jakiś dobry Polak ocalił go od Zagłady, dzięki czemu mógł przystać do Gwardii Ludowej i kiedy Wiesenthal zakładał Nekamę, Morel organizował czerwonym milicję w tymże Lublinie. Potem został komendantem obozu Zgoda na Górnym Śląsku, w którym komuniści przetrzymywali głównie Niemców i Ślązaków, ale też niewygodnych dla władzy Polaków. W obozie, urządzonym zresztą w byłym obozie koncentracyjnym, umarło prawie dwa tysiące osób, podobno wskutek celowych zaniedbań Morela.

– I? – Szacki pomyślał, że wszystko to bardzo interesujące, ale w żaden sposób mu nie pomaga.

– I masz dwa oblicza żydowskiej zemsty z tamtych czasów. Z jednej strony izraelscy urzędnicy tropiący esesmanów po argentyńskich willach, z drugiej kompulsywne zaspokajanie niskiego instynktu zemsty. Niskiego, ale jakoś tam zrozumiałego. Wyobraź sobie, że wracasz do swojej wioski, a w twoim domu mieszka szmalcownik, przez którego donos cała twoja rodzina zginęła w obozie. Żona, dzieci. Powstrzymałbyś się? Przebaczył? Umiłował jak siebie samego?

Szacki milczał. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, nikt, kto nie stanął przed takim wyborem, nie potrafił.

– Masz rodzinę? – zapytał rabin.

– Mam. Miałem. Do niedawna.

Maciejewski spojrzał uważnie, ale nie skomentował.

– W takim razie pewnie i tak możesz sobie lepiej wyobrazić takie emocje niż ja. Dla mnie to abstrakcja, akademickie rozważanie. Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono.

– Talmud?

– Nie, Szymborska. Mądrość dobrze jest czerpać z różnych źródeł. Akurat to cytat z wiersza o kobiecie, zwykłej nauczycielce, która zginęła, ratując czwórkę dzieci z pożaru. Lubię ten wiersz i ten cytat i lubię przeświadczenie, które stoi za tymi słowami: że nigdy nie wiemy, ile w nas dobra. Oglądałem dokument o amerykańskim Żydzie, który jedzie do Polski szukać korzeni i pomiędzy tymi pośluczonymi macewami i zamienionymi w warsztaty synagogami znajduje chłopską rodzinę, która ocalała jego ojca. Potem w Izraelu pyta tegoż ojca, dlaczego tym Polakom nigdy nie przysłali chociaż kartki. I dostaje odpowiedź: bo jak? Jak za coś takiego podziękować? I ostatnie pytanie: czy w odwrotnej sytuacji zrobiłby to samo? I staruszek odpowiada cicho: nie, nigdy.

– Mówisz jak antysemita.

– Nie, mówię jak ktoś, kto wie, że wielka historia to zbiór małych historii, z których każda jest inna. Bo ten stary Żyd w odwrotnej sytuacji może, jak mówi, nie zrobiłby nic, a może tak samo nosiłby kaszę do stodoły, wiedząc, że w każdej chwili mogą rozstrzelać całą jego rodzinę. Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono.

Maciejewski dolał sobie wina.

– Znam setki takich historyjek – powiedział, siadając na powrót w fotelu naprzeciwko Szackiego. – Wiesz, jak to wygląda z polskiej strony, te wszystkie łyse gnojki. A wiesz, jak wygląda z naszej?

Szacki zaprzeczył ruchem głowy, trochę ciekaw dalszego ciągu, ale tylko trochę. Czuł, że czas ucieka. Że powinien się czegoś dowiedzieć i wracać do pracy jak najszybciej.

– Tak, że jak przyjeżdża wycieczka z Izraela do obozu w Majdanku, do dyskoteki zabierają własną ochronę. A zanim wsiądą do autokaru na Okęciu, muszą wysłuchać pogadanki o tym, jak się zachowywać na wypadek antysemickich zamachów. Wychowywałem się w Izraelu, byłem na takiej wycieczce, która składa się głównie z

epatowania Szoah. – Maciejewski wypowiedział to słowo z chrapliwym zaśpiewem, Szacki zrozumiał teraz, że dziwna, szarpana melodia, jaką od początku słyszał w jego płynnej polszczyźnie, to musiały być ślady hebrajskiego. – Ale nie tylko. W tej samej mierze składała się z pieprzenia o wszechobecnym antysemityzmie, ze wzbudzania podejrzliwości, ksenofobii i żądzy odwetu. Doprawdy, w budowaniu tożsamości na trupach zrobiliśmy się lepsi niż Polacy.

Szacki mimo powagi tematu wybuchnął śmiechem i wznosił kieliszek.

– Za to wypiję, bo jeśli to prawda – zawiesił głos – dokonaliście niemożliwego.

Stuknęli się.

– Mówi ci coś skrót KWP? – spytał prokurator, wekslując rozmowę na interesujące go tematy. Chciał ją doprowadzić do końca.

– Komenda Wojewódzka Policji?

– A Konspiracyjne Wojsko Polskie?

– Nie wiem, coś dzwoni, ale daleko, to jakiś rodzaj WiN-u albo NSZ?

– Tak, należeli do żołnierzy wyklętych.

Rabin westchnął i spojrzał w ciemne okno, jakby pozował do sesji, w której sportowcy udają myślicieli.

– Dlaczego pytasz?

– Różne poszlaki wskazują, że obecne wydarzenia mogą być z tym związane. Coś ci to mówi?

– Kolejny drażliwy temat. Wyklęci walczyli z komunistyczną władzą, niektórzy aż do lat pięćdziesiątych. Czytałem o nich, sprawa ma mnóstwo odcieni, przez wieki narosło wokół niej sporo legend i jak to zwykle w Polsce bywa, nie ma żadnej prawdy pośrodku. –

Rabin uśmiechnął się niespodziewanie. – Na marginesie: uwielbiam tę waszą cechę, to poruszanie się po skrajnościach, euforia albo czarna depresja, wielka miłość albo ślepa wściekłość. U Polaków nigdy normalnie. Szlag mnie czasami od tego trafia, ale i tak to lubię, nauczyłem się traktować uzależnienie od polskiego charakteru jako nieszkodliwy nałóg. Nieważne zresztą, ważne, że o waszej partyzantce antykomunistycznej też się mówi skrajnie. Dla jednych to bohaterowie bez skazy, dla drugich szkodliwi pieniacle, którzy szukali pretekstu do awantury i rozrób, jeszcze dla innych krwawi żydożercy od urządzania pogromów.

– Były takie przypadki?

– Szczerze: nie mam aż takiej wiedzy. Pamiętaj, że to były oddziały raczej prawicowe, lewica jakoś tam, mniej lub bardziej, wierzyła nowej władzy. A to była przedwojenna, endecka prawicowość, podszyta antysemityzmem, dotyczy to zwłaszcza Narodowych Sił Zbrojnych. Ale też pamiętajmy, że od Zagłady każdy czyn wymierzony w Żyda przedstawiany jest jako przejaw antysemityzmu, a to nie musi być prawda. Wyklęci walczyli z aparatem państwa, z jego funkcjonariuszami, ofiarą walki padali Żydzi, ponieważ było ich sporo w bezpieczeństwie.

– Myślałem, że to antysemickie kłamstwo.

– Antysemickie mogą być interpretacje faktów, ale nie fakty jako takie. Z przykrością, bo nie jest to zbyt jasna karta w historii mojego narodu, przyznaję, że do połowy lat pięćdziesiątych ponad jedna trzecia funkcyjnych w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego to byli Żydzi. Taki jest fakt, nic w nim antysemickiego nie ma. Oczywiście przedstawianie tego jako wymierzonego w Polskę żydowskiego spisku to już inna historia. Zwłaszcza że większość to byli zwyczajni komuniści, żydowskie mieli jedynie pochodzenie.

Szacki porządkował w głowie zdobyte informacje. Był zadowolony, teza, z którą tutaj przyjechał, zaczynała nabierać ciała.

– Dlaczego aż tylu?

Maciejewski powtórzył gest bezradności.

– Bo każda władza inna niż niemiecka wydawała im się dobra? Bo już przed wojną dla żydowskiej biedoty komunistyczna ideologia była atrakcyjna? Bo władza wołała z natury kosmopolitycznych Żydów niż niechętnych Rosjanom patriotycznych Polaków? Bo tyle samo prawdy jest w plotkach o antysemityzmie Polaków, co w tych o antypolonizmie Żydów? – Rabin nagle zawiesił głos i smutno zanucił: – Bo ja chciałem być kimś, bo ja byłem Żyd, a jak Żyd nie był kimś, to ten Żyd był nikt.

– Bo dla niektórych był to sposób na odwet na sąsiadach? – odpowiedział Szacki.

– Jasne. Szukanie winnych jest najprostszym sposobem radzenia sobie z traumą. Jeśli wskażesz kogoś, kto jest sprawcą twoich krzywd, od razu jest prościej. Niemców nie było, pod ręką byli Polacy. I czerwoni, szepczący do ucha, jak to endeckie bandy urządzają sobie pogromy. Nie przez przypadek departamentem do walki z „bandytyzmem” kierowali komuniści żydowskiego pochodzenia, technika jątżenia i szczucia zawsze się sprawdza.

Szacki słuchał ze zdumieniem.

– Nie spodziewałem się usłyszeć czegoś takiego.

– Jasne, że nie, jesteś przewrażliwiony jak każdy wykształcony Polak. Boisz się, że miaukniesz i zaraz ci wyciągną Kielce i Jedwabne. Dlatego, niestety jak reszta świata, nie jesteś zdolny do rzetelnej oceny. Ja sam jestem wierzącym Żydem i patriotą, ale uważam politykę Izraela za szkodliwą. Zamiast być liderem regionu, jesteśmy warowną twierdzą, zamieszkaną przez paranoików z syndromem obłączenia, antagonizujących i tak już nienawidzące nas narody. Przedstawiane oczywiście jako terroryści i poplecznicy Hitlera. Zresztą nie wiem, czy słuchałeś dziś radia, jest Dzień Pamięci o Szoah, a nasz wicepremier w Auschwitz wykorzystuje to, żeby

porównać Iran do nazistowskich Niemiec. Normalnie ręce opadają, niektórzy nasi politycy, jakby nie wyciągali Hitlera przy każdej okazji, straciliby rację istnienia.

Szacki uśmiechnął się w duchu, bo w publicystycznym zapale Maciejewskiego, w rytualnym psioczeniu na władzę było coś bardzo polskiego. Zapachniało wódką, sałatką jarzynową i wędlinami ułożonymi na srebrnym półmisku. Czas kończyć.

– Wiesz oczywiście, dlaczego pytam o to wszystko?

– Bo rozważasz opcję, że to może być sprawka jakiegoś Żyda, i chcesz wiedzieć, czy to możliwe. Gdyby chodziło o normalną osobę, powiedziałbym, że nie, ale osoba, która ma na rękach krew dwóch osób, to szaleniec. A u szaleńców wszystko jest możliwe. I jest jeszcze coś...

– Tak? – Szacki pochylił się w fotelu.

– Wszystko to, o czym opowiadałeś: Sandomierz, obraz, cytaty, nóż do szechity, zwłoki w beczce... – Maciejewski zrobił swój gest zamyślnego boksera. – Takiej wiedzy nie da się zdobyć w weekend. Teoretycznie musisz po prostu być Żydem, i to Żydem doskonale obeznanym ze swoją kulturą. Albo badaczem tejże.

– Dlaczego teoretycznie? – Szacki włączył wszystkie radary, w tonie rabina było coś, co kazało mu zwiększyć czujność.

Maciejewski obrócił w jego stronę fotografię hebrajskiego napisu na obrazie w katedrze i wskazał środkową literę w środkowym słowie.

– To chet, ósma litera hebrajskiego alfabetu. Jest źle napisana, ale nie tak źle, żeby można to wytłumaczyć dysleksją na przykład. Jest lustrzanym odbiciem poprawnie napisanej litery, łuk powinien być z prawej, nie z lewej strony. Żaden Żyd nie napisze tego w ten sposób, tak samo jak ty, choćbyś nie wiem jak się upił czy naćpał, nie napiszesz B z brzuskami z lewej strony. Myślę, że ktoś jest po



prostu cwany i chce wskrzesić tyle demonów, aby móc się między nimi schować. Pytanie, mój drogi prokuratorze, czy potrafisz w tłumie zjaw i upiorów dostrzec twarz zabójcy?

Słowa o upiorach rezonowały w głowie Szackiego, kiedy wracał nocą do Sandomierza. Mijając wsie i miasteczka Lubelszczyzny, zastanawiał się, ile z nich było przed wojną żydowskimi sztetlami. Ilu było Żydów w Kraśniku? W Annopolu? W Olbieńcinie, Wilkołazach, Gościeradowie? I gdzie skończyli? Na Majdanku, w Bełżcu, niektórzy może dożyli marszów śmierci? Upokarzający koniec, bez pochówków, bez rytuałów pogrzebowych, bez przeprowadzenia duszy na drugą stronę. Jeśli wierzyć ludowym wierzeniom, wszystkie te dusze powinny tułać się po świecie, uwiecznione od siedemdziesięciu lat między wymiarami. Czy w takie dni jak ten, Jom Ha-Szoah, czują, że są wspominani? Czy wracają wtedy do Kraśnika albo Annopola, szukając znajomych kątów, a polscy mieszkańcy oglądają się przez ramię, częściej niż zwykle czują chłód i wcześniej zamykają okna?

Prokurator Teodor Szacki poczuł niepokój. Droga była dziwnie pusta, ciemne lubelskie wioski wyglądały na opuszczone, od Kraśnika po szosie snuły się mgły, czasami ledwo widoczne, niczym brud na szybie, czasami gęste jak wata, w widoczny sposób rozstępujące się przed maską citroena. Prokurator poznawał swój lęk po tym, że bardziej niż zwykle wsłuchiwał się w pojękiwania starego samochodu. Lekkie stukanie z lewej strony zawieszenia, posykiwanie pompy płynu hydraulicznego, burczenie sprężarki od klimatyzacji. Było to zupełnie irracjonalne, ale bardzo nie chciał stanąć teraz we mgle i ciemności.

Zaklął i gwałtownie skręcił kierownicą, kiedy z mgły wyłoniła się czarna postać, w ostatniej chwili ominął stojącego prawie na środku jezdni autostopowicza. Zerknął w tylne lustro, ale zobaczył tylko krwawą ciemność, mgłę rozżarzoną czerwonymi światłami.

Przypomniało mu się nagranie Wilczura, przypomniał mu się Żyd rozplywający się w gęstej, nadwiślańskiej mgle.

Żeby zająć czymś myśli, zaczął przewijać w głowie rozmowę z Maciejewskim, przypominać sobie momenty, kiedy czuł znajome łaskotanie neuronów. Raz przy okazji zemsty za śmierć rodziny, na pewno. A drugi raz pod koniec, kiedy rabin mówił, że takiej wiedzy nie da się zdobyć w weekend. Jakaś myśl przemknęła mu wtedy przez głowę, nieoczywista i cenna. Nie, nie chodziło o to, żeby szukać wśród znawców kultury żydowskiej, nie. Maciejewski w opowieści Szackiego dostrzegł dużo szczegółów, detali składających się na obraz.

– A ja? – powiedział głośno Szacki, zachrypnięty głos zabrzmiał obco wewnątrz samochodu.

Czy ja dostrzegłem wszystkie szczegóły? Czy w tym koszmarze nie skupiłem się na tym, co najbardziej widoczne? Kiedy pod powalą wiszą zamknięte w beczce zwłoki, nikt się nie zastanawia, dlaczego mają dziwne, zdeformowane stopy – a teraz mu się to przypomniało. Kiedy w krzakach leży goła kobieta, a kawałek dalej rzeźnicka brzytwa, nikt nie myśli, skąd piasek pod paznokciami. A teraz mu się to przypomniało – zwłoki miały pod paznokciami nie ziemię, nie brud, ale właśnie żółty, nadmorski piasek. Ile takich detali przegapił, ile uznał za nieistotne? Całe zajście w katedrze, cytat na obrazie, „oko za oko, ząb za ząb”. Poszedł oczywistym, narzucającym się tropem żydowskiej zemsty. Dokładnie tak, jak chciał tego morderca. Zamiast, wbrew jego oczekiwaniom, szukać błędów w tym spektaklu, daje się prowadzić na smyczy. Jak idealny widz pokazu iluzjonisty, który na wszelki wypadek nie patrzy, co robi druga ręka, żeby nie popsuć sobie wieczoru.

Mijał właśnie Annopol, wystarczyło przejechać przez Wisłę, skierować się na południe – za pół godziny powinien być na miejscu. Miasteczko było puste i zasnuite mgłą, mimo to poczuł się bezpieczniej w obecności latarni. Na tyle, że zjechał na bok i sięgnął

po komórkę, żeby połączyć się z Internetem. Znalazł serwis biblijny, czekając na połączenie, uchylił okno, żeby zwalczyć pojawiającą się senność. Do środka wlały się chłód i wilgoć, samochód wypełnił intensywny ziemny zapach roztopów, zapowiedź wiosny, która miała za chwilę wybuchnąć gwałtownie, chcąc nadrobić stracone tygodnie.

Pamiętając notację, znalazł biblijne cytaty. Czemu były takie długie? Wystarczyłoby podać ten jeden wers, zawierający zwrot „oko za oko”, i wszystko byłoby jasne. Przepisał wszystkie do notesu. Ten z Księgi Kapłańskiej był najkrótszy i najprostszy, mówił o karze za okaleczenie i za śmierć. „Kto zabije człowieka, będzie ukarany śmiercią”. Szackiego uderzył kodeksowy charakter zwrotu, tak samo zaczynał się paragraf 148 kodeksu karnego Rzeczypospolitej: „Kto zabija człowieka, podlega karze pozbawienia wolności...”.

Drugi cytat mówił o karze nakładanej za skrzywdzenie brzemiennej kobiety w czasie walki między mężczyznami, co było zapewne sposobem określenia wojny lub konfliktu. Za spowodowanie poronienia groziła tylko grzywna, jednak jeśli kobieta umarła – śmierć.

W końcu trzeci, z Księgi Powtórzonego Prawa, był najbardziej pokręcony – nieomalże tak jak współczesne kodyfikacje karne. I jednocześnie był to zapis najbardziej surowy, wymierzony przeciwko krzywoprzysięstwu czy – ujmując rzecz współcześnie – przeciwko składaniu fałszywych zeznań. Żydowski ustawodawca – co jest doprawdy dziwnym określeniem Boga, pomyślał Szacki – kazał karać procesowego kłamcę tą samą karą, jaka zostałaby wymierzona, gdyby jego kłamstwa wzięto za prawdę. Innymi słowy, jeśli wskutek czyichś niesłusznych oskarżeń ktoś mógł zostać skazany na śmierć, a sprawa się wydała – to krzywoprzysięzce czekał stryczek czy co tam wtedy stosowano. Ciekawy był też fakt, że surowość przepisu podyktowały zasady prewencji ogólnej. Zapisane było wprost, że „reszta, słysząc to, ulęknie się i nie uczyni więcej nic

takiego pośród siebie”. W pewien sposób kłamstwo traktowano jako najgorszą ze zbrodni.

Być może słusznie, pomyślał Szacki i zamknął notes, zamknął też okno i zapiął marynarkę, noc była pierońsko zimna. O czym mówiły cytaty? O zabójstwie, skrzywdzeniu ciężarnej i krzywoprzysięstwie. Przypadek czy istotny szczegół?

Zgasił lampkę zamontowaną nad lusterkiem wstecznym, zamrugał kilka razy, żeby przyzwycząić zmęczone oczy do zamglonego mroku za oknem i zamarł, widząc tłoczące się przy samochodzie ciemne postacie. Cienie krążyły niepewnie wokół auta. Czując rosnącą w gardle panikę, uruchomił silnik, reflektory wypełniły mleczną mgłą światłem. Nie było żadnych cieni. Tylko wyludnione nadwiślańskie miasteczko, chodnik z kostki bauma i reklama piwa Perła nad sklepem spożywczym.

Ruszył gwałtownie, odjeżdżając w stronę rzeki. Mgła zawirowała za szerokim zadem citroena.

Prokurator Teodor Szacki nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, że opuszcza właśnie jeden z typowych przedwojennych sztetli, miasteczek zamieszkałych w większości przez ubogą ludność żydowską, która w Annopolu stanowiła tuż przed wojną ponad siedemdziesiąt procent mieszkańców. Była tu szkoła hebrajska stowarzyszenia Tarbut, chedery, Towarzystwo Talmud Tora i świeckie szkoły dla dziewcząt i chłopców, była nawet skromna jesziwa, po której chłopcy kontynuowali rabinackie nauki w Lublinie. Został mały i brzydki pamiątkowy kamień w miejscu starego kirkutu na obrzeżach miasteczka, otoczony dla ozdoby chodniczkiem z różowej kostki bauma.

Na twarzy dziewczyny pojawiło się niedowierzenie, ale ciągle pozwalała mu trzymać rękę na udzie, dobry znak. Roman Myszyński pozwolił sobie przesunąć ją wobec tego trochę wyżej, na kawałek skóry ponad koronką pończoch, tyle tylko, że nie było tam ani koronki, ani skóry. No nie, nie mówcie, że ktoś dziś chodzi do klubu w rajstopach. Co to jest, jakieś vintage party czy jak, zaraz się okaże, że ma stanik z elastanu i nieogolone pachy. Czy on raz w życiu nie mógłby trafić normalnie? Nie że raz na miesiąc, nawet nie raz na pół roku i nie raz na rok. Raz, raz w ogóle.

– Czyli że jesteś kimś w rodzaju detektywa? – zapytała, nachylając się w jego stronę.

– Nie tyle w rodzaju, co po prostu detektywem – odkrzyknął, notując w pamięci, żeby nigdy, przenigdy nie zapraszać już nikogo przed randką na kalmary w sosie czosnkowym. – Wiem, jak to brzmi, ale tak jest. Siedzę w biurze, przychodzi ktoś, najpierw coś kręci, sprawdza, czy można mieć do mnie zaufanie. A potem – zawiesił głos – a potem wyjawia mi swoje najskrytsze tajemnice i dostaje od niego zlecenie. Nawet nie masz pojęcia, jak pokrętnie układają się ludzkie losy.

– Chciałabym zobaczyć twoje biuro. Wyjawić ci swoje tajemnice.

– Te najskrytsze? – zapytał, czując, jak tandeta tej odzywki sprawia, że odchodzi mu ochota na wieczór pełen wrażeń.

– Nie masz pojęcia! – odkrzyknęła przez muzykę.

Chwilę potem siedzieli już w taksówce, która wiozła ich z centrum do jego „biura”, czyli malej kawalerki na Grochowie. Miejsce nie było może luksusowe, ale klimatyczne, w porośniętej

winem przedwojennej willi z ogrodem, przycupniętej pod blokami osiedla Ostrobramska, zwanego w okolicy Mordorem. Całowali się namiętnie, kiedy zadzwonił telefon. Numer prywatny. Odebrał, zaklinając w duchu bogów wszystkich religii, żeby to nie była matka.

Słuchał przez chwilę.

– Oczywiście, że kojarzę, panie prokuratorze – powiedział rzeczowym, niższym niż zazwyczaj głosem, rzucając dziewczynie wymowne spojrzenie. – Takich spraw się nie zapomina... Tak, teraz akurat w Warszawie... Jasne... Aha, aha... Rozumiem... Oczywiście... Muszę się przespać kilka godzin, trzy godziny na dojazd, mogę być u pana o ósmej... Tak, jasne, do zobaczenia.

Ruchem rewolwerowca zamknął futerał telefonu i schował go do kieszeni marynarki. Dziewczyna patrzyła na niego z podziwem.

– Wie pan co, żeby prokurator do ludzi o północy wydzwaniał – rzucił taksówkarz, patrząc na niego w lusterku. – Normalnie, kurwa, Związek Radziecki nam tutaj robią, platformy, kondominium, panie.

## **Rozdział ósmy**

*środa, 22 kwietnia 2009*

*Ziemia świętuje swój dzień, Jack Nicholson 72. urodziny, Donald Tusk – 52., a znawcy motoryzacji fetują 7. rocznicę śmierci poloneza. W Polsce prawie pół miliona gimnazjalistów pisze kończący szkołę egzamin, poza tym rząd zapowiada całkowity zakaz palenia, 25-letni alpinista wspina się bez zabezpieczeń po ścianie na szczyt hotelu Marriott w Warszawie, a konkurs na kabareciarza roku wygrywa minister infrastruktury, zapowiadając, że autostrady A1, A2 i A4 będą skończone przed Euro 2012. U zachodnich sąsiadów rozpoczyna się wielki proces islamskich terrorystów, u wschodnich zostaje przywrócony trener hokejowy, zwolniony wcześniej za to, że jego drużyna śmiała wygrać z drużyną prezydenta Łukaszenki. W Sandomierzu policjanci zatrzymują mężczyznę, który oskarżył kilku czternastolatków o kradzież na bazarze 74 butelek piwa oraz butelki wódki i w ramach odszkodowania wymusił od nich pieniądze. Tymczasem prawdziwi złodzieje wynoszą z otwartego mieszkania torebkę, a w niej 180 złotych. Właściciele siedzieli na balkonie. I nie dziwne, bo choć temperatura nie przekracza 18 stopni, a w nocy potrafi spaść do dwóch, to dzień słoneczny i piękny.*



## I

Odkąd w autobusie na pierwszym gimnazjalnym wyjeździe Marcin wylądował obok Saszy – tylko obok tego przerośniętego dryblasa o wyglądzie mordercy było wolne miejsce – obu chłopców połączyła może nie tyle przyjaźń, co specyficzna znajomość. Nie wiedzieli o sobie zbyt wiele, nie odwiedzali się w domach, nie zapraszali na imprezy, nie chodzili nawet do tej samej klasy. Obaj byli dość osobni i obaj swoją osobność szanowali. Marcin był raczej chuchrem, niskim słomianym blondynkiem w okularach, tyleż znanym, co wyśmiewanym skrzypkim, grającym czasami, ku swojej rozpacz, na szkolnych imprezach. Trochę komponował, kręciła go myśl, że mógłby kiedyś pisać muzykę do filmów, ale jego kompozycje znała tylko Ola i właśnie Sasza.

O Saszy chodziły słuchy, że handlował narkotykami i był związany z ruską mafią, plotki na tyle rozpowszechnione, że nawet nauczyciele traktowali go z zaskakującą pobłażliwością, bojąc się zapewne, że przez zbyt niską ocenę semestralną jakiś mafioso w szeleszczącym dresie przewierci im kolano w szkolnej szatni. Z natury milczący Sasza milczał w tej sprawie szczególnie, co oczywiście tylko potęgowało plotki, a kiedy ktoś odważył się podejść do niego i zapytać o towar, Sasza najpierw długo milczał, gapiąc się na klienta bez mrugnięcia powieką, a w końcu nachylał się i mówił z celowym zaśpiewem: „Nie dla ciebie”.

W rzeczywistości Sasza nie handlował niczym, jego największą, nieznaną nikomu pasją było kino dokumentalne, którego miał w swoim komputerze terabajty. Podrzucał co jakiś czas Marcinowi co lepsze i co bardziej kontrowersyjne kawałki ze swoich zbiorów. Ostatnio dzięki Saszy Marcin obejrzał niezwykle film o amerykańskim Żydzie, który jedzie z dziećmi szukać w Polsce

ludzi, którzy uratowali jego ojca. Najbardziej uderzył go stary, chory, podpięty do różnych rurk Żyd, który od sześćdziesięciu lat mieszka w Izraelu, już nie kontaktuje i tylko powtarza, że chciałby do domu. Thumaczą mu, że przecież jest w domu, a on swoje – że do domu. „Tato, a gdzie jest ten twój dom?” – ktoś w końcu pyta. „Jak to gdzie? Zawichojska siedem” – odpowiada. Marcin nie potrafił wytłumaczyć dlaczego, ale bardzo go ta scena wzruszyła.

Sasza stał oparty o parapet, z założonymi na piersi rękami, i gapił się w przestrzeń, w luźnych ciuchach i jasnej bluzie wydawał się jeszcze potężniejszy niż zwykle. Marcin podszedł, skinął głową na powitanie i oparł się o parapet obok niego.

– Pion na e4 – powiedział.

Sasza zmarszczył brwi, pokiwał z uznaniem głową.

– Skoczek na c4 – mruknął.

Rozgrywali partie szachowe właściwie bez przerwy, od momentu poznania się w autobusie, kiedy Sasza na komórce grał w szachy właśnie. Teraz wyglądało to tak, że każdy miał w domu swoją szachownicę, a w szkole codziennie wymieniali się jednym ruchem. Tyle tylko, że Marcin miał na obmyślenie i przygotowanie swojego ruchu cały dzień, Saszy odpowiedź na jego często godzinami opracowywane posunięcia nie zajmowała więcej niż kwadrans. Raz poprosił o czas do namysłu do następnej przerwy, Marcin wtedy chodził dumny przez tydzień. Ale nie wygrał nigdy, jakiś ruski gen sprawiał, że Sasza był niepokonany.

– Słuchaj, czy ja dobrze pamiętam, że twój stary jest przestępcą, łapówkarzem, oprawcą i gnidą?

– Zgadza się, faktycznie jest oficerem policji – odparł Sasza.

– Byłem w poniedziałek na wycieczce w Sandomierzu.

– Przykro mi.

– Zwiedzaliśmy takie lochy pod starówką, kiedyś podobno były tego całe piętra, teraz został taki korytarz beznadziejny, a może pokazują tylko tyle.

– No.

– No i słyszałem wycie.

– Czyli Mary w końcu znalazła łechtaczkę. To koniec, teraz nikt nie jest bezpieczny.

– Takie... takie piekielne wycie, z głębi ziemi. Jakby tam kogoś męczyli albo torturowali.

Sasza spojrział z góry na przyjaciela. Podniósł jedną brew.

– Tak, wiem, jak to brzmi. Doskonale wiem. Ale to mi nie daje spokoju. Wiesz, co tam się teraz dzieje, grasuje seryjny morderca, były już dwa trupy, dziś przeczytałem, że podobno ludzie przestali posyłać dzieci do szkoły, histeria. No i rozumiesz, to pewnie nic, raczej na pewno nic, ale jeśli coś? Głupio by było, nie?

– Wycie, mówisz? No dobra, powiem staremu, niech tam nada psiarni, może im się przyda. Coś jeszcze?

– Wycie, głównie wycie, takie trochę jak wiatr, trochę jęk, trochę krzyk. I jeszcze jeden dźwięk, wtedy nie mogłem go rozpoznać, za słaby był, ale dziś rano usłyszałem podobny i mi się skojarzyło.

– No?

– Ujadanie. Takie psie, wściekle ujadanie, jakby gdzieś w tych lochach hodowali psy piekielne albo, ja wiem, wilkołaki mieszkały. Tak, wiem jak to brzmi.

Rozmowa była krótka, owocna i Szacki cieszył się, że udało mu się ściągnąć Myszyńskiego z Warszawy. Inteligentny, szybko myślący gość, odrobinę niepasujący do formy, którą sobie stworzył. Był fajnym, dobrym człowiekiem, takim, co to nikomu krzywdy nie zrobi i zawsze będzie się tak samo dziwił, jeśli jego to spotka. A próbował grać starego wyjadacza, zimnego i wyrachowanego cynika, którego interesuje jedynie profesjonalizm w jego robocie – i więcej nic. Rola sama w sobie przyzwoita, zwłaszcza w tym fachu, ale sens ma tylko wtedy, jeśli potrafi się ją zagrać bez fałszu. Szacki potrafił, a gość – prawie wcale. Na szczęście jego zdolności aktorskie były tutaj najmniej istotne.

Wyszedł z gabinetu, żeby umyć kubek po kawie, i zrobił to na tyle gwałtownie, że zderzył się w korytarzu z Basią Sobieraj. Wypadła jej z rąk mała paczuszka. Szybko schylił się, żeby ją podnieść – kartonowe pudełko z pocztową naklejką miało wielkość grubej książki, ale było bardzo lekkie, jakby pozbawione zawartości. Dworskim gestem zwrócił paczkę.

– Proszę, oto pani zguba.

Ze zdumieniem zauważył, że Sobieraj zaczerwieniła się jak dorastająca dziewczynka przyłapana na wstydlivej i intymnej czynności. Gwałtownym gestem wyrwała mu paczkę z rąk.

– Proszę patrzeć, jak pan chodzi, szanowny panie.

Miał ochotę się odgryźć, ale otworzyły się drzwi gabinetu Miszczyk, szefowa wyjrzała i wezwała go zdecydowanym gestem: uczeń proszony do dyrektora. Poszedł, ciągle trzymając w dłoni pusty kubek po kawie, zdobny w logo Legii Warszawa. U Miszczyk siedział mężczyzna o spuchniętej gębie alkoholika i wyglądzie

kloszarda, wierzący zapewne, że jego zaniedbanie to sportowa elegancja. Budził niechęć. Wstał na widok Szackiego i przywitał się wylewnie.

– Ja kibicuję Polonii – powiedział, wskazując na kubek.

– Przepraszam, komu?

– No... drugiej warszawskiej drużynie...

– Ale jak to? Przecież w Warszawie jest tylko jedna drużyna – zażartował Szacki, czego tamten nie zrozumiał.

– Pan redaktor przyjechał z Warszawy, pisze duży reportaż o naszej sprawie – Miszczyk wybawiła idiotę z opresji. – Obiecałam, że będzie mógł zabrać panu kwadrans, panie prokuratorze, nie dłużej.

W Szackim zbulgotało, ale uśmiechnął się zdawkowo i zaproponował, żeby załatwili sprawę od razu, co pozwoli mu jak najszybciej wrócić do pracy.

Rozmowa na początku toczyła się wokół śledztwa, mechanizmów postępowania w wypadku podejrzenia działania seryjnego zabójcy i różnych niuansów prawa karnego. Szacki odpowiadał na pytania szybko i precyzyjnie, mimo starań dziennikarza nie pozwalał, aby wywiad zamienił się w miłą, niezobowiązującą pogawędkę, brutalnie ucinał też wszelkie próby skracania dystansu. Czekał na nieuniknione, czyli podróż w stronę żydowskich motywów i polskiego antysemityzmu. Nieuniknione zachowało się zgodnie ze swoim zakresem semantycznym – nadeszło.

– Zastanawia mnie ponura symbolika tego wszystkiego, coś wyjątkowo brudnego jest w tej krwawej zabawie motywami. Tutaj, w mieście słynącym z obrazu, który jest w jakiś sposób credo antysemityzmu. W województwie świętokrzyskim, w którego stolicy wydarzył się największy pogrom od czasu Zagłady. Wydawało się, że to wszystko stare blizny, a tymczasem wystarczy podrapać i co się okazuje? Że to niepogojone, ropiejące rany.

– Symbolika mnie nie interesuje – skwitował chłodno Szacki.

Dziennikarz uśmiechnął się.

– To takie bardzo polskie, nie uważa pan? Mnie nie interesuje. Jak się pojawia drażliwy temat, to zaraz ktoś powie „a po co to wyciągać”, „a dajcie sobie spokój”, „a po co to jątrzyć niepotrzebnie”.

– Przykro mi, ale nie wiem, co jest typowo polskie, mam dyplom z prawa, nie z antropologii. Poza tym pan mnie nie słucha. Może pan wyciągać i jątrzyć, ile dusza zapagnie, nie namawiam pana, żeby pan cokolwiek odpuszczał. Informuję pana tylko, że jako urzędnika w służbie Rzeczypospolitej Polskiej nie interesuje mnie symbolika, nawet brudna i krwawa.

– To czemu kazał pan zatrzymać pijanych gówniarzy, którzy urządzili sobie antysemicką demonstrację?

– Sto dziewięćdziesiąt sześć, dwieście pięćdziesiąt sześć, dwieście pięćdziesiąt siedem, dwieście sześćdziesiąt jeden, dwieście sześćdziesiąt dwa.

– Słucham?

– To przepisy kodeksu karnego, które w tym wypadku mają zastosowanie. Przede wszystkim znieważenie miejsca pamięci, znieważenie miejsca spoczynku zmarłego i nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych. Moja praca polega na stawianiu przed sądem osób, które naruszyły przepisy prawa. Nie kieruję się w tym ideologią, nie kieruję się symboliką.

– Rozumiem, to oficjalne stanowisko. A nieoficjalnie co pan o tym sądzi?

– Nieoficjalnie nic nie sądzę.

– Czy spotyka się pan z przejawami antysemityzmu?

– Nie.

– Czy stereotypy przeszkadzają w prowadzeniu śledztwa?

– Nie.

– Czy wie pan, że w Sandomierzu ludzie nie posyłają dzieci do szkoły?

– Tak.

– Czy sądzi pan, że spowodowane jest to powrotem wiary w legendę o krwi?

– Nie.

– Czy wie pan, co mówi sandomierska ulica?

– Nie.

– A co piszą prawicowe media?

– Nie.

– Nie rozumiem, skąd u pana totalne odrzucenie takiej rozmowy, skąd ta panika. Musi pan się przecież zastanawiać, jakie jest źródło tych wydarzeń, ich geneza. Nie wiem, czy czytał pan książki Grossa?

– Nie – skłamał Szacki.

– Szkoda. On opisuje falę powojennego antysemityzmu, gniew sąsiadów na widok ocalałych z Zagłady, nienawiść. Ja tak myślę, że to pokolenie powojennych antysemitów wychowało następne pokolenie, a ono wychowało następne. Wierzące w żydokomunę, w światowy spisek, w międzynarodową finansjerę. A jednocześnie pozbawione przeciwwagi. Przeciwwagi w formie zwykłego żydowskiego sąsiada, z którym wspólnie chodziliby na ryby, znalazłoby go i dzięki temu mogliby, słysząc te straszne stereotypy, wzruszyć ramionami i powiedzieć: „E, pieprzenie, Szewek taki nie jest”. I gdzieś z tego pokolenia wyrósł pana sprawca, nosiciel najstraszniejszych polskich stereotypów, pozbawiony wiedzy, nierozliczony, pałający nienawiścią do wszystkiego, co obce. I ta jego

nienawiść znalazła tutaj, na antysemitycznej ziemi, swoją straszną realizację.

Zegar koło godła wskazywał, że Szackiego czekały jeszcze dwie minuty tych męczarni. Zamierzał wstać dokładnie w tej sekundzie, kiedy minie kwadrans rozmowy, która go męczyła, nużyła i wkurwiała. Martwił się, że tak dużo potrzebnej mu dziś energii marnuje teraz na to, aby nie wybuchnąć, nie pokłócić się z debilem, któremu zależało tylko na jednym: udowodnić tezę o żydożerczych Polakach. Był zaskoczony, że jak na razie najwięcej empatii, woli zrozumienia i zdrowego rozsądku w tej sprawie zobaczył u młodego, urodzonego w Izraelu rabina. Maciejewski miał rację: same skrajności, tutaj nigdy nic normalnie.

– A co, jeśli jest odwrotnie? – zapytał dziennikarza.

– Czyli?

– Jeśli się okaże, że sprawca to szalony ortodoksyjny Żyd, który razem ze swoją wychowaną w duchu antypolonizmu szajką przyjechał z Jerozolimy, aby mordować katolików? Co, jeśli w piwnicy jego domu znajdziemy martwe dzieci, beczki wypełnione krwią i wytwórnę macy?

– To... to niemożliwe... To byłoby straszne. Tutaj, w tym kraju, który powinien zmierzyć się z czarnymi kartami historii. Któremu trzeba przypominać bez przerwy o jego winach. Pan nie może rozważać takiego scenariusza poważnie.

– Moja praca polega na tym, żeby każdy scenariusz rozważać poważnie. Powiem więcej: nie wzbudza to we mnie większych emocji, czy sprawcą okaże się polski biskup, czy przewodniczący sanktuarium Yad Vashem. Bylebyśmy go znaleźli.

– Naprawdę jest to panu obojętne?

Na szczęście czas dobiegał końca.

– Tak.



– Pan nie rozumie chyba swoich obowiązków wykształconego, myślącego człowieka. Musi się pan opowiedzieć po jednej ze stron. Nasza strona musi dawać świadectwo, nauczać, wyjaśniać. Inaczej ta druga, ciemna, zdobędzie rząd dusz.

– Jaka znowu ciemna strona? – zachnął się Szacki. – Czy wy po prostu nie możecie informować o tym, co się dzieje? Czy tutaj każdy musi uprawiać jakąś pokręconą propagandę?

– Nam nie jest wszystko jedno.

– Ale mnie jest. Kwadrans minął.

Lubił kobiety, lubił ten stan, kiedy spotykał nową i czuł przebiegający po kręgosłupie dreszcz, zachwyty spowodowany czasami urodą, czasami seksapilem, gestem lub brzmieniem głosu, uśmiechem lub błyskotliwą odżywką. Czasami, bardzo rzadko, podobne uczucie, narastające ni to w kręgosłupie, ni to w dole brzucha, towarzyszyło mu w czasie kontaktu z mężczyznami. Kiedyś się go bał, potem zrozumiał, że to podziw. Mieszanka podziwu, lekkiej zazdrości, trochę ekscytacji. Takie chłopięce „kurczę, chciałbym być kiedyś taki jak ten facet”.

Roman Myszyński w takim właśnie stanie opuścił gabinet prokuratora Teodora Szackiego. Kiedy w swojej karierze archiwisty do wynajęcia, tropiciela ukrytych na pożółkłych kartach rodzinnych tajemnic, przyjmował nowego klienta i starał się na nim wywrzeć wrażenie, starał się być kimś takim. Rzeczowy, ale nie małomówny. Profesjonalny, ale nie zimny. Zdystansowany, ale nie chamski. Spokojny, ale czujny. Obcy, ale budzący zaufanie. Teodor Szacki dokładnie taki był. Dumny szeryf, który wiele widział i wiele wie, ale nie ma potrzeby, żeby o tym opowiadać. Jasne, rozwodnione jakby, niepokojące spojrzenie, wąskie usta, klasyczne rysy twarzy. I te mlecznobiałe gęste włosy, które nadawały mu wyjątkowy, trochę demoniczny wygląd. Było w prokuratorze coś z szeryfa, z Gary'ego Coopera i Clinta Eastwooda, ale też coś z archetypu polskiego oficera, zadziorna niezłomność i granitowe przekonanie, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Zazdrościł też Szackiemu misji. Widocznego przeświadczenia, że jest po właściwej stronie, że wszystkie jego działania służą dobru i sprawiedliwości. A kim był on? Historykiem gryzypiórkim, który dla paru złotych ukrywał żydowskich przodków przed wąsatymi

Polakami i znajdował im szlacheckie korzenie, żeby mogli sobie powiesić herb nad telewizorem. Tak naprawdę to teraz po raz pierwszy w życiu robił coś, co ma znaczenie.

Dlatego nie czuł żadnego dyskomfortu związanego z tym, że tak szybko wrócił do miejsca swojej największej życiowej traumy – Archiwum Państwowego w Sandomierzu. Może przez chwilę, krótkie ukłucie niepokoju, kiedy w sali modlitewnej starej synagogi wyszukiwał odpowiednie akta. Znowu musiał przejść obok miejsca, z którego zwodzony mostek prowadził do okna wychodzącego na krzaki pod synagogą. Minał je ostrożnie, miał wrażenie, że namalowane przez żydowskiego artystę zodiakalne symbole śledzą jego ruchy. Szybko jednak otrząsnął się z tego wrażenia i zaniósł księgi hipoteczne do czytelnii. Położył obok nich materiały, które dostał od Szackiego. Krótką listę osób, które miał sprawdzić, i dotyczące ich wydruki z bazy danych PESEL na dobry początek. Pokryte pieczętami upoważnienia, które gwarantowały mu dostęp do wszystkich danych, jakie jeszcze nie wylądowały w archiwach państwowych. I jedną kartkę, na której napisane było, czego miał szukać: zabójstwo, śmierć ciężarnej, krzywoprzysięstwo.

Wyjął swój amerykański notes, gruby notatnik z żółtymi kartkami, i zaczął zapisywać listę instytucji do odwiedzenia. Zacznie od Urzędu Stanu Cywilnego i akt wyznaniowych, od naszkicowania krótkiego drzewa genealogicznego każdej z osób. Nie trzeba sięgać dalej jak dwa pokolenia wstecz, to nie powinno być trudne. Potem akta sądowe i powojenne gazety, też łatwizna. Gorzej może być z dokumentami bezpieki – ipeenowcy cierpieli na zaawansowaną manię prześladowczą i paranoję. Ale może nie będzie w ogóle takiej potrzeby.

Na razie jednak na pierwszy ogień pójda akta własnościowe. Jeśli prokurator ma rację, to kluczem do całej sprawy jest opuszczony dworek przy Zamkowej, jego obecni i poprzedni właściciele.

Telefon od Olega Kuzniecowa był niczym głos z zaświatów, uświadomił Szackiemu, jak delikatna i łatwa do naruszenia jest jego równowaga emocjonalna.

Gdy tylko usłyszał lekko śpiewną wymowę warszawskiego policjanta, swojego wieloletniego przyjaciela i towarzysza, momentalnie się rozkleił. Wpadł w tęsknotę za poprzednim życiem. Kuzniecowa oznaczał wizytę na miejscu zbrodni w chłodny poranek, późniejszą kawę na placu Trzech Krzyży, spotkania na czynnościach, w czasie których policjant udawał, że ma go za upierdliwego dupka, a on – że uważa podkomisarza za patentowanego lenia. Wspólne sukcesy i wspólne klęski, wspólna walka na salach sądowych, w czasie których Oleg był często najważniejszym świadkiem. Wspólne imprezy w jego mieszkaniu na Pradze. Helcia spała w swoim pokoju, oni pili we czwórkę. Kuzniecowa opowiadał dowcipy albo śpiewał Wysockiego, Natalia opieprzała męża za przynudzanie, Szacki z ciepłą złościwością pointował rozmowę. Weronika wtulała się w niego, alkohol zawsze tak na nią działał, że chciało jej się spać, ale i tak po wygonieniu gości znajdowali czas na przyjacielski, łagodny, satysfakcjonujący seks. Zasypiała zawsze wcześniej, odwrócona do niego plecami. Gest, którym obejmował ją pod piersiami, tak żeby czuć ich obecność, przylegał brzuchem do pleców i wtulał twarz we włosy na karku, był ostatnim jego świadomym gestem przed zaśnięciem prawie codziennie, przez prawie piętnaście lat.

– Ale w ogóle chcesz, żebym ci o tym opowiadał? – w głosie Kuzniecowa usłyszał wahanie. To było przykre, dawniej Oleg nie wpadłby na pomysł, żeby się cenzurować w czasie rozmowy z przyjacielem.

– Nie, no co ty. Przecież chcę, żeby jej było jak najlepiej, jak jej jest dobrze, to Helci też jest dobrze. Poza tym, wiesz, ciekaw jestem.

– Okej – powiedział Kuzniecowa po pauzie na tyle długiej, że była zauważalna. – Wpadliśmy do nich, nawet nie musiałem się wpraszać, Wiera sama zadzwoniła, że nowe śmiecie, że Helcia chce nas zobaczyć, no i musimy poznać Tomka.

– No.

– No i nie wiem, jak u ciebie, czy już mieszkasz w świętokrzyskim pałacu z ogrodem i widokiem na Wisłę, ale twoją była spotkał pewien awans cywilizacyjny. Nie jest to może willa w Konstancinie, ale całkiem przyjemne pół bliźniaka w Wawrze, trochę w głąb od Patriotów. Kawalek ogródka z hamakiem dla Helci, w środku przyjemnie, tak wiesz, nieikeowsko, raczej skórzany wypoczynek i kredens, znać, że gość nie z awansu, tylko ze starej rodziny.

– A jak on w ogóle?

– W porządku raczej. Starszy od ciebie, gabarytowo większy, mniej siwy. Chyba przystojny, Natalia twierdzi, że podobny do tego gościa z *Gladiatora*, tylko z późniejszych filmów. Trochę nudziaków, jeśli mam być szczery, męczą mnie te radcowskie opowieści, ale może po prostu musimy się jeszcze dograć.

Musimy się dograć. Szkoda, że nie znalazłeś czasu przez pół roku, żeby mnie odwiedzić, przyjacielu.

– Ale Wiera wydaje się, no, zadowolona. Ocenzurowano. Chciał powiedzieć: szczęśliwa.

– Hela tak samo, więc chyba w sumie dobrze się stało, co nie? Byłem na was wkurzony wcześniej, bo tak szczerze, to nie znałem lepszej pary, ale coś musiało być nie tak, skoro teraz tak fajnie układacie sobie życie. He, Natalii to chyba dało do myślenia, bo

zaczęła nosić koronki i piec ciasta. Taa, to jednak stara prawda, krótko trzeba trzymać babę. A propos baby, to jak tam?

– Kawalerskie życie, nie ma nudy, ostatnio mnie tutejsza sędzia zaskoczyła.

– Sędzia? Czekaj, moment. Pięć lat studiów, dwa lata aplikacji, trzy lata asesury... Chcesz powiedzieć, że zmieniłeś życie, żeby dymać laski po trzydziestce? Czy to jakiś żart? Ale rozumiem, że masz tam pewną różnorodność?

– Raczej. – Szacki poczuł, że męczy go ta rozmowa.

– Boże, najwspanialsze uczucie świata, zdjęć bluzkę z nowego ciała. Ale ci zazdroścę.

Nie ma czego, pomyślał Szacki, który poznał już, co oznacza fizjologiczny seks, i – jak każdy mężczyzna – zachował prawdę o nim dla siebie. Prawdę o tym, że ciało sprowadzone do ciała składa się z samych irytujących niedoskonałości. Kwaśnego zapachu, nieforemnych piersi w brzydkim staniku, pryszczycy na dekolcie, rozstępów wokół pępka, spoconej krawędzi majtek, włożących między zęby włosów łonowych, odcisku z boku małego palca u nogi i krzywego paznokcia.

– Bał – powiedział, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Taaa – rozmarzył się Kuzniecowa. – Ale ja z czymś innym dzwoniłem, czekaj. Tylko jeszcze powiedz, jak z Helcią, Wiera mówiła, że tam różnie jest.

– No różnie. Przyjeżdża do mnie w ten weekend, ale faktycznie, jakoś tak, rozumiem, że jest na mnie wkurwiona za to wszystko, nie wiem, chyba zacznę częściej jeździć do Warszawy – Szacki nie mógł słuchać sam siebie. Gubił się, tracił wątek, pieprzył jakieś farmazony bez sensu.

– O, o, właśnie, częściej do stolicy to świetny pomysł. Trzeba będzie się napić, jak za starych czasów. Albo może ja do ciebie wpadnę, co ty na to? Tylko to nieprędko, wiesz, jak jest.

– Jasne, wiem. Słuchaj, jeśli...

– To ty słuchaj, to pewnie bzdura, ale może ci się przyda. – No.

– Powiedział mi Sasza, syn mój umiłowany, że gadał ze swoim jednym kumpel. Kumpel był w poniedziałek na wycieczce szkolnej w Sandomierzu, i aha, kumpel jest podobno bardzo uzdolniony muzycznie, ma świetny słuch, komponuje, gra na instrumentach itede. To ważne. Niczego nie nadużywa, to też ważne.

Szacki słuchał, poczuł lekkie napięcie w mięśniach. Czy Bóg naprawdę ma takie poczucie humoru, żeby przełom przyszedł od starego towarzysza śledczych przygód?

– Kumpel zwiedzał podobno jakieś lochy pod starówką, macie tam coś takiego?

– Tak, wielka atrakcja.

– I twierdzi, że w tych lochach, w komnacie z archeologicznymi skorupami słyszał dziwne dźwięki, dobiegające zza ściany. Ledwo słyszalne, dalekie, ale wyraźne.

– Jakie dźwięki?

– Wycie. Wycie i ujadanie.

Wycie i ujadanie jest naprawdę nieznośne. Mimo zatyczek w uszach powietrze wibruje od nieprzyjemnych dźwięków, czuje je przez skórę, czuje je, obserwując wirujące w świetle reflektora kropelki śliny, czuje je w gorzkim, zwierzęcym zapachu. To jeden z tych momentów, kiedy ma już wszystkiego dość, chce to skończyć i mieć z głowy, móc zacząć wszystko od nowa. Czuje irytację, czuje też strach i wie, że każde z tych uczuć to bardzo zły doradca. Musi zadzwonić. Sięga bez sensu po komórkę i bezgłośnie klnie, przecież nie ma mowy, żeby w tym miejscu był zasięg. Wie, że musi wyjść, wie też, że bardzo nie chce tutaj wracać. Może nie musi? Zna drogę, wystarczy uruchomić mechanizm i wyjść. Jeśli wszystko zadziała tak, jak powinno, nie zostanie żaden ślad. Później ich tutaj skieruje, żeby znaleźli wszystko, kiedy będzie już w bezpiecznym miejscu.



Szacki biegał po korytarzu prowincjonalnej prokuratury półżywy z wściekłości. Normalnie w tej cholernej dziurze wszyscy się o siebie obijali na trzech ulicach na krzyż, a kiedy ktoś był potrzebny, to znikali, jakby to był Nowy Jork, kurwa jego mać. Wilczur miał bez przerwy zajęty numer, komórka najbardziej mu potrzebnej Sobieraj była wyłączona, Miszczyk gdzieś zniknęła, udało mu się zdobyć numer do męża Sobieraj, ale i u niego zgłaszała się sekretarka. Pieprzona prowincja, odrobina technologii i się gubią, nie wyszli jeszcze z etapu sygnałów dymnych.

Zauważył, że cały czas biega z tym idiotycznym piłkarskim kubkiem w dłoni, wszedł do kuchni, umył go tylko po to, żeby zająć czymś ręce, odstawił na ociekacz tak gwałtownie, że stłukł archaiczną biurową szklankę. Zaklął głośno. I zaraz znowu, kiedy skaleczył się, zbierając odłamki szkła. Skaleczenie było dość paskudne, krew ściekała mu po kciuku do wnętrza dłoni. Cholera, gdzie on widział apteczkę? W sekretariacie chyba.

Prokurator Teodor Szacki nie dotarł jednak do sekretariatu, ponieważ po drodze zaiskrzyło mu w neuronach. Myśl z apteczki przeskoczyła na opatrunek, z opatrunku na pierwszą pomoc, z pierwszej pomocy na pogotowie, z pogotowia na szpital i już wiedział, gdzie znajdzie Basie Sobieraj – w szpitalu u chorego ojca.

Wybiegł z budynku prokuratury ze skaleczoną dłonią w ustach, ale zamiast wsiąść do samochodu, zawrócił na górę. Nie dlatego, że skaleczenie wydało mu się poważne i że uznał, że jednak lepiej poświęcić dwie minuty na jego opatrzenie. Wrócił, kierowany irracjonalnym i gwałtownym przeczuciem niebezpieczeństwa. Wrócił, żeby zrobić coś, co w jego wieloletniej karierze prokuratora zdarzyło się do tej pory tylko raz.

Wrócił po broń.

Nie miał czasu na zakładanie kabury, wyjął z szafy pancernej małego glocka, sprawdził bezpiecznik i wrzucił do kieszeni marynarki.

W szpitalu szybko zlokalizował odpowiednią salę, oczywiście wystarczyło powiedzieć, że szuka ojca Basi Sobieraj, żeby pielęgniarka skierowała go w odpowiednią stronę. Stał w drzwiach i zawahał się, intymność zastanej sceny była dla niego krępująca.

W czteroosobowej sali tylko jedno łóżko było zajęte, leżał na nim staruszek. Z jednej strony łóżka miał monitor z latającymi kolorowymi kreskami i stojak z dwiema kroplówkami, z drugiej, lekko oddalony, wieszak na ubrania. Wisiała na nim toga. Prokuratorowska toga, pięknie wyprasowana, ze starannie ułożonym kołnierzem. Musiała mieć swoje lata, może nawet kilkadziesiąt lat. Czerwona lamówka była już nieco wyblakła, czerń gabardyny straciła głębię.

Basia Sobieraj i jej ojciec odwróceniem byli do niego plecami. On leżał na boku, pokazując światu plecy, pośladki i uda z widocznymi sinoróżowymi plamami odleżyn. Ona przecierała mu skórę gąbką moczoną w misce z jakimś roztworem, stojącej na szpitalnym taborecie.

– Nie płacz, tato, to tylko ciało – szeptała, jej szept był zmęczony i zrezygnowany.

Ojciec mruknął w odpowiedzi coś, czego Szacki nie dosłyszał.

Zakaszał cicho. Basia Sobieraj odwróciła się i po raz kolejny tego dnia lekko zarumieniła. Spodziewał się, że zostanie ofuknięty, ale uśmiechnęła się ciepło. Zaprosiła go gestem do środka, szybko odwróciła ojca i nakryła dokładnie pościelą. Przepraszyła za wyłączoną komórkę, ale po prostu musiała być przez chwilę sama z

ojcem, nie chciała, żeby ktoś jej przeszkadzał. Szacki opowiedział o wyciu i ujadaniu, na szczęście nie musiał tłumaczyć, jakie to ma znaczenie i czego potrzebują. Wyjęła telefon z wiszącej na oparciu krzesła torebki i wybiegła, zostawiając Szackiego ze swoim ojcem.

Staruszek gasł. Nie trzeba było kończyć medycyny, żeby to stwierdzić. Żółtawa skóra nieprzyjemnie opinała czaszkę, zwisała na szyi i na ramionach chorego, wyblakłymi, jakby pokrytymi galaretką oczami, z wysiłkiem wodził za Szackim. Jedyne bujne siwe wąsy kpiły z praw natury, zdrowo błyszcząc i przyozdabiając twarz chorego. Szacki pomyślał, że Sobieraj musiała być późnym dzieckiem, sama była pod czterdziestkę, staruszek na pewno miał koło osiemdziesiątki.

– Pan Teodor – nie tyle zapytał, co stwierdził staruszek. Szacki drgnął zdziwiony, ale podszedł do łóżka i delikatnie uścisnął dłoń chorego.

– Teodor Szacki, miło mi – powiedział zbyt głośno, wstydząc się, że jego głos brzmi tak mocno i dźwięcznie. Wydało mu się to nie na miejscu.

– O, w końcu ktoś, kto nie szepcze jak w kostnicy – uśmiechnął się staruszek. – Andrzej Szott. Basia dużo o panu opowiadała.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy – odparł Szacki najbardziej wyświechtanym tekstem świata. Jednocześnie poczuł swędzenie w głowie. Andrzej Szott. To nazwisko powinno mu coś mówić. Tylko nie pamiętał co.

– Wręcz przeciwnie. Chociaż ostatnio mniej na pana klnie.

Prokurator uśmiechnął się i wskazał na toge.

– Pańska?

– Tak, moja. Trzymam ją tutaj, bo bywa, że mózg mi się buntuje i, jak by to powiedzieć, odpływa. Toga pomaga przypomnieć

sobie różne rzeczy. Na przykład, kim jestem. Przyzna pan, że taka wiedza się przydaje czasami.

Potwierdził uprzejmym skinieniem głowy, dziwiąc się jednocześnie, że stary prokurator wybrał togę zamiast zdjęcia żony albo córki. Dziwiąc się tylko przez chwilę. Gdyby on mógł wybrać tę jedną rzecz, która określa go najlepiej, to czy nie byłaby to właśnie toga z czerwoną lamówką?

– Zastanawia się pan, czy też by powiesił togę. – Szott czytał w jego myślach.

– Tak.

– I?

– Nie wiem. Być może. – Podeszedł do togi, przejechał palcem po prążkowanej wełnianej tkaninie.

– Ta – Szott wskazał delikatnym ruchem palca – jest wyjątkowa. Widziała ostatni wykonany w Polsce podwójny kaes.

– Kraków, rok osiemdziesiąty drugi.

– Zgadza się. Wie pan, kogo powiesili?

Klik. I już wiedział, co powinno mu mówić nazwisko staruszka. Odwrócił się i podeszedł do łóżka.

– Mój Boże, prokurator Andrzej Szott. To zaszczyt, wielki zaszczyt, proszę wybaczyć, że nie skojarzyłem od razu, naprawdę, bardzo przepraszam.

Staruszek uśmiechnął się łagodnie.

– Cieszę się, że ktoś pamięta.

Swoją drogą, Sobieraj naprawdę jest niezła, pomyślał Szacki, żeby się nie wysypać, że jej staruszek wsadził Sojdę i Adasia. Albo nie jest przyzwyczajona, że ktoś tutaj tego nie wie, albo – też możliwe

– pan Szott był doskonałym prokuratorem, a niedoskonałym ojcem, niechętnie wspominanym przez własne dzieci.

Inaczej spojrział na małą, spreparowaną jakby, pomarszczoną twarz, na słaby uśmiech pod wąsami, na blade oczy pod ciemnymi brwiami. A więc tak wygląda prokurator Andrzej Szott, oskarżyciel w jednej z najsłynniejszych i najbardziej bulwersujących spraw kryminalnych w historii Polski.

– Który to był rok? – zapytał.

– Siedemdziesiąty szósty. Sroga zima.

– Połaniec to powiat sandomierski?

– Staszowski, tuż obok. Ale wtedy to było jedno województwo tarnobrzeskie. Ja pracowałem tutaj, proces też był tutaj. Sąd wojewódzki w Tarnobrzegu z siedzibą w Sandomierzu, tak to się wtedy nazywało. W Tarnobrzegu mieli województwo i siarkę, ale poza tym nic, wszystko było tutaj. Pamiętam, na Bramie Opatowskiej ktoś nabazgrał: „Brama Opatowska w Tarnobrzegu z siedzibą w Sandomierzu”.

Tak, Połaniec, a ta wieś pod Połańcem to chyba Zrębin, z każdą kolejną nazwą Szackiemu przypominały się książki, jakie czytał o tej sprawie. Krall, Bratny i ten dziennikarz, Luka chyba. Przypominały się fakty, pojawiały obrazy. Była wigilijna noc, Sojda...

– Jak Sojda miał na imię?

– Jan.

...Jan Sojda, nazywany „królem Zrębina”, w każdej wsi jest taki, zwiózł całą wieś autosanem na pasterkę do kościoła w Połańcu, ale zamiast pójść do kościoła, pili razem w autobusie, była to swego rodzaju wigilijna zrębińska tradycja. Trzydzieści osób w wozie, nikt wtedy nie wiedział, że są częścią większego planu. Zgodnie z tym planem pod pretekstem rodzinnej awantury znajoma wywabiła z kościoła małżeństwo Krystyny i Stanisława Łukaszków. Młodzi byli

krótko po ślubie, ona miała osiemnaście lat, była w ciąży. Razem z nimi był brat Krystyny, dwunastoletni chłopak. Cała trójka miała nadzieję zabrać się autobusem ze wszystkimi, ale Sojda ich pogonił, „król” od dawna miał na pieńku z rodziną Kalitów, z której wywodziła się młoda i jej brat. Tym bardziej na pieńku, że w czasie jej wesela padło oskarżenie, że siostra Sojdy kradnie kiełbasę. Nie będzie nikogo podwoził, niech hołota maszeruje w śniegu pięć kilometrów do Zrębina.

No to hołota pomaszerowała. Autobus pełen biesiadników ruszył za nimi niedługo potem, dogonili młodych w połowie drogi. Najpierw potracili dzieciaka, wtedy jeszcze mogło to wyglądać na wypadek. Ale kiedy Sojda i jego zięć Adaś wypadli z autobusu i zakatowali kluczem do kół Stanisława Łukaszka – już nie. Ciężarna dziewczyna uciekła w pole, błagała wujka – Sojdowie i Kalitowie byli spokrewnieni – żeby jej darował, że już jej męża zabili. Nie darowali, tym samym kluczem zatłukli. Został jeszcze dwunastolatek, Miecio, połamany, ale żywy. Położyli go na drodze i kilka razy przejechali samochodem, żeby upozorować wypadek. Tak samo postąpili z małżeńskimi zwłokami. Ułożyli wszystkich w rowie i wrócili do kościoła, żeby zapewnić sobie alibi. Wcześniej biesiadnicy zdążyli jeszcze w czasie dziwnego rytuału złożyć Sojdzie przysięgę, że będą milczeć. Całowali krzyż, przysięgali, upuszczali kroplę krwi na kartkę papieru.

Śledztwo prowadzono pod kątem wypadku drogowego długie miesiące, coś śmierdziało w tej sprawie, ale mało kto myślał, że smród dotyczy zaplanowanej z premedytacją zbrodni. Raczej tego, że nikt się nie chce przyznać do prowadzenia po pijaku. Noc, ślisko, nieszczęśliwy wypadek. Pod takim zarzutem zatrzymano Adasia – spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. W śledztwie pojawiały się nowe fakty, ale też fakty zniknęły – zniknął na przykład świadek, który jako jedyny twierdził, że w wigilijną noc dopuszczono się morderstwa z zimną krwią. Utopił się w przepływającej przez Połaniec rzeczce kilkunastocentymetrowej głębokości. Nikt nie

podejrzewał jednego – że trzydzieści normalnych osób, będących świadkami potwornej zbrodni na trzech osobach, w tym na ciężarnej kobiecie i dwunastoletnim chłopcu, nie puści pary z gęby w imię wiejskiej solidarności.

Nikt poza prokuratorem Andrzejem Szottem.

– To była w pewien sposób sprawa podobna do pańskiej – skomentował Szott myśl Szackiego. – Z tego, co mi Basia opowiadała.

– W jaki?

– Stara nienawiść. Trzeba mieszkać na prowincji, żeby znać taką nienawiść, w dużym mieście tego nie ma. Ludzie raz się widzą, raz nie, muszą się umówić, żeby się w ogóle zobaczyć. A we wsi na co dzień każdy każdemu w okno zagląda. Czyli jeśli żona się panu puści, to nawet jak się między wami ułoży, codziennie na ulicy i co tydzień w kościele będzie pan widział faceta, któremu obciągała. Żółć wzbiera, nienawiść rośnie, nawet jak pan nic nie robi, to pan gada, jakie ci Iksińscy szmondaki. Syn słucha. I jak się w szkole z synem Iksińskiego pobije, to nie tylko za siebie, ale i za pana. Czyli mocniej. I tak cegiełka do cegiełki, aż w końcu ktoś ginie, znika, topi się. Myśli pan, że taki Zrębin to jeden na świecie? Nie sądzę.

– Tak, ale nie wiem, czy to można porównywać. Tam to była pijacka rzeź, tutaj koronkowa robota.

– Pijacka rzeź? Niech mnie pan nie rozśmiesza. Przygotowane dwa autobusy, w tym jeden dla niepoznaki. Przygotowana kuzynka do wyciągnięcia ich z kościoła. Przygotowany krucyfiks, agrafka do upuszczania krwi, przygotowana kiełbasa i pieniądze na łapówki za milczenie. Wymyślone alibi. Sojda to przygotowywał tygodniami, może nawet miesiącami, odkąd to oskarżenie o kradzież kiełbasy na weselu przepelnilo czarę. A myślę, że są wsie, gdzie takie wendety przygotowuje się latami, gdzie przechodzą z pokolenia na pokolenie.

Poczuł niepokój. Dlaczego? Dlatego że Szott wspomniał o nienawiści przechodzącej z pokolenia na pokolenie? To była też jego teoria, dlatego kazał Myszyńskiemu grzebać w archiwach. Tak, to chyba to. Ale poczuł niepokój, swędzenie pojawiało się zwykle wtedy, kiedy coś przegapiał, nie wtedy, kiedy potwierdzały się jego teorie. Czy sprawa ze Zrębina miała faktycznie coś wspólnego z wystylizowanym zabójstwem Budników? W tamtej bardziej szokująca od samego mordu była zмова milczenia. Straszna, niezrozumiała zмова milczenia. Zмова rozmontowana przez Szotta.

– Skąd pomysł, żeby dopaść ich na sali sądowej? – zapytał starego prokuratora. – Dlaczego zwlekano?

– Ci ludzie byli już przyzwyczajeni do ciągłych przesłuchań przez milicję i prokuraturę, powtarzali swoje wersje jak katarynki, żadne prośby i groźby nie przynosiły rezultatu. Mogliśmy to robić do sądowego dnia, śledztwo i tak się dłużyło, trzeba było napisać akt oskarżenia, wszystkie terminy były przewalone. To było ryzykowne zagranie, iść do sądu z poszlakowym procesem, licząc, że na sali pojawią się twarde dowody. Długo się zastanawialiśmy z kapitanem, czy ma sens postawienie wszystkiego na jedną kartę.

– Ale się udało?

– Tak, sąd był dla nich nowym doświadczeniem, zaczęliśmy razem z sędzią przyciskać ich na sali, rozprawy zostały utajnione, żeby rodziny nie mogły słuchać i żeby nie mogli dogrywać wersji. Zaczęło się źle. Oskarżeni szli w zaparte, świadkowie też, niektórzy zaczęli odwoływać zeznania złożone w trakcie śledztwa.

– I?

– Co działa najlepiej na prosty lud? Obrazek. Wiedzieliśmy, który ze świadków był najgłupszy, najbardziej się gubił, mylił. A przy tym robił potwornie złe wrażenie, budził naturalną niechęć. Przycisnęliśmy go na sali, tak gubił się w zeznaniach, że sędziego



trafił szlag i ukarał go aresztem. Jak ludzie zobaczyli, że ziomka wyprowadzają z sali w kajdankach, zmiękli. Bali się Sojdy, ale siedzieć nikt iść za niego nie chciał. Potem następny w kajdankach. I następny. A potem jeden zaczął mówić, drugi.

– Dostali chyba wysokie wyroki, z tego co pamiętam?

– Osiemnaście osób odsiedziało po kilka lat za składanie fałszywych zeznań.

Zabójstwo. Śmierć ciężarnej. Krzywoprzysięstwo.

Szacki poczuł suchość w ustach. Nieprzypadkowo to wracało jak refren – zabójstwo, śmierć ciężarnej, krzywoprzysięstwo. Ale na Boga, jaki związek mogła mieć z obecnymi mordami sprawa sprzed trzydziestu lat? Co je łączy? Ta sama okolica. Ta sama premedytacja. Ta sama rodzina śledczych. Kościelne motywy – tam pasterka, tu obraz w katedrze. Być może ten sam motyw narastającej przez lata nienawiści. Być może zmowa milczenia? Nie wiedział tego, nie miał na to cienia dowodu, ale intuicja kazała mu ściągnąć Myszyńskiego w tajemnicy przed wszystkimi, prosić go o tropienie osób, które teoretycznie były po jego stronie, z którymi razem pracował.

A może to przypadek, może te zbrodnie są tylko do siebie podobne? Może to znak, że musi pójść śladami Szotta w swoim rozumowaniu? Co miał Szott, czego on nie ma? Co pozwoliło mu odkryć prawdę o połanieckiej zbrodni? Wiedział to, gdzieś tam to wiedział, miał na końcu języka, odpowiedź chowała się przed nim w gąszczu neuronów, bawiła w chowanego – ale była tam.

– Jezu, tato, a ty znowu o tych Sojdach, no ile można. – Sobieraj zmaterializowała się w pomieszczeniu, machinalnie poprawiła ojcu poduszkę, podciągnęła go do góry. – Jakbyś rozumiał, co oznaczają te cyferki – wskazała na monitor – tobyś nie gadał tyle.

Spojrzała na Szackiego.

– Idziemy. Znalazłam chłopaka, który wie wszystko o naszych lochach. Doktoryzował się z tego na AGH, szczęśliwie akurat jest u rodziny w Sandomierzu, mamy się z nim spotkać koło seminarium, tam podobno jest jakieś wejście. No, już, już – zaczęła go wyganiać gestem z sali, jak niesforne dziecko, Szacki jednak ominął ją i podszedł do starego Szotta.

– Dziękuję – powiedział i uściskał rękę prokuratora. Ręka nawet nie drgnęła, wzrok stał się bardziej zamglony i nieobecny, bystry uśmiech zniknął z jego twarzy. Szacki pogłaskał dłoń człowieka, który jako jeden z nielicznych w Polsce widział wykonanie kaesu. Musi tu przyjść jeszcze kiedyś, spytać, jak to jest. Czy on sam wierzy w taką karę? Czy wierzy w zbrodnie niewybaczone?

Wychodząc, musnął dłonią stary prokuratorski mundur.

– Piękną tokę odziedziczysz – powiedział do Sobieraj.

– Ona jej nie dostanie – wyszeptał staruszek tak cicho, że Szacki bardziej się domyślił słów, niż je usłyszał.

– Dlaczego? – zapytał, wracając do łóżka. Zniecierpliwiona Sobieraj stała w drzwiach i wymownie przewracała oczami.

– Bo ona nie rozumie.

– Czego nie rozumie?

Stary prokurator dał znak ręką, młody nachylił się nad nim nisko, prawie przytknął ucho do warg umierającego.

– Za dobra jest. Nie rozumie, że wszyscy kłamią.

Zaparkowali pod Bramą Opatowską, sandomierskie Wyższe Seminarium Duchowne znajdowało się dokładnie naprzeciwko, w pięknym barokowym zespole klasztornym, zajmowanym kiedyś przez benedyktyнки. To niestety była cała wiedza Szackiego dotycząca tego miejsca, którego nigdy nie odwiedził, choć kościół Świętego Michała wielokrotnie polecano mu jako turystyczny musik. Może dlatego, że nie lubił baroku, a może dlatego, że położony poza starymi murami i przy ruchliwej ulicy kościół wydawał się mniej zapraszający od innych.

Pod bramą klasztoru zobaczył Wilczura, obok stał przystojny blondyn w typie młodego Paula Newmana, przez ramię miał przerzucony plecak. Szacki drgnął, blondyn kogoś mu przypominał. Nie tylko aktora, było jeszcze w jego twarzy coś znajomego, cień bliskiej osoby.

– Prokurator Teodor Szacki – przedstawił go Wilczur, jak tylko przebiegli przez jezdnię.

Blondyn uśmiechnął się szeroko i wyrzwał Szackiego pięścią prosto w przepoń. Uderzenie było jak taran, prokurator skulił się i padł na ziemię niczym worek kartofli. Klęcząc, z nosem przy trotuarze, gwałtownie próbował złapać oddech, ale powietrze zatrzymywało się na zębach i nie chciało się precisnąć ani milimetr dalej. Przed oczami zaczęły mu latać czarne i czerwone plamki, bał się, że straci przytomność, i jednocześnie marzył o tym, przestałby wtedy czuć rozlewający się po całym ciele mdlący ból. Blondyn ukucnął obok niego.

– Pamiętaj, koleś – powiedział ledwie słyszalnym szeptem prosto do ucha prokuratora – że mam jeszcze drugą rękę, i mój

starszy i większy brat ma jeszcze dwie ręce, i że zwyczajnie bardzo nie lubimy, jak nasza siostrzyczka płacze. Rozumiesz?

Szacki zdołał wciągnąć minimalną ilość powietrza, tyle, żeby nie stracić przytomności. Spojrzał na blondyna, oderwał jedną rękę od chodnika i tuż przed jego nosem wyprostował środkowy palec. Blondyn zaśmiał się, chwycił go za dłoń i postawił na nogi.

– Marek Dybus, bardzo przyjemnie poznać pana – powiedział z wylewną serdecznością. – Przepraszam za ten wypadek, potknąłem się nieszczęśliwie.

Prokurator skinął głową. Wilczur i Sobieraj stali obok siebie z kamiennymi minami, co zapewne oznaczało, że z trudem hamują śmiech. Bez słowa poszli za Dybusem, prowadzącym ich do stojącego nieco na uboczu budynku, tuż obok muru, oddzielającego teren seminarium od spadającej w dół, do targowiska i Wisły, ulicy Zawichojskiej. Trzykondygnacyjna kamienica była ozdobiona szczytami stylizowanymi na barokowe, ale poza tym wyglądała na współczesną konstrukcję. Spytał o to Dybusa.

– Tak, postawili to w międzywojniu na Niższe Seminarium Duchowne, pod koniec lat dwudziestych chyba, nazywa się Nazaret. Jak na razie jednak dłużej tu rządzą świeccy niż duchowni. W czasie wojny była to gestapowska katownia, po wojnie ubecja, potem milicja i prokuratura. Sojgę tutaj przesłuchiwali, kojarzy pan sprawę?

– Tak.

– Dopiero w latach pięćdziesiątych oddali budynek diecezji, teraz jest tutaj akademik, czy jak to się u nich nazywa, dla kleryków i mieszkania dla wykładowców.

– Dlaczego tam idziemy? – spytał Szacki, wchodząc za przewodnikiem do wnętrza budynku i potem schodami na dół do wąskiej piwnicy.

– Bo w tym pełnym kleryków świętym budynku znajdują się wrota do piekieł. Jak go budowali, to przez przypadek natknęli się na średniowieczne tunele, na szczęście, zamiast po prostu zabetonować, mądry międzywojenny Polak zamontował drzwi. Proszę. – Wyjął z plecaka i dał każdemu z nich po czołówce.

Latarki były małe, ale dawały zaskakująco jasne, białe światło. Dybus wyglądał w niej jak wytrawny grotolaz, Wilczur jak upiór, a Sobieraj jak przedszkolna dekoracja świąteczna. Po minach, z jakimi na niego patrzyli, mógł przypuszczać, że on także, niestety, jak wytrawny grotolaz nie wyglądał.

– Zapnijcie się – powiedział chłopak, otwierając jednocześnie zamek w drzwiach, które wyglądem niczym nie różniły się od pozostałych. – Na dole jest dość chłodno, nigdy więcej niż kilkanaście stopni.

Gęsiego weszli do środka, podziemny korytarz zbudowany był z czerwonych cegieł i nie wyglądał na stary, na ziemi stały jakieś zakurzone słoiki. Przeszli kilka metrów, skręcili raz, potem drugi, potem zeszli kawałek po drewnianych schodkach, też niewyglądających na takie, co to pamiętają tatarskie czasy, tam Dybus otworzył kolejne drzwi i weszli z nich do małej sklepionej sali o wysokości mieszkania w bloku i powierzchni dziesięciu, może dwunastu metrów.

– Dobra, teraz dwa słowa wyjaśnienia – zagał przewodnik, przekręcając pasek z czołówką na bok, żeby nie razić ich w oczy. – Jesteśmy siedem metrów pod ziemią, prawie dokładnie pod Żeromskiego, w tę stronę jest Brama Opatowska i Stare Miasto, w tamtą Wisła. Ciocia Basia mówiła, że ktoś słyszał dziwne dźwięki z trasy turystycznej, tyle tylko, że trasa jest absolutnie odcięta od pozostałych podziemi. To znaczy, że można tam coś usłyszeć, ale bez kilofa nie da się stamtąd nigdzie dalej wejść, wszystko jest albo zasypane, albo zamurowane, albo zalane.

– Zalane?

– Nie wodą. Nie będę się wdawał w szczegóły, opowiem w skrócie, żeby pan wiedział, o co chodzi. Sandomierz jest na lessie, less jest fajny, bo zarazem twardy i plastyczny, z jednej strony można na nim budować praktycznie bez fundamentów, z drugiej da się w nim kopać tunele paznokciami, nie martwiąc się o stemple i podpory. Dlatego przodkowie, odkąd tutaj ta wiocha stoi, kopali pod nią piwnice. Płycej na ziemniaki, głębiej na kosztowności, najgłębiej na schrony. Zryli całe wzgórze jak krety, korytarzy było kilkanaście poziomów, dziesiątki kilometrów. I tak sobie to stało. Czasami coś się zapadło, ale jak na miasto wybudowane na serze szwajcarskim – i tak nieźle. Ale jest też less niefajny. Niefajny, bo pod wpływem wilgoci zachowuje się jak bryła piasku wrzucona do miski, rozpada się momentalnie, pstryk, ni ma. I w latach sześćdziesiątych nagle zaczął się Sando zwyczajnie walić, jak zbudowany na ruchomych piaskach. Dlaczego? Przez cywilizację. Miastu założono kanalizację, z kanalizacji ciekło, cieknięcie rozpuszczało wzgórze staromiejskie. Katastrofa. Jasne?

– Jasne. Bardzo też ciekawe, ale czas...

– Moment. Sprowadzili speców z AGH, sprowadzili górników z Bytomia. Górnicy rozebrali Stare Miasto, podrażyli szyby, zrobili plan lochów i te pod budynkami i jezdniami zalali mieszaniną lessu i szkła wodnego, która po zastygnięciu tworzy coś w rodzaju pumeksu, taką lekką, sztywną konstrukcję. A potem odbudowali starówkę.

– Tyle że wysiedloną inteligencję zostawili w blokach, a sprowadzili czerwonych – zaskrzypiał Wilczur. – Dlatego to teraz jak jakiś slums wygląda, menele i brudne okna.

– Co niespecjalnie należy do naszych rozważań, ale oczywiście dziękujemy za tę uwagę – skomentował Dybus z wdziękiem. Szackiemu podobał się ten chłopak, miał fajną, żywą inteligencję. I pomyśleć, że on mógł się wżenić w taką sympatyczną

rodzinę. Przypomniało mu się miodowe ciało Klary i poczuł ukłucie żalu. Może jeszcze to jest jakoś do odbudowania?

– Część pozostałych piwnic zamienili na trasę turystyczną, resztę odcięto od miasta, ale ostała się i tak naprawdę nikt się nią nie zajmował, wszyscy byli przekonani, że to parę wilgotnych lochów. Dopiero my – zabrzmiało w tym trochę dumy – zaczęliśmy badać dokładniej. I okazało się, że nawet po zalaniu części tuneli pod Starym Miastem został tutaj labirynt. Bez żadnej przesady labirynt, rok siedzieliśmy w tych lochach prawie codziennie i zewidencjonowaliśmy nie więcej jak dwadzieścia procent korytarzy. Idziemy, za mną gęsiego.

Ruszyli, przeszli jeszcze kawałek sklepionym korytarzem, za nim był już nieprzyjemny, niski chodnik, jakby wydrążony w wysuszonym brązowym błocie. Szacki dotknął ściany, w dotyku przypominała piaskowiec. Wystarczyło poskrobać paznokciem, żeby posypały się drobinki żółtego piasku.

Doszli do rozwidlenia.

– I teraz uwaga, muszę podać kilka zasad porządkowych. Po pierwsze, rządę ja, nie obchodzą mnie zwyczajnie wasze tytuły i wasze szarże. – Rzut okiem na Wilczura, który wydawał się dziwnie spięty, być może cierpiał na klaustrofobię. – Po drugie, gdybyśmy się jakimś cudem rozdzielili, to na każdym skrzyżowaniu lub rozstaju jest na poziomie metra wyryta strzałka wskazująca drogę do wyjścia przy seminarium. Ale ponieważ strzałki są tylko na zbadanym przez nas terytorium, nie będziemy się rozdzielać. Po trzecie, uciekajcie z miejsc wilgotnych z widoczną ciekącą lub kapiącą wodą. To oznacza, że less jest tam niestabilny i może was pogrzebać. Jasne? Jasne, to idziemy.

Prokurator Teodor Szacki nie miał klaustrofobii, ale czuł się nieswojo. Korytarz był niski i wąski, jego piaskowa konstrukcja nie dawała poczucia bezpieczeństwa, miał wrażenie, że w zimnym, lekko zatechłym powietrzu nie ma dość tlenu, żeby zaspokoić jego płuca.

Oddychał głęboko, a ledwo nabierał powietrza. Choć możliwe, że to zdefasonowana przez Dybusa przepona miała problemy ze znalezieniem swojego miejsca. Wciąż kłuło go pod żebrami przy każdym kroku.

Szli w milczeniu przez kilka minut. Parę razy skręcili, wszystkie korytarze były do siebie bliźniaczo podobne. Niepokojąco podobne, skóra cierpła na samą myśl o możliwości zostania tutaj samemu i zgubienia drogi.

– Okej, jesteśmy – młody przewodnik zatrzymał się gwałtownie przy ścianie z desek. Jednej brakowało, widać było za nią szary beton. – Za tym murem jest trasa turystyczna, właśnie sala z różnymi skorupami. Jeśli faktycznie coś się tutaj dzieje i jeśli ktoś w środku słyszał hałasy, my powinniśmy usłyszeć je tym bardziej.

Umilkli. Trasą turystyczną musiała przechodzić wycieczka, słyszeli kroki, stłumione słowa, śmiech. Wysoki głos przewodniczki, która opowiadała o czymś niespotykanym bohaterstwie. Wszystkie dźwięki oddaliły się po chwili i zostali w nieprzyjemnej, gęstej ciszy. Szacki wzdrygnął się, czując, że coś chodzi mu po ręce – była to dłoń Sobieraj. Spojrzał na nią zdziwiony, ale Basia uśmiechnęła się tylko przepraszająco. Ręki nie puściła, było to nawet przyjemne. Ale tylko przez krótką chwilę, potem wszystkie inne uczucia wyparło gwałtowne uderzenie lęku. Z płataniny czarnych korytarzy doleciało ich dalekie, ale wyraźne zwierzęce wycie.

– O kurwa – powiedział Dybus.

Sobieraj głośno westchnęła, kurczowo zacisnęła dłoń.

– Potrafisz powiedzieć, gdzie to? – spytał Szacki, zadowolony, że w jego głosie nie słychać drżenia.

– Echo oszukuje, ale stawiałbym na zachód, w stronę synagogi i kościoła Świętego Józefa. Do Podwała mam wszystko opisane, potem zobaczymy.



Szli teraz znacznie wolniej i ostrożniej. Najpierw Dybus, potem Szacki i ciągle uczepiona jego ręki Sobieraj. Milczący Wilczur zamykał stawkę. Szackiemu przeszło przez głowę, żeby wyprowadzić stąd starego policjanta. Jeśli faktycznie ma klaustrofobię i dostanie w tych lochach ataku serca, to trochę skomplikuje ich wycieczkę.

– Gdzie teraz jesteśmy? – zapytał. Przeszli około stu metrów, chodnik schodził łagodnym łukiem w dół, minęli do tej pory jedno skrzyżowanie i jedno boczne odgałęzienie, zasypane lessowym gruzem.

– Pod murami, z lewej strony mamy Stare Miasto, z prawej Podwale. Słyszycie?

Wycie powtórzyło się, nawet jeśli było głośniejsze, to tylko trochę. Sobieraj spojrzała na zegarek.

– Która?

– Za chwilę trzecia.

Szli pomału dalej, słabe potępieńcze wycie było słyszalne za każdym razem, kiedy się zatrzymali. W pewnej chwili dobiegł ich wyraźny, metaliczny dźwięk, jakby ktoś upuścił klucz francuski na betonową podłogę warsztatu. Dybus zatrzymał się.

– Słyszeliście?

– Idziemy – ponaglił Szacki i pociągnął Sobieraj, jej ręka wyslizgnęła się z jego spoconej dłoni.

– O mój Boże – wycedziła głucho, takim tonem, że wszyscy na nią spojrzeli. Basia Sobieraj podniosła pomału do góry dłoń, w białym świetle latarek było widać, że jest cała czerwona od krwi. Kobieta zgięła się wpół, wyraźnie miała zamiar zwymiotować.

– Basiu, hej, spokojnie – Szacki delikatnym ruchem wyprostował koleżankę. – Nic się nie stało, skaleczyłem się w prokuraturze, przepraszam, nie zdażyłem tego opatrzyć. Nie czułem, że krwawię, przepraszam.

Spojrzała na niego wrogo, ale z ulgą. Bez słowa wyjęła z kieszeni cienki jedwabny szalik i prowizorycznie opatrzyła jego dłoń.

– Nie wiem, czy nie powinniśmy wysłać tutaj kogoś lepiej wykwalifikowanego – mruknęła. – Dziwne lochy, dziwne wycie, nie wiemy, czego szukamy, jeszcze ta krew, zły znak.

– Szukamy Szyllera – powiedział Szacki. – Do tej pory jak ktoś w tej sprawie ginął, to potem znajdował się sprawiony jak wieprzek.

– Jagnię raczej – poprawił Wilczur. – Wieprzek trefny.

– Trefny?

– Niekoszerny.

– W każdym razie jest szansa, że tym razem znajdziemy kogoś szybciej.

– Skąd w ogóle wiesz, że to ma związek?

– Wycie, ujadanie, wszystko pasuje.

– Zwariowałaś? – Sobieraj wykonała swój gest zdziwienio-oburzenia, z którym było jej bardzo do twarzy. – Gdzie ci ujadanie pasuje?

– A co masz na obrazie w katedrze? Porwanie dziecka, jego zamordowanie, wytaczanie w beczce krwi i rzucanie resztek psom na pożarcie. Czego jeszcze nie widzieliśmy?

– O Boże – jęknęła Sobieraj, ale nie dlatego, że ta informacja ją przeraziła. Tym razem wycie było wyraźniejsze, słychać też było wściekłe, szczekliwe ujadania. Zniekształcony przez pokręcone korytarze dźwięk wydawał się piekielny, cierpła od niego skóra, sztywniały włosy, mięśnie napinały się, czekając na sygnał do ucieczki.

– Nie przeszliśmy tak daleko – jęknął Dybus. – Może lepiej spieszyć.

– Spokój – zakomenderował chłodno Szacki. – Czego się spodziewacie? Psa Baskerville'ów? Piekielnej bestii, ziejącej płomieniami? Pies to pies. Ma pan broń, inspektorze?

Wilczur odchylił połę marynarki, koło jego zapadniętej klatki piersiowej kołysało się w kaburze coś, co wyglądało na klasycznego policyjnego walthera.

– Idziemy. Szybko.

Ruszyli, potępieńcze zwierzęce dźwięki zbliżały się do nich błyskawicznie, Szacki nie mógł pozbyć się wrażenia, że stoi pośrodku drogi złapany w reflektory pędzącego samochodu i zamiast uskoczyć, zaczyna szarżować w jego stronę. To pies, to tylko przestraszony pies i akustyka małego pomieszczenia, nic więcej, tylko pies, powtarzał sobie w myślach. Idący przed nim Dybus zatrzymał się gwałtownie, prokurator siłą rozpędu wpadł na niego i dalej wszystko potoczyło się szybko, niestety zbyt szybko i zbyt chaotycznie.

Brat Klary zatrzymał się, ponieważ za zakrętem korytarza zaczynały się wykute w lessie schody, schodzące ostrą spiralą w dół, gdzie czekała granatowa ciemność i skąd dochodziło wściekłe ujadanie, już nawet nie tyle głośne, co ogłuszające. Być może chciał ostrzec pozostałych, być może chciał ustalić, co dalej, jego intencje stały się nieistotne w momencie, kiedy pchnięty przez Szackiego runął z krótkim okrzykiem w dół. Prokurator zachwiał się i upadł na kolana, jakimś cudem udało mu się utrzymać równowagę i zastygł w przedziwnej pozycji: stopy i kolana zostały mu na poziomie korytarza, dłońmi natomiast zaparł się o ściany – z braku lepszego słowa – klatki schodowej. Ktoś z tyłu, może Sobieraj, a może Wilczur, chwycił go za połę marynarki i już miał odetchnąć z ulgą, kiedy tuż przed jego twarzą pojawiła się morda wściekłego psa o szalonych ślepiach, czarna, kudłata, pokryta kurzem, śliną i zaschniętą krwią. Chciałem psa Baskerville'ów? No to mam, pomyślał Szacki.

Pies, kundel wielkości owczarka, nie rzucił mu się do gardła, zastygł kilka centymetrów od jego twarzy i ogłuszająco ujadął, nie potrafił złapać równowagi na wąskich stopniach, drapał je tylko pazurami, wzbudzając duszącą chmurę lessu. Przestraszony i oszołomiony Szacki oderwał jedną rękę od ściany, żeby zasłonić się przed zębami spłoszonego zwierzęcia, i to był jego drugi największy błąd tego dnia – pierwszy miał jeszcze przed sobą. W momencie kiedy machnął psu przed pyskiem zakrwawioną ręką z przesiąkniętym krwią szalikiem, zwierzę oszalało. I tak jak jeszcze ułamek sekundy wcześniej przytrzymywany Szacki miał szansę na zachowanie równowagi, to gwałtownie ugryziony stracił ją całkowicie i wyjąc z bólu, stoczył się razem z psem na dół schodów, uderzając na koniec w coś miękkiego, co musiało być Markiem Dybusem. Czołówka oczywiście spadła mu z głowy i teraz pod jakimś dziwnym kątem oświetlała jego walkę z potwornym, wściekłym kundlem. Jedną dłoń miał cały czas uwięzioną między jego szczękami, drugą bezskutecznie próbował odciągnąć głowę zwierzęcia. Szarpał za mokre kudły, drąc się i wrzeszcząc, ale pies nie zamierzał odpuścić, wgryzał się tylko coraz mocniej, czuł wyraźnie, jak kolejne tkanki pękają pod naporem szczęk. Działając bardziej instynktem niż rozumem, puścił łeb i sięgnął do kieszeni marynarki po glocka. Wijąc się gwałtownie, próbując wyszarpać ciało spod łap psa, które teraz ryły pazurami po jego brzuchu, zamiast po lessie, jakimś cudem odbezpieczył pistolet, wsadził go w pysk zwierzęcia tuż koło swojej dłoni i strzelił.

Jego ryk bólu zlał się w jedno z ogłuszającym, rozrywającym bębenki hukiem wystrzału; chmura tkanki, którą strzał wyrzucił z czaszki psa, spadła Szackiemu na twarz mokrymi, lepкими kropelkami. W tej samej chwili u wylotu schodów pojawiło się białe światło czołówki, oświetlając coś, czego Szacki nie widział, ale co ciągle ujadło jak szalone. Pod czołówką pojawił się błysk ognia. Jeden, drugi, trzeci.

Ujadanie zamieniło się w ciche skomlenie umierającego zwierzęcia.

Inspektor Leon Wilczur podszedł do prokuratora i pomógł mu wstać, kawałek dalej z ziemi gramolił się Dybus, na szczycie schodów widać było światło czołówki Sobieraj. Wyglądało na to, że nic się nikomu nie stało. No, prawie.

– Kurwa mać, chyba odstrzeliłem sobie kawałek palca.

– Pokaż – powiedział rzeczowo Wilczur, po raz pierwszy zwracając się do niego per „ty”, i brutalnie pociągnął rękę Szackiego, który syknął z bólu. – Masz wodę? – spytał Dybusa.

Dybus miał, wyciągnął butelkę z plecaka. Wilczur przemył dłoń prokuratora, wyglądało to paskudnie. Szklankowe skaleczenie na kciuku ciągle krwawiło, na grzbiecie dłoni widać było głębokie ślady po kłach pieprzonego kundla (Szacki nigdy nie lubił psów), a rozerwana tkanka między kciukiem a palcem wskazującym bezbłędnie wskazywała, któredy przeszła kula, zanim spenetrowała mózg zwierzęcia. Stary policjant obejrzał rany ze znanstwem, po czym kazał zszokowanemu jeszcze ciągle Dybusowi zdjąć koszulę, porwał ją na pasy i starannie opatrzył dłoń Szackiego. Prokurator był pod wrażeniem zimnej krwi policjanta.

– Okej, to możemy już wracać? – zapytał ich przewodnik i znawca podziemi, rozbiegane oczy wskazywały, że był na granicy paniki. – Ja w każdym razie nie zapuszczam się dalej w ten mordor nawet na centymetr.

– Nie ma mowy – Szackiemu co prawda chciało się wymiotować, żółć zbierała mu się w ustach kwaśną falą, ale przez lata wypracowywana forma po raz kolejny zwyciężyła. – Muszę zobaczyć miejsce, z którego przybiegły.

– Ale jak – głos Dybusa był histerycznie płaczliwy. – Przecież nie ma już wycia.

– Ale jest ślad z okruszków – powiedział prokurator i wskazał na podłogę, gdzie pazury pędzących psów wyryły symetryczne żłobienia.

Zostawili za sobą dwa truchła i ruszyli dalej, tym razem Szacki na przedzie wycieczki. Był zdesperowany, za wszelką cenę musiał się dowiedzieć, co czekało na końcu korytarza.

Muszę?

Weronika wiedziała, że w tym obrażonym, naburmuszonym pytaniu nie kryje się brak tęsknoty za ojcem, ponieważ ta tęsknota była niewyobrażalna, nie do ogarnięcia, przepalająca duszę młodej dziewczynki na wylot w każdej sekundzie na nowo. Wiedziała, bo sama była z rozbitej rodziny. Jej rodzice rozstali się, kiedy już była na studiach, a i tak było to najgorsze wspomnienie jej życia. Rozwód z Teodorem był przykry, co chwilę zalewały ją fale wściekłości, miała ochotę dorwać go i wydrapać mu oczy za to, że ją zdradził i oszukał. Ale nic nie mogło się równać z tym, kiedy ojciec zabrał ją do pijalni czekolady na Szpitalnej i poinformował, że on i mama nie będą już razem. Nigdy więcej u Wedla nie była.

To nie był brak tęsknoty, Helcia, gdyby mogła w mgnieniu oka teleportować się na kolana swojego taty, na pewno by to zrobiła. To był bunt, wyparcie, testowanie tego, na ile może sobie pozwolić. Naciąganie łączących ją z rodzicami emocji do granic wytrzymałości i sprawdzanie, czy pękna. I też manifestacja lojalności wobec niej, sposób na powiedzenie: spójrz, akceptuję twoje życie, lubię Tomka, to tata jest zły, tata nas zostawił, ukarzymy go.

I oczywiście miała ochotę wejść w te wygodne buty, przygarnąć córkę, żeby stanęła po jej stronie, żeby razem się odegrały na złym chuju, ramię w ramię. Ale to była szkodliwa łatwizna. Helcia nie ma z tym nic wspólnego, nie powinna mieć, niech buduje swoje życie z mamą i tatą za plecami, nawet jeśli mama i tata nie stoją już obok siebie przytuleni.

– Owszem, musisz. Ale poza tym chcesz i nie rozumiem, czemu się nakręcasz.

– No bo jechać tym autobusem tyle godzin. Tak to mogłabym z Tomkiem iść na kajaki. Już jest ciepło. Obiecał, że pójdziemy, jak będzie ciepło.

Uśmiechnęła się, ale szlag ją trafiał. Atencja córki wobec jej nowego partnera irytowała ją niemożebnie, mimo że powinna się z tego cieszyć. Opowieści znajomych, którzy wprowadzali dzieci w nowy związek, mroziły krew w żyłach, a u niej wyglądało to jak jakaś idylla. A mimo to czuła irytację, kiedy słuchała takich odzywek swojej córki. Nie miała pojęcia dlaczego, musi o tym porozmawiać z terapeutą. A może nie musi, może wie, że tak naprawdę ciągle go kocha, ciągle jest z nim związana, a Tomka ma w dupie i wie, że cały ten związek jest na pokaz, obliczony na to, żeby utrzyć nosa siwemu skurwielowi. I tutaj nagle jej córka w tym pokazowym związku, w którym jej matka jeszcze ani razu nie doświadczyła porządnego orgazmu, rozplywa się z zachwytem nad jakimś obojętnym jej facetem. Szlag by to trafił.

– Powiem tak, córeczko. Pojedziesz i będziesz się dobrze bawiła, i zwiedzisz nowe miejsca, i zaprezentujesz tatusiowi swojego najlepszego focha, takiego jak mnie w poniedziałek, żeby on też wiedział, że jego córeczka dorasta. Rozerwiesz go trochę, biedaczyna siedzi cały czas w biurze i się nudzi, przyda mu się trochę emocji. Hmm?



Ból poranionej dłoni był nieznośny, wędrował w górę ramienia falami, jakby głupie psisko cały czas tam wisiało i prokurator Teodor Szacki miał szczerą nadzieję, że to koniec emocji na dziś.

Ślady psich pazurów doprowadziły ich do niewielkiej sali, podobnej do tej koło seminarium, w której zaczęli swoją wyprawę. Znaleźli tam trzy amatorsko zespawane klatki, trochę psiego gówna, mnóstwo krwi i trupa Jerzego Szyllera. Znaleźisko zostało skomentowane w różny sposób. Dybus puścił monstrialnego pawia, musiał chyba sięgnąć do głębin układu trawiennego. Ciocia wyłączyła czołówkę, żeby wyłączyć ten widok. Wilczur zapalił papierosa. Szacki, czując wszechogarniające zmęczenie, wywołane odpływającą z krwi adrenaliną, usiadł na jednej z klatek i wyciągnął rękę po papierosa. Wilczur usłużnie oderwał filtr i podał prokuratorowi zapalniczkę. W pierwszej chwili Szacki chciał zaprotestować i poprosić o egzemplarz z filtrem, ale dał spokój i przypalił. Dym uspokoił zbierające się w gardle wymioty, wydmuchany nosem zatkał na chwilę receptory węchowe, dając wytchnienie od prosektoryjnego smrodu. Ze zdumieniem skonstatował, że camel bez filtra smakuje lepiej niż zwykły. Ba, w ogóle smakuje.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, także dlatego, że chciał czymś zająć myśli Dybusa, nie miał ochoty na uspokajanie napadu paniki, którego cień widział w rozbieganych oczach.

Dybus wyjął mapkę pełną niezrozumiałych kolorowych kresek i rozłożył ją obok prokuratora.

– Akurat w tym miejscu nigdy nie byłem, ale jakoś tutaj – pokazał punkt na mapie miasta już poza murami miejskimi, niedaleko zbiegu Zamkowej i Staromiejskiej. Niedaleko

opuszczonego dworku. Wedle wiedzy Szackiego w miejscu tym była łąka.

– Nic tam nie ma – powiedział.

– Teraz nie – zgodził się Dybus. – Ale kiedyś była cała dzielnica. Tyle tylko, że domy w większości drewniane, dlatego nic nie zostało. Ta sala to pewnie pozostałość po jakimś cwany kupcu, który uznał, że rabusie prędzej będą szukać pod kamienicami niż pod domami biedoty na Podwalu.

– Trzeba sprawdzić, czy można w jakiś sposób dojść stąd w kierunku dworku na Zamkowej, katedry i domu Budnika na Katedralnej. Mam wrażenie, że właśnie odkryliśmy sposób, dzięki któremu zwłoki teleportowały się z jednego miejsca na drugie.

– Jesteś pewien? – Sobieraj doszła trochę do siebie, ale ciągle była sinoblada.

– Raczej tak. Od wczoraj nie daje mi spokoju jedna rzecz, mianowicie zwłoki Budnikowej. Miała za paznokciami piasek, taki żółty nadmorski piasek. W czasie sekcji nie zwróciłem na to uwagi, wytłumaczyłem sobie, że może lubiła grzebać się w ziemi albo że to piasek z miejsca zbrodni. Ale dziś rano sprawdziłem i krzaki pod synagogą, i jej ogródek, w obu miejscach jest zwykła czarna ziemia.

– Co innego tutaj – mruknął Wilczur i skrobął po ścianie, pod długim paznokciem zostało trochę żółtawego lessu.

– Dokładnie. – Szacki poszedł w kąt pomieszczenia, jak najdalej od trupa, żeby skiepować papierosa.

Dopiero wtedy zrobił to, na co do tej chwili nie mógł się zdobyć, czyli spojrział wprost na zwłoki Szyllera, jednocześnie oświetlając go swoją latarką. Biznesmen-patriota był rozpoznawalny tylko dlatego, że przykuto go do ściany na tyle wysoko, że psy nie mogły pożreć jego twarzy. Cała reszta, od mniej więcej linii klatki piersiowej w dół, była krwawym strzępem, Szacki nawet nie chciał zgadywać, w które

miejsca pasują porozrzucane po całym pomieszczeniu kawałki. Biegli, biegli się tym zajmą.

– Możemy już iść? – spytała cicho Sobieraj.

– I tak nic tutaj nie zdziałamy. – Wilczur wstał, skrzypiąc, zerknął na zegarek, ciągle było w nim jakieś podenerwowanie i zniecierpliwienie, zupełnie niepasujące do flegmatycznego zwykle policjanta. – Trzeba przysłać biegłych, reflektory, torebki na dowody. Muszą zbadać to pomieszczenie i całą okolicę, myślę, że jest też tutaj miejsce, gdzie trafili Budnik i Budnikowa, muszą tam być jakieś ślady.

– Może nawet więcej, niż nam się wydaje. – Szacki wolno obrócił głowę, oświetlając pomieszczenie. – Do tej pory działaliśmy na warunkach zabójcy, znajdowaliśmy wszystko wysprzątane i przygotowane dla nas, a to miejsce odkryliśmy zbyt wcześnie.

– Jak to?

– Ten szczęk, który słyszeliśmy, zanim dopadły nas psy, spójrzcie, na klatkach jest jakiś mechanizm czasowy, który je stworzył przed naszym przyjściem. Tyle tylko, że gdyby nie jeden dzieciak obdarzony absolutnym muzycznym słuchem, nie byłoby nas tutaj. Psy by się rozbiegły po podziemiach, może jeszcze trochę by pożyły, może zjadły resztki Szyllera, może jakoś wydostały się z labiryntu, a my byśmy je znaleźli nad Wisłą i mieli kolejną zagadkę. A gdybyśmy nie znaleźli, pewnie podsunięto by nam wskazówkę. W każdym razie na pewno jesteśmy tu za wcześnie i na pewno niezgodnie z planem zabójcy. Musimy to wykorzystać, jak najszybciej ściągnąć techników.

– I powiedziec im, żeby byli ostrożni – dodała Sobieraj.

– Ha, wiedziałem, że ten zboczeniec nie siedział tutaj o świeczce! – doleciało ich z bocznego korytarza, w którym niepostrzeżenie zniknął Dybus. – Chodźcie, znalazłem akumulator!

Szackiemu neurony rozżarzyły się do czerwoności w tej tysięcznej sekundy, jaka była potrzebna, aby skojarzyć fakty, ale Wilczur i tak był szybszy od niego.

– Zostaw! – wydarł się potwornie policjant, Szacki nigdy nie słyszał takiego krzyku. Wydarł się za późno.

Prokurator Teodor Szacki najpierw zobaczył biały błysk, potem usłyszał grzmot, a potem fala uderzeniowa miotnęła nim o ścianę jak szmacianą lalką. Ostatkiem świadomości odnotował zaskakujące uczucie ulgi, odpływanie w ciemność oznaczało, że przestanie go boleć. Może na chwilę, może na zawsze – ale przestanie.

Wyglądało na to, że dowiedział się wszystkiego, czego mógł się dowiedzieć w sandomierskim archiwum. Czas wyruszyć dalej, na szczęście zapowiadało się, że nie będzie musiał opuszczać województwa, żeby zdobyć wszystkie potrzebne prokuratorowi informacje. Kto wie, przy odrobinie szczęścia jutro robota może być skończona. Śmieszne, praca dla wymiaru sprawiedliwości przy trudnej sprawie okazała się prostsza niż tradycyjne tropienie herbowej szlachty.

Mógł zostawić wszystkie akta w czytelni i wyjść, tak to zawsze wyglądało, ale tym razem wziął je pod pachę i wrócił do sali modlitewnej. Dlaczego? Na pewno udzielił mu się nastrój kryminalnego śledztwa, co u laików zawsze powoduje wzrost podejrzliwości, ostrożności i paranoi. Nie chciał zostawiać akt istotnych dla prokuratora tak po prostu na wierzchu, żeby każdy mógł do nich zajrzeć. Każdy – czyli w domyśle sam zabójca, jego współnik albo bliska im osoba. Poza tym drażniło go, że główna sala archiwum ciągle budziła w nim pewien lęk, przez co nie potrafił myśleć o niej spokojnie. Czy naprawdę jest aż tak miękki? Jedno dziwne wydarzenie, jeden trup zobaczony przez mgłę, z daleka, i teraz jojczy jak stara baba.

Dlatego Roman Myszyński dziarskim krokiem przeszedł przez próg ciężkich, stalowych drzwi i wszedł do głównego pomieszczenia synagogi. W świetle wpadającego przez okna popołudniowego słońca nie wyglądała na straszną, wyglądała przede wszystkim na zakurzoną. Wymalowane na sklepieniu znaki zodiaku nie sprawiały wrażenia ponurych i groźnych, tylko nieporadnych, zdradzały niewprawną rękę osiemnastowiecznego artysty. Mimo to nie czuł się do końca pewnie, wchodząc na górę rusztu po trzęsących się

schodach – bo księgi hipoteczne były oczywiście na samej górze, koło pieprzonych mostków i pieprzonych okien, z których widać trupy.

Odłożył archiwalia w odpowiednie miejsce i stanął obok „swojego” okna, myśląc o tym jak o terapii. O, proszę, stoję i nic mi nie jest. Miejsce jak miejsce, luz.

I dokładnie w tej samej chwili przez ruszt przebiegła dziwna wibracja, cała konstrukcja zatrzeszczała na nitach, spawach i spojeniach, a mostek urwał się z zaczepu, spadł i huknął metalicznie o parapet okna, jakby zapraszając do znalezienia nowego trupa.

Roman Myszyński podskoczył i wrzasnął z przerażenia.

– Panie, co pan zwariował, czy jak? – na dole stał dyrektor archiwum i patrzył na niego z dezaprobatą.

– Co ja? Co ja? Nie moja wina, że macie tutaj jakieś ruchy tektoniczne.

Dezaprobata zniknęła z oczu dyrektora, pojawiła się łagodna pobłażliwość dla wariata.

– Oczywiście, ruchy tektoniczne. Mogę panu jeszcze w czymś pomóc? Bo jak nie, to chciałbym zamknąć – uśmiechnął się złośliwie – nasz lokalny ośrodek badań sejsmicznych.

Wiedział, że jest źle. Obejrzał w swoim życiu wystarczająco wiele dokumentów o wojnie, żeby wiedzieć, że jest bardzo źle. Teraz jego organizm pracuje w innym trybie, w żyłach ma więcej hormonów niż krwi, biologia chce mu dać maksymalną szansę na przetrwanie. Ale tak naprawdę ma poodrywane kończyny, bebechy zbierają się w kałuży, nie może otworzyć oczu, jak to zobaczy, na pewno dostanie jakiejś frontowej hysterii, będzie się czołgał z oderwaną nogą w rękę albo próbował włożyć jelita na powrót do środka. Trochę szkoda, że tak się to wszystko kończy, ale z drugiej strony – może jednak jest jakieś potem albo jakieś od nowa, kto wie.

– Wstawaj, Teo! Nie możemy tutaj zostać! – Białe światło oślepiło go nawet przez powieki, zasłonił twarz ręką, myśląc, że to oznacza, że ma rękę, dobry znak.

– A moje nogi? – spytał bez sensu.

– Co twoje nogi? Wstawaj na swoje nogi, musimy stąd wynieść Marka, może jeszcze jest szansa, żeby go uratować. Szybko, Teo, błagam! – w głosie Sobieraj pojawiły się płaczliwe, histeryczne tony.

Prokurator Teodor Szacki zakasłał i zdecydował się otworzyć oczy. W powietrzu było tyle lessowego pyłu, że światła czołówek ryły w nim kreskówkowe, wręcz białe tunele. Twarz Basi Sobieraj pokryta była grubą warstwą lessu, w kurzu świeciły przestraszone oczy, wilgotne, oblizywane nerwowo usta i miejsce, gdzie znajdował swoją drogę ciekący z nosa gruby gil. On sam był zakurzony i pokiereszowany, ale cały, mógł ruszać wszystkimi członkami, potwornie tylko bolała go głowa i plecy w miejscu, gdzie wyrznął o ścianę. Nie bez trudu wstał, zakręciło mu się w głowie.

– Wilczur?

– Opatruje Marka.

– Leć jak najszybciej na zewnątrz, wezwij karetkę. Do psów masz prostą drogę, potem pamiętaj o strzałkach. Trzymaj. – Wcisnął jej w rękę swojego glocka.

– Oszalałeś?

– Po pierwsze, inne psy, po drugie, sprawca. Nie dyskutuj, biegnij! – Popchnął ją w stronę wyjścia i zataczając się, poszedł w stronę tunelu, w którym zniknął Dybus, skąd dobiegała poświata latarek i niepokojące, pełne bólu jęki.

Wilczur nachylał się nad ciałem chłopaka, jedną latarkę miał na czole, drugą zamocował na rumowisku, które powstało po wybuchu, blokując przejście do dalszej części jaskiń. Słyszac kroki, odwrócił się do Szackiego, był tak samo zakurzony i zapyłony jak wszyscy, ale na jego długiej, pobrużdżonej starej twarzy wyglądało to wyjątkowo upiornie; ozdobiona wąsami i bladymi oczami przypominała rytualną maskę. Szackiego uderzyło, że oczy policjanta były pełne autentycznego bólu. Jakby żałował, że w feralny korytarz nie wszedł on, tylko młody chłopak, mający całe życie przed sobą.

– Jeszcze jest w szoku, ale jeśli ma mieć jakiegokolwiek szanse, musi być w ciągu kwadransa na stole – powiedział policjant.

Jego szacunki wydawały się optymistyczne. Dybus miał otwarte złamania jednej ręki, polar w widoczny sposób nasiąkł mu krwią, a z dziury w twarzy wзираła odsłonięta szczęka. Najgorsza jednak była oderwana pod kolanem noga. Wzrok Szackiego przyciągała wystająca z kikuta biała, brzydko poszarpana kość.

– Zrobiłem opaskę uciskową na udzie, opatrzyłem ranę na brzuchu, kręgosłup chyba jest cały, bo reaguje na bodźce, wydaje mi się, że nie ma też żadnej przerwanej tętnicy, to dobrze. A długo to nie potrwa.



Szacki wrócił i rozejrzał się po „komnacie Szyllera”, nawet nie zwracając uwagi na zwłoki. Szukał czegoś, z czego można by zaimprovizować nosze, jego wzrok padł na drzwiczki od psich klatek. Wyjął je z zawiasów, ułożył obok siebie na ziemi i tak zakleszczył, że razem stworzyły konstrukcję wielkości mniej więcej ogrodowej furtki. Niewielkiej furtki. Wilczur obserwował jego poczynania.

– Dobrze, że jest krótszy – zachichotał upiornie, na co Szacki zareagował wbrew sobie tym samym chichotem, który nie miał nic wspólnego z czarnym humorem, był objawem przerażenia i narastającej hysterii.

Musieli się spieszyć.

Przenieśli jęczącego Dybusa ostrożnie na nosze i podnieśli je z obu stron; ciężar był nieznośny. Chłopak należał do mocnych i postawnych, a klatki zostały pospawane z prętów zbrojeniowych. Mimo to ruszyli w głąb korytarza, Szacki lekko kuśtykając. Po paru krokach zauważył, że ból uda nie jest bezzasadny, ponieważ nogawka spodni od garnituru pomału przesiąkała krwią.

Klnąc, jęcząc i stękając, dotarli do schodów i psich zwłok. To była mniej więcej połowa drogi, a Szacki nie był w stanie zrobić ani kroku więcej. Mięśnie ramion wyły z bólu, dłonie poobcierał sobie o pręty do żywego mięsa. Nawet nie chciał wyobrażać sobie, co czuje starszy o trzydzieści lat Wilczur. A sam Wilczur nie chciał nikogo informować, jak się czuje, oparł się tylko o ścianę i dyszał chrapliwie. Szacki odnalazł w sobie rezerwę woli, najpierw zaciągnął po schodach na górę jęczącego coraz ciszej Dybusa, potem nosze, a na koniec pomógł wejść Wilczurowi.

– Nie dam rady – powiedział cicho stary policjant, kiedy po niego wrócił.

– Dasz, dasz, to jeszcze kawałek.

– Jakbym nie dał, musisz coś wiedzieć...

– Och, pierdol się, człowieku. Po prostu wyjdźmy stąd. Złapał za nosze z cięższej strony, tam gdzie była głowa znów położonego na nich Dybusa, zczekał, aż Wilczur podniesie swój koniec. Zataczając się, walcząc z bólem, zawrotami głowy, mdłościami i latającymi przed oczami plamami, zmuszając każdą komórkę do krańcowego naprężenia, chrapliwie łapiąc powietrze, szedł do przodu i ciągnął za sobą nosze, rannego i Wilczura. Skupiał się wyłącznie na myśli o zrobieniu następnego kroku.

– W lewo – jęknął z tyłu Wilczur. – W lewo.

Rzeczywiście, poszedł automatycznie, nie poszukał strzałki. Konieczność cofnięcia się o dwa kroki przygnębiła go, przestraszył się, że teraz to już na pewno nie starczy mu sił, i rozplakał się. Chlipiąc i pociągając nosem, zmusił się jednak do skrócenia w inną stronę i znowu mógł się skupić tylko na krokach. Jeden, drugi, trzeci. Był na granicy utraty przytomności, cudem jakimś po tej stronie trzymało go poczucie obowiązku, odpowiedzialność za Dybusa. Kiedy zobaczył światła skaczące po ścianach tunelu, zbliżające się z kierunku, w którym szli, nawet nie pomyślał, co to oznacza, po prostu postawił kolejny krok. Nie mógł zaufać światłom, mógł zaufać tylko nogom. Raz, dwa, trzy.

Dopiero kiedy sanitariusz wywlókł go na trawę przed Nazaretem, dopiero kiedy ułożono go na noszach i zobaczył nad sobą nieskażone żadną chmurką błękitne niebo nad Sandomierzem – prokurator Teodor Szacki stracił przytomność.

## **Rozdział dziewiąty**

*czwartek, 23 kwietnia 2009*

W Turcji Dzień Dziecka, Święto Orderu Podwiązki w Wielkiej Brytanii, wszędzie – Światowy Dzień Książki. W dwóch samobójczych zamachach w Iraku ginie 76 osób, w Meksyku epidemia grypy zabiera dwudziestą ofiarę. Nepal montuje nadajniki GSM pod Everestem, a szkoccy naukowcy poszukują 40 ochotników do jedzenia czekolady. Lublin: funkcjonariusze, chcąc zapobiec publicznej defekacji, zatrzymują mężczyznę i znajdują przy nim pistolet sygnałowy, a w mieszkaniu – arsenał broni z okresu drugiej wojny światowej. Gliwice: przy stoisku mięsnym w Biedronce umiera klient, kupujący musieli omijać ciało w plastikowym worku. Poznań: Rossmann żąda okazania dowodu osobistego od nastolatka, który chce kupić prezerwatywy. Łódź: LPR donosi do prokuratury, że na basenie organizowane są noce naturystów. I znowu Łódź: okazuje się, że policjanci z jednostki antyterrorystycznej masowo dorabiali u gangsterów. Tylko w Sandomierzu nuda, nawet pogoda się nie zmienia: słonecznie, chłodno. Ciśnienie spada, wszystkim spać się chce.

Nawet jeśli ojczyzną moreli są Chiny, to warto wiedzieć, że w Polsce jest to owoc typowo sandomierski, którego sprowadzenie do Polski zawdzięczamy cystersom. To właśnie mnisi w białych habitach, po tym jak zbudowali w XII wieku swoje opactwo w Jędrzejowie i zaczęli krzewić cywilizację na okolicznych ziemiach, założyli pierwszy sad morelowy pod Sandomierzem.

Prokurator Teodor Szacki z nudów przeczytał cały reportaż o morelach i ich patriotycznej lokalnej historii, uznał, że go nic lepszego ze strony „Tygodnika Nadwiślańskiego” już nie spotka, i odłożył gazetę na taboret stojący obok łóżka. Rano jeszcze bawiły go szpitalne procedury, badania, leki, rozmowy z lekarzami, ale teraz nudził się śmiertelnie i miał wrażenie, że marnuje bezcenny czas. Przyjął leki przeciwtężcove i szczepionkę przeciw wścieklicznie, pozwolił się wysmarować i zabandażować, ale leku przeciwbólowego odmówił. Wczoraj nie miał takich obiekcji, dał się czymś nafaszerować i odpłynął w dziesięciogodzinny sen, dziś bał się jakiegokolwiek otumanienia, musiał myśleć szybko i sprawnie, musiał przeanalizować dotychczas zebrane fakty i wszystkie nowe, jakie będą wynikiem badania podziemi. Wyrzeczenie miało swoją cenę – wracał ból mięśni, przykre szczypanie otartych dłoni, a przede wszystkim rwący, miarowy, powodujący od czasu do czasu jęk i zaciskanie warg ból pogryzionej ręki.

Zadzwonił telefon.

– Przepraszam, ale dlaczego ja się muszę dowiadywać z paska w Polsce, że jesteś w szpitalu?

Weronika.

– Przepraszam, ale prokuratura jeszcze nie kontroluje mediów. Może niedługo, jak PiS wygra następne wybory.

– Bardzo śmieszne.

– Nic mi nie jest.

– Nie pytam się, czy coś ci jest, bo głównie mnie to interesuje. Pytam się, dlaczego moja córka dzwoni ze szkoły cała rozhisteryzowana, że tata jest w szpitalu, a ja jedyne, co mam jej do powiedzenia, to chwileczkę, zaczekaj, zaraz włączę telewizję, może się czegoś dowiem. Naprawdę nic ci nie jest?

– Siniaki. Ale nafaszerowali mnie czymś wczoraj, spałem. Nie miałem pojęcia, że jest coś w mediach.

Do sali weszła Basia Sobieraj. Zatrzymała się w progu, widząc, że rozmawia, ale skinął ręką, żeby podeszła bliżej.

– Wyobraź sobie, że jest. O tobie, o jakichś podziemnych wybuchach, o strzelaninie.

Zaklął w myślach. Kto, do jasnej cholery, im o tym wszystkim donosił. Tymczasem Weronika rozkręcała się w znajomy, jakże znajomy sposób.

– Podziemne wybuchy? Strzelanina? Czyś ty kompletnie oszalał? Zapomniałeś, że masz dziecko? Rozumiem, kryzys wieku średniego, kup sobie, kurwa, motor, człowieku, czy coś, ale nie zamieniaj biurka na podziemne strzelaniny. Wystarczy mi, że jestem rozwódką, nie mam ochoty na bycie wdową. Jak to brzmi? Jakbym miała sześćdziesiątkę.

– Nie możesz być chyba wdową, skoro jesteś rozwódką.

– Nie będziesz mi mówił, kim mogę być, a kim nie, te mroczne czasy na szczęście się skończyły. Wystarczy, żebyś mnie nie straszył i nie denerwował. Dziecko masz, tak? Pamiętasz? Codrugoweekendowy tatusiu?

– Poniżej pasa.

– Może. Zabroń mi. I co teraz? Czy Helcia ma do ciebie w ogóle przyjeżdżać jutro? Czy jedyne, co masz chwilowo do zaoferowania, to wymiana kaczkę i pielęgnacja odleżyn? – głos jej się załamał.

Chciał powiedzieć coś miłego, przytulić przez telefon, wyznać, że też tęskni i mu żal, i przykro jak cholera. Ale nie chciał tego robić przy siedzącej obok Sobieraj.

– Oczywiście, niech przyjeżdża, wychodzę stąd za chwilę, jutro będę na chodzie – wyrzucił z siebie urzędowym tonem, którego chłód zaskoczył nawet jego. Tym bardziej Weronikę po drugiej stronie. Poczł wyraźnie, że sprawił jej przykrość.

– Tak, oczywiście. To wyślę ci jutro esemesa, jak ją wsadzę do autobusu. Trzymaj się.

I odłożyła słuchawkę. Sobieraj spojrzała pytająco.

– Matka mojej córki – wyjaśnił, przyoblekając twarz w dziwny grymas, przepraszaający za to, że Sobieraj musiała być świadkiem, jak jakaś dawno zapomniana baba mu dupę zawraca, no ale wiadomo, dziecko.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział, żeby wzmocnić fałszywe wrażenie, jakoby przeszłość od dawna należała do przeszłości. – A oni?

– Staremu nic nie jest, wszystkich nas przeżyje. Zrobili badania i wygonili z przykazaniem, żeby wypił pół litra i się wyspał. Gorzej z Markiem, sam widziałeś.

– Gorzej... czyli? – zapytał ostrożnie, bojąc się najgorszego.

– Żyje, jeśli o to pytasz. Gdyby trafił na stół kilka minut później, pewnie by go nie odratowali. – Sobieraj patrzyła na niego jak na bohatera, usiadła obok na łóżku i zaczęła go delikatnie głaskać po obandażowanej dłoni. – Byłam u niego, ale cały czas trzymają go na oiomie, w śpiączce farmakologicznej. Noga amputowana,

niestety, powyżej kolana, choć podobno najgorsze były obrażenia wewnętrzne, jakiś problem z łożyskiem naczyniowym, nie rozumiałam do końca, o co chodzi. Ale poradzili sobie, poskładali. Młody, silny organizm, będzie dobrze, tak mówią.

Nagle zaczęła płakać.

– To moja wina, ja go tam ściągnęłam. N-n-nie n-n-nie... – jąkała się – nie powinniśmy schodzić w ogóle, trzeba było wysłać techników, biegłych z reflektorami, przyrządami. Teo, my jesteśmy urzędnikami, a nie jakimiś agentami, co to w ogóle była za chora akcja.

– Myśleliśmy, że jest szansa na uratowanie Szyllera.

– To źle myśleliśmy!

– Przykro mi.

Dokładnie w chwili, kiedy to mówił, korytarzem przeszła Klara w objęciach starszego mężczyzny, pewnie ojca. Spojrzała na niego, ale nawet nie zwolniła kroku. Mimo to Szacki przez ten krótki moment skleił się z nią spojrzeniem, szukając w ciemnych oczach wybaczenia za to, co stało się z jej bratem. I nadziei na kolejną szansę? Nie, chyba już nie. Ciekawe, czy w końcu jest w tej ciąży, czy nie, pomyślał, kiedy ich spojrzenia się rozkleiły. Byłoby to raczej niefortunne w obecnej sytuacji.

– Tak, przykro – wyszeptała Sobieraj, bardziej chyba do siebie.

– Łatwo powiedzieć. Trudniej pomyśleć zawczasu.

– Zwłaszcza że akurat nie on miał zginać, prawda? Prokurator Barbara Sobieraj w milczeniu pokiwała głową, pogrążona we własnych myślach. Chwilę to trwało, Szacki jej nie przeszkadzał, też musiał sobie parę rzeczy poukładać.

– Mówią, że potrzymają cię do poniedziałku. Na wszelki wypadek.

– Wychodzę po wieczornym obchodzie.

– Oszalałeś?

– Potrzebuję swojego gabinetu, akt i dzbanka mocnej kawy. Nie możemy sobie pozwolić teraz na wczasy. Poza tym nic mi nie jest. Ale mam do ciebie prośbę, potrzebuję trzech rzeczy.

– Tak?

– Chcę na bieżąco wiedzieć o wszystkich nowych informacjach, to raz. Mój komputer z Internetem, to dwa. Telewizor ze wszystkimi kanałami informacyjnymi, to trzy.

– Nie wiem, czy da się tutaj podłączyć...

– To niech mnie przeniosą do innej sali.

Wstała, dopiero teraz puściła jego rękę. Może była to kwestia przeżytych wspólnie emocji, może doceniał ten świat bardziej teraz, kiedy cudem na nim został, ale wydała mu się bardzo ładna. Jej pomarańczowy golf w połączeniu z marchewkowymi włosami stanowił miły, pełen życia kontrpunkt dla zielono-białej sali, a odsłonięte przez podwiniętą dżinsową spódnicę nogi były wszystko, czego można oczekiwać od kobiety w jej wieku.

Wiosna przyszła. Basia Sobieraj poprawiła spódnicę i wyszła, nie oglądając się za siebie.



Mało brakowało, a granica pomiędzy precyzyjnie obmyślaną wendetą a morderczym wariactwem zostałaaby przekroczona. Kto wie, może jeszcze zostanie, jeśli chłopak umrze. Patrzy w okno i bezsilnie zaciska dłonie na parapecie. Jak to się mogło stać? Jak? Teraz trzeba pomyśleć na chłodno, czy to coś zmienia. Chyba nie, wręcz przeciwnie, paradoksalnie może się teraz czuć bezpieczniej.

Prokurator Teodor Szacki czuł się fatalnie. Nie dlatego, że bolało go całe ciało. I nawet nie dlatego, że każdy z członków szpitalnego personelu, którzy pomagali mu się przenosić do sali z telewizorem, musiał żartować, że pewnie prokurator chce się obejrzeć w telewizji. Czuł się fatalnie, ponieważ po raz pierwszy od początku tej sprawy – nie licząc słynnej pierwszej strony „Faktu” – zadał sobie trud sprawdzenia, jak wydarzenia sandomierskie są relacjonowane w mediach, i dowiedział się, że pojawia się tam w nazbyt wielu odsłonach. Na konferencjach prasowych, jasne, ale było też mnóstwo przebitek z jego wchodzenia lub wychodzenia z urzędu, raz go przyłapano, jak szybkim krokiem przemierza rynek koło ratusza, raz, jak wychodzi z Trzydziestki. Utrata, zapewne tylko chwilowa, anonimowości była przykra, ale fatalne samopoczucie Szackiego wiązało się przede wszystkim z utratą dobrego wyobrażenia o sobie samym.

Nie miał się za jakiegoś wielkiego twardziela, ale lubił o sobie myśleć jak o szeryfie, który zamiast sumienia ma kodeks karny, jest jego ucieleśnieniem, strażnikiem i egzekutorem. Wierzył w to i na tej wierze zbudował całą swoją społeczną rolę, która po latach stała się jego uniformem, służbowym mundurem, obejmującym ubiór, mimikę, sposób myślenia, mówienia i kontaktowania się z ludźmi. Kiedy Weronika mówiła „powieś prokuratora w szafie i siadaj do stołu”, to nie żartowała.

Cóż, kamera widziała to ciut inaczej. Na konferencjach wyglądał jak prokurator – sztywny, konkretny, nadmiernie poważny, niekokietujący publiczności i niewchodzący w niepotrzebne interakcje. Miszczyk i Sobieraj wyglądały przy nim na asystentki.

Tyle tylko, że miał dość nieprzyjemny, wysoki głos, może nie piskliwy, ale nie był to głos Clinta Eastwooda.

Im mniej oficjalna sytuacja, tym było gorzej. W scenie na schodach przed prokuraturą, kiedy wypowiedział niefortunne słowa, odebrane przez niektórych jako deklaracja antysemityzmu, widać było, że puszczają mu nerwy, a razem z nerwami – kontrola roli. Na twarzy pojawił się brzydki grymas agresji, jedno oko mrugało, szybko wypowiedane słowa zlewały się ze sobą i chwilami bełkotał niewyraźnie. Wyglądał jak ci, z których zawsze się wyśmiewał – urzędniczy w szarym garniturku, agresywny, sfrustrowany, sepleniący, nie potrafiący skonstruować składnej wypowiedzi.

Najbardziej przygnębiło go jednak nagranie z rynku. Nie pojawiał się na nim szlachetnie siwy orzeł Temidy, posuwistym krokiem kawalerzysty przemierzający centrum prastarego grodu. Tylko chudy, blady, przedwcześnie podstarzały facecik, kurczowo przyciskający do zapadłej klatki piersiowej połę marynarki, żeby zatrzymać trochę cennego ciepła. Skrzywiony, z zaciśniętymi ustami, poruszający się drobnym, szybkim krokiem człowieka, który wypił za mocną kawę i teraz biegnie do toalety.

Koszmar.

Przebrnięcie przez informacje na stronach telewizji, w archiwach gazet i na portalach informacyjnych było robotą upiorną, doniesienia były bowiem niekompetentne, chaotyczne, podane w historycznym tonie i sprowadzone do najtańszej, najpodlejszej sensacji. Gdyby Szacki nie znał sprawy, to tylko na podstawie tekstów prasowych podjąłby decyzję o jak najszybszym opuszczeniu powiatu, albo jeszcze lepiej, województwa, w którym krwiożerczy szaleniec poluje na swoje ofiary, czyniąc z morderstw krwawe misteria, i w którym nikt – nikt, na Boga! – nie jest bezpieczny.

Na szczęście nie musiał się zagłębiać w to morze egzaltowanego gówna, ponieważ interesowała go tylko jedna rzecz, roboczo nazwana informacją alfa. O co chodziło? Otóż znał funkcjonowanie

mediów na tyle, żeby wiedzieć, że z grubsza polega ono na zjadaniu swoich własnych rzygów. Obieg informacji był tak błyskawiczny, że nie było czasu na szukanie źródła ani na weryfikację, sama informacja stawała się źródłem, a fakt, że ktoś ją podał – wystarczającym uzasadnieniem jej powtórzenia, potem trzeba ją tylko było powtarzać w kółko, dodając słowo komentarza własnego lub zaproszonego gościa. Trzymając się wymiotnego porównania, wyglądało to tak, że ktoś dostawał do jedzenia jajecznicę, po czym ją zwracał. Ktoś inny dosmażał kawałek boczku, zjadał, zwracał. Następny ktoś wymiociny solił, pieprzył, zjadał, zwracał. I tak dalej, i tak dalej. Im mniej było na początku jajecznicy, tym więcej potem musiano dodawać garnirunku. Co nie zmienia faktu, że gdzieś tam na początku ktoś musiał rozbić jajka – i właśnie ich Szacki w pocie czoła szukał.

Szukał, ponieważ w tej sprawie od początku chodziło o szum medialny. Pamiętał zdziwienie, kiedy pod budynek prokuratury zajechał pierwszy wóz transmisyjny, zdarzyło się to szybko, zbyt szybko, zwłaszcza biorąc pod uwagę odległość Sandomierza od Warszawy i Krakowa. Zdziwił się, ale nie zwrócił na ten szczegół uwagi, bo w ogóle największym problemem tej sprawy, nadmiernie obfitującej w szokujące, wyreżyserowane wydarzenia, był fakt, że prokurator Teodor Szacki nie zwracał uwagi na szczegóły.

Teraz naprawiał ten błąd. Podzielił sprawę na kilka istotnych etapów. Przede wszystkim znalezienie ciała Budnikowej, identyfikacja brzytwy jako noża do uboju rytualnego, znalezienie Budnika. I starał się odnaleźć miejsce, w którym suche informacje pojawiły się najszybciej, stając się pożywką dla pozostałych mediów. Przez chwilę myślał, że to Polsat News, tam na przykład o Budnikowej powiedzieli już przed ósmą. Ale w pozostałych przypadkach Polsat był mocno spóźniony. Zetka była szybka, ale nie aż tak szybka, żeby wyprzedzić Polsat w przypadku Budnikowej czy TOK FM w przypadku Budnika. TVN24 trzymało dość równy poziom, nigdy się znacząco nie spóźniło, ale nie było pierwsze w

żadnym przypadku. Może to jednak ślepa uliczka? Może informacje nie pochodziły z jednego źródła?

Nie wierzył w to, cholera, no nie wierzył. Zbyt dużą rolę w zaciemnianiu sprawy odgrywała medialna histeria, żeby nikt tym nie sterował.

Nagle rozdzwonił się monitor nad jego głową. Szacki stężał, nie miał pojęcia, co to oznacza, na pewno nic dobrego. Nie minęło piętnaście sekund, jak do pokoju wbiegła pielęgniarka. Podbiegła do niego, ale szybko zwolniła, niepokój na jej twarzy zastąpił uspokajający uśmiech. Wsunęła mu rękę pod szpitalną koszulę.

– Pan się tak nie kręci, bo czujnik spada i alert się załącza – powiedziała bardzo niskim, prawie męskim głosem. – Po co to straszyć siebie i personel, hmm?

Poprawiła, mrugnęła i wyszła. Szacki nie odmrugnął, bo zajął się ściganiem uciekającej po neuronach myśli. Alert. Dlaczego to ważne? No jasne, Alert. Tak się nazywał serwis portalu „Gazety”, który służył do tego, aby czytelnicy przysyłali informacje razem ze zdjęciami i filmami. Genialne rozwiązanie w dobie dyktatu informacji z jednej i cięć budżetowych w redakcjach z drugiej strony.

Przejrzał szybko serwis i oczywiście nic nie znalazł. Zaklął głośno, stukanie w klawiaturę nie podobało się jego poranionej dłoni, ból promieniował teraz aż do barku, co miało swoje dobre strony, trzymało go na obrotach, nie pozwalało na odpłynięcie w drzemkę lub pograżenie się w nieistotnych myślach.

Myśl, myśl, Teodorze, ponaglał się, Alert nie, ale muszą być inne takie miejsca. Szukał. W TVP nazywało się to Twoje Info, w Radiu Zet Infotelefon, jedno i drugie było gównem warte. Zaczął się zastanawiać, czy może są jakieś błogi informacyjne, zmartwiał na myśl o zanurzeniu się w otchłani twittera, blipa i facebooka. Zajrzał jeszcze raz na TVN24, które też miało swoją społeczność donosicieli (wyobraził sobie facebooka w latach osiemdziesiątych – ciekawe, ile

osób lubiłoby SB, a ile by przyjęło do swoich przyjaciół), nazywała się ona Kontakt24. Była najlepiej zorganizowana ze wszystkich, każdy użytkownik mógł tam prowadzić swój miniserwis informacyjny na kształt bloga, redakcja przeglądała wpisy, najciekawsze trafiały na główną stronę serwisu, a nawet były wykorzystywane w telewizji, co zresztą oznaczano w specjalny sposób. Z kolei wiadomości serwisu były w odpowiedni sposób otagowywane, zaznaczano, informacje jakich użytkowników zostały wykorzystane.

Pod tym kątem zaczął czytać wszystkie newsy związane z jego sprawą, poczynając od najstarszego, od znalezienia ciała Budnikowej. W Sandomierzu, bladym świtem, bla, bla, bla, historyczne miasto, zwłoki pod starówką, zagadka godna ojca Mateusza, bla, bla, bla. Wiele osób przyłożyło się do powstania chaotycznego tekstu. Sando69, KasiaFch, OlaMil, CivitasRegni, Sandomiria...

Ożeż kurwa mać.

Jednym z wymienionych był użytkownik o nicku „Nekama”.

Szacki kliknął, aby wyświetlić jego stronę. Wpisów było tylko dziesięć, wszystkie dotyczyły sandomierskich morderstw. Przy każdym była adnotacja, że została wykorzystana zarówno w serwisie, jak i na antenie stacji. Krótkie, napisane suchym, prostym językiem, przekazywały najważniejsze informacje.

Pierwszy wpis z 15 kwietnia brzmiał: „Na Starym Mieście w Sandomierzu obok budynku starej synagogi znaleziono nagie zwłoki kobiety. Kobieta została bez wątpliwości brutalnie zamordowana, jej gardło było wielokrotnie poderżnięte”.

Prokurator Teodor Szacki gapił się w ekran i czuł, jak serce łomocze mu się po klatce piersiowej, jeszcze chwila i alert przywoła pielęgniarkę, która pewnie bardzo się zdziwi, że czujnik pod koszulą jest na swoim miejscu. Jego stan nie był spowodowany jednak ani

treścią informacji, ani nawet nickiem jej autora, tylko godziną publikacji.

Pamiętał chwilę, kiedy dostał telefon od Miszczyk, że ma się jak najszybciej pojawić na Żydowskiej. Klara ciągnęła go do wyra, moment wcześniej stał w oknie i obserwował, jak zbliżający się świt sprawia, że w ciemności zaczęły się pojawiać pierwsze cienie zamieszkujących ją bytów, zapowiedź nadchodzącego dnia. W podobnym tonie Myszyński opisywał chwilę dostrzeżenia zwłok. Nawet biorąc poprawkę na mgłę, wszystko działo się o świcie.

Sprawdził, 15 kwietnia 2009 roku słońce w Sandomierzu wynurzało się znad horyzontu o 4.39.

Wpis na Kontrakcie pojawił się 15 kwietnia o 4.45. Co oznaczało, że jego autorem był albo morderca, albo któraś z osób od początku biorąca udział w śledztwie. Albo jedno i drugie, od wczoraj nabierał przekonania, że zna zabójcę, że to musi być jedna z osób, z którą na co dzień współpracuje, z którą pija kawę, przegląda akta i planuje, co zrobić następnego dnia. I mimo że rozważał taką opcję od rana, to właśnie potwierdzenie tej tezy sprawiło, że jego serce nie mogło się uspokoić.

Teraz potrzebował informacji od Myszyńskiego, musiał też zadzwonić do Kuzniecowa. Ale przede wszystkim potrzebował akt. Potrzebował akt jak jasna cholera.

Okej, potrzebował akt, ale to była pewna przesada. Śliczna asystentka kieleckiej delegatury IPN, taki typ mini-michelina, co to ma same okrągłości, ale żadnej zbędnej, podjechała do niego wózkiem pełnym akt, uśmiechnęła się przyjaźnie i zaczęła wypakowywać teczki na stół. Teczek było chyba ze sto.

– To na pewno wszystko dla mnie?

– Procesy żołnierzy wyklętych z powiatu sandomierskiego, lata 1944-1951, tak?

– Dokładnie tak.

– No to na pewno wszystko dla pana.

– Przepraszam, tak się tylko upewniam. Spojrzała na niego lodowato.

– Proszę pana. Ja tutaj pracuję od siedmiu lat, robiłam z wyklętych magisterium, doktorat i habilitację, napisałam kilkanaście artykułów i dwie książki. Akurat te teczki mogę zdjąć z półki z zawiązanymi oczami.

Oczy mu się uśmiechnęły na wspomnienie zawiązanych oczu, przypomniał mu się jeden dowcip, dość sprośny, ale zabawny.

– I ostrzegam, że jak pan spróbuje wyciągnąć dowcip o zawiązanych oczach, myśliwych i saperce, to zabiorę akta, pana wyprowadzi ochrona, a następnym razem będzie pan musiał przysłać pełnomocnika. Na waszą szowinistyczną, seksistowską bandę żaden stopień naukowy nie działa, trzeba prac kijem po gębie i kopać po jajach, żeby nakopać trochę kultury do głupiego łba. Zresztą nieważne, w czymś jeszcze panu pomóc?



Pokręcił tylko przecząco głową, bojąc się zdradzić, jak na niego działa taki temperament, dałby teraz wszystko za jej numer telefonu. Asystentka spojrzała na niego groźnie, odwróciła się i odeszła, ostentacyjnie kołysząc biodrami.

– Moment! Jest jedna rzecz...

– Bóg mi świadkiem, że jeśli chodzi o numer telefonu albo podobną zagrywkę...

– Przeciwnie. Chodzi o wiedzę.

Wyciągnął z notesu kartkę z wypisanymi nazwiskami, które go interesowały, podał je młodej kobiecie.

– Budnik, Budnik z domu Szuszkiewicz, Szyller – czytała na głos, przerwała na chwilę i spojrzała na niego podejrzliwie. – Wilczur, Mischczyk, Sobieraj, Sobieraj z domu Szott.

– Mówią coś pani te nazwiska?

– Nie wszystkie.

– Ale niektóre?

– Oczywiście. Czy ja sobie naprawdę muszę stopnie naukowe wytatuować na czole albo obciąć cycki, żeby mnie któryś z was, wielkich męskich badaczy historii, potraktował poważnie?

– Byłaby to niepowetowana strata... Spojrzała na niego jak rzeźnik na półtuszę.

– ...oszpecić czoło, za którym kryje się tak przenikliwy, analityczny umysł.

– Jest pan tam, panie komisarzu?

– Oczywiście.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, ale musiałam sprawdzić wszystko dokładnie z działem informatycznym.

– Jasne.

– Otóż każdy z wpisów użytkownika „Nekama” został przysłany z numeru IP, który jest bramką sieci Orange.

– Czyli ktoś korzystał z Internetu w gwizdku?

– Nie sędzę, ponieważ wpisy zostały wysłane z przeglądarki Skyfire uruchomionej na systemie Symbian.

– Co oznacza...

– Co oznacza, że ktoś swoim telefonem, nokią, zrobił zdjęcia, na telefonie odpalił Kontakt, na telefonie napisał tekst i z telefonu przysłał.

– Okej, rozumiem, może mi pani podać te numery, żebym mógł je sprawdzić w Orange?

– Oczywiście.

Oleg, proszę cię, wiesz, że to tak nie działa.

– Ostatni raz, obiecuję.

– Oleg, u ciebie dwa razy w tygodniu jest ostatni raz! Nie możesz raz, tylko raz, jeden jedyny raz załatwić tego po bożemu? Przysłać pismo z pieczątką, poczekać na odpowiedź? Żebym miała podkładkę, jakąkolwiek podkładkę, żebym mogła powiedzieć: tak, komisarz Oleg Kuzniecowa z Wilczej też nam przysyła oficjalne pisma.

- No wiesz co, krewnemu takie słowa.
- Nie jesteśmy spokrewnieni.
- Jak to? Przecież jesteś szwagierką ciotecznej siostry mojej żony.
- Nazywasz to więzami krwi?
- I co, pojawiło ci się już na monitorku?
- Nie wierzę, że to robię, ale słuchaj... wszystko zostało wysłane z numeru 798 689 459, to prepaid kupiony 24 marca gdzieś w Kielcach, nie w salonie, więc nie mam dokładnych danych. Numer rzadko logował się do sieci, zawsze do BTS-a o numerze 2328 w Sandomierzu, który się znajduje... moment... na wieży ciśnień przy ulicy Szkolnej. Właściciel korzysta z telefonu Nokia E51, popularny biznesowy model, do kupienia wszędzie.

Pozostał wierny postanowieniu o rezygnacji ze środków przeciwbólowych, ale kazał taksówkarzowi zatrzymać się po drodze ze szpitala do prokuratury przy delikatesach Kabanos i kupił sobie małą butelkę jacka danielsa. Trochę przeciwbólowe, trochę relaksacyjne i można dawkować precyzyjniej niż ketonal. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił w gabinecie, było nalanie sobie odrobiny do kubka z Legią i wychylenie prawie duszkiem kilku łyków śmierdzącego spalenizną burbona. Och tak, potrzebował tego sto razy bardziej niż wczasów na koszt NFZ w sandomierskim szpitalu – wbrew przekonywaniom, namowom i groźbom doktora Sowy. Naprawdę tak się nazywał i Szacki powstrzymał się od pytania o doktora Sztrosmajera jedynie dlatego, że nie chciał drażnić lekarza, który w swojej karierze musiał słyszeć ten dowcip od każdego pacjenta.

Wyjął z szafy pancерnej akta śledztwa (glock znajdował się chwilowo w policyjnym depozycie) i rozłożył je przed sobą na biurku. Gdzieś w nich, był tego pewien, kryje się odpowiedź na pytanie, kto zamordował trzy osoby, kto wodzi go za nos od dwóch tygodni i kto o mało co nie wykończył go w tych pieprzonych lochach. Tak, trudno mu było pozbyć się z głowy wczorajszych obrazów, ale to dobrze, to bardzo dobrze – myślał. Dobrze, ponieważ tak naprawdę była to jedyna sytuacja, która nie została wyreżyserowana, jedyna, która nie została ładnie przygotowana dla prokuratora Teodora Szackiego.

Dlatego wyjął ze świeżutkiej teczki odbitki zdjęć zrobionych dziś przez techników i ułożył pod lampą. Wejście koło seminarium, leżące na podłodze lessowego korytarza zakrwawione nosze, wąskie schody, truchła kundli, pokryty kurzem trup Szyllera i pozbawione drzwiczek klatki dla psów, wystająca z rumowiska w bocznym

korytarzu noga Dybusa. Każde spojrzenie na fotografię powodowało, że ręka bolała go bardziej. Ale to dobrze, bardzo dobrze. Musi przyjrzeć się wczorajszej wycieczce minuta po minucie, przeanalizować każdy gest i każde zdanie jego towarzyszy.

Usiadł i zaczął zapisywać wszystko, co się wczoraj wydarzyło.

Po dwóch godzinach pracy miał zapisanych kilka kartek, ale tylko parę elementów zakreślonych na czerwono. Przepisał je na osobny arkusz:

- LW od początku przestraszony i spięty. Pierwszy raz taki.
- BS patrzy na zegarek i niepokoi się, która godzina, tuż przedtem, zanim słyhać dźwięk otwieranych klitek. Potem nalega, żeby zawrócić.
- LW wspomina o tym, że Szyller powinien być sprawiony jak jagnię, a nie świnia, bo świnia nie jest koszerna. Używa też słowa „trefny”. Znajomość obyczajów żydowskich. Tak jak wcześniej w domu Szyllera i w katedrze.
- Ani LW, ani BS nie chcą badać lochów, biernie idą.
- LW i BS puszczają wszystkich przodem tuż przed spotkaniem z psami.
- BS nalega, żeby jak najszybciej wyjść z „komnaty Szyllera”.
- LW tak samo, cały czas gapi się na zegarek.
- LW nie zauważył momentu wychodzenia Dybusa, kiedy się spostrzegł, zareagował bardzo gwałtownie, histerycznie.
- BS bez problemu znalazła w labiryncie drogę do wyjścia.
- LW chciał coś powiedzieć w czasie ewakuacji. Wyznać coś ważnego. Zauważył też od razu, że skręciliśmy w złą stronę.

- BS w szpitalu przyznała, że Dybus nie miał być ofiarą, zachowywała się dziwnie.

Stukał czerwonym flamastrem w kartkę i myślał. Wszystko to były poszlaki, bardzo słabe poszlaki, może nawet nie tyle poszlaki, co ukłucia intuicji. Ale intuicja rzadko go zawodziła. Przypomniał mu się lodowaty ranek sprzed dwóch tygodni, ślizganie się na kocich łbach rynku, przedzieranie się przez krzaki do trupa Budnikowej. Kto tam czekał? Prokurator Barbara Sobieraj i inspektor Leon Wilczur. Przypadek? Może.

Stary policjant już dawno mógł przejść na emeryturę albo przenieść się do innej komendy, awansować. Ale postanowił zostać w tej dziurze. Pięknej, bo pięknej, ale dziurze. Zwłaszcza dla policjanta. Szacki czytał codziennie w „Echu” kronikę kryminalną – kradzież komórki w szkole to było tutaj wydarzenie. Mimo to Wilczur został. Przypadek? Może.

Każde z nich na wyprzódki dzieliło się z nim swoją wiedzą o mieszkańcach, o mieście, o relacjach. Tak naprawdę wszystko, co wiedział, wiedział od nich. Przypadek? Może.

Każde z nich kręciło się po miejscach wszystkich tych zbrodni, pozostawiając tam swoje ślady, zdobywając wytłumaczenie dla obecności włosa lub odcisku palca. Przypadek? Może.

Oboje byli sandomierzanami, znali miasto od podszewki, jego małe i duże tajemnice. Przypadek? Może.

A może w ogóle nie powinien rozpatrywać ich osobno? Może poza tym śledztwem jest jeszcze coś, co ich łączy? O czym mogli mu nie powiedzieć? Co zataić? W końcu – jak powiedział ojciec Sobieraj, stary małomiasteczkowy prokurator – wszyscy kłamią.

Przysypiający raz po raz Szacki ocknął się gwałtownie. Ojciec Sobieraj powiedział coś jeszcze. Opowiadając o śledztwie zrębińskim,

wspomniał, jak to wahali się, czy z kapitanem postawić wszystko na jedną kartę. Czyżby? Wiek się zgadzał, stary Szott i Wilczur mogli być kolegami przed trzydziestu laty. A jeśli Wilczur brał udział w rozwikłaniu jednej z najgłośniejszych zbrodni PRL? To by też tłumaczyło jego niespotykanie wysoką szarżę, kto to widział inspektora w powiatowej dochodzeniówce.

Szacki wstał, uchylił okno gabinetu i zadrżał, wpuszczając chmurę powietrza, która chyba w lutym zabłądziła w tej okolicy i do tej pory nie znalazła drogi powrotnej.

Nawet jeśli... Nawet jeśli założymy, że Wilczur i ojciec Sobieraj razem pracowali przy sprawie połanieckiej. Nawet jeśli założymy, że w związku z tym jeden i drugi mają jakąś zaszłość. Że łączy ich zabójstwo, śmierć ciężarnej i krzywoprzysięstwo. Że to jest odprysk tamtej sprawy. Że Sobieraj wyręcza ojca w jakimś pokręconym zbrodniczym planie, zemście czy cholera wie czym, to...

To co?

Nic.

Jaki jest sens mordowania ludzi, którzy z tamtymi wydarzeniami nie mogą mieć nic wspólnego, bo są zwyczajnie za młodzi?

Jaki jest sens mordowania z powodu emocjonalnego trójkąta? Mąż, żona i ten trzeci. Czy był jakiś czwarty albo czwarta? Czy to nie przesada, nawet jak na tę rozerotyżowaną prowincję?

I przede wszystkim: jaki jest sens stylizowania tego na antysemicką legendę? Jasne, wzbudzenie medialnej hysterii zawsze pomaga, ale żeby zadać sobie aż tyle trudu? Te beczki, te lochy, te psy, totalny bezsens.

Klejnocki tłumaczył, że to nie musi być zasłona dymna ani dzieło szaleńca, to może być celowe działanie, które w jakiś pokrętny sposób usprawiedliwia zabójstwa, wyjaśnia, daje motywację.

Motywację. Motyw. Nie miał nawet cienia motywu, żadnego podejrzenia, żadnej nitki, której mógłby się ucześcić, aby dojść po niej do odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Jeśli zrobi jakikolwiek krok w tę stronę, odpowiedź na pytanie „kto?” będzie już tylko formalnością.

Westchnął, otworzył szerzej okno, wylał do doniczki resztkę burbona z kubka i poszedł zaparzyć sobie mocnej kawy. Dochodziła północ, organizm dopominał się o spłatę zadłużenia, a on zamierzał dotąd czytać akta, aż znajdzie motyw.



Motyw ten znał już bardzo dokładnie Roman Myszyński, tyle tylko, że kontakt z prokuratorem był chwilowo daleko na liście jego priorytetów. Starsza inspektor delegatury IPN w Kielcach wbrew buńczuczным zapowiedziom nie była aż tak niedostępna i Myszyński zamiast zapoznawać się z jej krągłym pismem, zapoznawał się w kieleckim mieszkaniu ze zgoła innymi krągłościami, zgrabnie opakowanymi w obłędny czerwony stanik chantelle.

Szkoda, ponieważ gdyby poświęcił kilka minut na telefon do Teodora Szackiego i zreferowanie mu, jak trochę nienawiści, trochę kłamstw i trochę zbiegów okoliczności doprowadziło do zagłady żydowskiej rodziny w Sandomierzu w 1947 roku, oszczędziłby nieprzespanej nocy i tak nadmiernie sponiewieranemu przez życie prokuratorowi.

Ale z drugiej strony odebrałby spokojną noc komu innemu, więc może trochę sprawiedliwości w tym było.

## **Rozdział dziesiąty**

*piątek, 24 kwietnia 2009*

Izrael świętuje niepodległość i rozpędza palestyńską demonstrację przeciwko „murowi bezpieczeństwa”, Armenia wspomina ludobójstwo Ormian w Turcji, Kościół katolicki wspomina świętą Dodę. Z badań wynika, że 53 procent Polaków nie ufa premierowi, a 67 procent prezydentowi. Janusz Palikot porównuje prezesa PiS do Hitlera i Stalina. IPN przyznaje się do błędu i wycofuje z żądania zmiany nazwy ulicy Brunona Jasińskiego w Klimontowie. Wcześniej nazwał poetę propagatorem stalinizmu, a jego śmierć i tortury – wewnętrznymi rozgrywkami w partii komunistycznej. Wisła rozbija Górnika 3:1 w meczu rozpoczynającym 25. kolejkę, Robert Kubica nieźle wypada na treningach przed GP Bahrajnu, a Stadion Śląski prezentuje maskotkę jeża, ciągle mając nadzieję, że jednak ktoś na nim zagra w czasie Euro 2012. W Sandomierzu odnotowano przestępstwo kryminalne w postaci kradzieży telefonu komórkowego ze spodni 16-latka pozostawionych pod salą gimnastyczną. Pogoda bez zmian, może troszkę chłodniej.

Trzymali go na smyczy jak psa, traktowali też jak psa. Kopali, ciągnęli, wyzywali od najgorszych, w końcu wepchnęli do klatki. Pospawana z prętów zbrojeniowych klatka była dla niego za ciasna, musiał wygiąć głowę boleśnie pod jakimś nieprawdopodobnym kątem, żeby się do niej zmieścić, a i tak się nie zamykała, ktoś zaczął walić drzwiczkami, żeby dopchnąć je na siłę, drzwiczki uderzały w wysuniętą dłoń, powodując okropny ból, udało mu się ją schować, ale drzwiczki waliły cały czas, jednostajny dźwięk wypełniał mu czaszkę. Nie wiedział, co się dzieje, kim są i czego od niego chcą. Dopiero kiedy ktoś otworzył puszkę pedigree i on zobaczył w środku twarz Szyllera, zrozumiał, że to sen, i ocknął się gwałtownie.

Ból dłoni niestety nie zniknął, nie zniknął też ból szyi, spowodowany tym, że usnął z głową złożoną na aktach i tak spędził noc. Nie zniknęło też walenie, tyle tylko, że ucichło i zamieniło się w natarczywe pukanie do drzwi. Pojękując i postękując, zwałował się z obrotowego krzesła, za drzwiami stał blady i niewyspany, ale wyraźnie szczęśliwy Roman Myszyński.

– Całą noc siedziałem w archiwum – powiedział z dziwnym uśmiechem, machając plikiem skserowanych kartek.

– To pewnie napije się pan kawy – wybełkotał w odpowiedzi Szacki, jak już udało mu się odkleić jedną wargę od drugiej, i uciekł do kuchni, żeby doprowadzić się do porządku.

Kwadrans później słuchał niezwyklej historii, którą nie bez swady opowiadał jego archiwista do specjalnych poruczeń.

– Zima roku czterdziestego szóstego nadeszła wcześniej, bo już pod koniec listopada, skuła lodem i przykryła śniegiem ziemię, nad

którą jeszcze niedawno unosiły się dymy pogorzeliisk. Ludzie z trwogą patrzyli w przerażone oczy sąsiadów, puste spiżarnie i przyszłość, gdzie czekał jedynie ból, głód, choroba i upokorzenie.

– Panie Romanie, litości.

– Chciałem tylko jakoś wprowadzić w nastrój.

– Udało się. Mniej barokowo, proszę.

– Okej, w każdym razie zima przyszła ostra, kraj był wyniszczony po wojnie, nie było leków, jedzenia i mężczyzn, byli za to komuniści, nowy porządek i nędza. Nawet w Sandomierzu, który jakimś cudem nie został zamieniony przez żadną ze stron w kupę cegieł. Zresztą jest taka opowieść o podpułkowniku Skopence, który razem z Armią Czerwoną zatrzymał się na drugim brzegu Wisły...

– ...i tak mu się spodobało miasto, że je oszczędził dzięki swojej strategicznej mądrości i umiłowaniu piękna architektury – wpadł mu w słowo Szacki, myśląc, że jeśli Myszyńskiego nie uda się wyrwać z grzęznącej w dygresjach narracji, to będzie to najdłuższy piątek jego życia. – Znam, każdy ją tutaj opowiada. Słyszałem też kontropowieść, jak to podpułkownik miał takiego kaca, że nie pozwolił używać artylerii. Panie Romanie, błagam.

Archiwista obdarzył go smutnym spojrzeniem, malujący się w jego oczach wyrzut zranionego miłośnika dobrej anegdoty poruszyłby najtwardsze serca. Prokurator tylko wskazał wymownie błyskającą czerwono diodę na dyktafonie.

– Sroga zima, zdziesiątkowani ludzie, głód, bieda. Oczywiście puste miejsce tam, gdzie kiedyś była dzielnica żydowska, oczywiście najlepsze mieszkania i kamienice zajęte przez Polaków. Ale nie wszystkie, z tego, co udało mi się ustalić, trochę starozakonnych po wojnie wróciło, niestety, nie byli witani kwiatami, nikt tu na nich nie czekał. Nieruchomości zagospodarowano, pozostawione na przechowanie majątki tak samo, każdy Żyd był wyrzutem sumienia, że być może nie wszyscy w czasie wojny zachowali się tak, jak

powinni. Nie wiem, czy pan czytał opowiadania Kornela Filipowicza, on wspaniale opisuje ten dylemat, że nawet jak się robiło dużo, to i tak zawsze było za mało, zawsze wyrzut sumienia. A jak się w ogóle nic nie robiło, biernie obserwowało Zagładę albo jeszcze gorzej, oczywiście dziś trudno sobie wyobrazić...

– Panie Romanie!

– Tak, oczywiście. No więc nieliczni Żydzi wracali na zgliszcza i musieli wysłuchiwać opowieści o zwojach Tory wykorzystywanych jako podszewka do cholewek, o wykopywaniu zwłok swoich bliskich, zastrzelonych przez Niemców, w poszukiwaniu dolarów i złotych zębów. Krążyły opowieści o żołnierzach wyklętych, zwłaszcza tych z NSZ, którzy polowali na ocalałych Żydów. Niektóre prawdziwe, widziałem dokumenty z procesów. Dziwny, ciemny czas... – Myszyński na chwilę zawiesił głos. – Jedni Polacy potrafili wymordować całe żydowskie rodziny, a inni, oba przypadki z Klimontowa, byli gotowi ryzykować życiem, żeby dalej ukrywać Żydów, tym razem przed antykomunistyczną partyzantką. Tak, wiem, nie za szeroko. W każdym razie Żydzi nie mieli czego szukać w takim Klimontowie czy Połańcu. Sandomierz to było jednak miasto, ci, którzy nie mieli ochoty na emigrację do Łodzi, przyjeżdżali tutaj, starali się za wszelką cenę ułożyć sobie życie.

– Ale to zaraz po wojnie. A miała być zima z czterdziestego szóstego na czterdziesty siódmy.

– Zgadza się. Jesienią przyjechała żydowska rodzina. Obca, nikt ich wcześniej w Sandomierzu nie widział. On był lekarzem, nazywał się Wajsbrod, Chaim Wajsbrod. Razem z nim kobieta w ciąży i dzieciak dwu-, może trzyletni. Z tego, co zrozumiałem, pomogło im to, że byli obcy. Nie wracali na stare śmiecie, nie trzeba było im patrzeć w oczy jak sąsiadom, tłumaczyć się z nowego kredensu w kuchni, ot, ofiary wojny. Spokojni, nie wadzili, nie upominali się, na dodatek on potrafił pomóc. Przed wojną też był w Sandomierzu

żydowski lekarz, Weiss, bardzo szanowany, to i tego ludzie jakoś tak naturalnie poszanowali.

– Niech zgadnę, jego jest domek przy Zamkowej?

– Domek przy Zamkowej jest niczyj, należy do gminy, ale kiedyś należał właśnie do doktora Weissa i podobno właśnie tutaj siłą rzeczy zamieszkał Wajsbrod z rodziną. Ale to już wieść gminna, kwitów na to nie mam.

– A czemu to stoi puste?

– Oficjalnie sprawy własnościowe, nieoficjalnie miejsce jest nawiedzone.

– Nawiedzone?

– Że straszy.

– Dlaczego?

– Zaraz do tego dojdziemy.

Szacki pokiwał głową. Wiedział niestety, że to kolejna historia bez happy endu, wysłuchiwał jej niechętnie, ale nie tracił nadziei, że czegoś się dzięki niej dowie.

– Zima trwała, ludzie usiłowali przetrwać, Wajsbrod leczył, kobiecie rósł brzuch. Doktor zwłaszcza dzieciakom chętnie pomagał, ludzie mówili o dobrym podejściu, woleli prowadzić do niego niż do polskiego doktora. Tym bardziej że jak się okazało, żydowski doktor miał coś, czego nie mieli inni.

– Co?

– Penicylinę.

– Skąd miał żydowski doktor mieć penicylinę?

– Nie mam pojęcia i wtedy chyba też nikt nie wiedział, bo penicylina była amerykańska. Czy ją już ze sobą przywiózł, czy mu ją ktoś przemycał, czy miał jakieś kontakty dziwne na czarnym

rynku? Nie wiem, wszystko tak samo prawdopodobne. Ale jak jednego i drugiego dzieciaka podniósł z suchot, gruchnęła wieść po okolicy. Mogę po colę?

– Słucham?

– Pójdę sobie po colę. Do kiosku. Zaraz wrócę.

– A tak, oczywiście.

Myszyński wybiegł, a prokurator wstał, żeby zrobić kilka ćwiczeń rozciągających, bolał go każdy – bez przesady każdy – mięsień. Było zimno, zaczął energicznie machać rękami, żeby się rozgrzać. Trudno powiedzieć, czy to ta wiosna trefna, czy udzielił mu się klimat opowieści. Sroga zima, zasy pomiędzy szczątkami domów żydowskiej dzielnicy, powojenna martwota i opustoszenie. Słabe światło świecy albo naftowej lampy bije z okna murowanego dworku na Zamkowej. Tak zwanego na wyrost dworku, musiał już wtedy być w ruinie tak samo jak teraz, skoro pozwolili się osiedlić przybyszom. Pewnie doktorostwo przysposobili do mieszkania jakiś pokój na parterze, może dwa, o luksusach nie mogło być mowy. I stoi ta ruina z żółtym światłem w jednym oknie, matka z dzieckiem na rękę puka do drzwi, księżyc jest w pełni, kobieta rzuca długi cień na srebrnym śniegu, z tyłu ciemne bryły zamku i katedry zasłaniają gwiazdy. Mija długa chwila, zanim ciężarna kobieta z czarnymi lokami otwiera i wpuszcza niespokojną matkę do środka. Proszę, proszę, mąż już czeka. Czy tak to wyglądało? Czy może ponosi go wyobraźnia?

Wrócił zdyszany i zarumieniony archiwista z pięcioma puszkami coli. Szacki nie skomentował.

– No więc po okolicy gruchnęła wieść o penicylinie – powiedział, włączając dyktafon. – I rozumiem, że dotarła nie tylko do uszu zatroskanych matek.

– Nie tylko. Do Wajsbrota zgłosili się wyklęci...

– Niech zgadnę: KWP?

– Dokładnie. Zgłosili się i zażądali kontrybucji na walkę z czerwonym okupantem, kontrybucji w postaci antybiotyku. Wajsbrota ich pogonił, obili go strasznie, podobno ludzie cudem uratowali swojego doktora. Tamci zagrozili, że wrócą, że zabiją.

– Skąd to wiemy?

– Z wyjaśnień Wajsbrota, jakie złożył w swoim procesie o szpiegostwo.

Szacki zrobił zdziwioną minę, ale nic nie powiedział.

– Któremu to zresztą procesowi zawdzięczamy większość naszej wiedzy. I który wziął się stąd, że dowódca partyzantki nie przełknął obrazy, jaką była odmowa.

– Czyli wrócił i zabił?

– Złożył donos. Co z kolei wiemy z procesu jego towarzyszy. Uwierzyłbyś? Majorowi tak się rzuciła na mózg żydowska odmowa, że wydał go zniechęconym czerwonym, co z kolei wiele mówi o skali nienawiści w Polsce, ciekawe, gdzie by się tutaj uplasowały pedały.

– Panie Romanie...

– Okej, okej. Nie trzeba było wiele, wystarczyło wspomnieć o amerykańskiej penicylinie i bezpieka zamknęła Wajsbrota w try miga, tym razem sandomierska ulica mogła się tylko przyglądać. A było to już przedwiośnie, zbliżała się Wielkanoc, zbliżało się święto Pesach, zbliżał się termin rozwiązania pani Wajsbrotovej.

Szacki zamknął oczy. Błagam, tylko nie to, pomyślał.

– Doktor siedział w więzieniu, podobno gdzieś na terenie dzisiejszego seminarium, nie wiem, czy to prawda. A żona nie była lekarką, nie miała penicyliny, na dodatek zwykle raczej stała za jego



plecami, więc z nikim się w miasteczku nie zaprzyjaźniła. Ale mimo to ludzie jej pomagali, nie pozwalali, żeby z głodu umarła.

– I co się stało?

– Jak mówiłem, zbliżał się termin porodu. Żona Wajsbrota była, jak to się mówiło, słabej konstytucji. Doktor szalał, wiedział, że go nie puszczą, ale błagał, żeby pozwolili jej na kilka dni przyjść do aresztu, żeby mógł odebrać poród. Czytałem protokoły, są wstrząsające, na zmianę przyznawał się do wszystkiego i wszystkiemu zaprzeczał, byleby się podlizać przesłuchującemu. Sypał jakimiś zmyślonymi nazwiskami, obiecywał, że wyda międzynarodową szajkę imperialistycznych kontaktów, jeśli tylko na to pozwolą. No cóż, nie pozwolili. Zresztą tak po brzmieniu nazwisk przesłuchujących sądząc, to chyba bracia w wierze mu nie pozwolili.

– A Wajsbrotova umarła?

Myszyński otworzył puszkę coli i wypił duszkiem, zaraz potem następną. Szacki miał ochotę zapytać, czemu po prostu nie kupił dwulitrowej butelki, ale odpuścił. Czekał spokojnie, aż archiwista zbierze myśli.

– Tak, chociaż nie musiała. Mieszkańcy lubili dobrego doktora, ściągnęli najlepszą położną, żeby odebrała poród. Pech chciał, że położna przyszła z córką i była przesadna. I ona, i córka. Cóż, resztę łatwo sobie dopowiedzieć. Weszła do domu i pierwsze, co zobaczyła, to stojącą w drzwiach do piwnicy beczkę z ogórkami, i oczywiście zrozumiała, że to nie żaden poród, tylko podstęp, że Żydzi się czają, żeby porwać jej śliczną córeczkę, utoczyć krwi na macę i noworodkowi oczy przemyć, coby nie było ślepe. To wzięła i wyszła.

– Przecież tam nikogo nie było.

– Duchów też nie ma, a ludzie się boją. Uciekła. Przyszła inna akuszerka, ale nie tak zdolna, a poród był ciężki. Wajsbrotova całą noc krzyczała, nad ranem umarła razem z noworodkiem. Podobno

do dziś można na Zamkowej usłyszeć jej krzyk i płacz niemowlaka. Wajsbrota powiesił się w celi następnego dnia.

Roman Myszyński zamilkł i poprawił leżące przed nim papiery, ułożył je w zgrabną kupkę. I otworzył kolejną puszkę. Szacki wstał i oparł się o parapet okna, patrząc na sandomierskie domy, na majaczące w oddali dachy Starego Miasta. Był w domu na Zamkowej, był w Nazarecie, starej ubeckiej katowni. Wszędzie trupy, wszędzie jakieś duchy, ile takich miejsc w życiu odwiedził, ile miejsc naznaczonych przez śmierć?

Myszyński odkaszlnął. Teoretycznie Szacki powinien bardzo chcieć słuchać, przecież to było dopiero tło, teraz archiwista dopasuje bohaterów dzisiejszego dramatu do bohaterów dramatu powojennego i wszystko stanie się jasne. Czemu zwleka, żeby się tego dowiedzieć? Przecież ta informacja oznacza aresztowanie, koniec sprawy, sukces. Zwleka, bo trawi go wewnętrzny niepokój, jakiś opór. Nie potrafi go zdefiniować, nie potrafi nazwać. Zaraz wszystko wskoczy na swoje miejsce, rozsypane puzzle zostaną w końcu do siebie dopasowane, wszystkie mniejsze i większe poszlaki zyskają wytłumaczenie. A mimo to, choć jeszcze nie zna szczegółów, trawi go dziwne uczucie fałszu, często towarzyszące widzom w kinie albo teatrze. Niby dobrze napisane, niby dobrze wyreżyserowane, zagrane też w porządku, a czuć, że to tylko teatr, zamiast postaci widać aktorów, widzów i żyrandol nad widownią.

– Jerzy Szyller? – zapytał w końcu.

– Jego ojciec był komendantem oddziału KWP, tego, który doniósł na Wajsbrota i oskarżył go o szpiegostwo. Ciekawa postać, przed wojną mieszkał w Niemczech i zakładał razem z innymi Związek Polaków. Kiedy wybuchła wojna, przyjechał tutaj walczyć i nawet zapisał się złotymi zgłoskami w historii podziemia, dużo dywersyjnych akcji na koncie, niektóre bardzo spektakularne. Potem jednak uznał, że bardziej od Niemców nienawidzi czerwonych, dlatego poszedł do lasu. Za czasów stalinowskich go nie złapali, a

potem już nie był wrogiem publicznym, mimo to wyjechał do Niemiec, umarł w latach osiemdziesiątych. Syn Jerzy urodził się w Niemczech.

– Grzegorz Budnik?

– Syn naczelnika ubeckiego aresztu.

– Tego, który nie pozwolił doktorowi odebrać porodu żony?

– Miał więcej na sumieniu, ale tak, tego. Tata Budnik zresztą dożył późnego wieku, umarł spokojnie ze starości w latach dziewięćdziesiątych.

– A Budnikowa? W jaki sposób była powiązana z tymi wydarzeniami?

– Przyznaję, długo myślałem, że w ogóle nie była, założyłem, że była powiązana jedynie przez męża, dlatego zginęła. Uznałem, że jeśli ktoś jest na tyle szalony, aby tropić dzieci winowajców tragedii sprzed siedemdziesięciu lat, to może jest na tyle szalony, żeby polować też na ich rodziny.

Szacki skinął głową, rozumowanie było słuszne.

– Ale dla porządku chciałem sprawdzić wszystkie tropy, na szczęście poznałem jedną bardzo zdolną archiwistkę. Myszyński zarumienił się nieznacznie. – Zrobiła swoje czary-mary w różnych bazach danych i co się okazało? Pani Budnik przyjechała tutaj jeszcze jako panna Szuszkiewicz, z Krakowa, ale urodziła się w Sandomierzu w 1963 roku. Jej matka z kolei pochodzi z Zawichostu, urodzona w roku 1936.

– Czyli kiedy Wajsbrotowie umarli, miała jedenaście lat – powiedział Szacki i elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. – Taka mała dziewczynka wychowana w żydowskim sztetlu, gdzie należała do mniejszości i gdzie nasłuchiwała się różnych opowieści, taka mała dziewczynka mogła się bardzo przestraszyć, kiedy zobaczyła straszną beczkę w zrujnowanym żydowskim domu.

Myszyński nie skomentował, sprawa była oczywista. Szac-kiemu pozostało dowiedzieć się jednej rzeczy. Jednej jedynej. I znowu coś chwyciło go za gardło, jakby nie chciało pozwolić zadać tego ostatniego pytania. Bez sensu, po raz pierwszy doświadczał takiego uczucia. Zmęczenie? Nerwica? Wiek? Brak mu jakichś witamin? Przecież wszystko tak ładnie pasowało. Trzy ofiary przed laty, trzy trupy dzisiaj. Oko za oko, życie za życie. Syn partyzanta, który doniósł na doktora. Syn ubeka, który nie pozwolił mu odebrać porodu żony i pozwolił na samobójstwo. Córka dziewczynki, która swoją wiarą w legendę o krwi skazała na śmierć rodzącą doktorową. Tylko dlaczego teraz? Dlaczego tak późno? Przecież wcześniej można było dopaść osoby naprawdę odpowiedzialne, przecież nie wolno karać dzieci za grzechy rodziców. Czy to było celowe działanie? Czy może zabójca tak późno poznał prawdę? To była właściwie ostatnia rzecz, której należało się dowiedzieć. Pytanie ułożyło mu się na języku, jednak nie chciało się przepchnąć między zębami. Do kurwy nędzy, Teodorze, krzyknął na siebie w myślach. Musisz się dowiedzieć, kto to jest, nawet jeśli rozwiązanie bardzo ci się nie spodoba. Jesteś urzędnikiem w służbie Rzeczypospolitej i za chwilę poznasz prawdę. Cała reszta jest nieważna.

– A jakie były losy drugiego dziecka Wajsbroków? – zapytał chłodno.

– Oficjalnie nikt taki nie istnieje. Niemniej jest pewna osoba, której wiek by się zgadzał. Trafiłem na jej ślad trochę przez przypadek, ponieważ grzebała w archiwach Instytutu, zostało nazwisko w repertorium. Osoba ta została wychowana przez dom dziecka w Kielcach, wcześniej nie ma żadnego śladu w księgach ani po niej, ani po jej przodkach, szukałem dokładnie. Osoba ta ma jak najbardziej polskie nazwisko, rodzinę, córkę. Pracuje zresztą w pańskiej branży, czyli w wymiarze sprawiedliwości.

Wszystko się dokonało, nie ma już nic do zrobienia poza rozpoczęciem nowego życia. Jakie będzie to życie? Ile potrwa? Co przyniesie? Czy uda się zastąpić pustkę miłością i przyjaźnią? Gdzieś, kiedyś. Śmieje się. Miłością i przyjaźnią, dobre sobie. Nagle czuje ogromny żal za utraconą młodością i utraconą miłością. Chociaż myśli „na pociechę”, że nie ma prawdziwej młodości ani prawdziwej miłości... Po tych wszystkich czarnych czynach nie ma żadnej szansy na rozświetlenie swojej duszy. Ale nie szkodzi. Pustka i ciemność to niewygórowana cena za spokój, za to, że w końcu nie czuje tej dusznej nienawiści. Drga, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Dziwne, nie spodziewa się gości.

Myli się pan, panie prokuratorze.

Teodor Szacki milczał, akurat przy tej czynności nie miał za wiele do zrobienia, to była czysto policyjna robota. Marszałek co prawda jąkał się i patrzył przepaszająco, ale wypełnił wszystkie przewidziane prawem czynności. Przedstawił siebie, przedstawił podstawę prawną i sprawę, której dotyczyło zatrzymanie, wylegitymował zatrzymanego, przeszukał go, odebrał broń, skuł i poinformował o prawie do obecności adwokata oraz o prawie do odmowy składania wyjaśnień.

Inspektor Leon Wilczur poddał się procedurom spokojnie i bez słowa, w końcu znał je od drugiej strony. Nie wyglądał na zaskoczonego, nie szarpał się, nie kłócił, nie próbował uciekać.

– Myli się pan, panie prokuratorze – powtórzył z naciskiem.

Cóż miał powiedzieć? Bolały go wszystkie mięśnie, porozrywana ręka i jeszcze teraz szyja, był naprawdę kurewsko zmęczony. Spojrzał niechętnie na starego policjanta. Bez marynarki, tylko w rozchełstanej koszuli, spodniach i cienkich skarpetkach wyglądał jeszcze bardziej żałośnie niż zwykle. Stary dziadek, spędzający dzień zwolnienia lekarskiego przed telewizorem, w zaniedbanym mieszkaniu pełnym zakurzonych staroci. Zmusił się, żeby odwrócić wzrok i zderzyć się spojrzeniem z suchymi, lekko żółtawymi oczami Wilczura. Zawsze myślał, że kryje się za nimi niechęć do świata, zwykle zgorzknienie i typowa nadwiślańska frustracja. Ale nienawiść? Mój Boże, ileż serca trzeba włożyć przez lata w pielęgnowanie nienawiści, żeby dokonać trzech morderstw w imię wendety za wydarzenia sprzed siedemdziesięciu lat. Ile pracy, żeby

nie pozwolić tej nienawiści zgasnąć, wyblaknąć, żeby nie stracić jej z oczu nawet na chwilę.

Biegli tego nie potwierdzą, i bardzo słusznie, ale dla niego Wilczur był szaleńcem. Widział różne zabójstwa i różnych zabójców. Płaczliwych, zادیornych, agresywnych, skruszonych. Ale to? To wymykało się jego skali. Jaki może być sens mordowania dzieci i wnuków sprawców sprzed lat, nawet jeśli tamta winna była okropna i bolesna? Żaden kodeks świata nie przewiduje odpowiedzialności dzieci za grzechy rodziców, to właściwie podstawa cywilizacji, granica pomiędzy myślącą rasą a napędzanym instynktami bydłem.

– Ojcowie nie poniosą śmierci za winy synów ani synowie za winy swych ojców. Każdy umrze za swój własny grzech – prokurator zacytował Księgę Powtórzonego Prawa.

Wilczur, nie odrywając ani na moment oczu od jego spojrzenia, zaświergotał niezrozumiałymi słowami o melodii raz śpiewnej, a raz chropowatej, przesiąkniętej bluesową tęsknotą, to musiał być jidysz albo hebrajski. Szacki pytająco podniósł brew.

– Bo Ja jestem Pan, Bóg twój, Bóg zazdrosny, karzący nieprawość ojców na synach w trzecim i czwartym pokoleniu. Ta sama Księga, kilka rozdziałów wcześniej. Jak pan doskonale wie, prokuratorze, na wszystko znajdzie się biblijny cytat. Ale to nieważne. Ważne, że pan się myli i że ta pomyłka może mieć straszne skutki.

– Mógłbym panu powiedzieć, inspektorze, ile razy słyszałem taki tekst od zatrzymywanych, ale po co? Przecież pan słyszał go częściej i wie pan lepiej ode mnie, ile w nim jest prawdy.

– Czasami trochę.

– W wypadku prawdy trochę to nic.

Ruchem głowy kazał Marszałkowi wyprowadzić Wilczura.

– Jutro spotkamy się na przesłuchaniu, niech się pan dobrze zastanowi do tego czasu, czy naprawdę chce pan utrudniać postępowanie. Te zabójstwa, ta stylizacja, ta chora inscenizacja, ta szalona zemsta. Niech pan przynajmniej odpowie za to z klasą.

Wilczur przechodził właśnie obok, jego twarz mijała się z twarzą Szackiego o centymetry, wyraźnie widział zgrubienia na białkach oczu, pory na skórze wyżłobionej grubymi zmarszczkami, żółty nalot papierosowego dymu na wąsach, ostre włoski w nozdrzach wydatnego nosa.

– Nigdy mnie pan nie lubił, prokuratorze, prawda? – zaskrzypiał z nieoczekiwanym żalem policjant, zionąc w twarz Szackiego kwaśnym oddechem. – I ja wiem dlaczego.

Były to ostatnie słowa wypowiedziane przez Leona Wilczura w związku ze sprawą, w której został zatrzymany pod zarzutem potrójnego zabójstwa.



Nie wrócił do prokuratury. Odbył tylko dwie krótkie rozmowy telefoniczne z Miszczyk i Sobieraj, nie chciał się z nimi widzieć, nie chciał tłumaczyć i wyjaśniać, nie chciał reagować na egzaltowane „ochy”, „achy” i „omójbożejaktomożliwe”. Najważniejsze, czyli wynik kwerendy Romana Myszyńskiego, leżało na ich biurkach, a to wystarczyło, aby wystosować wniosek o areszt, czym zajmie się później Sobieraj. Do mediów miała też iść lakoniczna informacja, że zatrzymano podejrzanego. Reszta tak naprawdę zależała od Wilczura. Jeśli się przyzna, za trzy miesiące będzie gotowy akt oskarżenia, jeśli będzie szedł w zaparte – kogoś czeka długi i żmudny poszlakowy proces. Najprawdopodobniej nie jego, było zdrowym obyczajem, że sprawy dotyczące funkcjonariuszy i urzędników trafiały do innych prokuratur. Teodor Szacki miał nadzieję, że tym razem uda się jednak zatrzymać sprawę tutaj, ewentualnie skłonić ludzi w okręgowej, żeby dali mu to gdzie indziej. Bardzo chciał być tym, który napisze akt oskarżenia i obroni go przed sądem. Nie wyobrażał sobie, żeby miało być inaczej.

Tak czy owak nie musi się tym zajmować dzisiaj, dzisiaj może odpocząć, nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak niewiarygodnie, potwornie zmęczony. Do tego stopnia, że zwykły chód sprawiał mu wysiłek, kiedy stanął pod Bramą Opatowską, vis-à-vis budynku seminarium, w którym wiele lat wcześniej powiesił się Chaim Wajsbrot i pod którym być może stał mały Leon Wilczur, wypatrując swojego taty – nie wytrzymał i usiadł koło jakiegoś menela na małej ławeczce. Tylko na chwilę. Menel wydał mu się znajomy, przez chwilę szukał w pamięci, tak, jasne, to on zaczepił Wilczura tego wieczoru, kiedy razem wychodzili z Ratuszowej, chciał szukać jakiegoś zaginionego kumpla. Pomyślał, czy nie zagaic, ale dał spokój. Zamknął oczy i wystawił twarz do słońca, nawet jeśli nie

daje ciepła, to może opali trochę, nie dawało mu spokoju, że w telewizji był takim bladym, wychudzonym robakiem.

Czuł się dziwnie. Zawsze zakończeniu śledztwa i schwyтaniu sprawcy towarzyszyła pewna pustka, depresja pośledcza, syndrom odstawienia. Ale tym razem to było coś innego, pustka w szybkim tempie wypełniała się niepokojem, znajomym niepokojem neuronów, sygnalizujących błąd, niedopatrzenie, przeoczenie.

Nie miał pojęcia, o co chodzi, i nie chciał się nad tym zastanawiać. Nie teraz. Teraz zwlókł się z ławki i poszedł Sokolnickiego w górę, do rynku. Minał bar z pierogami, minał Chińczyka, do którego nigdy nie odważył się zajrzeć, na chwilę zatrzymał się przy Małej, zastanawiając się, czy kawa z pianką i posypką z cukru pudru to nie jest to, czego potrzebuje. Ale nie, nie chciał kawy, nie chciał pobudzenia, chciał prysznic i łóżka.

Doszedł do rynku, kiedy zegar na wieży ratuszowej zaczął swoje harce, sygnalizujące godzinę drugą po południu. Zatrzymał się na moment, obserwując, jak miasto się zmienia, szykuje na sezon turystyczny, startujący jak wszędzie w długi weekend majowy. Nie widział jeszcze Sandomierza w tej odsłonie, zamieszkał tutaj pod koniec roku, kiedy wszystko było pozamykane, po złotej polskiej jesieni nie było śladu, a kocie łby na Starym Mieście były albo mokre, albo zaśnieżone, albo oblodzone. Teraz miasto wyglądało jak chory budzący się ze śpiączki, który nie wstanie od razu i nie pobiegnie, tylko delikatnie sprawdza, co mu wolno, a czego nie. Taras Kordegardy był już zagospodarowany, przed Małą właścicielka wystawiła na zewnątrz dwa stoliki, przed Kasztelanką dwóch kelnerów stawiało płotek ogródka. W głębi, chyba przed Cocktail Barem, ktoś czyścił wielki parasol z logo Żywca, przed Ciżemką zielona budka z lodami, do tej pory zabita na głucho, otwierała podwoje. Ciągłe było zimno, ale stojące wysoko słońce wyraźnie nie zamierzało dać za wygraną i Szacki poczuł, że ten weekend będzie pierwszym weekendem prawdziwej wiosny.

Ale nie skusił się na żaden lokal, skręcił w stronę Wisły i po paru chwilach był już w swoim mieszkaniu, po raz pierwszy od środowego poranka. Nie przeszkadzały mu porozrzucone bety ani pusta lodówka, zdjął garnitur i zagrzebał się w pościeli, która ciągle pachniała słodkawymi, młodzieńczymi perfumami Klary.

    Nie rozumiem, dlaczego nie czuję ulgi, do jasnej cholery, pomyślał.

    I zasnął.

Kilka godzin później obudził go telefon od Basi Sobieraj. Musi się z nim zaraz zobaczyć. Okej, powiedział i poszedł wziąć prysznic, zapominając, że przy sandomierskich odległościach „zaraz” oznacza „natychmiast”. Kiedy wyszedł z łazienki, z wodą kapiącą z włosów na kołnierz granatowego szlafroka, Basia stała pod drzwiami z nieforemnym pakunkiem w ręku i dziwnym wyrazem na twarzy.

Podawała mu pakunek.

– To dla ciebie.

Otworzył brązowy, pakowy papier, w środku była prokuratorska toga, której czerń dawno przestała być czarna, a czerwień lamówki – czerwona.

– Ojciec prosił, żeby ci ją dać. Powiedział, że już nie chce na nią patrzeć, że chce umierać, widząc mnie, a nie ten kawał szmaty, który był jego przebraniem przez całe życie. I że mam dać ją tobie, bo tylko ty będziesz umiał zrobić z niej użytek. Bo podobno rozumiesz coś, czego ja nie rozumiem, nie wiem, o co chodzi.

Że wszyscy kłamią, pomyślał Szacki.

Nic nie powiedział, odłożył togę i kołnierzem szlafroka wytarł stróżkę wody, która z białych włosów spłynęła na policzek. Gestem zaprosił Sobieraj do środka, zastanawiając się, dlaczego tak naprawdę przysłała do niego. Chciała rozmawiać o sprawie? O morderstwach? Trupach, winach i nienawiści? Gorzko pomyślał, że dobry z niego partner do takich rozmów, trudno o lepszego w Sandomierzu.

Nie chciało mu się odzywać. Usiadł na kanapie, nalał hojnie jacka do starych literatek z cieniutkiego szkła. Sobieraj usiadła

obok, duszkiem wypila. Spojrzal zdziwiony, nalal jeszcze raz. Ponownie wypila duszkiem, zamrugala smiesznie, zachowywala sie jak dzieciak, który boi się powiedzieć, że stłukł wazon, choć i tak zaraz się wyda. Założyła za ucho kosmyk włosów i spojrzała na niego z nerwowym, przepraszającym trochę uśmiechem.

Błagam, nie dzisiaj, pomyślał. Był naprawdę kurewsko zmęczony.

Mimo to pochylił się i pocałował swoją koleżankę z pracy, zastanawiając się, czy ma na to ochotę, czy nie. Lubił ją, bardzo ją lubił, z dnia na dzień coraz bardziej, ale nie powiedziałby, że rodzi się między nimi romans albo namiętność, o miłości nie wspominając. Gdyby miał nazwać to uczucie, użyłby słowa „przyjaźń”.

Postanowił jednak darować sobie na jakiś czas teoretyzowanie. Cały czas całując, zaciągnął ją do łóżka i zaczął delikatnie, ale systematycznie rozbierać.

– Bo jeśli nie, to wiesz, powiedz, inaczej będę się źle czuła. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji – wyciągnęła ręce nad głowę, żeby mógł z niej ściągnąć cienki amarantowy golf – i za bardzo nie wiem, jak się zachować. Po prostu bardzo chciałam, ale jeśli ty nie chcesz...

– Trudno, jakoś się zmuszę – powiedział, wodząc palcem po jej obsypanym piegami dekolcie, który wyglądał jak obrazek typu „połącz kropki”, przeskoczył nad fiszbinem przyciasnego stanika w kolorze swetra i dojechał do pępka.

– Warszawski dowcip. Słowo daję, nie wiem, czy dam radę. – Zaśmiała się jednak, kiedy z miną łobuza zajrzał jej do majtek. Które notabene też były ciut za małe, wrzynały się w brzuch, tworząc nad gumką sympatyczną fałdkę.

Klik.

– Hej, ta paczuszka, którą dostałaś w środę...

– Tak, jasne, wyśmiej mnie, bo chciałam mieć dla ciebie coś ładnego. Wyobraź sobie, że nie ma w Sandomierzu dziesięciu sklepów z markową bielizną. Tylko oczywiście nie pomyślałam, że przez zimę urosłam o rozmiar, i o, nie wygląda to superestetycznie, przepraszam...

Roześmiał się głośno.

– Zdejmijmy to jak najszybciej, zanim ci się porobią odciski.

– Uff, dzięki.

Wrócili do całowania, byli już oboje nago, kiedy Sobieraj nagle usiadła na łóżku i przykryła się wstydliwie kołdrą. Spojrzał pytająco.

– Boże, dziwnie się czuję, jakbym powinna poprosić go o pozwolenie. Tak żeby być w porządku.

– Okej – powiedział wolno, czekając na dalszy ciąg.

– Nigdy nie zdradziłam Andrzeja. Nie to że nie chcę, rozumiesz, bardzo chcę, tylko pomyślałam sobie, że powinienesz wiedzieć. Że nie jestem jakaś pierwsza puszczalska. No i strasznie się stresuję. O tobie chodzą opowieści, jest Klara, Tatarska też się zachwycała, aonajestzwykle bardzo surowa...

Właśnie zrozumiał, dokładnie w tej chwili, co oznacza życie w małym miasteczku.

– ...a ja od piętnastu lat z jednym chłopem, i to nie za często, i po prostu boję się, że mój repertuar jest, rozumiesz, raczej na orkiestrę kameralną niż symfoniczną. I wiem, jak to brzmi, tylko nie chciałabym, żebyś mnie za szybko oceniał, rozumiesz?

– Woody Allen – powiedział, naciągając kołdrę na gołe ciało, zrobiło mu się zimno.

– Co Woody Allen?

– To scena jak z Woody'ego, zamiast się pieprzyć, rozmawiamy o pieprzeniu.

– No tak, wiem, wiem.

– To może tak pomalutku zacznijmy i zobaczymy, co dalej, hmm?

Zaczęli pomalutku i bardzo mu to odpowiadało po perwersyjnych akrobacjach, do jakich był zmuszany przez swoje kochanki ostatnimi czasy. Zamiast się spinać i starać, mógł powoli rozkoszować się bliskością, bawić w odnajdywanie przyjemności swojej i Basi, która w seksie okazała się zmysłowa i inteligentna, a przy tym dowcipna i rozkoszna w swoim skrepowaniu. Próbowала różnych rzeczy z ostrożnością zwierzątka, ale potem szybko nabierała tempa i nie minęło dużo czasu, kiedy z etapu ostrożnego pojękiwania doszli do tego, że chowała głowę w poduszkę, żeby nie zaalarmować Sandomierza swoimi krzykami. Przypomniał sobie o jej chorym sercu i przestraszył się.

– Wszystko w porządku?

– Zwariowałaś?

– Pomyślałem o twoim sercu.

– Spokojnie, wzięłam leki. Jeśli orgazm nie będzie zbyt intensywny, to może przeżyję.

– Bardzo śmieszne.

Orgazm był umiarkowanie intensywny i szczęśliwie obie strony go przeżyły. Szacki przytulił do siebie Basie i pomyślał, że jeśli zostaną kochankami, to będzie to dla niego zupełnie nowe doświadczenie, zwykle to on był tym zajęty.

– Ciągle jestem w szoku – wyszeptała – ciągle na etapie niewiary, naprawdę nie dociera do mnie, że to prawda.

– Daj mi się rozkręcić.

– Idiota, miałam na myśli Wilczura.

– Aha.

– Przeczytałam, co znalazł ten archiwista, wszystko do siebie pasuje, nie ma żadnych luk, jeśli chodzi o motywację. Potem przypomniałam sobie, że był pierwszy przy trupie Budnikowej, że asystował przy znalezieniu brzytwy, że on pokazywał nam nagrania z kamer i koordynował przesłuchania świadków, mógł sterować nami w dowolny sposób. Zwłaszcza tobą, nie znasz miasta, nie znasz ludzi, brałeś na wiarę rzeczy, których ja bym pewnie nie łyknęła.

– Jak jesteś taka bystra, to trzeba go było zamknąć wcześniej.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi. Myślę, że nosił się z tym całym planem od dawna, ale możliwość pokazała się dopiero wtedy, kiedy ty pojawiłeś się w Sandomierzu. Mógł być pewny, że gwiazda z Warszawy dostanie sprawę. Gwiazda, ale obca.

– Pierwszego dnia powiedział, że mi pomoże, że będzie wyjaśniał, kto naprawdę jest kim.

– Nie wątpię.

Przez chwilę leżeli w milczeniu.

– To mnie przeraża, hodowanie nienawiści przez tyle lat. Ale kiedy czytałam akta sprawy Wajsbrota...

– Tak?

– To powojenne zezwierzęcenie, tutaj nigdy się o tym nie mówi, jak czasami to wyciągnie jakiś naukowiec albo publicysta „z Warszawy”, to nawet nie staje się wrogiem publicznym numer jeden, po prostu się o tym nie mówi.

– Nie jesteście wyjątkiem. Tak jest w całej Polsce.

– Nie mogę przestać sobie tego wyobrażać. Jak ci ludzie po obozach wracają do domu, mając cały czas przed oczami to morze trupów, żyjąc nadzieją, że może cudem ocalała ich łazienka i



kuchnia, że jak dotrą na miejsce, to zrobią sobie herbaty, popłaczą i jakoś się uda wrócić do życia. Tyle tylko, że w ich kuchni ktoś stoi, że ich życie nikomu nie jest na rękę, że kolega ze szkoły wrócił tydzień wcześniej i już go zakatowali, na witce brzozonej powiesili. To znaczy, wiedziałam, że takie rzeczy się działy, ale Wajsbrod daje twarz tym wydarzeniom, widzę go, jak wali pięściami w ścianę celi w Nazarecie i wyje, a jego żona umiera kilkaset metrów dalej, bo położna Żydówki się przestraszyła. Myślisz, że to możliwe, że umarła na rękach Wilczura? Musiał mieć wtedy cztery, pięć lat.

– To go nie usprawiedliwia.

– Nie. Ale pomaga zrozumieć.

Zadzwoił telefon. Odebrał i zerwał się na równe nogi.

– No jasne, już leczę, będę czekał na przystanku.

– Co się stało?

– Córka do mnie przyjechała na weekend.

– O, świetnie, to przyjdiesz jutro razem z nią?

– Ale jak to?

– Byliśmy umówieni na grilla. Nie pamiętasz?

Od natłoku myśli i emocji czuje ból głowy. Chodzi z kąta w kąt, ale pomieszczenie jest małe i niewygodne, nie może się wychodzić, jak to ma w zwyczaju. Nie może się skupić, nie może się zdecydować, jak zwykle zresztą nie może się zdecydować. Wie, że najrozsądniej byłoby uznać, że to koniec, mieć wszystko z głowy. To tylko niepotrzebne ryzyko, które nie przyniesie żadnych korzyści, a może wszystko zniweczyć, wszystko! Wie to, ale nie potrafi odpuścić, nie tym razem. Poza tym – poza tym może ryzyko nie jest tak wielkie.

## **Rozdział jedenasty**

*sobota, 25 kwietnia 2009*

Międzynarodowy Dzień Świadomości Zagrożenia Hałasem. Egipt świętuje 27. rocznicę wycofania się Izraela z półwyspu Synaj, irlandzcy socjaldemokraci i zieloni wygrają w przedterminowych wyborach parlamentarnych, a Al Pacino i Andrzej Seweryn – urodziny. Świat zaczyna żyć histerią na punkcie świńskiej grypy. W Niemczech anonimowy kolekcjoner płaci 32 tysiące euro za akwarele autorstwa Adolfa Hitlera. Przedstawiają rustykalne krajobrazy. Krystian Zimerman wywołuje skandal w USA, zapowiadając w czasie koncertu, że nie będzie więcej grał w kraju, którego armia chce kontrolować cały świat. W ojczyźnie pianisty PiS żąda od MON wyjaśnień, dlaczego żołnierze kompanii honorowej nie biorą udziału w uroczystych mszach; MON odpowiada: bo jeśli zemdleją od długiego stania na baczność, mogą komuś zrobić krzywdę bagnetem. W urzędach skarbowych całej Polski dzień otwarty, w przyszłym tygodniu mija termin rozliczeń z fiskusem. W Muzeum Okręgowym w Sandomierzu rusza wystawa tektografii i druków unikatowych Grzegorza Madeja. Sucho, słonecznie, odrobinę cieplej niż wczoraj, ale nie więcej niż 17 stopni.

Bał się spotkania z dzieckiem i choć nikomu by się do tego nie przyznał, z duszą na ramieniu jechał odebrać w piątkowy wieczór swoją córkę z dworca autobusowego w Sandomierzu, położonego nieopodal cmentarza żydowskiego, gdzie kilka dni temu kazał zgarnąć miłośników narodowego socjalizmu. Swoją drogą, dziwił się, że po wyjściu z dołka żaden się nie pofatygował, żeby mu namalować gwiazdę Dawida na drzwiach albo zwyczajnie obić ryj.

Helcia wyleciała z autobusu uchachana i uszczęśliwiona, pełna jedenastoletniego stęsknienia, podziwu i empatii. Empatii, ponieważ opatrunek na jego dłoni ciągle wyglądał odpowiednio poważnie, a podziwu, gdyż telewizyjne relacje w połączeniu z bujną wyobraźnią dziewczynki stworzyły obraz bohatera, który niepomny niebezpieczeństw walczy ze złem i występkiem.

Spędzili bardzo miły wieczór przy pizzy i cudne przedpołudnie, którego najważniejszymi elementami były spacer (połączony z gonitwami i grą w kometkę) nad Wisłą oraz śniadanie w Małej, z kawą, czekoladą i naleśnikami na słodko. Prokurator Teodor Szacki patrzył na pogrążoną w lekturze sfatygowanego egzemplarza jednego z *Tytusów* kasztanowowłosą iskrę, która zaczynała się właśnie przepoczwarzać z rozkosznego dziecka w nieforemną nastolatkę, i po raz pierwszy od bardzo dawna czuł spokój. Nie zmęczenie, tylko spokój. A Helcia, odbierając szóstym córczanym zmysłem, że jej rodzic ma za sobą kilka ciężkich dni, oszczędziła mu focha, hysterii i rozdzierających płaczów, że ona chce, żeby było tak jak dawniej, albo że już nigdy nie będzie szczęśliwa.

A potem pojechali odwiedzić Basie i Andrzeja Sobierajów.

Sam plan odwiedzenia Basi i jej męża, nie dość, że z dzieckiem, to jeszcze po wczorajszym upojnym wieczorze, wydawał mu się tyleż kuriozalny, co atrakcyjny, i jedyne, co mu przeszkadzało w czerpaniu radości z tej perwersyjnej sytuacji, to fakt, że czeka go jeszcze rozmowa z Leonem Wilczurem. Najchętniej przełożyłby ją na poniedziałek, ale nie mógł. Gdyby bowiem Wilczur postanowił się przyznać – a Szacki przypuszczał, że stanie się to wcześniej czy później – dodatkowo wzmocniłoby to wniosek o tymczasowe aresztowanie. Na razie jednak zepchnął myśl o Wilczurze w kąć i radosnym gestem przerzucił piszczącą córkę nad niskim płotem ogródka Sobierajów, po czy sam go przeskoczył, co wydało mu się bardzo sportowe, a było możliwe jedynie dlatego, że ogrodzenie sięgało mu do kolan.

Helcia i Andrzej Sobieraj bardzo szybko znaleźli wspólny język, głównie dzięki pokazywanym przez niego gadżetom, których jego córka, wychowanka ramy H, nie znała. Bawiła się już sekatorem i kosiarką do trawy, teraz przyszła kolej na węża ogrodowego, który – sądząc po żywiołowej reakcji – był dla niej czymś w rodzaju świętego Graala doskonałej zabawy.

– W końcu nie wyglądasz jak Józef K.

Faktycznie, nie popełnił błędu sprzed tygodnia i przyszedł do ogródka Sobierajów w dżinsach i żeglarskim szarym golfie, garnitur, który miał włożyć na późniejsze przesłuchanie, został w pokrowcu w samochodzie.

– W końcu nie wyglądasz jak harcerka – odgryzł się. Siedzieli razem przy stoliku na tarasie.

– Zbieraj kasę na dom z ogrodem! – krzyknął spod żywopłotu Sobieraj. – Ta mała ma zadatki na właścicielkę gospodarstwa ogrodniczego!

– Tak, tato, chcę mieć kosiarkę!

– Do włosów chyba!

Helcia podbiegła do stolika.

– Zapomniałeś, że ja chcę mieć długie włosy. O takie – machnęła ręką na wysokości nerek.

Za dzieckiem przyczłapał Sobieraj, wyraźnie zadyszany. Prokurator patrzył, jak bierze duży łyk z puszki piwa, i zastanowił się, czy Sobierajowie uprawiali wczoraj małżeński seks. Z jednej strony naprawdę by się zdziwił, z drugiej zdażył już się nauczyć, że wbrew obiegowej opinii to nie wielkie metropolie są siedliskiem wszelkiej rozpusty.

– Chodź, pomożesz mi zanieść ten szpej do kuchni – powiedziała Sobieraj do męża.

– Litości...

– A co z tym tańczącym kwiatkiem? – zapytała niewinnie Hela.

– Oczywiście, że ci pokażę tańczący kwiatek – ożywił się Sobieraj. – A z garami ci pomoże pan prokurator. Dziecko z miasta przyjechało, niech się nacieszy trochę.

Razem z Helą wrócili do ogrodu, żeby tam instalować tańczący kwiatek, czymkolwiek by on był, a Szacki z Basią Sobieraj zabrali talerze i poszli całować się w domu. Dopiero kiedy radosne okrzyki zakomunikowały sukces operacji „kwiatek”, przestali i wrócili razem z blachą pełną ciasta na taras.

Tańczący kwiatek naprawdę tańczył, musiał być tak skonstruowany, że przepływająca przezeń woda miotała główką na wszystkie strony, co dawało radosny i komiczny efekt. Hela została przy kwiatku, żeby piszczeć, podskakiwać i bezskutecznie unikać pryskającej wody, a Sobieraj wrócił do stolika.

– Wspaniałą masz córkę – powiedział i wzniosł puszkę z piwem.  
– Za twoje geny.

Szacki w odpowiedzi podniósł swoją szklanę z colą. Jednocześnie przypomniał sobie, co Sobieraj opowiadała kiedyś o tym, że nie mogą mieć dzieci. Czy to oznacza, że nie używała żadnej antykoncepcji i że jest przyzwyczajona do tego, że seks nigdy nie oznacza prokreacji?

– Kiedy powiecie mediom o Wilczurze? – spytał szeptem zadyszany mistrz kwiatka. Wcześniej ustalili, że nie będą przy dziecku roztrząsać sprawy.

– O tym, że zatrzymany jest funkcjonariuszem policji, w poniedziałek. A resztę możliwie jak najpóźniej – wyjaśnił Szacki, nie spuszczając oczu z dziecka, stary ojcowski nawyk. – Ogólnikowo opowiemy o motywach osobistych, zdementujemy plotki o seryjnym mordercy, zasłonimy się tajemnicą śledztwa. Histeria ucichnie, a potem będzie jak zwykle. Śledztwo potrwa miesiącami, kiedy będzie można już zajrzeć do akt i poznać motywację Leona W., mało kogo to zainteresuje. Zrobi się szum przy procesie, ale to już pewnie nie nasz problem.

– Dlaczego?

– To nasze ostatnie dni z tą sprawą – w przeciwieństwie do białowłosego kolegi Sobieraj nie cierpiała z tego powodu, przeciwnie, wydawała się zachwycona. – Teo musi jeszcze przesłuchać Wilczura przed wystosowaniem wniosku o areszt, ale akta za chwilę powędrują do innej prokuratury, stawiam na okręgową w Rzeszowie.

– Szkoda. – Sobieraj zmiął puszkę i wrzucił ją do torebki ze śmieciami. – Chciałbym dowiedzieć się od was, jak to było naprawdę.

Przebranie się w garnitur trwało dłużej niż samo przesłuchanie. Leon Wilczur został doprowadzony, potwierdził swoje dane osobowe, po czym oznajmił, że odmawia składania wyjaśnień. Prokurator Teodor Szacki przez chwilę się namyślał, po czym podsunął protokół do podpisania. Wilczur był starym policyjnym wygą, który doskonale znał swoje opcje, nic by tu nie dały prośby, groźby i apele do sumienia. Strategia milczenia była idealna, gdyby Szacki był adwokatem policjanta – zaleciłby to samo nawet bez zagładania do akt. Sprawa była zawiła, poszlakowa, historyczna motywacja wyjątkowo mętna, śledczych czekała ciężka praca szukania dowodów i świadków, na dobry początek trzeba było powtórzyć wszystkie czynności przeprowadzone przez policję, ponieważ obecność Wilczura je unieważniała.

Mimo to zatrzymał się w drzwiach, zanim przywołał mundurowego.

– A może jednak? – spytał. – Trzy zabójstwa. Trzy ofiary. Po tylu latach w policji, po tylu rozwikłanych sprawach, tylu złapanych przestępcach, nie uważa pan, że powinien się przyznać? Żeby sprawiedliwości mogło stać się zadość. Tak po prostu.

– Myli się pan, panie prokuratorze – zaskrzypiał Wilczur, nie odwracając nawet głowy w jego stronę.



## **Rozdział dwunasty**

*niedziela, 26 kwietnia 2009*

Dla prawosławnych chrześcijan to Wielkanoc Umarłych, święto podobne do Dziadów lub Zaduszek, kiedy biesiadowanie na cmentarzach ma pomóc душom zmarłych dostać się do nieba. Dla strażników więziennych w Polsce – Dzień Służby Więziennej. Urodziny obchodzą Jan Pietrzak i Anna Mucha. Świńska grypa szaleje. Media mówią w kółko o zarażonych w nowych krajach, polscy muzycy donoszą z Meksyku, że „ulice wyglądają jak oddziały OIOM”, minister zdrowia zapewnia, że Polska jest gotowa. Do Rzymu przyjeżdża Aleksander Łukaszenka, to jego pierwsza zagraniczna wizyta od 1995 roku. Premier Tusk podpisuje oświadczenie, że zgadza się na przekazanie swoich organów do przeszczepu. Ku rozpaczy opozycji – dopiero po śmierci. Sandomierzanie reklamują swój gród na targach turystycznych w Warszawie, tymczasem w mieście koncertuje zespół etniczno-rockowy Jacyś Kolesie, na Wisłę wracają statki wycieczkowe, ale wiadomość dnia to wiosna, w końcu wiosna! Ciepło, słonecznie, temperatura przekracza magiczną barierę 20 stopni.

Pożegnanie z Heleną Ewą Szacką było rozdzierające. Im bliżej godziny odjazdu autobusu, tym bardziej psuła się atmosfera, mimo wysiłków Szackiego, żeby zabawa była przednia. W drodze na tak zwany na wyrost dworzec autobusowy, naprawdę budkę z dykty i blachy falistej, jedenastoletnia dziewczynka cicho płakała, a przed autobusem zaczęła szlochać i uczepiła się ojca tak histerycznie, że zaczął rozważać, czy nie odwieźć jej samochodem do Warszawy. Z odsieczą nadeszła zażywna pani, która podróżowała z wnuczką w zbliżonym wieku i widząc podbramkową sytuację, zaproponowała, że zaopiekuje się też drugą dziewczynką w czasie podróży. A „druga dziewczynka”, jak tylko zwąchała imprezę, natychmiast pocałowała tatę radośnie w czoło i zniknęła we wnętrzu zaskakująco porządnie wyglądającego autokaru.

Mimo to prokurator Teodor Szacki smutny i zdołowany wracał do – no właśnie, gdzie? Do domu? To obce mieszkanie nie było jego domem. Do siebie? Już prędzej, u „siebie” to może być dom, ale też pokój hotelowy, łóżko w schronisku albo namiot na kempingu. O każdym tymczasowym lokum można tak było powiedzieć.

Toteż wrócił do siebie, ale wystarczyło mu spojrzeć w skrzynekowe okno kuchni, żeby odwrócić się na pięcie i ruszyć schodami prowadzącymi na dół, w stronę Wisły. Miał ochotę na naprawdę długi spacer, chciał się zmęczyć, zjeść obiad, wypić dwa piwa i usnąć snem bez snów.

Boże, jaki to był piękny dzień! Miała rację Sobieraj, kiedy mówiła tydzień wcześniej, że musi zobaczyć wiosnę w Sandomierzu. Wiosna postanowiła nadrobić wszystkie stracone dni, gołe do tej pory gałązki obrzuciła zieloną mgłą, na tych już zazielenionych pojawiły się białe kwiatki, w powietrzu słodkie zapachy kwitnienia

mieszały się z wonią ziemi i zawiewającym z nad Wisły błotnistym odorem podmokłych łąk. Szacki wciągał je w siebie jak narkoman, próbował doświadczyć wszystkich naraz i każdego z osobna, nigdy do tej pory w swoim życiu nie przeżył wiosny innej niż ta miejska, wyblakła, od samego początku jakaś taka zmęczona i przechodzona.

Zszedł na błonia i obok pomnika Jana Pawła II – przy którym kuriozalna tabliczka głosiła, że papież odprawił tu „mszę w obecności odradzającego się rycerstwa” – odbił w lewo i poszedł przez łąkę w stronę trasy na Kraków. Dopiero tam odwrócił się i spojrzął na Sandomierz. I pomyślał: okej, akurat w legendzie o pułkowniku Skopence musi być więcej niż marne ziarno prawdy. Nie wyobrażał sobie, żeby ktoś mógł z tej perspektywy ujrzyć miasto i wydać rozkaz artyleryjskiego ostrzału. Było piękne, było najpiękniejsze w Polsce, było włoskie, tokańskie, europejskie, niepolskie, było miastem, w którym chciało się zakochać od pierwszego wejrzenia, zamieszkać i nigdy nie wyjeżdżać. Było – ta myśl po raz pierwszy pojawiła się w głowie prokuratora – jego miastem.

Oderwał wzrok od spiętrzonych na wiślanej skarpie kamieniczek, od białej bryły Collegium Gostomianum, sąsiadującej z czerwonym ceglany gotyckim Domem Długosza, od wieży ratusza i schowanej trochę z tej perspektywy sygnaturki katedry. I ruszył wzdłuż drogi, raz po raz zerkając na kojący oko architektoniczny przepych.

Pokręcił się trochę po bulwarze Piłsudskiego, przy którym pojawił się już statek białej floty, posiedział na ławce, obserwując wsiadających i wysiadających turystów. W zależności od osoby albo cieszył się, że nią nie jest, albo wręcz przeciwnie – zazdrościł jej życia. Mógł się tak bawić godzinami. Potem wspiał się tajemniczym i mrocznym wąwozem lessowym do kościoła Świętego Pawła i stamtąd wrócił pod zamek, po drodze wchodząc w tłum ludzi opuszczających po mszy kościół Świętego Jakuba.

Nie mógł niestety nie spojrzeć na rozciągającą się na dole łąkę, dokładnie to miejsce, pod którym kilka dni temu eksplozja rzuciła go na ścianę i uczyniła z Marka Dybusa kalekę na resztę życia. To nie było dobre wspomnienie.

Nie mógł też niestety udawać dłużej, że zajmuje go córka, widoki Sandomierza, spacery i poszukiwanie wiosny. Był nie-miłosiernie, wyczerpująco niespokojny, rozedrgany, rozbity, pasowało do niego każde słowo w każdym języku, o ile tylko wyrażało niepokój. Który boleśnie odczuwał każdym fibrem swojej istoty. Niezależnie od tego, czy bawił się z córką, czy jadł, czy spał, czuł tylko jedną emocję. I widział tylko jedną rzecz: twarz Wilczura. I słyszał tylko jedną rzecz: pan się myli, panie prokuratorze.

Bzdura, pieprzona bzdura, nie może się mylić, bo wszystkie fakty – choć fantastyczne – idealnie do siebie pasują. Co z tego, że niecodzienne? Co z tego, że motyw wydumany? Z głębszych powodów ludzie mordowali, już Wilczur wie to lepiej od niego. Poza tym nikt mu nie zabrania mówić. Może wytłumaczyć, dlaczego się myli. Może udowodnić, gdzie był w czasie zabójstw. Może gadać bez końca, opowiadać dotąd, aż zabraknie papieru w prokuraturze. Ale tego nie robi, nie jest głupi, pieprzony stary dziad, szlag by to trafił.

Szacki już w czasie ostatniej bezsennej nocy nazwał to, co go trapi. Siedział w kuchni, słuchając, jak jego córka przewraca się z boku na bok, i kreślił możliwe wersje wydarzeń – teraz przynajmniej z podejrzanym za kratkami. Wersje różniły się niuansami, ale wszystkie odpowiadały na pytanie „dlaczego?” elegancko, na sposób właściwy powieściom kryminalnym. Wielka krzywda, przenoszona nienawiść, zemsta po latach. Zemsta zaplanowana w taki sposób, aby wszyscy usłyszeli o tym, co wydarzyło się mroźną zimą Roku Pańskiego 1947. Tak jak wyjaśniał Klejnocki: infamia to ważna część wendety, sam trup nie jest wystarczającym zadośćuczynieniem. No to Wilczur osiągnął swój cel, cała Polska będzie mówiła o nim i o jego krzywdzie.

Tak, w kwestii motywu wszystko się zgadzało. Gorzej było z odpowiedzią na pytanie „jak?”. Jak ten stary, chudy, siedemdziesięcioletni dziad zamordował trzy osoby? Wiele znaków zapytania można było wytłumaczyć tym, że był doświadczonym sandomierskim gliną. Zawsze pierwszy na miejscu zbrodni, rozdawał karty, wydawał polecenia. Kontrolował przesłuchania i czynności, kontrolował całą śledczą machinę. On nadzorował odzyskiwanie nagrań z miejskiego monitoringu, jednocześnie udowadniając, że nie była mu obca współczesna technologia. Co tłumaczyło konto na serwisie informacyjnym i korzystanie z telefonu komórkowego do zawiadamiania mediów. Szkoda tylko, że telefonu nie znaleźli. Znał Sandomierz od podszewki, co może tłumaczyć jego znajomość sandomierskich lochów. Trzeba będzie przesłuchać Dybusa na tę okoliczność, jak dojdzie do siebie. Kto wiedział o ich badaniach, kto w nich uczestniczył, czy były w to zaangażowane służby miejskie, urzędnicy. Zakładając, że Wilczur znał podziemia, i zakładając fantastyczną tezę, że ukryte wejścia do nich są w różnych częściach miasta, mogło to wyjaśnić kwestię transportu zwłok. Postawienie policjanta w roli sprawcy wyjaśniało też niedającą wcześniej Szackiemu spokoju kwestię znaczka w dłoni Budnikowej. Wilczur wcisnął symbol rodła w dłoń trupa, aby skierować podejrzenia na Szyllera, aby od niego z kolei podejrzenie odbiło się w stronę Budnika i żeby na jaw wyszedł romans z sandomierskich wyższych sfer. Pasuje do teorii Klejnockiego o infamii.

Ale to mało, ciągle mało.

Szacki stał teraz na zamkowym dziedzińcu, lubił to miejsce i widok rozciągający się z tarasu na zakole niepokojąco szerokiej o tej porze roku Wisły. Lubiał świadomość, że od kilkuset lat ludzie stawali tam i podziwiali ten sam pejzaż. No, może trochę piękniejszy, nieoszpecony złośliwie przez komin huty szkła. Wokół było pełno ludzi, którzy wysypali się z okolicznych kościołów po sumie. W charakterystyczny dla małego miasta sposób odświeżenie ubrani: panowie w garniturach, panie w garsonkach o dziwacznych

kolorach, chłopcy w błyszczących sportowych butach, dziewczyny w czarnych rajstopach i wieczorowym makijażu. Można było w każdym z nich osobno i we wszystkich razem znaleźć sto powodów do kpin, Szackiego jednak ten widok rozczulił. Przez lata mieszkania w Warszawie czuł, że coś jest nie tak, że ta najbrzydsza metropolia Europy nie jest miejscem przyjaznym, że jego przywiązanie do brych murów to tak naprawdę neurotyczne uzależnienie, urbanistyczny syndrom sztokholmski. Tak jak więźniowie uzależniają się od więzienia, a mężowie od złych żon, tak on uwierzył, że sam fakt życia w brudzie i chaosie wystarczy, aby tenże brud i chaos obdarzyć uczuciem. Prokurator Teodor Szacki, warszawiak. Warszawiak, czyli bezdomny. Teraz, na pełnym słońcu i gwaru dziedzińcu zamku w Sandomierzu, widział to wyraźnie. Jako obywatel wielkiego miasta nie miał małej ojczyzny, nie miał krainy szczęśliwego dzieciństwa, swojego miejsca na ziemi. Miejsca, gdzie wracającego po latach witają uśmiechy, wyciągnięte dłonie i zmienione przez czas, ale te same twarze. Gdzie rysy sąsiadów i przyjaciół, którzy już odeszli, odnajduje się w ich dzieciach i wnukach, gdzie można poczuć się częścią większej całości, odnaleźć sens w byciu ogniwem mocnego i długiego łańcucha. Widział tutaj ten łańcuch, pod bazarowymi garniturami i garsonkami, i zazdrościł tym wszystkim ludziom. Zazdrościł tak bardzo, że aż bolało, ponieważ czuł, że jemu nigdy to nie będzie dane, nawet na najszcześniejszej emigracji pozostanie zawsze i wszędzie bezdomnym bez ojczyzny.

– Panie prokuratorze? – Klara zmaterializowała się obok w beżowej, zwiewnej sukience. Otworzył usta, chciał przeproszać.

– Z Markiem już lepiej, odzyskał przytomność, udało mi się nawet z nim zamienić dwa słowa. Zobaczyłam cię i pomyślałam, że może chciałbyś wiedzieć.

– Dziękuję. To doskonała wiadomość. Chciałbym...

– Daj spokój, nie musisz przeproszać. Tam na dole, z Markiem, nie było w tym nic z twojej winy, mam tylko nadzieję, że ten dziad doczeka ostatniego oddechu za kratami. A jeśli chodzi o nas, cóż, jesteśmy dorośli. Spędziliśmy razem kilka chwil, które uważam za wyjątkowo mile. Dziękuję.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– To ja dziękuję.

Skinęła głową, stali bez słowa, cisza była krępująca i w innych okolicznościach pewnie poszliby do łóżka, żeby jej nie słyszeć.

– Nie spytasz mnie, czy nasikałam na test?

– Nie spędza mi to snu z powiek. To byłby zaszczyt zostać ojcem twojego dziecka.

– No proszę, jednak potrafisz się zachować. Skoro tak, to... – stanęła na palcach i cmoknęła go w policzek – ...do zobaczenia. To małe miasto, na pewno będziemy na siebie wpadać co chwila.

Pomachała na pożegnanie i szybkim krokiem odeszła w stronę katedry. Szacki wrócił myślami do Dybusa, do podziemia, do Wilczura, do sprawy. I do męczącego jak zgaga pytania: jak? Jak, kurwa, jak? Nawet zakładając znajomość przez niego systemu tuneli, nawet zakładając, że w każdej bramie jest do nich wejście, to jak ten staruszek poradził sobie z trupami? Powiedzmy, że Budnikowa była lekka, jej mąż też chuderlawy, ale Szyller to już kawał przypakowanego byka. I co? Ma uwierzyć, że Wilczur go uśpił, a potem wrzucił na plecy i ukrzyżował w podziemiach? Że zadał sobie trud zatargania Budnika na piętro dworku przy Zamkowej? A Budnikowa? Przecież nie mógł wiedzieć, że akurat tego dnia o tej godzinie postanowi wyprowadzić się do kochanka. Obserwował posesję? Jak? Przez kamery?

No i napis na obrazie w katedrze. Wilczur był Żydem, kilka razy dał się poznać jako znawca kultury żydowskiej, potrafił cytować z

pamięci Pismo po hebrajsku. Czy zrobiłby tak oczywisty błąd? Czy odwróciłby po dziecinnemu literkę w prostym słowie? Nie miałoby to przecież żadnego celu w jego planie. Czy to znaczy, że miał współnika? To by też tłumaczyło jego milczenie. To byłaby doskonała strategia, ale też gwarancja, że nikogo przez przypadek nie wyda.

Rozbolała go głowa, pomyślał, że to pewnie z głodu, zbliżała się pora obiadu, a on od rana nie miał niczego w ustach. Przedarł się przez zapach jabłoni kwitnących w ogrodzie przy katedrze i wspiął na poziom rynku, bez zastanowienia skierował swoje kroki prosto do Trzydziestki. Miejsca, gdzie szedł zawsze, kiedy nie miał ochoty na eksperymenty, gdzie pewnie żaden krytyk kulinarny nie dotrwałby do deseru i gdzie podawano najlepszą kaszę gryczaną na świecie. Nie chciał nawet myśleć, ile razy sympatyczna kelnerka stawiała przed nim kawał świeżutkiej karkówki z grilla w towarzystwie suszonych śliwek, góry kaszy i kufla zimnego piwa. Nie chciał, bo bał się, że jego wątroba podsłucha.

– Nasze stoliki są chyba w różnych wymiarach czasoprzestrzeni, panie prokuratorze – dobiegł go z tyłu zrzędlawy głos.

Odwrócił się i zdębiał. Przy stoliku obok siedziała jego była przełożona, szefowa prokuratury rejonowej Warszawa-Śródmieście, o której myślał zawsze jako o najmniej atrakcyjnej kobiecie świata. Cóż, jeden rzut oka po paru miesiącach rozłąki utwierdził go w przekonaniu, że zawsze miał rację. Szara twarz była tak samo szara, brunatne strąki lekko falujących włosów tak samo brunatne, zamiana urzędowego szarego żakietu na czerwony sweter zamiast złagodzić przygnębiające wrażenie, tylko je wzmacniała. Janina Chorko wyglądała jak kobieta, która wysłała prośbę do fundacji spełniającej życzenia śmiertelnie chorych, a fundacja przebrała ją w coś wesołego na ostatnie chwile. Upiorny efekt.

– Dobrze panią widzieć, pani prokurator. Doskonale pani wygląda.



Chorko nie była sama, razem z nią była Maria „Misia” Miszczyk ze swoim mężem, zaskakująco przystojnym, w typie George'a Clooneya, dwójka ich dzieci miała około piętnastu-szesnastu lat, chłopak już teraz wyglądał jak kłopoty, dziewczynka w typie prymuski miała trochę zgaszoną urodę, ale jej oczy rzucały tak inteligentne błyski, że Szacki bałby się z nią zmierzyć na riposty.

Mimo skłonności mamy do nadmiaru cielesności i jej talentu do pieczenia ciast cała trójka była szczupła i wysportowana. Szackiemu zrobiło się nagle przykro, że Chorko z nimi siedzi, dla jej wymęczonej samotnej szarości bolesne musiało być obserwowanie tej szczęśliwej, pięknej rodziny.

– Nie wiedziałem, że panie się znają – powiedział cokolwiek, nie chcąc, żeby Chorko zauważyła emocje rysujące się na jego twarzy.

– Nie wiem, jak to o panu świadczy jako o śledczym, prokuratorze – zauważyła zgryźliwie. – Nie wyszedł pan, że dwie pana szefowe razem studiowały.

Miszczyk wybuchnęła śmiechem, Chorko do niej dołączyła. Nigdy nie słyszał śmiechu swojej byłej szefowej. A śmiała się ślicznie, radośnie, wygładzały jej się zmarszczki i rozżarzały oczy, nawet jeśli nie stawała się ładna, to przynajmniej przestawała przypominać pomoc naukową dla studentów medycyny.

– Ale, ale – powiedziała prokurator Janina Chorko. – Zwykle trzymam prywatne życie jak najdalej od świata zbrodni, lecz teraz... To jest prokurator Teodor Szacki, opowiadałam ci, Mariuszkule, że jakbyś chciał mimo wszystko iść na prawo, to musisz pisać dyplom z jego spraw, niezwykle historie w niezwykle sposób rozwikłane. A to mój mąż Jerzy, syn Mariusz i przysposobiona przez nas dziewczynka, Luiza.

– Jak to przysposobiona? – obruszyła się Luiza, ściągając na siebie uwagę.

– Bo to niemożliwe, żebym urodziła córkę, która w ten sposób trzyma łokcie na stole.

– Aha, więc to żart. Szkoda, już się ucieszyłam, że odnajdę swoją prawdziwą rodzinę...

– Proszę nie zwracać na nią uwagi, to ten wiek.

– ...po pełnych przygód poszukiwaniach, które w końcu nadadzą mojemu życiu jakiś sens.

– Proszę siadać, napijemy się, Janka prowadzi. – Mąż Chorko, jak się zaskakująco okazało, uśmiechnął się szeroko i zrobił miejsce Szackiemu na drewnianej ławce.

Ale prokurator Teodor Szacki stał w miejscu, nawet nie starając się ukryć zdumienia. To niemożliwe, przepracował z tą kobietą dwanaście lat, mając ją zawsze za zgorzkniałą starą pannę, która na dodatek czyni mu dyskretne, wprawiające w zakłopotanie awanse. Przez dwanaście lat było mu przykro, że je odrzuca, przez dwanaście lat regularnie pił jej zdrowie, myśląc, że świat jest niesprawiedliwy, że musi gdzieś być ktoś, może nie z pierwszej ligi, ale przynajmniej z obiema rękami i nogami, kto pochyli się nad nią z litości, obdarzy nawet jeśli nie miłością, to odrobiną sympatii i wnie- sie choć maciupinkę światła w jej szarobure życie.

Jak widać, martwił się niepotrzebnie. Jak widać, są legendy, w których nie ma ziarna prawdy. W których wszystko od początku do końca jest kłamstwem.

Wszyscy kłamią, powiedział umierający ojciec Basi Sobieraj.

– O kurwa – powiedział na głos.

Nie widział reakcji biesiadników na to nieoczekiwane zagajenie, ponieważ nagle, w końcu, jedna prosta myśl sprawiła, że runął mur, w który walił głową od początku tego śledztwa. Legendy, w których nie ma ziarna prawdy, w których wszystko jest kłamstwem. Wszystko! Zaczął przesuwać w myślach sceny śledztwa, od

pierwszego zamglonego poranka pod synagoga, zakładając, że wszystko jest kłamstwem. I poderżnięte gardło, i brzytwa, i misterium krwi, i miejsce znalezienia ciała, i cała żydowska mitologia, i cała polska antysemicka mitologia, i dworek, i beczka, i malowidło w katedrze, i napis, i wszystkie te obrazy, które tak skwapliwie podsuwano mu pod nos.

– O kurwa – powtórzył, tym razem głośniej, i rzucił się biegiem przez rynek.

– Chyba nie chcę być prawnikiem – usłyszał jeszcze z tyłu komentarz syna Chorko.

Jeszcze nigdy żaden proces myślowy w jego głowie nie przebiegł tak szybko, jeszcze nigdy tyle faktów w tak krótkim błysku nie połączyło się w jeden nierozzerwalny logiczny ciąg, który miał tylko jeden możliwy wynik. To było doświadczenie z pogranicza choroby, myśli przeskakiwały po neuronach w epileptycznym tempie, szara materia świeciła się platynowo od nadmiaru informacji, bał się, że coś mu się stanie, że jego mózg tego nie przerobi, że się zadławi. Ale było też w tym coś z narkotycznej euforii albo religijnej ekstazy, niedające się powstrzymać podniecenie, niepozwalające się opanować emocje. Kłamstwo, kłamstwo, wszystko kłamstwo, iluzja, ściema. W tym natłoku lunaparkowych atrakcji, w dekoracjach zbrodni, w nadmiarze faktów i ich interpretacji przeoczył najważniejsze szczegóły, a przede wszystkim najważniejszą rozmowę.

Kiedy wpadł do Ratuszowej, musiał mieć obłąd w oczach, bo mroczny kelner porzucił swoją flegmę i bojaźliwie schował się za bar. W środku prawie nikogo nie było, pod ścianą siedziały dwie rodziny zabłąkanych turystów, musiały być naprawdę bardzo głodne, skoro zdecydowały się tu zostać na posiłek.

– Gdzie są te meneliki, co tu zwykle siedzą? – wrzasnął do kelnera, ale zanim tamtemu słowa precyzyjnie się przez gardło, napakowany hormonami system nerwowy Szackiego udzielił mu

odpowiedzi i prokurator wybiegł, pozostawiając za sobą kolejne zdumione osoby, które tak samo jak towarzystwo w Trzydziestce spojrzały po sobie i nakreśliły kółko na skroni.

Najważniejszą rozmowę odbył z człowiekiem z zewnątrz, mądrym człowiekiem, który oceniał fakty nie na tle sandomierskiego piekiełka, tylko po prostu jako fakty. W czasie tej rozmowy irytował się na Jarosława Klejnockiego, zżymał na jego styl, denerwowała go fajeczka i wykształciuchowa gadka, znowu atrybuty zasłoniły prawdę. A prawda była taka, że Jarosław Klejnocki rozwiązał sandomierską zagadkę przed tygodniem, tylko on był zbyt głupi, zbyt utopiony w kłamstwie, zbyt pograżony w detalach, żeby to dostrzec. Szacki minął sprintem pocztę, przebiegł Opatowską, cudem nie przewracając starszej pani wychodzącej ze sklepu z rękodziełem, przeleciał przez przejazd Bramy Opatowskiej i dysząc, zatrzymał się koło małego skwerku. Mało nie zawył ze szczęścia, kiedy zobaczył na ławce tego samego menela, co wczoraj. Dopadł facecika, na niedużej trójkątnej twarzy ozdobionej odstającymi uszami pojawił się strach.

– Panie, co pan...

– Pan Gąsiorowski, tak?

– Eee, a kto pyta?

– Urząd Prokuratorski Rzeczypospolitej Polskiej, kurwa mać, pyta! Tak czy nie?

– Darek Gąsiorowski, bardzo mi przyjemnie.

– Panie Darku, pan może nie pamięta, ale kilka dni temu widzieliśmy się pod Ratuszową. Wychodziłem razem z inspektorem Leonem Wilczurem, pan nas zaczepił.

– No tak, pamiętam.

– O co chodziło? Co pan od niego chciał?

– Żeby Leo nam pomógł, bo znamy się kopę lat, a jak poszliśmy normalnie na policję, to nas wyśmiali.

– Żeby w jakiej sprawie pomógł?

Gąsiorowski westchnął, potarł nos nerwowym gestem, wyraźnie nie miał ochoty na ponowne kpiny.

– To bardzo ważne.

– Jest taki jeden gość, fajny gość, który wędruje po okolicy. Przyjaciel mój.

– Włóczęga?

– Nie właśnie, podobno nawet gdzieś ma dom, on tylko lubi wędrować.

– I?

– I on, ja w ogóle myślę, że to jakaś choroba, nie ten teges do końca, rozumie pan, bo on jak wędruje, to można zegarek regulować. Wiadomo, kiedy w jakim miejscu o której będzie. To znaczy, ja wiem na przykład, kiedy będzie tutaj, to się wtedy spotykamy na wino i pogadać.

– I?

– I ostatnio nie przyszedł. Dwa razy nie przyszedł. A to mu się nigdy nie zdarzyło. Poszłem na policję, żeby może się dowiedzieli, bo on bywał i w Tarnobrzegu, i w Zawichoście, i Dwikozach, i chyba Opatowie też. Żeby sprawdzili, bo jak mówię, on nie do końca ten teges, mógł na przykład dostać tej choroby, co się nic nie pamięta. Albo przecież on chodził po drogach, to wypadek czy coś, wtedy chciałby, żeby ktoś go odwiedził w szpitalu, prawda? – Zawiesił wzrok na opatrunku Szackiego.

– Prawda. Wie pan, jak on się nazywa?

– Tolo.

– Anatol?

– Tak, chyba tak. A może Antoni, też tak czasem mówią.

– A dalej?

– Fijewski.

– Poważnie?

– No.

– Pan Anatol ma nazwisko Fijewski?

– A co w tym dziwnego?

– Nieważne. Dziękuję.

Szacki zostawił Gąsiorowskiego, wyjął komórkę.

– A nie powinienem go opisać czy coś? – krzyknął facecik, podnosząc się z ławki.

– Nie trzeba! – odkrzyknął Szacki.

Spojrzał na stojący po drugiej stronie ulicy Nazaret, wzrok ześlizgnął mu się na kościół Świętego Michała, przylepiony do barokowego gmachu seminarium.

Święty Archaniele Michale, pogromco zła, patronie wszystkich walczących o sprawiedliwość, opiekunie policjantów i prokuratorów, wysłuchaj swojego wiernego sługi i spraw, żeby nie było za późno. I żeby raz w tym pieprzonym kraju dało się coś załatwić w urzędach po godzinach pracy.

## **Rozdział trzynasty**

*poniedziałek, 27 kwietnia 2009*

Światowy Dzień Grafika, w Sierra Leone i Togo – Dzień Niepodległości. Kardynał Stanisław Dziwisz kończy siedemdziesiąt lat. W serwisach kryzys ekonomiczny zostaje wyparty przez świńską grypę, w Izraelu ze względu na koszerność nazwanej „meksykańską”. Stan Iowa legalizuje śluby homoseksualne, General Motors ogłasza koniec pontiaca, a Bayern Monachium koniec Jürgena Klinsmanna na posadzie trenera klubu. W Polsce Jadwiga Staniszkis twierdzi, że Lech Kaczyński nie wystartuje w przyszłorocznych wyborach prezydenckich, Czesław Kiszczak, że wprowadzenie stanu wojennego było legalne, a 26 procent katolików, że zna księży, którzy żyją w konkubinacie. W świętokrzyskim grasuje puma. W Sandomierzu zapada decyzja o budowie nowoczesnego boiska przy II LO, a obok innego istniejącego boiska łupem zuchwałych złodziei pada kolejna komórka – tym razem pozostawiona w reklamówce na ziemi. Piękna wiosna, słonecznie, temperatura powyżej 20 stopni. Sucho, w lasach zagrożenie pożarowe.

Przyjście tutaj było niezmiernie, niesłychanie głupie, czuje strach, ale przede wszystkim złość. Złość, że teraz głupi przypadek może zakończyć sprawę. Co prawda, w urzędzie jest jak zwykle tłum ludzi, tłoczący się interesanci z całego województwa, zbiór przypadkowych osób, które nigdy wcześniej się nie widziały i nigdy więcej nie zobaczą. Taki tłum to z jednej strony bezpieczeństwo, z drugiej zagrożenie, wielkie zagrożenie. Czuje przepływające przez ciało fale paniki, kurczowo trzymany w zaciśniętej dłoni kwitek z numerkiem zamienia się w wilgotny strzęp, zauważa to i wsadza go do portfela.

Ping, przed nim jeszcze dwie osoby. Dwie osoby! Panika walczy z uczuciem euforii. Dwie osoby, krótka wizyta przy okienku, wyjście i... koniec, nareszcie koniec!

Panika wygrywa. Próbuje zająć czymś myśli, żeby zabić czas, czyta po raz kolejny wiszące na ścianie regulaminy i urzędowe obwieszczenia, czyta instrukcję obsługi gaśnicy, ale to tylko pogarsza sprawę, nie potrafi zrozumieć najprostszego słowa, uniemożliwia to gonitwa myśli, narastająca histeria. Czuje mdłości i mrowienie w dłoniach, przed oczami zaczynają latać czarne płatki. Jeśli zemdleje to koniec, koniec! Ta myśl dudni w głowie coraz głośniejsze i coraz szybciej, im bardziej nie chce się jej poddać, tym bardziej dudni, tym większe przerażenie, tym większy rozmiar czarnego śniegu, który coraz gęściej sypie przed oczami. Powietrze z trudem wciska się do płuc, boi się, że nie wydusi słowa, że zrobi się zamieszanie, że to zamieszanie to będzie koniec! Koniec! Koniec! Wszystko na marne, reszta życia w więzieniu, ból, zamknięcie, samotność. Koniec!!!

Ping, jeszcze jedna osoba.



Nie, nie da rady, po prostu pomału wyjdzie i zapomni o tym głupim pomysle. Odwraca się i robi dwa kroki w stronę drzwi, ciało za bardzo nie słucha i przelewa się przez nie nowa fala paniki, mdłości wracają ze wzmożoną siłą, strach wpycha żółć do gardła. Pomału, pomalutku, bardzo powoli, uspokaja się w myślach, stawiając małe kroczyki.

Ping, od razu, niemożliwe, ktoś zrezygnował! To znak! Podchodzi do okienka na miękkich nogach, ma wrażenie, że świeci na różne kolory, że panika wyskakuje na czerwono na monitorach ochrony. Trudno, teraz nie ma już odwrotu. Podaje dowód osobisty, odpowiada na kilka obojętnie zadanych pytań, czeka, aż urzędniczka skończy. Podpisuje się na formularzu odbioru, urzędniczka podaje świeżutki paszport, bordowe okładki połyskują w słońcu, przeciskającym się między wertykalami. Dziękuje grzecznie i odchodzi.

Po chwili stoi już przed wielkim, przypominającym szpital Świętokrzyskim Urzędem Wojewódzkim w Kielcach. I myśli, że zbrodnia doskonała jednak istnieje, wystarczy odrobina pracy i pomysłu. Kto wie, może kiedyś komuś o tym opowie, może napisze książkę, zobaczymy. Teraz chce się nacieszyć wolnością. Chowa paszport do kieszeni, wyciera spocone ręce o polarową bluzę, uśmiecha się szeroko i wolnym krokiem idzie w stronę Warszawskiej. Jest piękny, słoneczny dzień, w taki dzień nawet Kielce wydają się ładne. Uspokaja się, wyluzowuje, uśmiecha do ludzi zmierzających szybkim krokiem do wejścia do urzędu, krokiem właściwym dla stolicy województwa. Stojący na dole schodów policjanci nie robią wrażenia, w końcu są na właściwym miejscu, strzegąc porządku w siedzibie władzy.

Euforia rośnie, coraz szerzej uśmiecha się do mijanych ludzi i kiedy prokurator Teodor Szacki odpowiada uśmiechem, w pierwszej chwili nawet nie czuje, że coś jest nie tak, ot, sympatyczny facet w średnim wieku, chyba przedwcześnie posiwiały. To trwa ułamek

sekundy. Następny ułamek sekundy trwa myśl, że to ktoś bardzo podobny, że zaszczyty umysł płata figle. A w następnym ułamku sekundy już wie, że zbrodnia doskonała jednak nie istnieje.

– Tak, słucham pana? – próbuje jeszcze w geście rozpaczy rznąć głupa.

– To ja pana słucham, panie Anatolu – odpowiada prokurator.

Później, już w Sandomierzu, w czasie trwającego wiele godzin przesłuchania, kiedy morderca przyznał się do wszystkiego, prokurator Teodor Szacki musiał zmierzyć się z dziwnym uczuciem. Zdarzało mu się wobec przesłuchiwanym czuć empatię, zdarzało współczucie, ba, zdarzało mu się nawet szanować tych, którzy zgrzeszyli i mieli odwagę stawić temu czoło. Ale chyba po raz pierwszy w swojej karierze czuł dla przestępcy może nie podziw, ale uczucie mu bliskie, niepokojąco bliskie. Bardzo się starał tego nie okazać, mimo to, poznając kolejne szczegóły przestępstwa, co jakiś czas myślał, że jeszcze nigdy nie był tak blisko zbrodni doskonałej.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA PODEJRZANEGO. Grzegorz Budnik, urodzony 4 grudnia 1950 roku, zamieszkały w Sandomierzu przy ulicy Katedralnej 27, wykształcenie wyższe chemiczne, przewodniczący Rady Miejskiej miasta Sandomierz. Stosunek do stron: mąż Elżbiety Budnik (ofiara). Niekarany, pouczony o obowiązkach i prawach podejrzanego, wyjaśnia, co następuje:

Niniejszym przyznaję się do zabójstwa mojej żony, Elżbiety Budnik, i Jerzego Szyllera oraz do uprowadzenia i zabójstwa Anatola Fijewskiego. Pierwszego zabójstwa, Elżbiety Budnik, dokonałem w Sandomierzu w Poniedziałek Wielkanocny 13 kwietnia 2009 roku, a motywem mojego postępowania była nienawiść wobec żony, o której od dawna wiedziałem, że ma romans ze znanym mi Jerzym Szyllerem, i która tego dnia zapowiedziała, że w związku z tym chce zakończyć nasze małżeństwo, trwające od 1995 roku. Tego samego

dnia wprowadziłem w życie plan, który miał doprowadzić do śmierci Jerzego Szyllera i do tego, abym uniknął odpowiedzialności karnej. Plan ten miałem przygotowany od wielu tygodni, ale do pewnego momentu nie traktowałem go serio, był to pewien rodzaj rozrywki intelektualnej...

Budnik mówił, Szacki słuchał, na cyfrowym dyktafonie przesłuchiwały cyferki. Przewodniczący Rady Miejskiej, a jeszcze do niedawna zimny trup, dość beznamiętnie opisywał wydarzenia, ale były momenty, kiedy nie potrafił ukryć dumy i Szacki zrozumiał, że ta intryga, ten jeden jedyny przebłysk geniuszu, który się przytrafił w jego urzędniczym życiu, to największy sukces tego człowieka. A raczej drugi największy, pierwszym było doprowadzenie do ołtarza Elżbiety Szuszkiewicz. Budnik wyczerpująco i ze szczegółami relacjonował swoje działania, a Szacki myślał o ich poprzedniej rozmowie, kiedy – jak się okazało, słusznie – był przekonany o winie Budnika. I jak przypominał mu się Gollum z *Władcy Pierścieni*, postać owładnięta obsesją posiadania „skarbu”, dla której nie liczy się nic innego, nie liczy się nawet skarb jako taki – jedynie jego posiadanie. Bez posiadania skarbu Budnik był nikim i niczym, stał się pustą skorupą, pozbawioną wszelkich naturalnych i kulturalnych hamulców, zdolną do planowania i dokonywania zabójstw z zimną krwią. Skala zbrodni była straszna, ale bardziej przerażająca była skala obsesji Budnika na punkcie swojej żony. Szacki słuchał o podziemiach, słuchał o przygotowaniach, o głodzonych psach, o upodabnianiu się tygodniami do biednego włóczęgi, aby ukraść mu tożsamość, słuchał wytłumaczeń mniejszych i większych zagadek, których rozwiązanie i tak było jasne, odkąd wpadł na to, że Budnik musi być mordercą. Ale gdzieś tam w głębi zastanawiał się bez przerwy: czy to jest prawdziwa miłość? Tak obsesyjna, tak wyniszczająca, zdolna do największych poświęceń i największych zbrodni? Czy w ogóle można mówić o miłości, dopóki nie dozna się

emocji tak silnych? Dopóki nie zrozumie się, że w porównaniu z nią cała reszta jest nieważna?

Prokurator Teodor Szacki nie był w stanie wyrzucić tych rozważań z głowy. I bał się, ponieważ było w nich coś profetycznego, coś, co sprawiało, że nie mógł traktować ich tylko teoretycznie. Jakby opatrność szykowała dla niego największą próbę, a on szóstym zmysłem odczuł, że przyjdzie mu zważyć na jednej ręce miłość, a na drugiej czyjeś życie.

Budnik mówił monotonicznie, kolejne elementy wskakiwały na swoje miejsce, układanka wyglądała jak gotowy do oprawienia obraz. Zwykle w takich chwilach prokurator Teodor Szacki czuł spokój, teraz wypełniał go dziwny, irracjonalny lęk. Grzegorz Budnik nie planował, że zostanie zabójcą. Nie urodził się z tą myślą i nigdy mu ona nie towarzyszyła. Po prostu pewnego dnia uznał, że to jedyne wyjście.

Dlaczego on był dziwnie przekonany, że dla niego taki dzień także nadejdzie?

Zatrzymanie Grzegorza Budnika to była bomba, w serwisach informacyjnych nawet świńska grypa zeszła na drugi plan, sandomierzenie nie mówili o niczym innym – a Basi Sobieraj ogólne zamieszanie pozwoliło ściemnić mężowi, że nie wiadomo, do kiedy będą pracowali w prokuraturze, i tak oto wylądowali w mieszkaniu u Szackiego, żeby chora na serce mężatka z piętnastoletnim stażem mogła z zaangażowaniem prymuski odkrywać swoje strefy erogenne.

Bawili się świetnie i Szacki w pewnej chwili znów zakochał się w Basi Sobieraj. Tak szczerze i po prostu. I to było bardzo mile uczucie.

- Misia mówiła, że zachowywałeś się jak wariat.
- Tak to mogło wyglądać, przyznaję.
- Wtedy na to wpadłeś?
- Aha.
- Wiesz, że to mnie podnieca?
- Co znowu?
- Że jesteś geniuszem kryminalistyki.
- Cha, cha.
- Nie śmieję się, naprawdę. Przecież to już była rozwiązana sprawa, jak ci to przyszło do głowy?
- Przez ziarno prawdy.
- Nie rozumiem.
- Mówi się, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy.

– Jest.

– Ale są takie legendy, jak ta cholerna antysemicka legenda o krwi, w której nie ma prawdy ani kropli, która w stu procentach jest kłamstwem i zabobonem. Myślałem o tym wtedy na rynku, nieważne dlaczego. I przypomniało mi się, co mówił twój ojciec. Że wszyscy kłamią, że nie wolno zapominać, że wszyscy kłamią. I nagle pomyślałem o tej sprawie jak o jednym wielkim kłamstwie. Co by to oznaczało, gdyby założyć, że nie ma w niej nic prawdziwego, że wszystko to kreacja. Co zostanie, jeśli odrzucić sprawy sprzed siedemdziesięciu lat, mordy rytualne, rytualne uboje, hebrajskie napisy, cytaty biblijne, wściekle psy, mroczne podziemia i beczki najeżone gwoździami. Co się stanie, jeśli uznam, że wszystkie dowody i poszlaki, które od początku napędzały nasze śledztwo, to kłamstwo. Co zostanie?

– Trzy trupy.

– Właśnie że nie. Trzy trupy to kreacja, kłamstwo, trzy trupy są po to, żebyśmy się zastanawiali nad trzema trupami.

– No to trzy razy jeden trup.

– Dokładnie. Czuję, że to właściwe myślenie. Ale to jeszcze nie był ten moment. Wiedziałem już, że nie trzy trupy, tylko trzy razy jeden trup. Wiedziałem, że aby coś zobaczyć, muszę te trupy obdrzeć ze scenografii. Wiedziałem, że muszę ucześcić się tego, co przyszło z zewnątrz, co było obiektywne, co nie zostało nam narzucone, nie zostało spreparowane, jak na przykład znaczek rodła w dłoni denatki.

– Elżbiety – cicho mruknęła Basia.

– No wiem, dobrze, Elżbiety, przepraszam – powiedział Szacki w zaskakująco dla siebie czuły sposób, przytulił do siebie szczupłe ciało kochanki i pocałował w pachnące migdałowym szamponem włosy.

– No i co przyszło z zewnątrz?

– Raczej kto.

– Klejnocki?

– Brawo! Pamiętasz, jak siedzieliśmy w czwórce? My, Klejnocki i Wilczur. Pod wielkim zdjęciem trupa twojej koleżanki wyświetlonym na ścianie. Znowu przytłoczyła nas scenografia. To zdjęcie, irytujący sposób bycia Klejnockiego, jego fajeczka, jego rozważania lingwistyczne. Sporo się wtedy działo, chcieliśmy dużo i szybko, a on mówił rzeczy, zdawałoby się, oczywiste, jego rozważania wydawały się ubogie, bo nie wiedział tyle, co na przykład ty o Sandomierzu, o Budnikach, o relacjach między ludźmi. Ale on powiedział najważniejszą dla naszego śledztwa rzecz: że kluczem do zagadki jest pierwsze zabójstwo i stojące za nim motywy. Że pierwsze zabójstwo zostało dokonane pod wpływem największych emocji, a następne to już realizacja jakiegoś planu. Na pierwszej ofierze została wyładowana złość, nienawiść, żółć, druga natomiast została po prostu, jeśli można tak powiedzieć, zamordowana. I zacząłem myśleć. Jeśli nie potraktujemy trzech zabójstw jako całości, jeśli skupimy się na pierwszym, najważniejszym i zapomnimy na chwilę o dekoracjach, to sprawa jest oczywista. Mordercą musi być Budnik. Miał motyw w postaci zdrady żony, miał sposobność, kompletnie zerowe alibi, kręcił w zeznaniach, okłamywał nas.

– Tylko kto by podejrzewał trupa? – Basia Sobieraj wstała, założyła na siebie koszulę Szackiego i wyjęła z torebki babskie papierosy.

– Ty palisz?

– Paczkę na dwa tygodnie. Bardziej hobby niż nałóg. Mogę tutaj czy mam iść do kuchni?

Szacki machnął ręką, sam zwłókł się z wyra i sięgnął po własne fajki. Zapalił, gorący dym wypełnił płuca, a na skórze pojawiła się



gęsia skórka; wiosna może i przyszła, ale noce ciągle były zimne. Owinął się kocem i zaczął dla rozgrzewki chodzić po mieszkaniu.

– Nikt nie podejrzewa trupa, proste – kontynuował prokurator.  
– Niemniej gdyby nie trup Budnika, to sprawa byłaby jasna, bo w przypadku Szyllera też on był najbardziej naturalnym podejrzanym. Pozostawało zastosować się do starej zasady Sherlocka Holmesa, że jak wyeliminujemy wszystkie możliwości, to ta, która pozostaje, choćby najbardziej nieprawdopodobna, musi być prawdziwa.

Sobieraj zaciągnęła się papierosem, chłód sprawił, że jej widoczne w niedopiętej koszuli piersi zrobiły się wyjątkowo ponętne.

– Dlaczego tego nie zauważyliśmy? Ty, ja, Wilczur.

– Iluzja – wzruszył ramionami Szacki. – Chyba najgenialniejszy z pomysłów Budnika. Wiesz, na czym zazwyczaj polegają sztuczki prestidigitatorskie? Na odwróceniu uwagi, prawda? Kiedy jedna ręka tasuje w powietrzu dwie talie kart albo zamienia płonąca bibułę w gołębia, nie masz ani czasu, ani ochoty na patrzenie, co robi druga. Rozumiesz? My byliśmy idealnymi widzami pokazu z różnych powodów. Ty i Wilczur na tyle tutejsi, że wszystko miało dla was zbyt duże znaczenie. Ja na tyle obcy, że nie potrafiłem oddzielić spraw ważnych od nieważnych. Cały czas patrzyliśmy na cylinder i królika. Na obrazy w kościołach, na cytaty z Ewangelii, na beczki, na gole zwłoki w miejscu starego kirkutu. Mniej spektakularne rzeczy umykały naszej uwadze.

– Na przykład?

– Na przykład lessowy piasek za paznokciami Budnikowej. Jak komuś wyjmiesz z dłoni tajemniczy symbol, to paznokcie cię nie interesują. A gdyby zainteresowały, wcześniej byśmy zaczęli myśleć o podziemiach. Na przykład pokryte krwawą politurą nogi drugiej ofiary. Widzisz coś takiego, jeszcze ta beczka na dodatek, i nie myślisz, dlaczego urzędnik magistratu ma pokiereszowane, posiniaczone, nieforemne stopy.

– Stopy włóczęgi...

– Właśnie. Ale to cały czas we mnie siedziało, takie małe szczegóły, cały czas przypominające o swoim istnieniu. Słowa Klejnockiego, to raz. Słowa twojego ojca, to dwa.

– Że wszyscy kłamią?

– Te też, ale były inne, które swędziały. Najpierw myślałem, że chodzi o przechodzenie nienawiści z pokolenia na pokolenie, w kontekście Wilczura to było oczywiste. Ale on mówił o życiu w małym miasteczku, jak każdy każdemu w okno zagląda, że jak się żona puści, to potem trzeba obok kochanka stać w kościele. Cholera, gdzieś tam cały czas miałem tego Budnika w tyle głowy, cały czas wychodził, ale spychałem takie rozwiązanie, bo było zbyt fantastyczne. Dopiero kiedy zacząłem rozważać tę opcję, to się poukładało. Weź odwróconą literę na obrazie, rabin w Lublinie mówił, że żaden Żyd nie robi takiego błędu, tak samo jak my byśmy nigdy nie napisali B z brzuskami po lewej stronie. To nie wskazuje na Wilczura. Wskazuje na kogoś, kto tak w ogóle się orientował, ale musiał co chwila zaglądać do wikipedii, żeby dograć szczegóły. A Budnik orientował się „w miarę”, interesował się przecież obrazem, walczył o prawdę o nim, na tyle był otrząskany z antysemitycznymi obsesjami, że dokładnie wiedział, którymi strunami szarpnąć.

To nie jedyny jego błąd zresztą. Wcisnął w martwą dłoń swojej żony rodło, bo w tym zalewie żółci – znowu Klejnocki – chciał za wszelką cenę zaszkodzić Szyllerowi, pograżyć go. Nie pomyślał, że jak tylko trafimy do Szyllera, to od romansowej historii jak piłka kauczukowa odbijemy się prosto na jego próg. A może pomyślał, tylko sądził, że Szyller się nie wygada w trosce o dobre imię kochanki? Cholera wie. Tak czy owak, gdyby Szyller nie pojechał do stolicy, gdybym przesłuchał go dzień wcześniej – on by żył, a Budnik by siedział od tygodnia.

Sobieraj skończyła papierosa, myślał, że wróci pod kołdrę, ona jednak wróciła do grzebania w torebce, wyjęła telefon.

– Dzwonisz do męża?

– Po pizzę do Modeny. Dwie romantiki? – zatrzepotała komediowo rzesami.

Zgodził się chętnie i zaczekał, aż Basia złoży zamówienie, po czym zaciągnął ją z powrotem pod kołdrę. Nie na seks, tak po prostu chciał się przytulić, wygadać.

– A ta sprawa z Wilczurem? – spytała. – To jakaś ściema? O co chodzi? Wypuścili go w ogóle?

– Wypuścili, wypuścili. Powiedział mi, że ma nieskończenie dobre serce, dlatego nie zgłosi swojego zatrzymania do Ligi Przeciwko Zniesławieniu i nie zrobi ze mnie naczelnego antysemitę Rzeczypospolitej. Jedynie dlatego, że „Fakt” zrobi to za niego.

Parsknęła śmiechem.

– Uroczy starszy pan. A to w ogóle Żyd tak naprawdę?

– Naprawdę, naprawdę. Zresztą cała ta historia jest prawdziwa, tyle tylko, że Wilczur nie wiedział o niej aż tyle, ile nam się zdawało, na przykład nie miał pojęcia, że Elżbieta była wnuczką tej nieszczęsnej położnej, której córka przestraszyła się beczki. Budnik wiedział najwięcej. Sprawa doktora Wajsbrota i tego, co się wydarzyło zimą czterdziestego siódmego, była pilnie strzeżoną rodzinną tajemnicą. Którą Budnik poznał dopiero wtedy, kiedy zakochał się w pannie Szuszkiewiczównie. Jego ojciec, jak pamiętasz, naczelnik ubeckiego aresztu, który nie pozwolił Wajsbrotowi odebrać porodu żony, przerażony tym zbiegiem okoliczności, wyjawiał wszystko synowi na łożu śmierci. Staruszek bał się kłatwy, bał się, że to wszystko nie dzieje się przez przypadek, że to doktor Wajsbrot z za grobu upomina się o sprawiedliwość.

– Coś w tym jest – szepnęła Sobieraj. – Jakkolwiek patrzeć, coś w tym upiornego jest, że te losy połączyły się po raz kolejny. Zwłaszcza teraz, kiedy Budnik dożyje swoich dni w więzieniu.

Szacki wzdrygnął się. Nie myślał o tym w ten sposób, ale Sobieraj miała rację. Wygląda na to, że krążąca po Sandomierzu klątwa wykorzystwała także jego, aby się dopełnić. Przypomniał sobie nagranie ze znikającym we mgle Żydem – to był jedyny aspekt śledztwa, którego nie udało się wyjaśnić. I który zamierzał zachować dla siebie, nie ma potrzeby, aby ślad tego nagrania pozostał w jakichkolwiek aktach.

– Tak – mruknął. – Jakby jakaś opatrność...

– Antyopatrność raczej...

– Masz rację, jakby jakaś antyopatrność pomagała Budnikowi. Dziwne.

Przez chwilę milczeli, przytuleni do siebie, za oknem zegar na ratuszowej wieży wybił dwudziestą trzecią. Uśmiechnął się na myśl, jak bardzo brakowałoby mu teraz tych dźwięków. Pomyśleć, że jeszcze niedawno go irytowały.

– Szkoda tego łazika – westchnęła smutno, mocniej wtuliła się w Szackiego. – Jego, jak rozumiem, żadna klątwa nie dotyczy.

– Nie, chyba, nie mam pojęcia, na pewno nic o tym na razie nie wiemy.

– Boże, nie powinnam tego powtarzać, bo umrzesz przygnieciony własnym ego, ale jesteś takim geniuszem kryminalistyki, wiesz?

Wzruszył ramionami, choć jego ego faktycznie z przyjemnością schrupało ten komplement.

– Taa, kolejne rzeczy, na które powinienem zwrócić uwagę: laptop i zdjęcia rodzinne.

- Jaki laptop?

- Taki styropianowy, do jakiego pakują jedzenie na wynos w knajpach.

- Ty to „laptop” nazywasz?

- No, a co?

- Nieważne, opowiadaj.

- We wtorek kamera złapała Budnika, jak wychodzi z dwoma obiadami z Trzydziestki. To był totalny bezsens, Budnikowej już wtedy nie było, i nie było też żadnego wytłumaczenia, dlaczego potrzebne mu dwa obiady. Należało to dopiero połączyć z innymi faktami. Z tym, że jeśli Budnik ma być mordercą, to musiał kto inny zostać nabity na hak w dworku na Zamkowej. Z tym, że pewien sandomierski menelik uporczywie poszukiwał swojego zaginionego kolegi włóczęgi. No i ze zdjęciami rodzinnymi.

- Nie rozumiem, jakimi zdjęciami?

- Tutaj cały trik polegał na upodobnieniu się w miarę do włóczęgi, tego nieszczęsnego Fijewskiego. Z wyjaśnień wynika, że Budnik do zbrodni przygotowywał się wiele tygodni, miesięcy nawet. To oczywiście brzmi jak bezmiar szaleństwa, ale pamiętaj, że dopóki nie popłynęła żadna krew, mógł to traktować jako perwersyjną zabawę, sprawdzenie, jak daleko potrafi się posunąć. Budnik musiał się chorobliwie zapuścić, schudnąć, rozjaśnić trochę włosy z rudych na ryże, wyhodować brodę. Sztuczka z opatrunkiem była genialna: po raz kolejny odwrócenie uwagi godne iluzjonisty, ale na nic by się nie zdała, gdyby ktoś zaczął mieć wątpliwości, czy trup na Zamkowej jest trupem Budnika. Dlaczego nie mieliśmy wątpliwości, a zwłaszcza ja? Widziałem na przesłuchaniu tego samego chudzielca z ryżą brodą i plastrem. Hak w policzku dodatkowo utrudniał sprawę. Widziałem tę samą twarz w dowodzie, który wyciągnąłem z portfela leżącego przy zwłokach. Tylko nie dało mi do myślenia, niestety, to, że nie ma tam prawa jazdy, a dowód został wydany dwa tygodnie

wcześniej. Nie dało nikomu do myślenia, bo przez ostatnie godziny widzieliśmy wszyscy w telewizji twarz Budnika wziętą skąd? Ze zdjęcia zrobionego w czasie przesłuchania. A czy mogliśmy zobaczyć gdzie indziej jego twarz? Gdybyśmy poszukali, oczywiście. Ale w miejscu najbardziej oczywistym, czyli w jego domu, nie było żadnego zdjęcia gospodarza. Tylko Budnikowej. Wiedział, że dokładnie przeszukamy posesję po jego zniknięciu. Wiedział, że jeśli wszyscy napatrzymy się tam na jego prawdziwą twarz, możemy mieć wątpliwości. A tak mieliśmy pod powiekami tylko chudą gębę z opatrunkiem na czole.

Dzwonek przerwał wyjaśnienia Szackiego, chwilę później zajadali się pizzą i pieczywem czosnkowym, które – jak na ironię – zostało przywiezione właśnie w białym styropianowym laptopie, dokładnie takim, jaki ostatnio prokurator widział w dłoniach mordercy na niewyraźnym filmie nagrany przez kamerę na ratuszu. To sprawiło, że stracił ochotę na to akurat danie. Sobieraj chyba też, bo ani razu nie sięgnęła do pojemnika. Zresztą na pyszną jak zwykle pizzę też chyba nie miała ochoty. Zjadła jeden kawałek, drugi dziubnęła dwa razy i odłożyła.

– Przepraszam, nie mogę jednocześnie jeść i myśleć o tym wszystkim: te lochy, Szyller... Teraz oczywiście rozumiem więcej, sposób w jaki zginął... To potwierdza słowa Klejnockiego. Szyller został najbardziej okrutnie zamęczony, nienawiść do niego była największa. To też wskazywało na Budnika, prawda?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Łazika też trzymał w tych lochach? I jak? Wchodził do nich z piwnicy? Ja nawet nie wiedziałam, że tu jest coś więcej niż ta pieprzona trasa turystyczna, a zaraz się okaże, że z każdej kamienicy można tam wejść.

– Nie można. Budnik wiedział trochę więcej od innych przez przypadek, interesowała go historia miasta, dzięki niemu Dybus z kumplami mógł prowadzić swoje badania. Innych polityków sprawa

przestała obchodzić, kiedy się okazało, że nie zrobią z tego nowej atrakcji turystycznej, dla Budnika był to konik. Konik, który w kluczowym momencie okazał się bardzo przydatny. Oczywiście nie jest tak, że w każdym miejscu można zejść do podziemi. Jest znane ci wejście w Nazarecie i jak wyjaśnia Budnik, i co trzeba będzie sprawdzić, drugie obok zamku, przy tej łące na dole, stoi tam taka rudera. To by się zgadzało, przy odrobinie szczęścia można stamtąd niezauważenie dojść krzakami do synagogi i też krzakami do dworku na Zamkowej, a jak mykniesz przez ogród katedry, to lądujesz na tarasie domu Budników. Stąd wysadzenie chodnika, który prowadzi do tego wejścia. Wskazywałoby ono na Budnika, moglibyśmy wtedy zacząć go szukać. Co prawda, zamierzał być już daleko dzięki paszportowi Fijewskiego, ale wiadomo: strzeżonego...

– Przyznaj się, z tym paszportem strzelałeś?

– Ale celnie. Wpaść na to nie było trudno, kiedy już byłem prawie pewien, czyją tożsamość ukradł. Ale przekonać kilka urzędów, żeby w niedzielę wieczorem sprawdzili, czy to prawda, i kiedy zgłosi się po odbiór... Nie sądzę, żebym napotkał kiedykolwiek większe wyzwanie w swojej karierze. Wiesz, co jest ciekawe? Że najbardziej szkoda mu Dybusa.

– Pieprzony świr. Pomyśleć, że znałam go tyle lat. Ile za to dostanie?

– Dożywocie.

– I dlaczego? Po co? Nie rozumiem.

Szacki też nie rozumiał, nie do końca. Ale ciągle słyszał w uszach słowa Budnika: „Ełę i Szyllera chciałem zabić, naprawdę chciałem, sprawiło mi to przyjemność. Po tych wszystkich miesiącach wyobrażania sobie, co robią razem, po słuchaniu tych kłamstw, opowieści o spotkaniach służbowych z artystami w Krakowie, Kielcach i Warszawie... Pan nie wie, jak to jest, jak taka nienawiść rośnie dzień po dniu, zalewa jak żółć, ja już byłem zdolny

do wszystkiego, byleby nie czuć, jak ten kwas mnie zżera, w każdej minucie, w każdej sekundzie, przez cały czas. Zawsze wiedziałem, że nie jest dla mnie, ale jak mi to powiedziała w końcu prosto w oczy, to było straszne. Zdecydowałem, że skoro ja jej nie mogę mieć, to nikt jej nie będzie miał”.

Może to i lepiej, że tego nie rozumiesz, Basiu, pomyślał Szacki. I że ja tego nie rozumiem, i w ogóle mało kto. I choć docierało do niego wytłumaczenie Budnika, choć rozumiał jego motywy, było w tym wszystkim coś, cholera, na głos mógł to poruszyć tylko w żartach, nie wierzył przecież w klątwy, nie wierzył też, że jakaś energia musi czasami wyrównać rachunki dla porządku wszechświata. Ale jednak było w tym coś niepokojącego. Jakby stare polskie miasto napatrzyło się na zbyt wiele, jakby ta zbrodnia sprzed siedemdziesięciu lat to było za dużo dla tych murów i zamiast wsiąknąć jak zwykle w czerwone cegły, zaczęła odbijać się od nich rykoszetem, aż uderzyła w Grzegorza Budnika.

Zegar na wieży ratuszowej wybił północ.

– Godzina duchów – powiedziała Basia Sobieraj i wśliznęła się do łóżka.

Prokurator Teodor Szacki pomyślał, że duchy na pewno nie przychodzą o północy.



## **Rozdział czternasty**

*piątek, 8 maja 2009*

W kalendarzu żydowskim to Pesach Szeni, czyli „druga Pascha”, święto wyznaczone przez Torę na 14 dzień miesiąca ijar dla tych, którzy nie mogli jej świętować we właściwym terminie i symbol danej przez Boga drugiej szansy. Benedykt XVI odwiedza Jordanię, gdzie na górze Nebo, z której Mojżesz zobaczył Ziemię Obiecaną, mówi o nierozzerwalnej więzi łączącej Kościół i naród żydowski. W Hiszpanii jakiś szczęściarz wygrywa 126 milionów euro na loterii, w Kalifornii powstaje najmniejsza żarówka świata, a brytyjscy Sikho-wie w policji chcą wynalezienia kuloodpornych turbanów. Już tylko miesiąc do wyborów europejskich, wedle sondaży PO wygrywa z PiS na procenty – 47:22. Sandomierz żyje latającym nad miastem helikopterem TVN, historią esbeka prześladowającego opozycję, którego firma ochroniarska obsługuje dziś kościelne obiekty, oraz – jak cały region – odkryciem w Tarnobrzegu pierwszego przypadku świńskiej grypy w Polsce. Policja przyłapuje dwóch 16-latków na paleniu „odurzającego suszu”, ale za to biskup Edward Frankowski wyświęca siedemnastu nowych diakonów, więc równowaga zostaje zachowana. Wiosna w rozkwicie, rano jeszcze padało, ale wieczór piękny, ciepły i słoneczny, znaleźć wolny stolik w rynku – niepodobna.

\*

Nie było chyba w Polsce lepszego miejsca, żeby spędzić leniwy wiosenny wieczór przy kuflu piwa, niż ocieniony kasztanami taras Kordegardy, zwanej wśród bywalców Kordą. Nieco wyniesiony ponad poziom rynku i nieco przez to osobny, był idealny, żeby pograżyć się w obserwacji opływających ratusz turystów, robiących sobie zdjęcia nowożeńców, przylepionych do komórek gimnazjalistów, przylepionych do waty cukrowej dzieciaków i przylepionych do siebie zakochanych.

Prokurator Teodor Szacki czekał na powrót Basi z toalety i beczelnie gapił na siedzących wokół ludzi. Jak zwykle zazdrościł wszystkim ich życia, ckliwie mu jakoś było i tęsknie. Tuż obok niego przy ogrodzeniu tarasu siedziała para tubylców zakochanych w sobie jak nastolatki, choć musieli mieć dobrze po pięćdziesiątce. On w typie zażywno-dyrektorskim i rozchełstanej koszuli, ona w kolorowej bluzce i z zadziornym seksapilem, który bez szwanku przetrwał dekady pieczenia ciast i chowania potomstwa. Bez przerwy rozmawiali o dzieciach, których musieli mieć chyba trójkę, sądząc z obrazowo opisywanych życiowych perypetii – wszystkie w okolicach trzydziestki, wszystkie w Warszawie. O sobie nie powiedzieli ani słowa, bez przerwy snuli barwne opowieści o córkach, zięciach i wnukach, co robią, czego nie robią, co im się udaje, może się udać albo nie udać. On był raczej milcząco nastawiony pozytywnie, ona nakręcała się czasami na czarne scenariusze, wtedy on odchrząkiwał i mówił: „A co ty możesz o tym, Haniu, wiedzieć!”. Ona wtedy na chwilę przestawała, żeby dać mu nacieszyć się uczuciem, że Zdzych oczywiście wie lepiej, a ona – no cóż ona faktycznie może o tym wiedzieć – po czym wracała do narracji. Obserwowanie i podsłuchiwanie ich było rozkoszne, Szacki uśmiechał się i było mu jednocześnie przykro. Wielu dekad pielęgnowania miłości i czułości potrzeba, żeby stać się taką parą. On jedną swoją rodzinę zniszczył,

na drugą był już za stary, nie dla niego będzie wchodzenie w starość z kimś, z kim dzieliło się całe dotychczasowe życie.

Żeby chociaż był młodszy o te dziesięć lat. Po drugiej stronie ogródka migdałiła się taka właśnie para. Oboje wyglądali dość młodo, ale musieli być w okolicach trzydziestki, w pierwszej chwili pomyślał „moje pokolenie”, ale szybko się poprawił. To nie jest już twoje pokolenie, prokuratorze, ty znasz na pamięć wszystkie kawałki Kaczmarek, a dla nich muzyka zaczyna się od Kurta Cobaina. Ty byłeś dorosły, kiedy „Wyborcza” wydała pierwszy numer, dla nich to był jakiś tam świstek, przyniesiony do domu przez rodziców. Niewiele jest na świecie pokoleń, gdzie różnica marnych dziesięciu lat znaczy tyle, co w tym przypadku.

Para była rozmigdalona, rozmaślona i totalnie samowystarczalna, musiał im naprawdę mocno spaść poziom glukozy, że postanowili wygrzebać się z łóżka. Ze strzępów rozmowy zrozumiał, że on ma dziś urodziny. Fajnie jest mieć w maju urodziny, pomyślał, robić imprezy przy grillu i spotykać się w knajpianych ogródkach, on w listopadzie nigdy nie miał takiej szansy. Przez chwilę chciał nawet złożyć życzenia.

Ale dał spokój, wyciąganie jubilata z namiotu, jaki tworzyły długie kasztanowe włosy jego towarzyszki, byłoby okrucieństwem. Kiedy sąsiad wyczuł jego spojrzenie i rozejrzał się czujnie po knajpie, prokurator odwrócił szybko wzrok. Coś poślaskotało go w ucho. Tym czymś był perwersyjnie wielki kwiat kasztanowca, trzymany w ręku przez Basie. Złowił jeszcze kątem oka uśmiech mężczyzny, uśmiech mówiący, że tak, on też uważa Sandomierz w maju za idealne miejsce dla zakochanych.

– Lecimy?

Pokiwał głową, dopił piwo i razem zeszli po schodkach na kocię łby rynku. Zachodzące słońce świeciło czerwono u wylotu Oleśnickiego, pokrywając wszystko karmazynowym blaskiem, w tym mury starej synagogi.

– Nie możemy tu zostać, jeśli chcemy być razem – powiedziała.

Uśmiechnęła się, pocałowała go w policzek, pomachała szczupłą dłonią na pożegnanie i szybkim krokiem poszła w stronę Bramy Opatowskiej, spódnica wirowała wokół gołych, bladych i – co wiedział – mocno piegowatych łydek. Prokurator Teodor Szacki chwilę odprowadzał ją wzrokiem, po czym poszedł w stronę słońca, żeby złapać jego ostatnie promienie. Stał pod synagogą i patrzył, jak na ścianie budynku pomarańczowe światło jest od dołu wypierane przez cień. Obserwacja pochłonęła go tak, że nie było w nim miejsca na żadną inną myśl. Dopiero kiedy zachód dobiegł końca, rozejrzał się wokół.

Osiemdziesiąt lat wcześniej we wszystkich mieszkaniach i wszystkich domach w okolicy już od kwadransa płonęłyby zapalone przez kobiety świece, znak, że rozpoczął się szabat, że trzeba się powstrzymać od wszelkich prac, zmówić kidusz i rozpocząć wieczerzę. Spojrzał w dół ydowskiej, w stronę zamku, przypomniał sobie pokazane mu przez Wilczura nagranie, rozplywającą się we mgle postać.

Wzruszył ramionami i poszedł na spacer w tę samą stronę.

## Od autora

Powstanie tej książki, kolejnej już, zawdzięczam mojemu bratu, który postanowił związać na dobre swoje losy z cudowną sandomierzanką Ołą, przez co przyjechałem do miasta na wesele, zakochałem się w Sandomierzu po uszy i opuszczałem go w przekonaniu, że muszę napisać rozgrywającą się tutaj powieść. Że to kryminał i że fabuła dotyczy ciągle żywych i bolesnych stereotypów, to już zasługa Beaty Stasińskiej, której dziękuję przy tej okazji za wszystkie rozmowy przy wszystkich moich książkach. Wielkie podziękowania należą się tym, którzy pomogli mi w czasie kilku miesięcy pobytu w Sandomierzu. Przede wszystkim rodzicom Oli, ich przyjaciółom oraz nieocenionej pani Renacie Targowskiej i panu Jerzemu Krzemińskiemu.

W pracy korzystałem z wielu źródeł, najważniejszym jednak pozostaje miasto Sandomierz, dokąd wysyłam z wizytą wszystkich, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej o magicznym nadwiślańskim grodzie. Zainteresowani mroczną legendą o mordzie rytualnym powinni przeczytać opracowanie *Legendy o krwi. Antropologia przęsądu* Joanny Tokarskiej-Bakir (W.A.B., Warszawa 2008). Z innych ważnych lektur muszę wymienić *Sławę i chwałę* Jarosława Iwaszkiewicza. Powieść czytałem w trakcie pisania, a jej echa uważny czytelnik odnajdzie w książce. Dla formalności dodaję, że wszystkie postaci (no, prawie; ślę tutaj ukłony dla Jarka i Marcina) i wszystkie wydarzenia są zmyślone, za celowe przeinaczenia i pomyłki w sferze faktów i topografii odpowiadam ja, a uczynienie z Sandomierza mrocznej stolicy zbrodni nie świadczy, broń Boże, o moim stosunku do tego miasta, które uważam za najbardziej urokliwe w Polsce.

*Sandomierz-Warszawa, 2009-2011*

